

Feliks W. Kres

Tarcza Szerni

część 1

Księga Całości tom 6

PROLOG

Mroczne zaułki dzielnicy portowej, zapchane brudnym śniegiem, były miejscem nieprzyjaznym i groźnym. W Dranie, jednym z najstarszych miast Garry, ofiarą złoczyńców mógł paść każdy, kto zapuścił się nocą w okolice portu. Wojsko dawno już przestało kontrolować najbardziej podejrzane zakamarki, bo była to robota głupiego: żołnierze łapali rzezimieszków, urzędnicy zaś wypuszczali za łapówki. Dartańczycy, rozmiłowani w szumnych nazwach, zamorską prowincję Wiecznego Cesarstwa od pewnego czasu nazywali *Yoesene Ane* – Krainą Bezprawia – inni zaś, bardziej dosadni w słowach, powiadali zwyczajnie: burdel. Rozsypała się tam imperialna władza, a na jej miejsce nie przyszła żadna inna. Rządził każdy, za kim stały pieniądze albo miecze.

A jednak, blisko portowych nabrzeży, w jednej z najciemniejszych uliczek, przy której tkwiły opuszczone, na pół zrujnowane domy, przycisnął się oddziałek imperialnych legionistów. Spod szarych wojskowych płaszczy wyzierały jasne tuniki noszone na kolczugach; raz i drugi zaśnił, w odbitym od śniegu świetle księżyca, niedokładnie okryty kapturem hełm. Wojacy musieli sterczeć w zaułku dosyć długo, bo wyraźnie marzli, choć miało się na odwilż i ziąb niezbyt doskwierał. Chuchali w ręce i rozcierali je, kręcili się niecierpliwie i przytupywali, starając się jednak nie czynić hałasu. Pytanie, czy ktoś by usłyszał?... Opoдал rozbrzmiewał gwar: tubalne ryki i pijacki rechot przeplatały się z żeglarską pieśnią, której to pieśni nijak nie chciała poprowadzić muzyka dobywana z kiepskiej fujarki. Zresztą cała portowa dzielnica, jedna paskudna lumpiarnia, rozbrzmiewała zwykłymi nocnymi głosami: ujadaniem i wyciem jakichś psów, odległymi wrzaskami, pijackimi śpiewami, śmiechami.

Śnieg padał i padał coraz gęstszy. Topniał i mieszał się z błotem.

Sto pięćdziesiąt albo dwieście kroków dalej, obok wielkiej piramidy skrzyń złożonych na nabrzeżu, raczyli się gorzalką i hałasowali obwiesie – dwunastu, może czternastu. Za nimi niewyraźnie majaczyła ciemna bryła przycumowanego zagłowca. Płonęła smoła w trzech wielkich maźnicach, dając więcej dymu niż światła i ciepła, lecz nikomu to nie przeszkadzało, nawet pijanej dziewczynie z gołym tyłkiem, tańczącej w kręgu klaszczących i ryczących kamratów. Pannica – całkiem zgrabna, lecz o gębie rozchlastanej kiedyś nożem – miała na głowie wełnianą czapkę, częściowo zeżartą przez mole, na grzbiecie zaś koszulę i kosmaty serdak, ale niżej już tylko obszyte futrem trzewiki, chyba żeby do odzienia zaliczyć to, co z woli natury okrywało jej przyrodzenie. Rozradowane draby, mniej lub bardziej schlane, kołysały się albo zataczały w żeglarskim płasie, co tworzyło należytą oprawę dla podrygów biednej dziewczyny; tańczyć to ona, niestety, zupełnie nie potrafiła. Może miała inne zalety.

Śnieg sypał na potęgę; jego lekkie płaty, pchnięte mocniejszym porywem wiatru, skłębiły się w świetle smolnych ogni. Głośno zatrzeszczały kadłuby i zaskrzypiał osprzęt cumujących

w porcie żaglowców.

Dwoje ludzi, zbliżających się niepewnie do rozwrzeszczanej zgrai, w ogóle nie chciało pasować do portowej dzielnicy. Pytanie, czy pasowali chociaż do tego miasta?... Mężczyzna był bardzo dostatnio odziany, bogaty aż ostentacyjnie, kobieta zaś młoda i milutka: spod lekko zsuniętego kaptura wychylały się piękne kędzierzawe włosy, okalające trochę pucołowatą, ale jednak apetyczną buzię. Było zupełnie jasne, że los tych dwojga zostanie przypieczerowany, gdy tylko rozpląsane łapserdaki dostrzegą ich obecność w swym królestwie.

Jakoż i wkrótce dostrzegły. Prawdę mówiąc, nawet ślepy by dostrzegł, bo przybysze parli z niepojętym uporem ku kopającym maźnicom, niczym ćmy zwabione do światła. Głośniej rozbrzmiały wrzaski i dwaj pijacy z szeroko rozpostartymi ramionami, ku uciechu kompanów, ruszyli ku nadchodzącym. Uradowani, bez wątpienia pragnęli objąć nowo przybyłych, a może i zaprosić do tańca. Ci jednak nie czekali. W cudowny sposób odzyskawszy wzrok, a ze wzrokiem rozum, rzucili się do ucieczki. Kobieta krzyknęła przenikliwie, mężczyzna zawtórował jej basem.

– Na pomoc! Ratunku, mordują!

Banda z nabrzeża pognała śladem uciekinierów.

Pucołowata kobietka miała zdrowe nogi, towarzyszący jej bogacz jeszcze zdrowsze: bez żenady wysforował się naprzód, zostawiając towarzyszkę w ariergardzie. Odciągnąwszy bandę od nabrzeża, a tym samym od stojących w porcie żaglowców, po kolei skręcili w mroczny zaułek – ten sam, w którym czekali żołnierze. Rozpędzone zbiry wpakowały się prosto na gotowy do walki oddział. Legioniści osadzili zgraję w miejscu; kilku łapserdaków oberwało po zębach rękobjęściami mieczów. Zdezorientowanych otoczono w mgnieniu oka, bardziej krewkich poprzewracano w stratowany śnieg. Ponad wrzaski wzniósł się mocny głos człowieka przywykłego do rozkazywania:

– Stać, w imieniu prawa! Milczeć! Wszyscy broń pod nogi, natychmiast!

Niektóre draby miały noże, przy mieczu był tylko jeden.

Zaległa krótka cisza. Żołnierze, z groźnie nastawionymi ostrzami, szachowali zwabionych w pułapkę żeglarzy. Klnąc i brocząc krwią z rozbitego łba, zbierał się z ziemi przewrócony pijak.

– Napadnięto nas, panie komendancie! – dobiegł głos spoza pleców żołnierzy.

– Czy tak było?

– Tak, panie – potwierdziła kobieta.

– Co jest?! – wrzasnął jeden z osaczonych. – Ścierwojady... guza szukacie?! A wynocha do swoich baraków, ogony pod siebie i jazda!

Draby odzyskały wigor i animusz. Od wielu miesięcy wojsko w Dranie odwracało się plecami do wszelkich awantur i znikało bez śladu, wystarczyło tupnąć. Ochłonawszy z zaskoczenia, a nawet cokolwiek wytrzeźwiawszy, draby jęły groźnie napierać na legionistów,

niewiele sobie robiąc z ich mieczy.

– No?! No rusz mnie który, a żywa noga stąd nie ujdzie! – wrzasnął potężny dryblas z nożem w garści i nie namyślając się wiele, otwartą dłonią pchnął najbliższego legionistę w pierś.

– Podsetniku... to oni! – zawołał któryś z żołnierzy.

– Jacy „oni”?

– Ci co wczoraj wyrznęli naszych! Poznają tego... i tego! I tamtego też!

Do zwabionych w pułapkę obwiesiów zaczęło wreszcie docierać, że nie natknęli się na jakiś przypadkowy patrol.

– Oni, mówisz? Jesteś pewien, synu? Popatrz dobrze!

Żołnierz mógł patrzeć do woli – księżyc świecił jasno, a śnieg, chociaż brudny i zmieszany z błotem, potęgował jego blask, niemniej był środek nocy, do tego zadymka – i nawet sowie oczy miałyby kłopot z rozpoznaniem rysów czyjejs twarzy.

– Tak, panie! – powiedział legionista. – Jestem pewien, to te same gęby! Nie zapomnę do końca życia, tylko ja wyniosłem z tego głowę! Wszystkich naszych wytlukli jak psy!

Otoczona banda przycichła po raz drugi.

– Tylko ruszcie nas, sukinsyny! – powtórzył po chwili drab z nożem. – A żywa noga nie ujdzie!

– Rzekłeś, chłopcze – spokojnie skwitował oficer. – Rzuciliście się na wojsko imperialne. Wczoraj... a teraz znowu. Brać ich!

Żołnierze chyba opacznie zrozumieli rozkaz, bo zaulek w jednej chwili wypełnił się skowytom mordowanych drabów. Od miesiący przepędzani z kąta w kąt, wzgardzeni zarówno przez złoczyńców, jak i spokojnych mieszkańców miasta legioniści brali słodki odwet za wyrżniętych minionej nocy towarzyszy: czterech chłopaków z patrolu, osaczonych w samym środku miasta, o których nikt nie zamierzał się upomnieć. Ani przekupieni urzędnicy Trybunału Imperialnego, powołani do tropienia i sądzenia zbrodni, ani zobojętniali przełożeni, ani wreszcie zastraszone miejskie władze – nikt.

Port był za daleko, by na pokładach okrętów dosłyszano wrzeszczących o pomoc żeglarzy. Na pirackich łajbach, zupełnie jawnie cumujących u nabrzeży jednego z największych miast Garry, było pewnie parę setek zbirów, choć co najmniej połowa bawiła się w knajpach na lądzie. Żołnierze nie mogli wygrać żadnej potyczki w porcie – jednak co innego dwieście kroków dalej. Kompani zarzynanych słyszeli najwyżej niewyraźne wrzaski, dobiegające z mrocznych ulic – nie pierwsze tej nocy i nie ostatnie...

Nie upilnowano tylko tancerki z blizną od noża na twarzy. Rozchichotana pannica pociągnęła śladem kamratów i była wystarczająco blisko, by poznać, że dzieje się coś paskudnego. Zawróciła biegiem i zaczęła wrzeszczeć wniebogłosy, gdy tylko wpadła między kotły z palącą się smołą. Światło oślepiało; gdyby nie to, bez trudu dałoby się dostrzec nie tylko zarys kadłuba

żaglowca, ale i szczegóły na pokładzie: pośród zwojów lin, skrzynek, różnych szmat i śmieci przysypanych świeżym śniegiem (nie był to czysty okręt...) drzemali tak samo ośnieżeni członkowie załogi, którym podstępna gorzalka nie pozwoliła dotrzeć do przytulnych barłogów w dziobówce. Otworzyły się jakieś drzwi i spod kasztelu rufowego trysnęła na pokład smuga światła.

– Czego wrzeszczysz, dziwko, no czego?!

– Bo... naszych tłuką! Naszych! Tam, w zaułkach!

– Co ty gadasz?...

– Tłuką naaszyyych! – histerycznie rozdarła się wywłoka, skacząc po dudniącym i trzeszczącym trapie, jakby straciła rozum. – Łaaa! Tam tłuką, ja nie wiem... nie wiem ktoo!... No... łaaaaa!!!

Pobudzeni marynarze wyłazili z zakamarków okrętu.

– Zatluką ich! Łaaa! – raz jeszcze wrzasnęła dziewczyna i niemal kopiąc się piętami w przyszczaty zadek, pognąła z powrotem w głąb ulicy, jakby sama jedna chciała przyjść z odsieczą mordowanym.

Okręt ożył. Ci ludzie nie raz i nie dwa zrywali się w środku nocy, by chwycić za broń. Ktoś kopnął przyprószonego śniegiem pijaka, inny, klnąc skoczył pod pokład. Zadudniły ciężkie kroki na trapie, gdy dwaj pierwsi żeglarze z toporami w dłoniach zbiegli na nabrzeże. Lecz ta noc była pełna niespodzianek.

– A dokąd to? – zapytał niemłody już, lecz prosto trzymający się mężczyzna, który otoczony smolnym dymem zjawiał się w kręgu światła, jakby wyłoniony z kłębow śniegu. – Ten okręt to „Zgniły Trup”?

Była to nazwa legendarnego już żaglowca, cieszącego się najgorszą sławą. Pływające na nim kanale, bydłeta nawet między innymi bydłętami, wyrzutki spośród wyrzutek, rzuciły kiedyś wyzwanie samemu morzom, nazywając swój okręt tak, że żaden prawdziwy marynarz, choćby pirat, nie chciał postawić stopy na jego pokładzie. Dowodziła nim przeklętnica, będąca, jak powiadano, córką największego pirata w dziejach, powieszona przez żołnierzy cesarskich, a potem przywrócona do życia za sprawą niezbadanych mocy Szerni.

Pędzący drab zamierzył się toporem i wyrznął nim pytającego, który chyba odruchowo zasłonił głowę ramieniem.

Topór pękł, jakby trafił w litą skałę.

Przybysz, szczipły wysoki człowiek w ciemnym płaszczu, ruszył ku drugiemu piratowi, zdzielił go pięścią w szczękę – i zabił. Kolejnym uderzeniem zdruzgotał łeb temu, który w osłupieniu patrzył na trzymany w ręku ułomek styliska topora. Rozprawiwszy się z dwoma przeciwnikami, wbiegł na trap i szeroko rozkrzyżował ręce, zagrządzając drogę na nabrzeże. Rzuciło się nań kilku majtków z mieczami i toporami, lecz niesamowity wojownik naprawdę

miał ciało z kamienia... Zachwiał się pod ciosami i odstał dwa kroki w tył – ale nie zrobiono mu żadnej krzywdy.

– Czy ten okręt to „Zgniły Trup”? – ponownie zapytał nieproszony gość, chwytając za gardło najzuchwalszego z napastników i zgniatając mu krtań na miazgę.

Kopnął następnego, łamiąc mu nogę; trzeciemu zgruchotał czaszkę, jakby była glinianą miską. Z hałasem pędzili następni, gotowi zmieść wroga impetem, co mogłoby się udać – lecz w zamieszaniu, gdy wylazący spod pokładu majtkowie chcieli biec na brzeg, a inni z zabobonnym lękiem cofali się od trapu, nie było mowy o zaprowadzeniu jakiegokolwiek ładunku; w mroku słabo rozjaśnianym przez księżyc, nieliczne okrętowe latarnie i płonąca na brzegu smoła mało kto wiedział, co się właściwie dzieje. Kamienny człowiek na trapie wygrał bój na pięści z piratem, który przedarł się do niego przez tłumek odstępujących do tyłu towarzyszy. Po raz trzeci zadał swoje pytanie, ale utonęło we wrzaskach. Wówczas rozgniewał się wreszcie, stracił cierpliwość i ruszył naprzód, tłukąc i masakrując każdego, kto znalazł się w zasięgu jego ramion.

– Gdzie jest wasza królowa?! – zaryczał. – Szukam Ślepej Ridi!

– Jakby tu była, sukinsynu, tobyś już dawno miał urwane jaja! – zawył jakiś pirat z nienawiścią. – I dławilibyś się nimi, sukin...

– Nie ma jej? To przyjdę później – rzekł mężczyzna, chociaż prawie nikt go nie słyszał. – Droga wolna, do zobaczenia. Powiedzcie swojej królowie... albo lepiej nic jej nie mówcie.

Odwrócił się, zbiegł na nabrzeże i zniknął tak samo, jak się zjawił: nie wiadomo gdzie ani kiedy.

Dziewczę z gołym zadkiem rzeczywiście samo nadciągnęło kompanom z odsieczą. Tak czy owak, w zaułku zostały już tylko trupy.

* * *

Tej samej nocy i w tym samym mieście, lecz w zupełnie innej dzielnicy, dwaj ludzie wyglądali przez okno zamożnego domu, patrząc na padający śnieg. Niewiele dawnych zwyczajów przetrwało w Dranie, lecz Stara Dzielnica, prawdziwe miasto w mieście, wciąż była nieźle strzeżona. Pamiętająca czasy niepodległego Królestwa Garry, opasana osobnym murem, nieistniejącym już tu i ówdzie, stanowiła miejsce szczególne. Mieściły się w jej obrębie siedziby władz miasta, gmachy Trybunału Imperialnego, małe koszary będące domem nie dla zwykłych żołnierzy, lecz wiarusów Gwardii Garyjskiej, a ponadto najbogatsze kamienice, najlepsze kantory i składy kupieckie – słowem: wszystko co stanowi o znaczeniu miasta. Oprócz portu.

Jeden z patrzących przez okno mężczyzn, łysiejący, krótko ostrzyżony, nosił szpakowate wąsy i brodę, bardzo starannie przycięte; zarost skrywał niewielkie kalectwo, mianowicie skrzywienie ust, które unosiły się nieco z jednej strony w czymś, co przywodziło na myśl

kpiarski uśmiech. Średniego wzrostu i tuszy, raczej żyłasty i krzepki, człowiek ten wyglądał na pięćdziesiąt lat, choć w rzeczywistości miał blisko osiemdziesiąt. Nie czuł swego wieku; istoty przyjęte przez rządzącą światem potęgę bardzo szybko traciły młodość – lecz w zamian niezwykle wolno się starzały, przez długie dziesięciolecia korzystając z uroków tego, co zwykle się nazywało wiekiem średnim. Mężczyzna nosił imię Gotah, a ze względu na skrzywienie ust zwano go czasem Głupim albo Szalonym. Uznawany był powszechnie za najznamienitszego z żyjących historyków-filozofów Szerni.

Towarzyszył mu starzec. Przygarbiony, drobniutki, siwiuteńki, wyglądał na dobrego dziadka z kołysanki dla dzieci. Przez otwarte okno wiało chłodem, staruszek poprawiał więc okrągłą czapczkę, jaką mógłby nosić drobny kupiec, rozcierał co chwila dłonie, to znów unosił je do ust i grzał oddechem, znacząco spoglądając na towarzysza, który jednak nie dostrzegał owych niemych próśb. Okno pozostało otwarte.

W drobnej, siwej głowie poczciwego dziadka działał wciąż całkowicie sprawny, przenikliwy umysł jednego z największych uczonych świata. Sędziwy Yolmen był matematykiem Szerni – nie tak docenionym i błyskotliwym, lecz sto razy bardziej pracowitym od pyszałkowatego, leniwego, zadufanego w sobie Moldorna, marnującego najwspanialszy talent w dziejach.

Mędrców Szerni uważano za istoty niezwykle, a w niektórych krainach Szereru – zgoła legendarne. Do tych krain należała Garra, wielka wyspa na Bezmiarach, oddalona o setki mil od Grombelardu, ojczyzny i pracowni Przyjętych. To tam zgłębiali prawa rządzące sprawczą potęgą ponad światem; poza *Romogo-Koor* – Nienazwanym Obszarem – widywano ich bardzo rzadko. W Morskiej Prowincji niemal nigdy. Powiadano, że było ich pięćdziesięciu.

Nieprawda. Tylko jedenastu. Dawno minął złoty wiek mędrców-Przyjętych, gdy na badaczy Szerni czekały niezliczone fascynujące odkrycia. Wiszącą nad światem siłę zbadano, policzono wartości Pasm... Studia nad sprawczą potęgą były teraz żmudną, monotonna dłubaniną, dokładaniem kolejnych kamyczków wiedzy do wzniesionej już piramidy; niewielu miało ochotę poświęcić życie tak nudnej i niewdzięcznej pracy. Legendarna akademii mędrców Szerni istniała przed wiekami naprawdę, lecz została zamknięta z braku chętnych.

– Moldorn wróci przed świtem – rzekł staruszek głosem pasującym do postaci: słabym, nieco schrypniętym, lecz zarazem łagodnym. – To bufon, ale jednak matematyk... – Zaśmiał się cicho. – Jak coś powie, to powie. Nie rzuca słów na wiatr.

– Nie o Moldorna się martwię – odrzekł Gotah. – To znaczy, owszem, martwię się, ale nie o jego skórę tylko o to, co robi. Gotów stanąć na pokładzie tego statku i rąbnąć: „Gdzie wasza komendantka? Szuka jej Moldorn-Przyjęty!” – zakpił z przenikliwością, która już wkrótce miała zadziwić jego samego. – Mówisz: bufon? Pół biedy. Ja mówię: to pomylenie.

– Niestety. – Yolmenowi wyrwało się westchnienie. – Ale to nie ja go sprowadziłem.

Gotah energicznie zamknął okno uzbrojone w kosztowne dartańskie szyby, niemal doskonale

przezroczyście i prawie nie zniekształcające widoku. Odwrócił się i rozejrzał po schludnej, dostatnio urządzonej, bardzo dobrze oświetlonej izbie, jakby widział ją po raz pierwszy. Za psi pieniąż wynajęli całe piętro w okazałej kamienicy; z Dranu uciekał kto tylko mógł, wiele domów straszło pustką i nietrudno było o kwaterę.

– Bardzo mądrze, młody człowieku – orzekł Yolmen. – Wyłysiejesz, jeśli będziesz wystawiał gołą głowę na mróz. Zobacz, co się dzieje z twoją głową. Ja zawsze noszę czapkę, i proszę, to moje włosy.

Rzeczywiście, choć zupełnie siwe, były wcale gęste. Łysawy „młody człowiek” trochę mocniej skrzywił swój kaleki uśmiech.

– Przyjmuję nauzkę. Ale tę o łysieniu, nie o Moldornie. Kogo miałem sprowadzić? No, słucham, Yolmenie: kogo? Kreeb nie przyjął do wiadomości, że toczy się wojna Szerni z Alerem, i został odrzucony przez Pasma. Oszalał i uważa, że nadal jest Przyjętym. Ale nie, już nie jest. Aisen i Merone podobnie, żaden z nich wprawdzie nie oszalał, ale pierwszy pogodził się z rzeczywistością, rzucił wszystko i chyba ma narzeczoną, drugi przeciwnie, uznał, że wyliczy, iż dwa razy dwa to jest siedem, siedzi w swoich rachunkach i nie wylezie z nich nigdy, bo próbuje udowodnić fałszywe twierdzenie. Pozostali? Na tle pozostałych, „młody człowieku” – odwzajemnił się z lekkim przekąsem – wyglądasz bardzo rześko, a nawet atletycznie. Ramez? Nie wiadomo, czy Pasma w ogóle go Przyjęły; nic już nie wiadomo, odkąd w Szerni nic nie działa tak jak kiedyś. Zresztą, Ramez najwięcej dobrego może zrobić właśnie tam gdzie jest, w Kirlanie. Ma tam środki, ma wciąż jeszcze niemałe znaczenie, a na koniec była żoną, która jest dzisiaj najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Jeśli do niej przemówi, jeśli trafi do jej serca albo rozumu... A księżna Werena... tfu! – Machnął ręką. – Zawsze już będę o niej myślał „księżna”. Najgodniejsza Cesarzowa Werena ma rozum; co do serca, nie jestem pewien.

– Mówiliśmy już o tym.

– Więc nie wypominaj mi znowu, że zabrałem Moldorna. Wziąłem wszystkich, których mogłem wziąć. I o jedną osobę za dużo... ale nie jest nią Moldorn.

– Ani ja, wiem. Nie miałem na myśli nic złego, Gotahu. Powiedziałeś „pomylenie”, ja coś odpowiedziałem... – sumitował się starsuszek. – Przecież jestem tu z tobą, co chyba oznacza, że akceptuję podjęte przez ciebie decyzje, jak i twoje przywództwo.

Gotah wyciągnął ręce, ujął towarzysza za łokcie i uściśnął lekko, po czym usiadł przy stole.

– Tak... Nie gniewaj się, Yolmenie. Jestem zdenerwowany.

– Niepotrzebnie.

– Być może. Zmieńmy temat. Jeśli Moldornowi się uda...

– W co nie wierzysz.

– I ty też nie wierzysz. Co niby miałyby się udać? Miałem go dosyć i tylko dlatego powiedziałem: idź! Sprawdzi, że na okręcie nie ma komendantki, raczej nie dowie się, gdzie

jest... i wróci. Wprawdzie nasz przyjaciel wyobraża sobie raczej coś takiego: oto zakrada się na okręt, a tam śpi sobie smacznie nasza piękność. Trach! Po cichutku wielki Moldorn-Przyjęty urywa dziewczynie głowę, po czym przepada za sprawą jednej ze swych sztuczek, które tak mu się podobają, odkąd wreszcie może je stosować. Przychodzi, kładzie tutaj głowę naszego Rubinu, a więc właściwie sam Rubin...

– To makabryczne. – Matematyk wzdrygnął się.

Gotah popatrzył przeciągle.

– No ale... przecież właśnie to chcemy osiągnąć. Moldornowi na pewno nie uda się tej nocy, jednak prędzej czy później...

– Makabryczne – powtórzył starzec.

– Lepiej pojednaj się z tą myślą, Yolmenie. Musimy zniszczyć tę kobietę, bo słowo „zabić” jest chyba nieodpowiednie.

– Wiem – głos starca zabrzmiał niespodziewanie ostro. – Ale czy musimy o tym mówić? Planujemy zbrodnię, i to zbrodnię ohydną, niewyobrażalną dla zdrowego umysłu...

– Ta dziewczyna jest rzeczą. To Geerkoto, Porzucony Przedmiot.

– Wiesz dobrze, że nie tylko. Jest także człowiekiem, tak samo jak ty i ja.

– Raczej zwierzęciem, a gdybym po dartańsku lubował się w szumnych określeniach, powiedziałbym: potworem, krwiozerczą bestią. Bajki o piratach to właśnie bajki w zestawieniu z tym wszystkim, o czym mogłaby opowiedzieć jej załoga.

– Przesadzasz.

– Nawet jeśli tak, to niewiele.

– Nic mnie to nie obchodzi, nie jestem sędzią... a zgodziłem się zostać katem. I umrę, jeśli to zrobię. – Wyznanie zabrzmiało bezradnie i naiwnie, trochę jak dziecięca buntownicza obietnica, a trochę jak smutne przeczucie.

– Mistrzu Yolmenie – powiedział Gotah z szacunkiem, który miał złagodzić wymówkę – to nie ja pokazałem ci matematyczne modele, z których wynika katastrofa. Ja jestem tylko badaczem zatęchłych kronik, gadułą i „gdymbaczem”, jak mówicie wy matematycy. Powiedziałem ci, co wiem, ale matematyczna interpretacja wyszła od ciebie. Historyk niczego nie dowiedzie, może tylko budować chybotliwe konstrukcje oparte na źródłach, z którymi różnie, bardzo różnie bywa.

– I co jeszcze mi powiesz, mędrco-Przyjęty? Wiem, czego dowiodłem, i dlatego stale sobie powtarzam, że trzeba ją powstrzymać. Ale zabić...

– Zniszczyć, nie zabić. Ona nie żyje.

– Żyje! Nie opowiadaj mi głupstw! – zawołał starzec tak głośno jak potrafił i rozkaszał się. Wycelował palec w Gotaha. – Nie osławaj rzeczywistości słowami, filozofie... Albo osławaj, jeśli musisz, ale na swój własny użytek. Ja jestem matematykiem i nie umiem patrzeć przez kolorowe

szkiełka, dobierane w zależności od potrzeb, widzę tylko albo prawdę, albo fałsz. Może inni, nawet matematycy, mogą inaczej patrzeć na świat wzorów i liczb, a inaczej na ten, w którym żyją. Ale ja nie potrafię. Przez całe życie nawet psa nie kopnąłem, a ty chcesz, bym bez żadnych rozterek zamordował człowieka, powiadając sobie „to zły człowiek”, albo jeszcze lepiej „to właściwie wcale nie człowiek”. W imię czegoś niezmiernie doniosłego, bo ocalenie Szereru mam za rzecz doniosłą, zgodziłem się popełnić wstrętną zbrodnię, która, choć konieczna, pozostanie zbrodnią; żyję z tą myślą i z tą myślą umrę. Zechciej zostawić mi prawo do szczerości względem samego siebie.

Gotah milczał.

– Potrafisz ładnie przemawiać... jak na matematyka.

– Trafne spostrzeżenie. Jak na filozofa.

Gotah uśmiechnął się, czyniąc swą krzywą gębę jeszcze bardziej kpiarską.

– Wisielczy ten wiatr – rzekł na koniec. – Obaj niepotrzebnie jesteśmy rozdrażnieni.

Yolmen odetchnął głęboko i przetarł załzawione oczy.

– Tak, to prawda. Przebacz.

– I ty mi przebacz, Yolmenie. Razem niesiemy ciężar i powinniśmy stale sobie pomagać, a tymczasem kłócimy się.

– Twoje sumienie...

– Zamilcz już, bo jesteś rozgoryczony i powiesz coś niemądrego. Moje rozterki są może pośledniejsze od twoich, ale to nie znaczy, że ich nie mam. Wolałbym teraz robić coś innego. Prawdę mówiąc... cokolwiek innego.

Zamilkli obaj i pogrążyli się w myślach.

Starogrombelardzkie słowo *lah'agar*, w odniesieniu do mędrców Szerni wykładane zwykle jako „przyjęty”, znaczyło dosłownie: część odnaleziona. Wśród milionów istot rozumnych, albo raczej: wśród milionów ludzi, bo koty w ogóle Szerni nie pojmowały, trafiali się tacy, którzy mocniej od innych czuli obecność Pasm. Świadomość istnienia Szerni miał każdy, tak jak świadomość własnego istnienia, lecz niektórzy ponadto pojmowali jej naturę, rozumieli i czuli, na czym Szerń polega. Pasma przyjmowały takich ludzi, uznając ich – symbolicznie – za swą część. Bezsilni mocarze mogli sprawić to wszystko, co sprawiały Pasma, a nawet więcej, bo Szerń była potęgą martwą i bezrozumną, Przyjęci zaś działali świadomie. Lecz już sam zamiar użycia sił Szerni powodował odtrącenie przez Pasma; paradoks wszechmocy Przyjętych polegał na tym, że byli wszechmocni tak długo, jak długo nic nie robili... Szerń nadała kształt swemu światu, spięła się z nim klamrą Praw Całości i nie wpływała na nic, co się działo pod jej Pasmami. Przyjęty – odnaleziona część Szerni – musiał być taki jak ona.

Lecz Szerń właśnie się rozsypała, albo może raczej: przedzierzgnęła w coś, czym nie była od tysiącleci. Doglądająca tylko świata, niczym ogrodnik kwiatów, przemieniła się w wojownika, bo

właśnie toczyła wojnę z podobną do niej lecz wrogą potęgą. Niektóre Prawa Całości uległy zawieszeniu; Przyjęci mogli, a nawet musieli działać.

Pytanie tylko, czy potrafili?...

Armektański pokój, narzucony wszystkim ludom w granicach Wiecznego Cesarstwa, miał bardzo różne oblicza. Wypieszczony Dartan, skarbiec imperium, cieszył się niemal pełną niezależnością – i odplacił łagodnym zdobywcom krwawą wojną, zakończoną przed trzema laty upokarzającym dla Armektu traktatem pokojowym. Formalnie zwasalizowane, a faktycznie całkowicie niepodległe dartańskie królestwo, skłaniało się już ku nowej wojnie, tym razem o hegemonię na kontynencie.

W tym czasie Morska Prowincja Wiecznego Cesarstwa – niekochana, zawsze pogardzana, trzymana przez armeaktańskich władców twardą ręką – korzystała z osłabienia, a właściwie już rozpadu imperium. Wiecznie tutaj wybuchały powstania i lada chwila miało rozgorzeć kolejne.

W Doronie, starej stolicy Garry, na każdym kroku widoczne były pamiątki po poprzednim, stłumionym zrywie. Doronę splądrowano i częściowo zburzono, od tego czasu minęło ładne parę lat, a wciąż jeszcze tu i ówdzie straszły trupy kamienic, których nie warto było odbudować, a nikomu nie chciało się – nie opłacało?... – do reszty wyburzyć. Armektańskie władze najpierw miały ważniejsze sprawy niż sprzątanie resztek prywatnych domów; potem, gdy tymczasowość rządów stała się dla wszystkich widoczna, armeaktański książę utracił wszelkie znaczenie. Otoczony przez przyboczną gwardię, już tylko rezydował, bo nie rządził. Władać prowincją chciał, ale nie mógł.

Przed obskurnym gmachem, nazywanym szumnie „pałacem” (prawdziwy pałac spalono podczas minionego powstania) zatrzymało się pięciu jeźdźców, za którymi szło czterech pieszych – ci ostatni nieśli jakieś pakunki. Właściwie jeźdźców było nie pięciu, a pięcioro, bo na czele oddziałku znajdowała się kobieta, dosiadająca konia w sposób właściwy dla swej płci. Towarzyszący jej pachołkowie-żołnierze, odziani i uzbrojeni tak świetnie, że cesarscy legioniści mogliby na ich widok poumierać z zazdrości, zeskoczyli z siodła; jeden zaraz wyciągnął rękę, pomagając kobiecie zsunąć się z końskiego grzbietu na ziemię. Olbrzymie futro z granatowych lisów było dziełem prawdziwego artysty; gdziekolwiek ów kuśnierz mieszkał, na pewno ubierał najświetniej urodzone kobiety cesarstwa, a może i samą cesarzową. Futro, mimo swoich rozmiarów i wagi dopasowane do sylwetki, podkreślające talię, mogło samym widokiem doprowadzić do płaczu niemal każdą kobietę – bo prawie żadna nie mogła mieć takiego. Kosztowało tyle, co dom. Granatowy lis był najrzadszym zwierzęciem Szereru; miesiąc, gdy jakiegoś złowiono, jawił się miesiącem wyjątkowym.

Poprzedzana przez dwóch prywatnych żołnierzy, wielka pani w granatowych lisach postąpiła ku wejściu do pałacu, którego to wejścia strzegły jakieś biedne wymoczki, trzęsące się z zimna

w swych wojskowych płaszczach. Zsunąwszy z głowy kaptur, idąca odsłoniła jasne włosy okalające twarz o rysach istic królewskich; była kobietą trzydziestokilkuletnią, wysoką, szczupłą, wyjątkowo piękną, ale chyba nikt nigdy jej tego nie powiedział... Niepodobna opisać, jak bardzo onieśmiało spojrzenie tych zielononiebieskich oczu, ocienionych łukami ciemnych brwi. Minąwszy wartowników, tak jakby ich nie było, wyniosła blondynka weszła do budynku, przez ramię podając swojemu żołnierzowi mufkę z lisów – pospolitych srebrnych, wstyd powiedzieć – z której wyzwoliła dłonie. Mogła podróżować, grzejąc ręce w mufce; przecież z powodu zimna nie kierowała koniem, wodze trzymał jeden z przybocznych.

Ktoś spiesznie kroczył w dół po zaniedbanych, niewypolerowanych, odartych z kobierca schodach – nie był to dwór książęcy, lecz dziadowski. Od dwóch lat Księciem Przedstawicielem Cesarzowej w Doronie był najstarszy z trzech synów starego imperatora – abdykując na rzecz córki, zmęczony czterdziestoletnim panowaniem władca musiał coś dać także jej braciom, choć wcześniej trzymał ich z dala od państwowych urzędów. Ku zaskoczeniu wszystkich, książę Askar, uważany za lekkoducha, bardzo poważnie potraktował nominację i niemal stawał na głowie, próbując zebrać sprawy prowincji do kupy. Problem w tym, że choć szczerze się starał, to niewiele potrafił, a gdy nawet wpadł na jakiś dobry pomysł, to prawie nic nie mógł zrobić, pozbawiony wojska, floty, pieniędzy, poparcia miejscowych elit, zostawiony sam sobie w zrujnowanym obcym i wrogim kraju, który mocno na wyrost wciąż zwano prowincją cesarstwa... Niemniej, te zaniedbane schody i dziadowski pałac-nie-pałac wystawiały wicekrólowi prowincji bardzo dobre świadectwo. Był bogaty, ale się zrujnował; każdą sztukę srebra przeznaczył na Legię Garyjską, Trybunał Imperialny, przytułki, urzędy, darmowy chleb dla biedaków, słowem sprawy publiczne; dotował je z własnej szkatuły i dla siebie nie miał już nic. Nawet kobierca na schodach.

W zamian zyskał świadomość daremności wszelkich poczynań. Oderwanie Garry i Wysp od imperium było kwestią miesięcy – i nic tego nie mogło zmienić.

Świetna dama w futrze wartym bez mała tyle, co pałac namiestnika cesarzowej, szła na spotkanie z niestarym, ale już zgorzkniałym urzędnikiem, a w ogóle – dezerterem bądź trupem... Było jasne, że powstanie wybuchnie późnym latem, tuż przed jesiennymi sztormami, które od stuleci zawsze tak samo na kilka miesięcy odcinały Garrę i Wyspy od kontynentu. Książę Askar mógł uciec wcześniej – albo nie uciekać i dać głowę pod miecz.

Idący po schodach człowiek był jednym z doradców księcia. Zatrzymał się i powitał przybyłą; bez wątpienia oczekiwano jej tutaj. Odpowiedziała na powitanie, po czym zapytała:

– Czy każdy może tak wejść do tego domu?

Świetny garyjski, którym się posłużyła, skażony był jednak prawie nieuchwytnym, chyba dartańskim, akcentem.

– Wasza godność... Książę czeka. Nakazano wartom, by wpuściły waszą godność

natychmiast.

– Nawet się nie przedstawiłam.

– To... chyba nie było potrzebne.

Zjawił się dziesiętnik Gwardii Garyjskiej, biorąc pod opiekę prywatnych żołnierzy gościa. Na każdym kroku okazywano jej wyjątkowe względy.

– Przed domem zostawiłam konie i czterech ludzi z upominkami dla Księcia Przedstawiciela i członków Rady Wicekrólewskiej.

– Zaraz wydam rozkazy.

Niedługo potem, zapowiedziana księciu, została doń wprowadzona i znalazła się przed obliczem trochę starszego od niej, bardzo przystojnego lecz znużonego człowieka (to nieskrywane znużenie mocno go postarzało i ujmowało urody), który niemal zerwał się z krzesła i ruszył na spotkanie. Armeктаński obyczaj nakazywał czekać na słowa gospodarza; ten z kolei winien krótką chwilę milczeć, by gość zdążył pokazać, że nieobce są mu dobre maniere. Księżę Przedstawiciel odebrał wychowanie w pierwszym domu Szereru; milczał nie dłużej i nie krócej niż trzeba.

– Witaj, pani. Rad jestem.

– O, tego jeszcze nie wiemy... – odparła zagadkowo, uśmiechając się lekko i kłaniając z taką swobodą, jakby miała na sobie nie ciężkie futro, a suknię. – Wasza królewska wysokość.

Nikt nie odebrał jej okrycia, bo w pałacu było zimno jak w stajni. Księżę nie miał nawet na opał. Ta przerażająca, wyzieraająca z każdego kąta nędza była aż... humorystyczna. Czy Przedstawiciel aby jadał codziennie?...

– A jednak jestem rad – powtórzył, dając znak swemu doradcy, który zniknął na chwilę i zaraz wrócił, niosąc wino, pucharki i lekki poczęstunek; wyglądało na to, że służby też nie ma. – Bardzo rad, a ponadto zaskoczony, zdziwiony, przestraszony.

Poprowadziwszy przybyłą do krzesła, Przedstawiciel usiadł na drugim. Prosty i surowy wystrój komnaty był akurat czymś dosyć zwyczajnym – Armeктаńczycy ostentacyjnie unikali przepychu, podkreślając w zamian na każdym kroku wojenne tradycje swego kraju. Także i tutaj, oczywiście, przybrano ściany orężem.

Przejawem armeктаńskiego pojmowania świata było zresztą samo imię Księcia Przedstawiciela. Najpospolitsze armeктаńskie imię, które koniecznie winien nosić pierworodny panującego. Księżniczka Werena miała szczęście, że na świat przyszła po księciu Askarze, który zadośćuczynił wymogom tradycji, w przeciwnym wypadku musiałyby się nazywać Ajana. W każdym mieście Armektu mieszkał legion Ajan.

– Zaskoczony, zdziwiony... rozumiem. Ale, wasza wysokość: przestraszony?...

Uderzała swoboda, z jaką ta kobieta rozmawiała z jedną z pierwszych osób Szereru. Ktoś taki jak księżę Askar znał wszystkich armeктаńskich nosicieli wielkich nazwisk, bywał na

dworach dartańskich, nieobce mu były elity garyjskie. I nie wiedział, ani nawet nie potrafił zgadnąć, kim jest siedząca przed nim... monarchini. Przed imieniem, którym podpisała list do niego, nie znalazł ani garyjskiego nazwiska, ani używanych na kontynencie monogramów imion rodowych.

– Twój list, pani, niczego nie wyjaśnia, a obiecuje tak wiele, że... gdyby nie jego forma...

– Przecież jako oszustwo nie ma żadnego sensu. Oszust, który niczego nie chce, nic nie proponuje?

– Nie myślałem o oszustwie.

– Ach, rozumiem. Myślałeś, wasza wysokość, że list napisała wariatka.

– Tak – powiedział.

Ujął ją swą otwartością.

– I już zmieniłeś zdanie? – zapytała z właściwym sobie zagadkowym uśmiechem, unosząc królewskie brwi.

– Mam oczy, wasza godność, i umiem z nich korzystać.

Najdelikatniej dał do zrozumienia: „Nie jesteś obłąkana, bo widzę, co masz na sobie, i trudno wątpić, że złotymi monetami możesz wybrukować ulice – tak jak mi napisałaś”.

– Nawet mnie nie znasz, księżę – powiedziała już bez uśmiechu.

– Znam imię. Chyba prawdziwe?

– Owszem, ale niecałe. List właściwie powinnam podpisać: „*Kesa-lah'egri, Przyjęta przez Pasma*”.

Przez krótką chwilę panowała cisza.

– Co próbujesz mi, pani, powiedzieć? – zapytał z nowym powątpiewaniem; było widać aż nazbyt wyraźnie, że podejrzenie o rozchwianie umysłu rozmówczyni znów go zaczyna nurtować.

– To, że od czasu półlegendarnej Slavy nie było w Szererze Przyjętej. A od dwóch lat jest i właśnie siedzi przed tobą. Wysłuchaj mnie, księżę – powiedziała szybko, widząc, że mężczyzna otwiera usta. – Musiałam powiedzieć kim jestem, bo inaczej byś nie zrozumiał, co mną powoduje. Wkrótce będzie dla ciebie oczywiste, że jestem tą, za którą się podaję, ale na razie wygodniej, byś uznał, że rozmawiasz z wariatką... Czy tak, Wasza królewska wysokość? Przyszła do ciebie obłąkana kobieta, która jednak nie kłamie, gdy mówi, że może mieć tyle pieniędzy, ile zechce. Czy wolno być niespełna rozumu, a zarazem swoim majątkiem służyć Wiecznemu Cesarstwu?

Uniósł brwi i uśmiechnął się, choć uczynił to z niejakim przymusem.

– Chyba wolno.

– W takim razie opowiem ci, księżę, zajmującą historię. Jest bardzo długa, więc pominię wątki nie mające dla nas znaczenia. Otóż, wasza wysokość, rządząc tą wyspą, na pewno już zauważyłeś, że po otaczających ją morzach pływają nie tylko statki kupieckie, nie tylko żaglowce

straży morskiej, ale i okręty pirackie.

– O... – powiedział, jakby nagle zrozumiał wszystko. – Chyba...

– Nie, wasza wysokość. O zenujących i godnych pożałowania pertraktacjach prowadzonych przez garyjskiego wicekróla z morskimi zbójami powiem później – rzekła cierpko. – Teraz opowiadam o czymś innym.

Poróżował lekko na policzkach, ale nic nie odrzekł. Było jasne, że ta kobieta wie co mówi.

– Piraci byli na tych morzach zawsze, choć nigdy nie mieli własnego księstwa, a od paru lat je mają, dwie wyspy daleko na Bezmiarach. Jakiś czas temu był między piratami jeden wyjątkowy, tak sławny i groźny, że wszyscy inni uznawali go za swego wodza, a szacunek dla jego żeglarskich i wojennych umiejętności żywili nawet wrogowie. Człowiek ten miał córkę, której nie znał, wychowaną w świetnym garyjskim domu, a po śmierci matki wypędzoną przez rodzinę na ulicę, bo była przecież armektańskim pomiotem z nieprawego łoża; postąpiono więc z nią bardzo po garyjsku, czy nie tak, wasza wysokość? Kapitan Rapis parał się nielegalnym handlem niewolnikami, a los sprawił, że chwytając ich w jakiejś wiosce, pochwyił także pewną bezdomną dziewczynę... Zbyt późno dowiedział się kim jest jego branka, zmarł na pokładzie swego okrętu, zostawiając córkę pod opieką kogoś, komu ufał, ale to już inna historia. Dla nas znaczenie ma pewien Przedmiot, którego nazwę pisze się wielką literą; Porzucony Przedmiot zdobyty przez kapitana Rapisę podczas jednej z łupieskich wypraw. Rubin Córki Błyskawic, nazwany tak przez Dartańczyków na pamiątkę najmłodszej z legendarnych Cór Szerni, to klejnot zupełnie wyjątkowy, jest bowiem symbolem dwóch odrzuconych przez Szerń Ciemnych Pasm... ale o tym za chwilę. Wywiera duży wpływ na osobę, która jest jego właścicielem, a kapitan Rapis długo miał swój Rubin, tak długo, że, przesiąknięty jego mocą, został... chociaż nic o tym nie wiedział... kimś w rodzaju Przyjętego, bo dwa Ciemne Pasma uznały go za swoją część. Nie umarł do końca; po śmierci emanacja jego woli i sił życiowych pozostała na morzach Szereru, wywierając na świat wpływ bardzo niewielki, ale za to ogromny na losy jednej osoby. Niedługo po śmierci kapitana piracki okręt zdobyli cesarscy żołnierze i zabili wszystkich rozbójników, a w ich gronie młodą dziewczynę – choć nie była piratką, to mieli prawo sądzić, że nią jest. Jej ojciec wyszarpnął wówczas z Ciemnych Pasm, które niejako uosabiał, połączone okruchy ich treści – czyli Rubin Córki Błyskawic. Klejnot przekazał swoją moc ciału martwej dziewczyny, zastępując w ten sposób jej utracone życie. Pertraktujesz z tą dziewczyną, wasza wysokość, a właściwie już kobietą, bo chociaż wciąż wygląda na dwadzieścia lat, to ma przynajmniej trzydzieści. Ale za to, niestety, rozum piętnastolatki... Mówimy oczywiście o księżniczce Riolacie Ridarecie, następczyni tronu pirackiego księstwa na Agarach. Otóż, wasza wysokość, Przyjęci nie dadzą ci złota, bo go nie posiadają; dadzą ci w zamian worki, beczki i skrzynie tych Porzuconych Przedmiotów, których właściwości są najbardziej pożądane przez żyjących w Szererze ludzi. Wskutek pewnego... zdarzenia bardzo wiele Przedmiotów postradało swe

właściwości, ale niektóre pozostały takie, jakimi były zawsze. Każdy wart jest setki, a nawet tysiące sztuk złota i stale jest na nie ogromny popyt, bo wyniesienie choćby kilku poza granice *Romogo-Koor*, gdzie mieszkamy i pracujemy, to wydarzenie wyjątkowo rzadkie. Trudno wyobrazić sobie coś, co łatwiej sprzedać. Kup flotę, księżę, wystaw i uzbroj armię, opłać szpiegów, uczyn zresztą co ci się podoba. I nadal prowadź te wstrętne pertraktacje z agarskimi piratami. To jedyny warunek obłąkanej kobiety, która przemawia w imieniu mądrych, a nawet uczonych ludzi.

Przyjęta zamilkła.

Księżę Przedstawiciel milczał także, bardzo dobrze panując nad twarzą; nie wiadomo było, co myślał. Wreszcie odchrząknął i rzekł:

– Proszę mówić dalej, wasza godność.

– Wasza wysokość, chciałabym z twojego ramienia pertraktować z księżniczką Ridaretą. Moi towarzysze życzą sobie jej śmierci, bo uważają, że nie można się z nią porozumieć w... pewnej sprawie, a jeżeli nawet można, to takie porozumienie niczego nie gwarantuje. Ja mam inne zdanie.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Zaraz wszystko wyjaśnię, ale proszę o jakąś deklarację, choćby wstępną. Wasza wysokość, musimy zabić tę dziewczynę, bądź unieszkodliwić ją w jakiś inny sposób. Ale jesteśmy tylko garstką desperatów: kobieta i kilku mężczyzn, a żadne z nas nie jest wojownikiem ani zabójcą. Nie tacy jak my próbowali dobrać się księżniczce do skóry. Może więc prędzej ja dopnę swego, negocjując z nią, niż moi towarzysze, próbując ją zgładzić. Nikt nie będzie mnie łączył z Przyjętymi, przecież żadna kobieta nie została przyjęta przez Szerń... nieprawdaż, wasza wysokość? Postanowiliśmy spróbować wszystkiego, co daje szansę... choćby nawet niewielką... rozwiązania problemu.

– A więc na czym polega ten problem?

– Wasza królewska wysokość – napomniała chłodno, choć niezwykle grzecznie.

– Do niczego się nie zobowiązę. Jeśli nawet założymy, że naprawdę chcę pertraktować z piratami, to te pertraktacje nie mogą być tylko przykrywką dla jakichś... machinacji. Negocjując z kimkolwiek, nawet z piratami, Przedstawiciel Cesarzowej ma tylko jedno słowo.

– Rozumiem.

– Postaram się pomóc, wasza godność – rzekł po chwili namysłu. – Jeśli nawet nie zgodzę się, pani, na przedstawiony przez ciebie warunek, to postaram się pomóc w inny sposób. A jeżeli takiego sposobu nie znajdziemy, zapomnę o wszystkim, co mi dzisiaj powiesz.

– O nie, nie zapomnisz, księżę... Ale wierzę, że będziesz milczał. No dobrze, wasza wysokość.

CZEŚĆ PIERWSZA
Księstwo na Bezmiarach

1.

W Aheli, największym porcie i stolicy Agarów, władcy archipelagu mieli aż trzy pałace. W najstarszym z nich jeszcze przed niewielu laty urzędowali sędziowie Trybunału Imperialnego; potem dodano drugi pałac, w portowej twierdzy – stanowił jej część. Trzeci był prywatnym domem, do którego prawie nikt nie miał wstępu; nie załatwiano tam żadnych spraw urzędowych. Tak więc, szumnie zwane pałacami budynki właściwie nimi nie były, niemniej każdą z tych rezydencji urządzono tak świetnie, że nawet rozpieszczona przepychem królowa „Złotego” Dartanu dobrze by się czuła w owych wnętrzach. Agarskie księstwo było bajecznie bogate; jego władcy nie nosili pustych sakiewek.

Bo też bardzo mylił się każdy, kto uważał, że dwie wyspy to wszystko, czym władają agarscy piraci... Agary ciągnęły życiodajne soki z kontynentu. Rozbójnicze okręty wracały ze swych łowów, przywożąc zdobycz, którą następnie sortowano, dzielono, ładowano na pływające pod dartańską, garyjską lub armektańską banderą statki, by wreszcie przemienić w brzęczące złoto za pośrednictwem któregoś z prężnie działających na kontynencie legalnych kupieckich przedsiębiorstw. Ponadto archipelag miał własne bogactwa: w sercu Wielkiej Agary pracowały, zbudowane jeszcze przez Cesarstwo, kopalnie miedzi, u południowych zaś brzegów wyspy znajdowały się najobfitsze łowiska wielorybów, dostarczające tyle tranu i fiszbinu, co wszystkie inne łowiska Szereru razem wzięte. Rybołówstwo także miało się niezgorzej: śledzia i dorsza odławiano więcej niż trzeba, a powiązane z pirackim księstwem przedsiębiorstwo (zakrawało to niemal na kpinę...) dostarczało soloną i wędzoną rybę na okręty Straży Morskiej Garry i Wysp. Agary w ciągu zaledwie kilku lat wyrosły na potęgę handlową – choć z przeznaczonych na sprzedaż towarów tylko część została wytworzona rękami zacnych mieszkańców... Ostatnimi czasy państwo dorobiło się nawet wojennej floty z prawdziwego zdarzenia. Oczywiście, w razie potrzeby załogi kilkudziesięciu okrętów gotowe były bronić swych wysp, ale te okręty nie mogły zjawić się na zawołanie, w porcie wojennym stanęła więc, obok kilku wysłużonych holków, eskadra trzech nowiutkich karak, którym towarzyszyło kilka mniejszych żaglowców strażniczych, rozpoznawczych i pościgowych. Okręty te nie brały udziału w pirackich rejsach; stale cumowały w Aheli. Także pierwszego dnia wiosny wojenna eskadra Agarów tkwiła w porcie i nagie maszty okrętów były dobrze widoczne z pałacu. Zresztą widać było niemal cały port, a także nabrzeża, składy i wielkie targowisko, na nim zaś ruchliwy, gwarny tłum. Zwykły widok w pogodny dzień.

A jednak tego pięknego wiosennego dnia prawie nic nie było takie jak zwykle.

Patrzący przez pałacowe okno niewysoki mężczyzna wyglądał na lat czterdzieści, choć ocenić to mógł tylko wnikliwy obserwator. Na pierwszy rzut oka bowiem twarz mężczyzny wydawała się stara – była poszarzała z niewyspania, posępna. W głębi komnatki, na

przepyszny brązowy kobiercu, dwie młode kobiety o urodzie hodowlanych niewolnic próbowały się bawić z dziećmi, chłopcem i dziewczynką – maluchy mogły mieć siedem i pięć lat. Przypominały mężczyznę przy oknie, a podobieństwo rysów wydawało się tym większe, że zabawa miała z zabawą niewiele wspólnego – spojrzenia dziecięcych oczu były przygaszone, a buzie po prostu smutne.

Przed kilkoma dniami dzieci straciły matkę, mężczyzna zaś żonę. Minionego ranka odbył się pogrzeb. Prosty morski pochówek – bo o taki prosiła w pożegnalnym liście Jej Wysokość Księżna Alida Pani na Agarach. Zawsze bała się morza i żeglugi, źle znosiła pobyt na pokładzie statku, lecz słoń w wodę kochał jej mąż i księżna chciała być już zawsze blisko niego.

Była dobrą żoną. Wspaniałą. Książę Raladan, wieczny obieżyświat, pirat, awanturnik, miał bardzo małe serce; tak małe, że znalazło się w nim miejsce tylko dla dwóch osób: przybranej córki – dziewczyny powierzonej jego opiece przed laty – i ładnej niewysokiej kobietki, którą poznał kiedyś w niezwykłych okolicznościach, a która później wytrwale nań czekała. A potem znowu czekała i czekała; zawsze już czekała na powroty z kolejnych rejsów; potrafiła czekać. Żona marynarza. Dawała... odpoczynek. Była portem, miejscem, do którego się wraca.

W ciasnym sercu wiecznego pirata nie zmieściły się już nawet własne dzieci. Lubił je, przywiązał się do nich i dbał o nie, umiał nawet okazać odrobinę czułości i ciepła – ale na pewno nie kochał.

Otworzyły się drzwi i do komnatki weszła jeszcze jedna urodziwa dziewczyna w kusej białej szatce niewolnicy domu.

– Wasza wysokość, księżniczka właśnie wróciła.

Mężczyzna odwrócił się od okna i skrzywił twarz w gorzko-kpiącym grymasie.

– Dość już mam „jego wysokości”. Samozwańcza księżna, moja żona, miała jakieś polityczne plany i potrzebne jej były tytuły. Ale ja nigdy nie mogłem się przyzwyczaić do tej pompy, słuchałem tych głupstw tylko dla niej. Jednak księżna Alida nie żyje, więc nie ma już „jego wysokości”, dosyć tego.

Siedząca na podłodze dziewczynka rozplakała się i jedna z niewolnic przytuliła ją.

Młoda kobieta przy drzwiach – jak każda dobra służka, spostrzegawcza i wyczulona na wszystko, co podoba się albo nie podoba jej panu – nie wyglądała na zaskoczoną; przeciwnie, już bardzo dawno zauważyła, że małżonek księżnej krzywi się, ilekroć usłyszy „wasza wysokość”.

– Ale w takim razie, jak powinniśmy się zwracać do waszej... – Urwała, lekko przygryzając dolną wargę.

– Wszystko jedno, wymyślcie coś, co będzie odpowiednie dla wodza pirackiej floty. Nie jestem i nigdy nie byłem żadnym księciem, a agarskiego księstwa nie będzie już za parę miesięcy... Gdzie jest księżniczka?

Jakaś bardzo pokrętna logika kazała władcy wyspy negować własny tytuł, a zarazem bez

wysiłku nazywać przybraną córkę „księżniczką”. Tyle że do niej tytuł pasował – przynajmniej wtedy, gdy była w Aheli, bo na pokładzie żaglowca nie za bardzo... Urodzona i wychowana w świetnym, obrosłym starymi tradycjami domu, wysławiała się z akcentem i dykcją Garyjki wysokiego rodu, co bywało aż śmieszne w zestawieniu z parszywym językiem żeglarzy.

– Poszła do swoich pokoi.

Raladan wyszedł.

Ridareta – jeśli w ogóle przebywała w twierdzy, co zdarzało się rzadko – miała do dyspozycji dwie komnatki na samej górze. Raladan wspinał się po stromych, wąskich schodach (bo „pałac” był jednak częścią budowli obronnej, która w każdej chwili mogła zostać powołana do pełnienia takiej właśnie funkcji) i bez żadnej zapowiedzi otwarł małe, okute posrebrzanym żelazem drzwi. Księżniczka jak zwykle siedziała przed zwierciadłem, a raczej aż trzema zwierciadłami, z których dwa boczne były do środkowego mocowane na zawiasach. Podziwianie własnej urody stanowiło jej ulubione zajęcie; nigdy się tym nie nudziła. Jednooka piękność o rysach i kształtach aż... nienaturalnych. Bo rzeczywiście, jej uroda tylko w znikomym stopniu była dziełem natury oraz spadkiem po rodzicach. Agarski książę pamiętał dzień, w którym zobaczył Ridaretę po raz pierwszy: ładną i zgrabną dziewczynę o bujnych włosach i raczej średnich niż obfitych piersiach... Kobieta, którą właśnie oglądał, miała z tamtą niewiele wspólnego. Nie dlatego, że minęło kilkanaście lat...

– O, Raladan – powiedziała do odbicia w lustrze. – Właśnie chciałam do ciebie iść.

– Kazałem się uprzedzić o twoim powrocie.

Podniosła się i, gdy podszedł, objęła go mocno za szyję.

– Brak mi jej – powiedziała, wtulając nos w ramię opiekuna. – Nie mogę się pozbyć od pogrzebu. Myślałam, że jej nie lubię, a tymczasem... była mi potrzebna.

– Otóż to. Była potrzebna wszystkim, każdemu na tych dwóch wyspach. I wszyscy przekonają się wkrótce, jak bardzo.

Czuł się mocno przybity i nie ukrywał tego. Ale płakać chyba po prostu nie potrafił.

Lekko dotknął jej skroni i bezceremonialnie usiadł na rozgrzebanym łożku. Księżniczka jeszcze nigdy niczego nie sprzątnęła, a nawet nie kazała sprzątnąć służbie, która pod jej nieobecność oczywiście robiła co trzeba – jednak wystarczyło kilka chwil, by Piękna Ridi z powrotem przemieniła swoją sypialnię w śmietnik. Jej żaglowce wyglądały tak samo i Raladan nie mógł tego znieść. Na okrętach dowodzonych przez córkę najzwyczajniej w świecie nie bywał; tylko raz postawił nogę na pokładzie „Zgniętego Trupa”, bo w żaden inny sposób nie mógł wrócić do domu. Wolałby wracać wplaw, lecz było za daleko.

– No to, Rido, zostałam księżną.

– Nie ma mowy – odparła bez zastanowienia, jakby spodziewała się podobnych słów. – Po pierwsze, sukcesja przypada Nevinowi.

– Ma sześć lat.

– Siedem.

– No właśnie, ma siedem lat. Jeśliby nawet było tak, jak mówisz... A nie jest, bo od zawsze wiadomo, kto obejmie...

– Tralala. Wiadomo, nie wiadomo.

– Sama chętnie się nazywałaś następczynią tronu.

– Bo to ładnie brzmi – powiedziała. – Jesteś księciem tych wysp, a po tobie twój syn. Potem córka. Ja jestem nieśmiertelna i zdążę.

– Ja też jestem długowieczny, Rido. W każdym razie... nie starzeję się – przypomniał.

– Zabiją cię w jakiejś awanturze. Ja poczekam.

– Świetnie wiesz, że nie będę tutaj siedział i panował.

– To oddaj regencję Bohedowi albo innemu oficerowi z „Delary” – poradziła, na powrót zajmując miejsce przed lustrem, biorąc grzebień i czesząc rozpuszczone włosy. – Albo kucharzowi z pałacu. I tak nie potrafi gotować. Masz tu syna i córkę, a potrzebują cię teraz bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Te dzieciaki niczemu nie są winne. Lubię je.

– Niczemu nie są winne i dlatego nie zasługują na stałe przebywanie z ojcem, który ma do nich cierpliwość pod warunkiem, że ogląda je raz na trzy miesiące albo jeszcze rzadziej.

– Trzeba było nie sypiać z Alidą. To nie bocian przynosi dzieci, tyle to nawet ja wiem.

– Zaraz cię uderzę, Rido.

– No to uderz – mruknęła obojętnie, pochylając się ku taflি lustra tak, że niemal dotknęła jej czołem; oglądała z uwagą czubek nosa. – Pierwszy raz? Nie. Ostatni także nie. Lej mnie, gdy zasługuję, a jak nie, to też. Kocham cię, ojczy – oznajmiła, odwracając się i opierając przedramię na oparciu krzesła, podbródek zaś na przedramieniu.

Prawie nigdy tak się do niego nie zwracała. Może trzy razy w życiu.

Znowu obróciła się do lustra.

– Ładna jestem?

– Wiesz, że tak.

– Ale bardzo ładna? Może gdybym miała jasne włosy... Chyba mogę mieć – uznała, dotykając nosa i bardzo leciutko zadzierając go do góry.

Kiwał głową, zapatrzone na ścianę.

– Nikomu nie powiedziała – rzekł po chwili. – Nikomu nie mówiła, że jest chora. Zbudowała tutaj prawdziwe państwo, zbudowała z niczego i trzymała mocno, wszystkiego pilnowała... Nikt tutaj nic bez niej nie potrafi zrobić. Coś chciała osiągnąć, do czegoś zmierzała, ale do czego?...

– Wiesz do czego.

– Raczej tylko wyobrażam sobie. Mgliście.

– Mówiła ci o wszystkich swoich planach.

– Tak, ale ja nigdy nie słuchałem. Chyba że mówiła „zrób to albo tamto”. Teraz zostaliśmy sami i nie wiemy nawet... Nie wiemy nawet, kto ma zająć się dziećmi. Nieudany ojciec czy przybrana siostra? Żadne z nich? A może oboje?

– Ojciec – powiedziała. – Wiesz, że tak będzie, chcesz tylko trochę powierzać. To powierzgaj. Ale ja wkrótce wypływam w rejs.

Śliczne niewolnice pochowały się gdzieś po kątach. Były upominkiem od wielkiego wojownika a zarazem dartańskiego bogacza, który nie mógł trzymać ich dłużej, więc odesłał na dalekie Agary, do przyjaciół, którzy kiedyś udzielili mu gościny. W hodowlach takie dziewczyny nazywano niewolnicami pierwszego sortu, potocznie zaś „perełkami” – były to nieoszlifowane lub źle oszlifowane diamenty, nie mogące się równać z najdroższymi hodowlanymi klejnotami. Ale choć nie miały ich blasku, to nie miały też wyraźnych skaz i kosztowały bardzo, bardzo słono. Dość słono, by zjawiać się na każde skinienie, a nawet zmrużenie oczu tego, kto był ich właścicielem.

Jej wysokość Riolata Ridareta nie mogła odnaleźć ani jednej, choć łąziło ich po domu aż siedem.

Obecność księżniczki w pałacu była niczym morowe powietrze – ciężka zaraza, którą trzeba jakoś przeczekać. Niewolnice jej nienawidziły, zaś wolnej służby w pałacach w ogóle by nie było, gdyby Ridi mieszkała w nich stale – nie istniały takie pieniądze, które przyciągnęłyby ludzi do pracy w miejscu powszechnej kaźni. Dla nikogo nie miała nawet cienia dobrego słowa, kochała tylko Raladana, tolerowała dzieci i zносиła – bo musiała – księżnę Alidę. Ponadto – ale to już nie dotyczyło pałaców – bratała się z załogami swych okrętów. Była jędzą, jakiej świat nie widział wcześniej ani później; na dodatek jędzą pomyloną. Mogła nasmarkać na ścianę i stłuc za to służbę do krwi, a co gorsza – potrafiła dojrzeć zasmarkaną ścianę tam, gdzie wcale ściany nie było, i ukarać kogoś, kto w ogóle z pałacem nie miał nic wspólnego... Raz na jakiś czas – na szczęście dosyć rzadko – mieszały jej się światy, różne zdarzenia, osoby, dni tygodnia. Dwa razy zapomniała kim jest.

Załogi zawijających do Aheli pirackich okrętów miały ją za przeklętnicę, ale niechęć do księżniczki była podszyta podziwem i trwożliwym szacunkiem, bo wyprawiała na wodzie i lądzie rzeczy, które już zdążyły obrosnąć legendą – rozbójnikom-żeglarzom łatwo było zaimponować opowieściami o bitwach, rabunkach i rzeziach. Lecz nie będący piratami najemnicy z holków i karak ahelskich eskadr wojennych Ślepej Ridi po prostu nie znosili i bali się jak potwora z morskich głębin; gdy dla dokonania przeglądu wchodziła na pokłady ich okrętów, nie wiedzieli jak zdjąć kłatwę i przebłagać los. Uwielbiała ją tylko jedna załoga, jej własna: dwustu drabów gotowych rozerwać na strzępy każdego, kto by krzywo spojrział na ich „kapitanę”.

Pasowali do niej tak jak ona do nich. Wszyscy razem zaś do okrętu, pływającej trumny, która

jakimś cudem trzymała się na wodzie. Był to dobry żaglowiec, prawie nowy, lecz tak zaniedbany i porozbijany, że uchodził za istne dziwo. Było jasne, że poprzecierane sztagi, sflaczałe wanty i paduny prędzej albo później nie sprostają zadaniu, a wówczas maszty pod ciężarem wiatru w żaglach trzasną wszystkie naraz, zwałą się na burtę i wywrócą łajbę stępką do góry.

Bez większej przesady można powiedzieć, że cały świat żeglarski – bo „Zgniły Trup” znany był wszędzie – wyglądał tej chwili nieomal z zapartym tchem.

Wrzaski rozgniewanej księżniczki przywabiły wreszcie do największej z dziennych komnat jedną z dziewczyn, Lasenę, która rządziła pozostałymi – z ważnym tym stanowiskiem łączyły się jednak nie tylko przywileje, bo jeszcze obowiązki... Z uśmiechem, który nie chciał pasować do oczu zaszczutej lisicy, Lasena stawiała się przed Ślepą Foką Ridi, bo takie było pełne brzmienie wojennego przydomku piratki. Nigdy zresztą go nie używano, w każdym razie nie w jej obecności, albowiem słowo „foka” na Wyspach miało wydźwięk cokolwiek obraźliwy, mniej więcej taki, jak w innych stronach „krowa”. Nie wiadomo, skąd się wzięło to przezwisko; zresztą Ridi miała kilka jeszcze gorszych, a tylko jedno lepsze, mianowicie: Piękna. Lasena z miejsca dostała po twarzy, po czym niemal zgięła się pod ciężarem wora, który rozgniewana pani wepchnęła jej w ręce. W podobnych workach żeglarze trzymali swoje rzeczy.

– Rozwiąż to! Gdzie są wszystkie pozostałe lenie?

– Jeśli trzeba to... zaraz je znajdę...

– Właściwie nie trzeba. Mam dobrą wiadomość: nie zostanę tutaj, więc kto inny będzie wami rządził.

Wiadomość była naprawdę dobra i niewolnica o mały włos zdradziłaby się z radością.

– Wiem, że Alida była dla was bardzo wyrozumiałą i łagodną panią – ciągnęła księżniczka, siadając w wielkim fotelu i splatając ręce na karku. – Pewnie jej załujecie. No... ja trochę też.

Z rozwiązanego worka, nad którym kuciała niewolnica, wyłoniły się suknie – pogniecione lecz świetne, haftowane złotymi i srebrnymi nićmi, naszywane cekinami i perłami. Zaskoczona dziewczyna spojrzała pytająco.

– Zabierz to i rozdziel między wszystkie. Do jutra spisz, co chcecie mieć. Mogą być błyskotki, stroje... wszystko jedno. Co tylko wam przyjdzie do głowy, a jest do kupienia na tej wyspie. Zamówisz to, a ja zapłacę. To... – Urwała, a po chwili nieoczekiwanie zaczęła się tłumaczyć: – To od waszej pani, od jej wysokości Alidy, a raczej w jej imieniu. Wiem, że ona by chciała podziękować wam za... nie wiem, chyba za wszystko. Była z was zadowolona. Opiekujcie się jej dziećmi; ich ojciec... księżę... to tylko mężczyzna. Idź już, Laseno. Już nigdy żadnej z was nie uderzę, bo nie ma nikogo, kto by wam to potem wynagrodził.

Dziewczyna pozbierała suknie i wyszła, z trudem panując nad wzruszeniem. Księżna Alida była dla służby najwspanialszą panią na świecie i nikt jej nie oplakiwał bardziej szczerze.

Komnatę wypełniła szarówka; za oknami zapadał zmierzch. Ridareta posiedziała jeszcze

trochę, potem wstała, opierając się ręką o stół... i omal nie upadła, gdy dłoń trafiła w próżnię. No cóż... zdążyła się przyzwyczać. Tyle lat!... Miała świetny wzrok i jednym okiem widziała równie ostro, jak niegdyś dwójgiem oczu. Jednak do oceny odległości jedno oko nie wystarczało. Musiała nauczyć się sztuki, która należała do najprostszych ludzkich umiejętności – i nauczyła się. Ale czasem jeszcze, zwłaszcza przy zwodniczym świetle zmierzchu albo świtu, potykała się o coś bądź chwytała ręką powietrze.

Potrząsnąwszy sięgającymi pośladków włosami, piękność w aksamitnej zielonej sukni powędrowała do swych komnat, po drodze przywołując skinieniem jedną z domowych niewolnic, która nie zdążyła ukryć się dość szybko.

– Rozsznuruj mnie – poleciła, gdy dotarły na miejsce.

Dziewczyna sięgnęła do wiązań sukni.

– Dziękuję – rzekła po chwili księżniczka. – Suknię możesz zatrzymać. I tak już jest na mnie za ciasna.

Niewolnica, przerażona uprzejmością i łaskawością Foki, uciekła tak prędko jak mogła.

Było już niemal całkiem ciemno. Ślepa Ridi grzebała w kufrze pod ścianą, prawie po omacku odnajdując potrzebne sztuki odzienia. Zagrzechotały błyskotki w dużej drewnianej szkatułce niedbale rzuconej na rozbebeszone łóżko. Odpięła delikatny naszyjnik, w zamian wygrzebując ze szkatułki proste w wykonaniu, ale za to znacznie cięższe precjoza. Gdy jakiś czas potem wychodziła z pałacu, w ogóle już nie przypominała wystrojonej kapryśnicy snującej się po komnatach. Miała na sobie żeglarskie portki, ciemną koszulę i skórzane buty z wysokimi cholewami. Na włosach zawiązała fular, migoczący kosztownymi nićmi. Kręcąc zadkiem, nad którym kołysał się koniec wypływającego spod fulara, grubego jak ramię warkocza, odprowadzana łokomymi spojrzeniami sterczących przed bramą wartowników – bo też miała tyłek, na który można było się gapić bez końca – pomaszerowała prosto ulicą wiodącą do serca miasta. Była umówiona ze swoimi żeglarzami w jednej z knajp.

Pomimo dość późnej pory, na niezłe oświetlonych ulicach Aheli wciąż panował wcale duży ruch. Księżniczka, poznawana przez wszystkich, odprowadzana była zaciekawionymi, ale i niepewnymi spojrzeniami. Mogła zatrzymać się i sygnąć komuś srebrem, zapytać o zdrowie, pomóc w kłopotach – równie dobrze jak przyłożyć w gębę, albo wezwać straż miejską i oskarżyć widzianego pierwszy raz na oczy nieszczęśnika o kradzież albo zamach na życie.

Zaczepiała napotkanych mężczyzn.

– Księżna spoczęła dziś w morzu, idę pić – mówiła. – Chodź się upić ze mną. Nie chcesz? No to nie.

Lecz niektórzy mężczyźni, odważniejsi od innych, głupszy, bądź po prostu żądni wrażeń, lubiący ryzyko (a w stolicy pirackiego księstwa nietrudno było o takich) szli za nią, co sprawiło, że na miejsce dotarł całkiem spory oddział. Wszystkie okoliczne domy, zaślepione okiennicami,

wydawały się wymarłe, za to przez szeroko otwarte drzwi i okna tawerny buchał zmieszany z hałasem dym, choć w środku siedziała najwyżej połowa gości. Wystawiono na zewnątrz liczne stoły; możliwe nawet, że na okoliczność niebywalej libacji gospodarz pożyczył sprzęty od innych, przyjaźnie doń nastawionych oberżystów. Teraz podawał jadło, trunki, krzyczał na pomocników, cieszył się i bał. Mógł rankiem świętować najbardziej urodzajną noc w roku, okrzyknięty Czcigodnym Osobistym Oberżystą Jej Księżęcej Wysokości Ridarety, albo siedzieć w zdemolowanej ruderze, pobity, objedzony do szczętu i obrabowany. Lecz uważał się za szczęściarza, jako że już wczesnym popołudniem posłyszał od majtka ze „Zgniłego Trupa”, kogo będzie gościł wieczorem, miał więc czas, by poczynić odpowiednie przygotowania. Żonę, córkę i młodszego z synów z miejsca wysłał precz za miasto, a pieniądze – wszystkie jakie miał – bez procentu pożyczył znajomym; dzięki temu nawet z nożem na gardle nie mógł wyznać, gdzie ukrył oszczędności. Uprzedził o wszystkim mieszkańców okolicznych domów, bo dbał o dobre stosunki z sąsiadami. Powiadomił mieszkającego najbliżej medyka i szepnął słówko dowódcy patrolu straży miejskiej, który wprawdzie, słysząc o kogo chodzi, mógł tylko rozłożyć ręce, lecz obiecał zameldować o sprawie swojemu komendantowi.

Krótko mówiąc: do całonocnej zabawy z udziałem załogi „Zgniłego Trupa” miasto było przygotowane bardzo dobrze. Oczywiście majtkowie z tego żaglowca, samotnie albo w grupkach, stale łazili po Aheli, ale wielka biesiada z udziałem samej kapitany i całej starszyny okrętu – o, to było zupełnie co innego.

Ślepa Foka Ridi przyjechała wierzchem, dosiadając „na barana” najroślejszego z napotkanych drabów (niewielu wśród nich było ojców rodzin, rzemieślników albo kupców...). Na widok komendantki przy stołach wszczął się ruch, rozbrzmiały ryki, widać jednak było, że ta banda zna mores, wie co to dyscyplina i współdziałanie – zaraz ktoś zaprowadził porządek, rozbito o ścianę ryj pijakowi, który nie chciał się uspokoić, i wszyscy pospołu jęli rytmicznie grzmocić kubkami w blaty, a kto nie miał kubka, grzmocił trzonkiem noża, miską, pięścią... jeden nawet głową. Postawiona na stole księżniczka z miejsca opróżniła wetknięty w rękę kubek gorzałki, uniosła ramiona i w rytm dudnień zakręciła się w kółko kilka razy, po czym, roześmiana, podskoczyła i z nonszalancką łatwością wywinęła w powietrzu kozła w tył, opadając na równe nogi, tak że omal nie urwały się jej cycy. Wrzaski i owacje rozbrzmiały z nową siłą; dwóch dryblasów niesło długą ławę, na której już siedział piszczący na fujarce muzykant. Przyskoczyło jeszcze trzech innych, zaturkotał bębenek, rozbrzmiał flet, zawtórowała im okaryna i gruchnęła żeglarska pieśń:

*Wyłynął okręt w daleki rejs,
Pijmy za... pijmy na... pijmy do dna!
Ale... ale gdzie kapitan jest?*

Poszedł sukinsyn na kurwy.

*Zostawił swoich chłopców i już,
Pijmy za... pijmy na... pijmy do dna!
Rzucił na pastwę wichrów i burz,
Wolał iść dziwkarz na kurwy.*

*Same sieroty na morzu są,
Pijmy za... pijmy na... pijmy do dna!
A przecież tego co „stary” chcą,
Kto by nie poszedł na kurwy?*

*Aż nagle na pokładzie ruch,
Pijmy za... pijmy na... pijmy do dna!
I nawet bosman sapnął „uch!”,
Bo co to, do starej kurwy?*

*Przybiegli wszyscy i gapią się,
Pijmy za... pijmy na... pijmy do dna!
Nie wiedzą, dobrze to czy źle,
Że na okręcie są kurwy?*

*Bo przecież było chłopców ze stu,
Pijmy za... pijmy na... pijmy do dna!
A ona jedna bidula, uu!...
Oj, marny los takiej kurwy.*

*Wtem ona kieckę zadarła, eh!
Pijmy za... pijmy na... pijmy do dna!
Chłopcy do tyłu, a ona w śmiech:
„Nie widzieliście kurwy?”.*

*„Każdemu z was po kolei dam,
Łapcie za... bierzcie na... i aż do dna!
Z żeglarzem zawsze ochotę mam,
Bo ja jestem kurwa nad kurwy!”.*

*Do portu okręt nie wrócił już, na zawsze przepadł w Bezmiarze.
Pływa gdzieś w kółko, bo na okrągło rzną swoją kurwę żeglarze.*

Rozradowani biesiadnicy zakończyli piosenkę tubalnym rykiem, gwizdami i ponownym łomotem kubków o stoły. Wspaniała pieśń warta była powtórzenia, więc natychmiast zaintonowano ją raz jeszcze. Na najdłuższym stole dziewczuchy z załogi stworzyły z kompanami przeplatany szereg żeglarz-baba-żeglarz... – połączony ramionami, szereg ten przemieszczał się boczkiem od jednego krańca stołu do drugiego, łomocząc brudnymi piętami w rytm, strącając na ziemię naczynia, aż zachwycone dziewczyny z całej siły, przy zgodnym milczeniu męskich gardeł wyśpiewały to, co rzekła swym chłopcom bohaterka piosenki, i nagrodzone zostały nową huczną owacją. Było widać, że w tawernie bawi się świetnie zgrana grupa, nie po raz pierwszy rycząca wspólną pieśń. Ci ludzie wychlali razem kilkaset beczek gorzały, byli więc prawdziwymi braćmi. I siostrami, o ile rzecz jasna jest w zwyczaju posuwać siostry.

Kapitana, tańcząca z chłopcami na drugim stole, wyłamała się z szyku, zeskoczyła na ławę i trafiła w ramiona ryżego brodacza, który natychmiast dał jej wypełniony gorzałką kubek. Wypiła, wrzasnęła ryżemu coś do ucha, pokazała kierunek i została zanieśiona do drzwi tawerny. O ich framugę opierał się trzydziestoparoletni zamyślony mężczyzna, na pozór nie biorący udziału w zabawie – „na pozór” dlatego, że mężczyzną tym był Mevev Cichy, pierwszy oficer „Trupa”, a na jego twarzy zaduma była tym, czym wielka radość na innej. Niewysoki ale krzepki rudy brodacz uniósł kapitanę wyżej i posadził sobie na ramieniu. Po omacku ale z wprawą wpinając w przegrodę nosową olbrzymi złoty kolczyk, patrzyła na płasy na stołach. Pochyliła się ku swemu zastępcy.

– Zapłaciłeś?! – wrzasnęła, przekrzykując kubrykową piosnkę o kucharzu, który wpadł do kotła i się ugotował. – No, gospodarzowi?!

Mevev skinął głową.

– Nie narzekał?! Że mało?!

Mevev uniósł otwartą dłoń i pokręcił nią na boki: „tyle o ile”.

– No i dobrze! Płacę z góry, to niech się cieszy! Dzisiaj wszystko ma być porządnie!

Oficer przytaknął.

– Gdzie jest wino?!

Dla marynarzy było piwo i gorzałka, ale Foka Ridi nie piła byle czego. Chyba żeby czasem.

Mevev pokazał kciukiem za siebie. W głębi gospody, na małym stole w kącie, stały trzy okazałe dzbany; siedząca na ramieniu brodacza komendantka dostrzegła je bez trudu, choć w izbie było pełno ludzi. Przy dzbanach wartowali dwaj majtkowie, rozżaleni na los, przestępujący z nogi na nogę, głodnymi spojrzeniami ogarniający jadło i trunki na stołach,

rozpląsanych towarzyszy i rozchełstane dziewczuchy.

Foka uporała się z kolczykiem i rozłożyła ręce, wdzięcząc się do Meveva: „Podziwiał!”. Wielkie kółko dotykało górnej wargi – brakowało tylko łańcucha i kołka wbitego w ziemię. Mevev pokiwał głową.

– Nikt się nie dobierał?! No, do wina?!

Mevev wzruszył ramionami.

– Do twojego wina? Głupia jesteś? – zapytał.

– To chodź pić!

Ryczano właśnie refren i zaproszenie utonęło w hałasie, ale Mevev zrozumiał, bo kiwnął głową i powędrował ku dzbanom. Jadąca na brodaczu kapitana wyrznęła czołem w górną część framugi, ale nie spadła, bo wierzchowiec trzymał ją za nogi trochę poniżej kolan, odchyliła się tylko do tyłu, po czym znów wyprostowała i ryknęła na swoich zgromadzonych w izbie chłopców, którzy dopiero teraz dostrzegli przybycie komendantki. Dziki wrzask obwieścił światu, jak bardzo ją kochają. Zerwawszy się z miejsc, żeglarze niemal jednocześnie przechylili kubki, trąbiąc zdrowie dowódczyni. Lecz niespodzianka była dopiero przed nią: znalazłszy się na środku izby, Ślepa Ridi w jednej chwili przemokła na wylot, obłana najlepszym winem z przechylonej nad jej głową beczki. W niskich izbach tawerny zawieszona pod powalą beczka musiałaby zostać zauważona, żart więc udał się tylko dlatego, że nie szcędzący wysiłku marynarze wyrąbali w suficie wielką dziurę i beczkę ustawiono piętro wyżej. Zaskoczona Foka przez chwilę nie mogła złapać tchu, po czym zaczęła drzeć się wniebogłose, obiecując załozde chleb i wodę, karcer, przeciągnięcie pod kilem, reje przybrane wisielcami i co tylko. Mokry jak i ona rudzielec posadził ją na najbliższym stole, płaszcząc stopami w płytkim morzu rozlanego wina. Do tawerny cisnęli się biesiadnicy z zewnątrz, zwabieni wybuchem wesołości, przy którym pełnoburtowe salwy „Trupa” brzmiały całkiem niewinnie. Nieskłonny zwykle do chichotów Mevev, który o przygotowanej niespodziance wiedział, podśmiewał się pod nosem, słuchając wyzwisk kapitany; był spokojny o swoją skórę, bo Ridi znała się na żartach. Potrafiła się gniewać na załogę i naprawdę każdy winowajca wołał z miejsca wyskoczyć za burtę niż poczekać na karę, którą kapitana mu wyznaczy. Ale za żaden dowcip nikogo nie ukarała. Jak to zwykle bywa, jakiś uzdolniony majtek, słuchający obietnic dowódczyni, w mgnieniu oka połączył je ze sobą i już z kąta wypłynęła ponad śmiechy pierwsza zwrotka piosenki, zaczynająca się od słów:

Ja wam wszystkim tak wpierdolę, że popamiętacie;

Ja wam zrobię taki dowcip, że nasracie w gacie.

Obdarzony mocnym głosem śpiewak ostentacyjnie i udatnie, a przez to niesłychanie śmiesznie, zaznaczył akcenty, naśladowując sposób mówienia „jej wysokości kapitany”. Słyszac to,

wyżymająca warkocz Foka już nie umiała się gniewać. Na głowie rósł jej guz, nabity o framugę, i ktoś troskliwie przyłożył doń zimne żelazo. Parsknęła śmiechem. Wspaniali chłopcy mieli głowy nie od parady; żart żartem, ale byli dobrze przygotowani i zaraz przynieśli suche rzeczy – zresztą jej własne, wykradzione z kufra na okręcie. „*Ja wam wszystkim...!*” ryczała nowy kuplet uszczęśliwiona załoga. Zapłakana ze śmiechu Ridi zwlokła z siebie przesiąknięty winem przyodziewek, po czym stłukła najbliższych majtków mokrą szmatą po łbach i ramionach, wyzwalając kolejny wybuch entuzjazmu i wywołując wokół siebie niemożliwy ścisk: przecież każdy chciał trochę oberwać! Jej skórzane buty, pociemniałe od wilgoci, posłużyły za wyborne naczynia do picia piwa – wrywano je sobie z rąk. Nowych nie dostała, ale boso było znacznie wygodniej; w obszernej białej koszuli, wrzeszcząc i piszcząc, Foka Ridi z mokrymi szmatami w rękach skakała ze stołu na stół niczym koza, lejąc swoich piratów. Dwa kubki wypitej gorzalki już zdążyły uderzyć jej do głowy, więc z niemałym trudem próbowała wciągnąć suche portki, skacząc na jednej nodze, chwiejąc się i przewracając na stole ku nieustannemu rozbawieniu załogi – hałas w izbie był nie do wytrzymania. „*Ja wam wszystkim...!*” wyło pięćdziesiąt gardeł. Lecz oto triumfalnie niesiono oberżystę, czerwonego na twarzy i przestraszonego. Nieoczekiwanie trafił na kolana pięknej Ridi, która, siedząc na blacie, bez namysłu przygarnęła go mocno, pocałowała w czoło, a następnie tkliwie uraczyła wydobytą spod koszuli piersią. Podtatusiały osesek, ogłupiały, z postawionymi w słup oczami, dał sobie wetknąć do ust wielki sutek i dopiero po chwili zaczął wierzczać, wśród pokładających się i mdlejących ze śmiechu, nieustannie ryczących żeglarzy, z których wielu było tak pijanych, że już nie wiedzieli, co ryczą. Zniecierpliwiona karmicielka dała bobasowi klapsa w tyłek, pogroziła palcem, a następnie zepchnęła z kolan na zalaną winem podłogę, wrzeszcząc: „Idź sobie, mamusia już cię nie kocha!”. Niekochanego niemal stratowano; z najwyższym trudem odpętlął pod ścianę. W zamian z kąta izby, przekazywany z rąk do rąk, właśnie pędził ku mamusi pełen dzban. Następne dwa trafiły w dłonie Meveva i drugiego oficera, wątłego lecz bardzo uczonego Dartańczyka o imieniu Sayl (umiał pisać i znał aż trzy języki). Ślepa Ridi zawołała coś i zapiszczała, umiała zaś piszczeć tak przenikliwie, że bolały uszy, a okrętowe działa (jak przysięgali majtkowie ze „Zgniłego Trupa”) mogły same od tego odpalić. Chwiejnie stanęła na stole, uniosła naczynie do ust i zaczęła pić – a pić potrafiła jak nikt, bo umiała dowolnie długo wstrzymać oddech. Śmiechy milkły, robiło się coraz ciszej, ktoś powiedział „gul.. gul...” i w następnej chwili wszyscy równo, dobitnie, w skupieniu powtarzali przy każdym łyku: „gul.. gul.. gul...”.

Wytrąbiła cały dzban do sucha. Ostatni wielki łyk zatrzymała w ustach, powiodła spojrzeniem po zastygłych w podziwie twarzach – i opluła marynarzy winem. To dopiero był pyszny żart!

Rechocząc, rycząc i tratując się nawzajem, wszyscy jęli napełniać kubki i opluwać się piwem bądź gorzalką. Używane w ten sposób trunki skończyły się błyskawicznie; popędzono na

zaplecze i do piwnic po następne beczki. Wyleciały z zawiasów drzwi i urwała się kłapa w podłozę; wyleciały też okiennice, bo wypchnięty przez okno pirat kurczowo trzymał się ich skrzydeł, aż oderwał. Runęła piramida beczulek, część roztrzaskała się na podłozę. Ktoś kłął i biadał nad marnotrawstwem, ale inny, przygnieciony do ściany tak, że zaczęły mu trzeszczeć żebra, wściekł się i przeraził nie na żarty, ostatkiem sił wy dobył więc nóż i zaczął sobie robić w ścisku miejsce. Chwilę później w piwnicy i wszystkich izbach gospody trwał bój na pięści, noże, klepki z roztrzaskanych beczek; gryziono się, duszono, obalano i tratowano. Przez okno ktoś rzygał – dostał pięścią w żołądek albo wypił troszeczkę za dużo; wszystko jedno, bo popchnięty, zaraz wypadł na zewnątrz. Poprzewracano stoły, podeptano żarcie przemieszane z napitkami, a wkrótce i krwią pryskającą z rozkwaszonych nosów, rozchlastanych policzków, rozbitych głów i pokłutych brzuchów. Nie wszyscy brali udział w bijatyce, tu i ówdzie jakieś drągale, na ogół potężniejsze od kamratów, zaczęły ryczeć: „Garda! Garda!”. Zwoływała się przyboczna gwardia kapitana, właśnie Garda, sroga straż okrętowa. Ci rzeźnicy mieli największy udział w łupach, największe przywileje – ale za to nie pili nigdy, gdy piła reszta załogi i zawsze przynajmniej połowa z nich musiała mieć oko na wszystko. Kto tam nie pasował – wylatywał. Lecz nie z Gardy, a zwyczajnie za burtę. Otoczona wianuszkami osiłków, rozbawiona Foka została wyprowadzona przed gospodę; nie obyło się przy tym bez puknięcia pałkami kilku łbów, bo ci z zewnątrz parli do środka, chcąc koniecznie oberwać – a i dać – po mordzie.

– Zostaw – powiedziała do dowódcy gwardzistów, widząc, że chłopisko pokazuje swoim, by wracali. – Przyszli się zabawić, tak czy nie? Nikt nie złamał żadnego rozkazu, niech się trochę wyszumia. Lepiej tutaj niż na okręcie.

– A powiesz, kapitana, kiedy wejść?

– Nie wiem. Kiedy zobaczysz, że są trupy. Tylko nie wpuszczaj ich tam więcej, bo nie będę sama tutaj sterzeć! Siku mi się chce.

Garda zagroziła dostęp do drzwi – właściwie niepotrzebnie, bo pragnący włączyć się do bójki żeglarze od razu zawrócili, widząc kapitanę zmierzającą do jednego z wystawionych stołów. Każdy wiedział, że u jej boku będzie lepsza zabawa niż z ponurakami, którzy rozwalali od środka tawernę.

Ktoś sprytny i nie w ciemną bitwę uznał tam właśnie, że przechyli szalę bitwy na swą korzyść, podpalając dach. Płomień wystrzelił od razu jasno i wysoko, widać zbierał siły w ukryciu, przytłumiony, i nagle znalazł dość żeru.

– O, a to co? Chyba przesadzili – powiedziała rozzłoszczona Ridi do Meveva i znów popatrzyła na ogień. – O żesz... Garda!

Nagle pojawiła się straż miejska – i nie tylko straż, bo za zbrojnymi pachołkami zamajaczyły w głębi ulicy granatowe tuniki regularnych żołnierzy. Prawo do użycia tych oddziałów miało kilka osób na wyspie. Kiedyś cztery osoby, teraz tylko trzy: naczelną dowódcą wojsk

regularnych Heren Ahagaden – który jednak z wydanych rozkazów musiał się wytłumaczyć – ponadto księżniczka Ridareta i Raladan.

– Wasza wysokość – powiedział zdumionej księżniczce miejski strażnik w pełnym rynsztunku, a był to we własnej osobie komendant Straży Ahelskiej – mam rozkaz natychmiast to przerwać... tę biesiadę. Tu jest pismo.

Płomień na dachu skoczył wyżej i miejski wojak wcisnął w dłoń księżniczki zgnieciony dokument, po czym skoczył ku swoim, wywrzaskując jakieś rozkazy dotyczące tłumienia pożaru. Za plecami miejskich pacholków i wokół wojskowego oddziału pełno już było lamentujących gapiów. Zbiegowisko rosło.

Oniemiała Ridi rozwinęła pogniecione pismo. Wymieszane z gorzałą wino próbowało czytać razem z nią, więc kręciła głową, usiłując uspokoić roztańczone litery. Bardzo zwięźle, marynarskim językiem, napisano co następuje:

Odeślij swoich na okręt i w tej chwili wracaj do pałacu, bo ci urwę ten pusty łeb. Raladan

Imię naskrobano ledwie czytelnie i z wyraźnym mozołem; poprzedzające je polecenie napisała jakaś inna ręka. Książę Raladan od biedy umiał czytać, lecz bardzo kiepsko radził sobie z pisaniem.

– Ale... o co ten hałas?... – wymamrotała z osłupieniem, wodząc spojrzeniem po twarzach swoich nic nie rozumiejących oficerów. – O jedną głupią ruderę? A skąd on w ogóle wiedział?...

Jej zdumienie było zasadne o tyle, że Raladan przymykał oko na daleko huczniejsze zabawy. Nigdy nie widział niczego, co robiła jego córeczka. Taki list mogła... kiedyś, jeszcze niedawno... przysłać Alida. Ale on?

Już nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała Raladana tak rozgniewanego, i czy w ogóle widziała. Ze strachu wytrzeźwiała – niestety, tylko na chwilę. Na jej widok pokazał niewolnicy, z którą właśnie rozmawiał, że ma wyjść, po czym ruszył ku chwiejącej się na nogach księżniczce, jakby chciał ją wypchnąć z komnaty.

– Ktoś doniósł strażnikom miejskim, strażnicy swojemu dowódcy, a on miał tyle rozumu, że przybiegł prosto do mnie – powiedział, zanim się odezwała. – I tylko spróbuj się na nim zemścić... Odesłałaś tę bandę na okręt?

– Tych co mogłam, ale... Pozostałych pozwoliłam usko... uspokoić i odprowadzić, ajla... ale ja nie wiem, czy poszli... Co się stało? Mmm... niedobrze mi.

Na odlew wyrznął ją w pijany głupi łeb.

– Pochowałem dzisiaj żonę – powiedział równie niewyraźnie jak ona, chociaż niczego nie pił. – Całe miasto... obie wyspy, całe Agary słyszysz? Mamy tutaj coś... mamy coś w rodzaju

żałoby. Nikomu tego nie narzuciłem. Tępi rybacy i marne mieszczuchy, wszyscy pomyśleli, żeby jakoś ją uczcić. Księżnę, panią, która dobrze rządziła tymi wyspami. Nikt się nie bawi, nikt nie śpiewa... Tylko mądra księżniczka Ridi i jej zbiry. – Pchnął ją tak, że ledwie ustała na nogach; pomogła w tym ściana za plecami. – Nie mogłem uwierzyć, kiedy usłyszałem. Nigdy nie miałaś dość rozumu i zostanie tak po wiek wieków... Wynoś się do swojej nory i siedź w swoim barłogu tak długo, aż wytrzeźwiejesz; wtedy przyjdę z tobą pomówić. Dzisiaj wszystko już powiedziałem, a teraz jazda mi stąd.

Tu nie było mowy o jakimkolwiek „ale”.

Odkleiła się od ściany, pociągnęła nosem, zagryzła wargi i wyszła, z trudem trafiając w drzwi. Odepchnęła niewolnicę, która chciała ją poprowadzić.

Udało jej się zwymiotować dopiero we własnym łóżku. Zadowolona, że wszystko doniosła, zepchnęła na podłogę śmierdzącą poduszkę i zasnęła.

2.

W nocy doszło do niebłahych zamieszek. Ślepa Foka Ridi odesłała na okręt tę część załogi, która bawiła się przed tawerną; majtków ze środka wyprowadzić mieli jej przyboczni siepacze. Nie wyprowadzili. Czas naglił, straż miejska rzuciła się do gaszenia, bo ogień w każdej chwili mógł przeskoczyć na sąsiednie domy. Tłukącym się między sobą zbirom tego właśnie było trzeba: prawdziwego wroga! Zgraja wyległa na zewnątrz i rzuciła się na pacholków, którym z miejsca przyszli w sukurs żołnierze. Świetnie uzbrojona i wyszkolona piechota w mgnieniu oka poradziła sobie z zaskoczoną bandą pijanych nożowników – tyle tylko, że wojsko wiedziało, z kim ma do czynienia... Majtków z jakiegoś pirackiego okrętu trochę by pobito, najwyżej poraniono i obezwładniono; lecz szubieniczników z „Trupa” na wyścigi pomordowano i trudno uwierzyć, że komendant Ahagaden, mający z Ridaretą swoje porachunki, nie dał na to cichego przyzwolenia. W każdym razie, dowodzący żołnierzami oficer nie został wydalony ze służby ani ukarany w żaden inny sposób. Ridi pod tawerną straciła tej nocy jedenastu ludzi, a cztery razy tyle jęczało w dziobówce, liżąc rany, jakich na pewno by nie było po bójce na pięści i noże.

Miasto zaś straciło kilka portowych zabudowań. Oficerowie i gwardziści Gardy zostali przy płonącej tawernie; niedowodzeni, wysłani na okręt pijacy dowiedzieli się tylko: tłuką naszych! Biegając z odsieczą, spotkali uciekinierów i usłyszeli od nich: „Już po wszystkim!”.

No to, zrywając cumy, rozwalili z dział „Trupa” kapitanat portu, jakieś przedstawicielstwo handlowe i dwa składy.

„Zgniłego Trupa” rozwalili żołnierze z karak eskadry agarskiej. Rano wrak ze strzaskanymi masztami, podruzgotanymi kasztelami i wyszczerbionym nadburciem na nowo cumował u nabrzeża, będąc pływającym lazaretem. Zostali na nim, pod silną wojskową strażą, tylko ciężko ranni. Ci, co mogli biegać, uciekli. Szukano ich po całej wyspie.

Meveva Cichego, kilku siepaczy z Gardy i kilkudziesięciu innych majtków zawleczono spod tawerny prosto do twierdzy więziennej, gdzie siedzieli w dybach i łańcuchach. Już pytał o nich kat.

Wszystko to pijana księżniczka przespała.

Było piękne, wiosenne przedpołudnie. Jej wysokość obudziła się z suchym, boleśnie przygryzionym, wytkniętym z ust językiem i warkoczem posklejanym zakrzepłą rzygowiną. Miała zapchany nos, ale nie mogła w nim podłubać, bo przeszkadzało wielkie krowie kółko. O wypięciu go na razie nie było mowy.

Spoglądając przez okno w jasnoblękitne niebo, Ridi przypomniała sobie nieudaną wieczorną zabawę i reprimendę Raladana. Myślała, myślała i myślała – a nie była to zajęcie, do którego przywykła.

– Nabroiłam – powiedziała wreszcie z chrypką. – Chyba zasłużyłam.

Pękała jej głowa. W ustach miała kwaśno, gorzko, ohydnie.

Gdy przyszedł Raladan, wyglądała już jako tako i czuła się znośnie. W każdym razie nie umierała. Siedząc w łóżku, popatrzyła nań wzrokiem zbitego psa. Usiadł naprzeciwko, na kufrze, w którym trzymała żeglarskie szmaty. Oparł głowę o ścianę i nie odzywał się.

– No... wiem – powiedziała. – Nie musisz...

– Zamknij się, Rido. Myślę.

Zamilkła.

– W nocy była wojna. Nieduża, ale jak na wojnę jednodniową, to dość krwawa. Na lądzie i na morzu. Potem ci wszystko opowiem. Ridareto, dlaczego Przyjęci chcą cię zabić? Wiesz?

Nie zrozumiała.

– Dlaczego... że co?...

– Pogadałem sobie z twoją załogą, połowa siedzi w dybach. Od słowa do słowa, dowiedziałem się, że nie mają ostatnio szczęścia. Teraz wtłukli im żołnierze Ahagadena, wcześniej ktoś inny... Ktoś cię szukał zimą, zdaje się? W Dranie, tak?

– A, tak... – przypomniała sobie. – Jakiś pomyleniec.

– Pomyleniec, którego nie ima się żelazo?

– Pewnie miał jakiś Przedmiot. Można teraz kupić tego ile chceć. Nie wiem, skąd nawieźli tych świństw.

– Skąd nawieźli, to akurat wiadomo... Ciekawe raczej: kto. Jaki Przedmiot, Rido? Jakież to Przedmiot sprawia, że człowiek zmienia się w ruchomy kamienny posąg?

– Pewnie jakiś jest.

Raladan, w odróżnieniu od córki, potrafił używać rozumu. W każdym razie nie napawało go to wstrętem.

– Nie ma. Całymi latami mieszkał tu z nami Przyjęty, w trzy i pół roku zbudował nam twierdzę i o niczym innym nie gadał, tylko o Szerni, Pasmach, Porzuconych Przedmiotach... Wymienił chyba wszystkie jakie są. Zapomniał tylko o takim, który czyni odpornym na rany?

– Raladan, o czym ty mówisz? Ja chcę najpierw wiedzieć, jaka wojna była tej nocy. Dlaczego moi są w dybach?

Przypatrywał się jej w milczeniu.

– Jak się czujesz?

– Źle. A jak mam się czuć? Raladan, o co ci chodzi? Ja... słuchaj, przecież wiesz, że nie zjadłam wszystkich rozumów... – powiedziała rozbijając. – Powiedz mi po prostu o co chodzi, bo sama nie zgadnę.

– Przecież mówię tak prosto, jak potrafię. To ty próbujesz zgadywać, ja chcę tylko zwyczajnych odpowiedzi. Jak się czujesz, Rido? Boli cię głowa i wiadomo od czego; dobrze. A poza tym? Wszedłem tutaj i poczułaś się gorzej?

Patrzyła nań pytającym wzrokiem.

– Chyba tak – powiedziała. – Ale to...

– Ze strachu?

– Mhm – przyznała. – Ja chyba się ciebie trochę...

– Nie wygaduj głupstw. Pomyśl. Krzyczę na ciebie od jakichś siedemnastu lat, a leję od dziesięciu... Boisz się mnie, no dobrze, ale tak jak dziś?

– Nie – przyznała. – Ja... chcę uciekać. Albo... albo rzucić się na ciebie, ale wiesz jak. Tak... ze strachu, uprzedzić. Żebyś nic mi nie zrobił, żadnej krzywdy.

– Coś ci pokażę – powiedział. – Ale nie wiem, co się wydarzy. To COŚ co siedzi w tobie... czy w razie czego możesz to złapać za łeb?

– Rubin? Jakbym nie mogła, to paliloby się wszystko dookoła, a nikt w zasięgu mojego wzroku nie chodziłby żywy – powiedziała z przesadą, ale nie taką znów wielką. – Co mi chcesz pokazać?

– Właściwie nie tobie, tylko jej.

– Jej?... To znaczy Rubinowi, Riolacie?

– Tak, Rido. Uważaj.

Sięgnąwszy w zanadrze, mężczyzna wydobyl opalizujący kulisty przedmiot wielkości pięści dziecka i pokazał na otwartej dłoni.

Jedyna źrenica siedzącej na łóżku dziewczyny zabłysła jaskrawą czerwienią... i przygasła.

– Wyjdź z tym, Raladan – powoli i wyraźnie rzekła Ridareta, siedząc zupełnie nieruchomo, niczym w obliczu żmii, którą do ataku sprowokować może nawet drgnięcie powieki. – Rozwałę ten pokój albo siebie... Zatrzymałam... ale tylko na chwilę. Stało się.

Raladan bez namysłu skoczył do drzwi.

Komnata za jego plecami wybuchła. Riolata, królowa Rubinów, nieomal dotknęła Kuli Ferenu: zwiniętej Jasnej Smugi. Z takich Smug wykuta była tarcza, która od tysiącleci wytrzymywała ciosy dwóch odrzuconych Pasm Szerni.

Osmalone i dymiące kawałki sprzętów walały się po całym pokoju. Tliła się pościel na zarwanym łóżku. Poparzona Ridareta z upalonym warkoczem siedziała z głową opartą o ścianę. Raladan umościł tyłek na podłodze w miejscu, gdzie przed chwilą stała wielka skrzynia, i patrzył, jak ustępuje rumień z twarzy siedzącej przed nim kobiety. Najgorsze, śmiertelne dla każdego rany goiły się na niej bez śladu w dwa dni. Lekkie oparzenia znikwały po prostu w oczach. Włosy w ciągu tygodnia potrafiły jej urosnąć długie na łokieć lub półtora.

– Cała jesteś?

– Tak... Ale mów głośno, bo słabo słyszę. Zaraz przejdzie.

– Przysłano ci to – powiedział.

– Przysłano?...

– Przyszedł jakiś człowiek. Z wyglądu pomocnik kupca... pacholek, albo ktoś taki. Prosił, by przekazać jej wysokości zamówioną zabawkę z masy perłowej. Niewolnica nie wiedziała co to jest, ale była pewna, że nie masa perłowa. Przyszła do mnie zapytać, czy może ci to zanieść. Tamenath sto razy opowiadał mi o Kuli Ferenu, a ja pytałem go o wszystko wciąż od nowa. Dlatego wiedziałem, że mogę ci to pokazać, ale nie możesz dotknąć.

– Mogę.

– I dotknęłabyś. Włożono tę „zabawkę” do bursztynowej skrzyneczki, zawinięto w aksamitną szmatkę... Ktoś bardzo się starał, żeby wpadła ci prosto w ręce.

– No tak, a wtedy ona albo ja. Właściwie ona albo Riolata... ale to na jedno wychodzi... – dodała z wysiłkiem.

W milczeniu pokiwał głową.

– Opowiedz mi o wszystkim – zażądał. – Może już czas na to? Błądzą po omacku, a powinienem o tobie wiedzieć tyle co ty. Szerń, Pasma, Smugi... Wszyscy coś o tym słyszeli i nic nie rozumieją. Nikt nie wie, czym właściwie są Rubiny, Kule Ferenu... Wiesz, kto wie? Tylko Przyjęci. Bo nas dwojga nie liczę; my to co innego. Teraz myśl. W Dranie szuka cię na twoim własnym okręcie ktoś niesamowity. W Aheli dostajesz kosztujący masę złota podarek, który wyleci w powietrze jak prochownia, jeśli tylko go weźmiesz do ręki... W całym wielkim Szererze, ilu ludzi wie, że tak się stanie? Myślisz, Rido?

– Nie myślę – powiedziała, ale nie dosłyszał.

– No to powiedz: kto za tym stoi? – pytał dalej. – Bo ja chyba wiem. Tylko nie znajduję powodu. Co takiego zrobiłaś Przyjętym?

Uniósł wzrok. Kaszlnęła krwią i powoli osunęła się wzdłuż ściany, spocząwszy na boku. Wstał z podłogi. A jednak nie wszystko było z nią w porządku.

– Powiedziałaś, że nic ci nie jest.

– Nic nie czułam, więc tak myślałam... Ale mam popękane flaki, wciąż nie słyszę na jedno ucho... i teraz boli mnie wszystko, nawet kiedy patrzę – powiedziała. – Leci mi krew... no, tam niżej. Zostaw mnie do wieczora, a potem porozmawiamy. – Kaszlnęła znowu, razem z krwią wykrztuszając na brodę jakiś strzępek materii.

Skinął głową. Powinien był już przywyknąć... ale nie. Nie przywykł.

Umiał jednak zachować spokój.

– Przysłać ci coś? Albo kogoś?

– Tak, dużo wody... Ciepłej.

Tamenath kłamał albo o czymś nie wiedział – bo nie mówił, że wydarzy się coś podobnego. Raladan wyszedł z poczuciem, że pokazując Kulę Rubinowi, zachował się jak skończony głupiec.

* * *

Jacyś ludzie prosili o posłuchanie i książę udzielił pierwszej w życiu oficjalnej audiencji. Wprowadzono kilku mieszczan. Była to delegacja mieszkańców Aheli, poszkodowanych w trakcie nocnych zamieszek, a na jej czele posiniaczony, szczerze zrozpaczony oberżysta. Wysłuchawszy skarg, Raladan powściągnął westchnienie i odesłał nieszczęśników do ratusza.

– Wyznaczą tam urzędnika, który pójdzie z wami i oszacuje straty, wtedy z powrotem przyjdziecie tutaj po odszkodowanie. Pięć sztuk złota wypłacić natychmiast z mojej kasy – polecił przybocznemu pisarzowi, wskazując oberżystę, który ucierpiał najbardziej. – To oprócz odszkodowania. Za sińce, które zebrałeś.

Mieszczanie wyszli, dziękując z widoczną ulgą i radością. Po śmierci księżnej wcale nie było oczywiste, jaki obrót przybiorą sprawy. Jednak wszystko zostało po staremu.

Alida nie pozwalała, by jakiegokolwiek słuszne roszczenia pozostały niezaspokojone. Było jasne, że ucisk i niesprawiedliwość doprowadzą w krótkim czasie do upadku księstwa. Bez oparcia w rzemiośle, rybołówstwie, handlu, bez rąk do pracy w porcie i kopalniach, Agary nie mogły utrzymać niezależności; gdyby zaczęli stąd uciekać mieszkańcy, to port na bezludnej wyspie do niczego by się nie przydał. Na szczęście, dzięki porządkom księżnej Alidy, Agarczycy wiedzieli, że nawet księżniczka Ridareta nie na wszystko może sobie pozwolić – a jeśli już sobie pozwoli, to wolno domagać się sprawiedliwości. Raladan postąpił tak, jak postąpiłaby jego zmarła żona, bo zawsze ufał jej rozumowi. Był rad, że tym razem obyło się bez przypadkowych trupów; takie krzywdy najtrudniej było wynagrodzić. Na jednej z karak zginęli trzej żołnierze, ale żołnierze... to co innego. Płacono im za wojaczkę i związane z wojaczką ryzyko.

Załatwiwszy sprawy urzędowe, władca wyspy poszedł do portu, bo chciał obejrzeć skutki nocnej kanonady. Doniesiono mu, jak mają się sprawy, ale ufał tylko własnym oczom.

Księżna Alida była widywana przez pospólstwo rzadko i z daleka – najlepiej znały ją żony żeglarzy, wychodzące czasem na wysoki klif, gdy u progu jesieni oczekiwano rychłego powrotu okrętów. Księżna też była żoną żeglarza... Księżniczkę Ridaretę, odwrotnie, znali wszyscy, Raladana zaś – wielu. Lubił czasem zajrzeć do tawerny, pogadać ze szkutnikami, dopilnować tego czy tamtego. Spokojny, rozsądny, ważący słowa mężczyzna, nie wyglądał na najlepszego pilota-szypra Szereru, znającego wszystkie cieśniny, mielizny i skały podwodne – a już wcale nie wyglądał na pirata. Pozdrawiany przez przechodniów na ulicach, Raladan dotarł do portu, przebił się przez targowisko, mimo protestów otrzymując po drodze bułkę od handlarza bułkami i smażoną rybę od handlarza rybami – obaj kupcy ani słyszeć chcieli o zapłacie. Jedząc rybę i zagryzając bułką, potrącany przez przechodniów Raladan pogapił się na składzik z zarwanym dachem, potem na rozwaloną ścianę kapitanatu portu, pokiwał głową i powędrował dalej. Wieści były, jak zwykle, trochę przesadzone; książę-żeglarz spodziewał się tego, bo znał zarówno liczbę dział „Zgniętego Trupa”, jak i ich możliwości. Trzeba było sporo się nastrzelać, albo mieć dużo

szczęścia, by całkowicie rozwalić budynek.

Lecz żaglowiec jego córeczki wyglądał naprawdę źle.

Nowe karaki eskadry agarskiej zostały zbudowane z myślą o znacznie większym ciężarze salwy burtowej, niż to zwykle bywało. Działa prochowe, stawiane najpierw na kasztelach okrętów nie projektowanych z myślą o czymś takim, były niezbyt liczne. Lecz trzy pływające baterie Raladana miały na kasztelach i w furtach burtowych najsilniejsze i najcięższe uzbrojenie ze wszystkiego, co kiedykolwiek widziano na morzach Szereru. Trzy pełnoburtowe salwy – bo Raladan wątpił, by ładowano działa i strzelano więcej niż raz – nie naruszyły kadłuba, lecz poza tym kompletnie zdemolowały „Trupa” – z rufowego kasztelu pozostało bardzo niewiele, zwalone były wszystkie trzy maszty, ponadto przetrącony został ster – wisiał na jednym zawiasie. Wielka gromada ludzi szarpała się właśnie z siecią pozrywanych i splątanych lin, rąbała maszty i reje, próbując oczyścić dostęp do nabrzeża, bo cały ten śmietnik pływał po powierzchni wody bądź wystawał z niej, uczepiony pokaleczonego kadłuba. Za pomocą prowizorycznego żurawia wyciągano na nabrzeże część kolumny masztu. Rozległy się krzyki: to odkryto, oplątane linami, ciało jakiegoś marynarza, który wpadł do wody i utonął, szamocząc się rozpaczliwie w szczątkach zniszczonego takielunku.

Raladan miał tego dosyć. Pozwalał na wiele, ale wszystkie pirackie hordy razem wzięte, wszyscy pijacy i awanturnicy do kupy, wszystkie rzezimieszki z Aheli nie przysparzały Agarom takich szkód, jak banda jego córeczki. Przed dekadą spokojni mieszkańcy Agarów pogodzili się z ustanowieniem na ich wyspach pirackiego księstwa, bo nie mieli innego wyjścia. Sprawy jakoś się ułożyły: pirackie załogi miały port, wokół którego wyrosły liczne nowe tawerny i burdele, w mieście majtkowie przepuszczali srebro, czasem trochę pohłasowali, ale w gruncie rzeczy uznali ahelczyków za „swoich” i do burd dochodziło nie częściej niż w każdym innym portowym mieście. Lecz załoga „Zgniłego Trupa” traktowała stolicę Agarów jak zdobytą po ciężkim oblężeniu twierdzą, a wszystko w tej twierdzy uważała za należny łup. To nie po raz pierwszy wsparta przez wojsko straż miejska przybywała Aheli z odsieczą. Ratowano już gwałcone we własnych domach kobiety, wrywano z łap pijanych drabów katowanych dla zabawy mężczyzn, odbierano złupione mienie. Teraz podpalili tawernę – a nie był to pierwszy pożar wzniecony przez chłopców ślicznej Ridi – i strzelali z dział do zabudowań. Co dalej? Nałapią na ulicach niewolników, upchną w ładowni i popłyną sprzedać? Zaopatrzą się w nową broń, mordując śpiących w koszarach żołnierzy? A może zdobędą stojący w porcie statek i utworzą eskadrę, bo na „Trupie” już ledwie się mieścili? Co i rusz przygarniali jakiegoś odciętego od stryczka szubrawca i mnożyli się na potęgę. Piraci? Piraci nie brali się znikąd; piratami stawali się zwykli żeglarze, podle traktowani na pokładach kupieckich statków, karmieni zepsutym mięsem i sypiający pod dziurawymi, zbutwiałymi pledami, zbierający kije za byle przewinienie. Czasem uciekali, kiedy indziej buntowała się cała załoga. Przystawali do morskich zbójów, bo wszystko,

co potrafili, to było pływanie na żaglowcach – gdy nie mogli tego robić zgodnie z prawem, robili prawo wbrew. Ale na „Zgniłym Trupie” nie było bodaj jednego takiego „pirata z przypadku”. Sami popaprańcy, mordercy, podpalacze... I dziwki, z którymi strach było pójść, bo ciągnęła się za nimi mroczna sława złodziejek i skrytobójczyń. Poderżnięte gardło to było trochę drogo za jedną nockę z wywłoką. Już pał sześć ukradzioną sakiewkę.

W Raladanie na nowo wezbrał gniew. Wezwał dziesiątnika, dowodzącego strażą na żaglowcu (pod pokładem, pamiętał, pełno było rannych).

– Pióro, inkaust... no, przybory do pisania – powiedział. – I kogoś, kto umie pisać.

– Tak, panie! – służbiście odrzekł dziesiątnik świetnie znający Raladana, bo żołnierze to nie byli przechodnie z ulic Aheli i wszyscy z bliska oglądali księcia, choćby podczas pełnienia służby w twierdzy.

Raladan z trudem przedostał się do luku i zlął pod pokład. W dziobówce śmierdziało jak w jatce – zwykły zapach lazaretu po bitwie. Tu i ówdzie zawieszono kilka latarni. Widok był taki jak zapach, a od jęków i stękań mogły rozboleć uszy. Stary pirat miał twarde serce, lecz potrafił współczuć nieszczęsnej żeglarskiej doli. Jednak nie tym razem.

– Pałac zawsze płacił za wasze zabawy, wynagradzał wyrządzone krzywdy i mogliście robić co wam się podobało – powiedział. – Oprócz jednej jedynej rzeczy: strzelania z dział do swoich. To było wasze miasto, wasz port i wasze schronienie. Były nimi, bo już nie są i nie będą. Ustanowiono tutaj pewne prawa i dotyczą każdego. Wieczorem zostaniecie powieszani.

Jęki przybrały na sile, rozległy się wycia i błagania. Półprzytomni z bólu i upływu krwi majtkowie potrafili jednak poznać swego wodza – i ogłoszony przezeń wyrok wywołał powszechne przerażenie. Raladan w ogóle nie umiał żartować i nigdy nie rzucał słów na wiatr. Gdyby przyszedł ktokolwiek inny i jął straszyć ich szubienicą, usłyszałyby przekleństwa, szyderstwa i pogróżki.

Mając za plecami wzbierającą falę skowytów i próśb o litość, Raladan wrócił na pokład i odnalazł dziesiątnika, któremu towarzyszył jakiś przywleczonego z komendantury portu urzędnik.

– Pisz – polecił. – „Wszyscy członkowie załogi «Zgniłego Trupa» mają być bezzwłocznie straceni na głównym rynku miasta”. Daj, podpiszę. A ty pošlij to komendantowi Ahagadenowi. I kaź powiedzieć ode mnie, że do wieczora chcę widzieć przed ratuszem sto szubienic. Należycie obciążonych, ma się rozumieć.

Szamoczący się z resztkami takielunku ludzie przerwali pracę, bo wydawać się mogło, że sam kadłub zniszczonego okrętu wyje i żebrze o litość.

Głuchy i nieczuły Raladan wrócił do pałacu. Miarka się przebrała; nie obchodziło go nawet, jak przyjmie jego decyzję Ridareta.

Ridareta tymczasem już trochę doszła do siebie. Po pokoju krzątała się wystraszona niewolnica, która najpierw pomagała księżniczce umyć się i doprowadzić do porządku, a teraz

próbowała zaprowadzić jaki taki ład. Dzwoniły odłamki potłuczonych luster, wrzucane do drewnianego kubelka.

Ridi, przerażająca i odstręczająca bez opaski na wybitym oku, leżała w łóżku, okryta resztkami popalonej pościeli i dygotała z zimna tak, że było słychać, jak szczękają jej zęby. Wszystkie te dokonywane przez nią „cuda”, wprawiające widzów w podziw lub przerażenie, słono kosztowały. Płaciła dziurami w pamięci, atakami zimna, czasem długotrwałym odrętwieniem, a najczęściej niewyobrażalnym bólem. Tkwiąca w niej tajemnicza RZECZ, chociaż życiodajna, miała swoje kaprysy; bywało, że domagała się właśnie bólu, stanowiącego chyba coś w rodzaju pożywienia. Walka z tym nie miała sensu. Po wielu latach obcowania z Rubinem Ridareta wiedziała już, jakiej bitwy na pewno nie wygra, a kiedy może liczyć na sukces. Posłusznie więc dręczyła własne ciało na najwymyślniejsze sposoby, odnajdując w pożądanym przez Riolatę bólu zarówno mękę, jak i rozkosz. Ale teraz to był zwykły ból – Rubin nie żywił się nim i nie dawał niczego w nagrodę. Przeminał, ustępując miejsca znużeniu i uczuciu zimna. Mogło to trwać do północy, albo i do rana.

Wyglądało jednak na to, że nie. Powoli wracało czucie w lodowato zimnych dłoniach i stopach, wkrótce mogła już nie dzwonić zębami. Dreszcze, coraz rzadsze i słabsze, z wolna ustępowały.

– Moja suknia... ta zielona, haftowana w róże... – powiedziała.

– Wasza wysokość dała mi ją wczoraj – odpowiedziała niewolnica.

– Tak? No to dzisiaj zabieram. Chcę ją mieć z powrotem, przynieś mi.

Niewolnica wyszła bez słowa i wróciła po pewnym czasie.

– Co to jest? – zapytała księżniczka.

Już jej nie było zimno.

– Ja... chciałam jak najszybciej ją włożyć. Przerobiłam już trochę, skróciłam... Jestem niższa od waszej wysokości.

Ridareta zaniemówiła.

– Na podłogę – powiedziała po chwili. – Na kolana. Ręce na ścianę.

Niewolnica rozplakała się. Księżniczka wylazła z łóżka, wyszukała wśród różnych szczątków poręcz rozwalonego krzesła, zważyła ją w dłoni i zaczęła tłuc klęczącą dziewczynę gdzie popadło, a była silna prawie jak mężczyzna. Płacz i zwierzęce skowyty umilkły dopiero wtedy, gdy zadane z boku uderzenie złamało kość policzkową. Ridi wyrzuciła okrwawioną poręcz i kopnęła leżącą dziewczynę w pęknięte żebra. Pod rozbitą głową rosła czerwona kałuża. Księżniczka wysapała się, wydyszała, splunęła na niewolnicę i wróciła na łóżko. Usiadła z plecami opartymi o ścianę, przyciągnęła do piersi kolana i objęła je ramionami. Fuknięciem odrzuciła pukiel włosów, który spadł jej na widzące oko; jakimś cudem włosy po bokach i z przodu prawie nie ucierpiały, najbardziej spalił się warkocz. Po rozpleceniu niewolnica

przystrzygła i wyrównała włosy – sięgały teraz niewiele za ramiona. Było wygodniej, ale Ridi nie lubiła krótkich włosów. Znowu zlaźła z łóżka, wyszukała w kubelku duży odłamek lustra i wróciła na poprzednie miejsce.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Tak?

– Wasza wysokość... to ja, Lasena. Czy coś się stało? Usłyszałam...

– Tak, wejź i posprzątaj. I przynieś mi jakieś lustro.

Odrzucony ze złością odłamek do reszty rozbił się o ścianę.

Przełożona niewolnica weszła i krzyknęła, zakrywając z przerażenia usta. Upuściła na podłogę jakieś trzymane w ręku pismo i przykłęła przy półprzytomnej dziewczynie, charkotliwie oddychającej przez zalane krwią gardło. Zaszlochała, zerwała się i wybiegła, wykrzykując po kolei kilka imion. Ridareta przechyliła się na łóżku, podniosła upuszczony rulonik, przeczytała co tam było napisane i kiwnęła głową. Niedługo potem w komnatce pojawiły się wezwane przez Lasenę niewolnice. Jak najostrożniej dźwignęły z ziemi towarzyszkę i poniosły ku drzwiom.

– Rozsądnie – powiedziała Ridareta, znacząco unosząc zgubione przez Lasenę pismo. – Każ to wszystko zamówić jeszcze dziś.

Pierwsza niewolnica domu wzięła rulon i przedarła jednym krótkim ruchem.

– Dziękuję, pani, ale żadna z nas niczego od waszej wysokości nie przyjmie – powiedziała zdławionym głosem i wyszła, nie prosząc o pozwolenie.

– Lustro! – wrzasnęła rozgniewana Ridareta. – Gdzie jest moje lustro?! Kazałam przynieść, tak?! Czy nie?!

Wkrótce miała w komnacie nowe lustro, takie samo jak to rozbite. Przyniesiono także krzesło, mogła więc przed nim siedzieć. Rozburzyła włosy, z każdej strony głowy ujęła w palce dużą kiść i popatrzyła badawczo. Związała wysoko dwie kitki, pokręciła głową. Zakołysały się. Figlarnie. Ładnie, dziewczęco. Znalazła swoją opaskę i przewięzała wybite oko. Przeszła do drugiego pokoju. Drzwi, wgniecione w futrynę, trzeba było szarpnąć, żeby się otworzyły. W niezliczonych kufrach i szafach krył się istny ocean sukni, spódnic, koszul, kaftaników, obuwia i wszystkiego, czego kobieta może chcieć. Właśnie ocean – bo kolejno wyrzucane na podłogę utworzyły pomarszczoną na podobieństwo fal stubarwną powierzchnię; księżniczka brodziła w szatach, biorąc je do ręki, oglądając, odkładając przymierzając... Trwało to aż do wieczora.

Ktoś mógłby parsknąć śmiechem, widząc ją wychodzącą z powrotem do zdemolowanej komnatki – jak na takie wielkie przymierzanie, nic nadzwyczajnego nie wymyśliła. Wyglądała tak jak dnia poprzedniego, tylko zamiast żeglarskich hajdawerów miała ciemną spódnicę o mieszczańskim kroju – bo krótką, do połowy łydki – a na palcach bosych stóp niezliczone

pierścionki, ocienione brzękiem pozapinanych na kostkach łańcuszków i bransolet. Przystanąła i krzyknęła cicho, zaskoczona widokiem wysokiego, przystojnego mężczyzny w kolczudze i granatowej wojskowej narzucie, który nie roześmiał się na widok jej stroju – zamiast tego przyłożył palec do ust.

– Ahagaden? – zapytała, nie kryjąc niechęci i zdumienia. – Co chcesz? Znowu w pysk? Co w ogóle tutaj...

– Zamilknij, wasza wysokość – powiedział takim tonem, jakim czasem zwracał się do niej Raladan. – Nic nie chcę, nie ma mnie tutaj. Idź na rynek.

– Co mam?...

– Idź na rynek – powtórzył z naciskiem. – Już. Nim będzie za późno.

* * *

Gorliwy i uradowany dziesiętnik z portu, sycąc duszę dziejącą się sprawiedliwością, ani chwili nie zwlekał z posłaniem doniosłego w treści pisma swojemu komendantowi, ten zaś spieszył się jeszcze bardziej. Raladan ledwie wrócił z miasta, a już miał gościa: zdziwił się, ujrawszy w drzwiach komnaty czterdziestoparoletniego, ogorzałego mężczyznę, który najwyraźniej jeszcze przed chwilą biegł, bo był spocony i zdyszany. Niewolnica nie zdążyła go zapowiedzieć ani wprowadzić; zostawił ją za plecami – teraz bezradnie i przepaszając rozkładała ręce. Raladan odprawił ją machnięciem dłoni. Z komendantem znali się od lat; Heren Ahagaden dowodził najemnikami podczas minionego powstania. Z Garry zabrała go Alida, uciekająca przed zemstą zdradzonych rebeliantów. Znakomity żołnierz i świetny dowódca. Najemnik z krwi i kości, a zresztą z dziada pradziada.

– Co tu robisz? Aż tak ci spieszno posłać ich na stryczek?

Ahagaden stale miał na pieńku z Ridaretą. Z wielu różnych powodów, ale najbardziej chyba dlatego, że nigdy nie dał się uwieść. Znienawidziła go za to i gdyby z jakiegoś powodu został zwolniony ze służby, następnego dnia już by nie żył.

– Spieszno mi, ale nie do tego... Co mi przysłałeś?

– Uwolnienie od kłopotów. Twoi żołnierze już nie będą musieli uganiać się za...

– Płacą im za to, żeby się uganiaли – przerwał Ahagaden. – Więc to rzeczywiście jest twój podpis?

Raladan zdziwił się.

– Nie podoba ci się ten rozkaz?

Ahagaden wyciągał rękę z pogniecionym dokumentem.

– Czy nie podoba mi się rozkaz stracenia stu pięćdziesięciu ludzi?

– Aż tylu zostało?

– Co najmniej. Na wraku, w lochach i nie wiadomo gdzie jeszcze, moi ciągle ich wyłapują.

– To postawisz więcej szubienic.

– Nie postawię ani jednej szubienicy – twardo rzekł Ahagaden. – Zresztą... jedną mogę postawić. Dla przykładu. Ale nie sto pięćdziesiąt.

– Gdyby nie twoje karaki i twoi żołnierze, spałbyś dzisiaj na pogorzelsku. Puściliby z dymem całe miasto. Znam tych... no, przecież nie powiem „żeglarzy”. Ty ich nie znasz?

– I co z tego?

Raladan rozsiadł się na krześle.

– To z tego – powiedział – że na tej wyspie wzniesiono twierdzę, wystawiono armię i flotę, a wszystko po to, by nikt nie spalił Aheli. Nie spalą jej także ci, którzy powinni bronić. Doigrali się. Nie umiem rządzić, robię tylko to, co zrobiłaby na moim miejscu Alida.

– Mylisz się.

– Zawsze chciała posłać ich na dno razem z tą przeklętą łajbą.

– Na dno to co innego. Jeśli znajdziesz lont dosyć długi, żeby tlił się przez cały dzień, zanim dojdzie do beczek w ich prochowni, to sam go podpalę, nim wypłyną w kolejny rejs. Oczywiście pod komendą swojej „kapitany”.

– Nie znam się na takich żartach, więc uważaj – powiedział Raladan.

– Uważam. Jej wysokość Alida puknęłaby cię w głowę, gdybyś przy niej wydał taki rozkaz.

– Ahagaden jeszcze raz uniósł trzymane w ręku pismo. – Ja cię puknąć nie mogę, chociaż ręka mnie świerzbi, więc tylko ostrzegam jak przyjaciel: nie wiesz co robisz, Raladanie. Poczekaj, daj mi skończyć... Mieszczuchy muszą czuć, że ktoś się za nimi ujmie, wynagrodzi krzywdę i obroni w potrzebie. Ale ci, co tu przyplływają, to ludzie, których powinienes trochę znać. To pirackie księstwo – Ahagaden dziobnął palcem blat stołu – i bez piratów nie ma niczego: ani floty, ani zysków... Niczego. Jeśli się okaże, że za głupi pijacki wybryk, niechby nawet krwawy, nowy władca Agarów wiesza całą załogę żaglowca, to nie porządzisz długo. Stracisz Agary... albo raczej Agary stracą złego władcę, Raladan.

– Gdyby twoi żołnierze zrobili coś takiego jak tamci...

– To powiesiłbym dwóch albo trzech, ale nie cały garnizon! – zawołał Ahagaden, ze złością rzucając pismo na stół. – Skąd wziąłbym nowych żołnierzy po czymś takim?! Kto by do mnie przyszedł służyć w wojsku?!

– Mam tylko jedno słowo i raz podejmuję decyzję – oświadczył Raladan. – Powiedziałem tej zgrai: będziecie wisieć. I będą. Masz rację, znam takich ludzi. Gdy zmienia się dowódca okrętu, zaraz dochodzi do jakiegoś wybryku, bo wszyscy chcą wiedzieć, na co teraz można sobie pozwolić i czy nowy kapitan jest silny. Taki, który puści to płazem, już nigdy nie da sobie rady. Zaprowadzę porządek po swojemu i taka noc jak miniona nie powtórzy się. Zapamiętaj co powiedziałem.

– Chcesz tu mieć, na lądzie, taką dyscyplinę, jak na pokładzie żaglowca?

- Chcę i będę ją miał.
- I wszyscy mają wisieć?
- Łącznie z oficerami.
- Ale bez dowodzącej okrętem?
- Ty też się zaraz doigrasz, Ahagaden... Nie znam się na żartach, już ci powiedziałem.

Ridareta była tutaj, kiedy tłukli z dział.

– A gdzie była, kiedy zaczął się pożar?

– Wystarczy tego dobrego – rzekł Raladan, wstając. – Tu leży rozkaz na piśmie, upuściłeś go, zdaje się... No to podnieś i wykonaj, albo znajdę komendanta, który go wykona.

Ahagaden pokiwał głową.

– Może chociaż poczekaj z tym do jutra. Przemyśl.

– Podnosisz czy nie podnosisz?

– Podnoszę, wasza wysokość – rzekł komendant.

Zabrał dokument ze stołu, obrócił się na pięcie i wyszedł.

Zarządził co trzeba i przez resztę dnia czekał na posłańca z rozkazem odwołującym egzekucję. Nie doczekał się i pod wieczór raz jeszcze pobiegł do warowni. Zakradł się tam niczym złodziej.

3.

Mieszczanin zawsze wie wszystko. Ludzie wyciągający z wody resztki takielunku „Trupa” mieli uszy. Niosący pismo Raladana dziesiątnik oprócz uszu miał jeszcze oczy, podobnie jak urzędnik, który pisał rozkaz. Wszyscy ci ludzie mieli rodziny, przyjaciół i znajomych... Do wieczora całe miasto wiedziało, co wydarzy się na głównym placu; jedyną osobą w Aheli, która nic na ten temat nie słyszała, była księżniczka Riola Ridareta.

Riola – bo przekłętego (a w istocie mającego moc Formuły) imienia Riolata prawie nikt nie mógł bezkarnie wymawiać, zostało więc bezpiecznie skrócone. Dość powszechnie znano jego pełne brzmienie, ale wśród przesądnych ludów wyspiarskich rzadko trafiał się taki bohater, który gotów był na własnej skórze sprawdzić prawdziwość ponurej legendy. Wszystkie zresztą podjęte próby nieodmiennie kończyły się atakiem duszności, a bywało, że ciężkim omdleniem; człowiek o słabym sercu gotów był skończyć od tego. Bezpiecznie powiedzieć „Riolata” mógł tymczasem każdy, kto wiedział, że jest to imię Królowej Rubinów – wiedza o tym negowała moc Formuły. Tyle tylko, że prawdę o Przedmiocie, którego moc nosiła w sobie piękna Ridi, znało kilka, a może kilkanaście osób w całym Szererze...

Lecz biegnąca w stronę rynku, potem zaś desperacko przeciskająca się przez tłumy Ridareta zapomniała tego wieczoru, że jest na poły człowiekiem, a na poły Porzuconym Przedmiotem. Była tylko przerażoną dziewczyną, ze wszystkich sił próbującą zapobiec nieuniknionemu.

Panowała już młoda noc; płonęły niezliczone pochodnie. Nikt nie mógł w ciągu jednego dnia ustawić na placu stu szubienic. Dzień, tydzień czy miesiąc... Nie pomieściłyby się. Za zwartym kordonem żołnierzy – a była tam niemal połowa regularnego wojska Agarów, pół tysiąca żołnierzy w pełnym rynsztunku wojennym – wyrastał las słupów, a właściwie belek, do których przywiązano marynarzy: miano ich podusić na modłę garyjską, skręcanymi od tyłu sznurami, opasującymi razem pal i szyję. Kilkunastu ciężko rannych skazańców było nieprzytomnych; bezwładnie zwisali przy swych belkach. Wszystkich obnażono od pasa w górę, widać więc było rany na niejednej piersi bądź boku, odniesione minionej nocy. Ta krew jednak nie wzbudzała litości; przeciwnie – przypominała pospólstwu, w jakiej bitwie została przelana. Tych ludzi poranili żołnierze w granatowych tunikach z czerwonym kręgiem na piersi, żołnierze broniący ludności przed napadem rozszalałej, żądnej mordu tłuszczy. Powiadano, że kule z dział ognistych „Zgniętego Trupa” obróciły w perzynę cały port; ci, co w porcie byli i widzieli, przysięgali, że taka jest prawda. W samym mieście zginęło ponoć pięćdziesięciu mieszczan, w tym kobiety i dzieci – te ostatnie piraci rozdzierali, chwytając za ręce albo nogi. Spłonęło wiele domów w południowej, północnej, wschodniej lub zachodniej ćwiartce miasta – zależało to od tego, w którym miejscu dzielono się nowiną (zgliszczka zawsze były gdzie indziej...) – przecież wszyscy w nocy widzieli łunę. Wychwalano sprawiedliwość i surowość księcia, który postanowił

nie cackać się z obwiesiami.

Prawda była taka, że ziemia odetchnęłaby z ulgą, nie nosząc na sobie tych ludzi; chłopcy Ślepej Ridi po stokroć zasłużyli na stryczek. Ale – trzeba trafu – nie akurat za to, co zrobili minionej nocy. Może kilku, lecz nie wszyscy.

Dla oficerów i paru innych znamienitych członków załogi – trafił się wśród nich bosman, ale także, z jakichś powodów, drugi pomocnik cieśli – wzniesiono prawdziwe szubienice, z podwyższeniem, dzięki któremu było ich dobrze widać. Wyróżniał się tam Mevev Cichy, którego zakazana gęba prosiła się o wyrok bez sądu – tak też się i stało, bo sądy nie sądziły nikogo złapanego na gorącym uczynku, to już była tylko sprawa kata, odczytującego z listy przestępstw i zbrodni właściwą dla danego czynu karę. Wymierzano ją. Zdyszana, chrypiąca z wysiłku Ridareta precyzyjnie się do kordonu żołnierzy, gdy miejski herold ogłaszał właśnie karę odpowiednią do popełnionej zbrodni. Potężny głos obwoływacza uspokoił tłum, lecz w zamian dało się słyszeć stękanie rannych złoczyńców, z których wielu wprost nie mogło się doczekać miażdżącego krtań sznura; połamane w nocy nogi i ręce, a czasem tylko ich omotane szmatami kikuty – bo żołnierze mieli bardzo dobre ostrza... – przywiązane do belek, przysparzały cierpienie na miarę izby tortur. Ten i ów, ze zwieszoną głową i cieknącą z ust śliną spozierał na własne bebechy, wylazące spod brudnego, przesiąkniętego krwią, już niepotrzebnego opatrunku.

Oszołomiona widokiem tej nędzy, ogłuszona potężnym głosem herolda Ridareta oburącz trzymała się za głowę, wydając jakieś nieartykułowane dźwięki: ni to głuche wycie stłumione w zarodku, ni to stękanie albo płacz... Wszystko, co umiała, wszystko, co mogła zrobić, sprawić... zarządzić albo wyblagać... było tutaj na nic wobec braku czasu; wobec nieprzebranych tłumów mieszczan; wobec karnego wojska stojącego z włóczniami i tarczami; wobec kata i kilku katowskich pomocników, którzy właśnie zmierzali ku słupom. Obwoływacz huknął w tarczę gongu, którego głos oznajmiał zwykle, że odczytywane będą wieści. Ale teraz zapowiadał rozpoczęcie kaźni. Mocne ręce katów ujęły drewniane kołki i jęły je obracać, skręcając grube liny. Pośród wrzawy tłumy, przywiązani do belek mężczyźni zaczęli rzucać się w więzach i wyginać ciała tak jak tylko było to możliwe, z wywalonymi na brody językami i oczami wychodzącymi z orbit. Lecz, jak zwykle, największą ciekawość wzbudzała duszona kobieta, jedna z okrętowych wszetecznic, ohydna nawet w chwili zgonu, bo smrodliwie robiła pod siebie, gdy jej towarzysze tylko krztusili się i charczeli. Zwisła bezwładnie jako pierwsza; zaraz po niej ducha wyzionęło dwóch majtków, potem jeszcze jeden... i ostatni. Kat i pomocnicy postąpili dalej, zagrzewani rykiem ahelskiego tłumy.

Coś w rodzaju ognistego bicia chlasnęło ciemne niebo, na którym blask pochodni przyćmił gwiazdy. Postrzępiona czerwona nić, trzeszcząc, paliła się nad rynkiem; zgasła po długiej chwili. Ahelczycy do znudzenia napatrzyli się na różne cuda; przecież warownię wokół portu zbudował im Przyjęty i niemal w każdej rodzinie był ktoś, kto biegał po placu budowy z kielnią w jednej,

a Porzuconym Przedmiotem w drugiej garści. Ale to było dawno. Zdumiewające zjawisko na niebie uciszyło tłum. Jakaś krztusząca się płaczem kobieta zaczęła wołać:

– Wygnanie!... Łaska wygnania!...

Po czym powtórzyła jeszcze kilkakrotnie:

– Łaski!... Wypiarze, łaski...

W tłumie, w kordonie żołnierzy, a nawet na podwyższeniu, gdzie stał herold i ojcowie miasta, wszczęło się poruszenie. Narastało. Rozglądano się, szukając tej, która odwołała się do starego, bardzo starego prawa, rzadko stosowanego, bardziej będącego zresztą obyczajem, tradycją niżli prawem.

– Kto prosi?! – zawołano.

Księżniczka Riola Ridareta nosiła bujne włosy do bioder, czasem warkocz – nie od razu więc poznano, kim jest piersiasta dziewczyna z niedługimi włosami zebranymi w dwa śmieszne „kucyki”. Dojrzano opaskę na oku. Dzwoniąc srebrem na kostkach bosych stóp, wspięła się na podwyższenie i zgodnie z wymogiem tradycji uklękła... a raczej tylko usiadła na podwiniętych nogach. Oddychając z wysiłkiem, półprzytomnym spojrzeniem ogarniała tłum, żołnierzy, czcigodnych starców z Rady Miasta i nieszczęśników przy palach.

– Łaski dla nich – wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

Obyczaj różnił się trochę w szczegółach, w zależności od archipelagu, lecz na ogół wyglądało to tak, że nie będący skazańcem ani krewnym skazańca członek społeczności miał prawo wstawić się za nim, prosząc o zamianę kary śmierci na dożywotnie wygnanie. Prośbę swą jednak popierał zgodą na dzielenie losu z wygnańcem, zaręczając w ten sposób, że powstrzyma ułaskawionego przed powrotem. Odtąd ani skazany, ani jego wybawca nie mieli wstępu na rodzinną wyspę, każdy zaś człowiek, który ich zobaczył na zakazanej ziemi, miał prawo zatłuc jak parszywe psy. Stary obyczaj – lecz było zupełnie jasne, że nie da się go rozciągnąć na półtorej setki morderców. Można by w ten sposób uwalniać całe armie, w trakcie działań wojennych wzięte do niewoli! Surowi ojcowie miasta poznali już, kto prosi o łaskę, lecz kłopot był przez to tym większy... Gdyby jakaś kobieta z tłumy wybrała jednego z obwiesiów... zakochana w nim, zadurzona... Ale następczyni książęcego tronu (wszystko jedno, jak jej nie znoszono...) nie mogła zabrać z Agarów półtorej setki ludzi i zniknąć sobie z nimi raz na zawsze. Wyspami władał – krótko, ale twardo, jak widać – przybrany ojciec tej panny, gotów uprzejmie zapytać ojców miasta, co skłoniło ich do wypędzenia jego córki, która miała przecież prawo do krótkiej chwili słabości.

– Niemożliwe – rzekł najdostojniejszy ze starców i odkaszlnął. – Wasza wysokość prosi o rzecz niemożliwą. To... ta prośba jest niezgodna z obyczajem.

Tłum czekał w ciszy. Nawet skazańcy tłumili jęki – oprócz kilku półprzytomnych, którzy nie wiedzieli gdzie są ani co się z nimi dzieje.

– Nie, wasza wysokość – powiedziano raz jeszcze. – To obyczaj dotyczący jednego skazańca, taki człowiek może zostać stracony albo skazany na banicję. Ale nikt i nic nie powstrzyma tych ludzi... tylu ludzi, przed powrotem na Agary, jeśli zechcą tu wrócić. I to wrócić zbrojno. Nie, pani. Wyrok musi zostać wykonany.

Ridareta uniosła głowę i zawołała co sił w płucach:

– Raladan! RA-LA-DAAN!

– Jestem, nie krzycz – powiedział.

Zsunąwszy z głowy kaptur płaszcza, wyszedł z tłumu i wspiął się na podwyższenie. W dzień, gdy przemierzał ulice, pozdrawiano go jak szacownego mieszkańca miasta, częstowano rybą na targu... Ale teraz odbywało się coś niezwykłego, niezmiernie doniosłego. I wszyscy – tłum, miejscy urzędnicy, nawet kaci – skłonili się przed władcą księstwa – szafarzem życia tylu ludzi. Żołnierze uderzyli włóczniami w tarcze, salutując.

Raladan pochylił się tak, że niemal dotknął czołem uniesionego czoła dziewczyny.

– Co wyprawiasz? – zapytał cicho.

Wolno kręcąc głową, odpowiedziała jeszcze ciszej, z bezbrzeżną goryczą i niedowierzaniem:

– Ja?...

Po policzku spłynęła ciężka kropla.

Raladan wyprostował się, popatrzył na tłumy, na skazańców przy słupach i silny, nieruchomy sztyk żołnierzy. Patrzył i patrzył.

Mocny i zdecydowany głos, po którym wielu łatwo poznało komendanta Ahagadena, rozbrzmiał gdzieś ze środka szpaleru:

– Dowódca dzieli los podkomendnych!

W tłumie zrodził się szmer.

– Wasza wysokość! – zawołał Ahagaden, po czym dodał jeszcze, żeby nikt nie miał wątpliwości, do kogo się zwraca: – Księżniczko!

Wysunął się przed szereg, zabrał żołnierzowi włócznię i tarczę, by następnie głośno zderzyć jedno z drugim. Powtórzył salut i po krótkiej chwili pięciuset uzbrojonych po zęby piechurów z hukiem oddawało honory dowódczyni, która chciała być ze swoimi żołnierzami. Wojsko, nienawidzące zgrai ze „Zgniłego Trupa” bardziej niż ktokolwiek inny w tym mieście, popierało prośbę Ślepej Foki Ridi. Najpierw niepewnie, potem coraz silniej wsparli ich mieszczanie, zgodnie z rytmem salutu klaszcząc w dłonie. Na pstrym koniu jeździła łaska tłumu...

W gruncie rzeczy ci przy palach nikogo nie zabili...

Jakieś działo pewnie wystrzeliło samo...

Zaproszono ogień w knajpie; to się zdarza...

Trzeba uratować tych żeglarzy.

Tłum huczał. Prosił, nalegał.

Raladan odwrócił się ku starcom z Rady Miasta. Zebrani do kupy, mogli mieć tysiąc lat. Pokręcił głową i milczał jeszcze przez chwilę.

– Ułaskawić – powiedział wbrew gestowi. – Wygnanie zamiast śmierci.

Odwrócił się, zszedł z podwyższenia w rozstępujący się tłum i podążył prosto do pałacu, nie spojrzawszy na Ridaretę.

* * *

Ułaskawionych odprowadzono bądź odniesiono na „Zgniłego Trupa”, mieli tam siedzieć w więzach i pod strażą tak długo, aż zostanie postanowione, w jaki sposób będą wydalenii z wyspy. Oficerom i wszystkim kobietom z załogi pozostawiono ograniczoną swobodę: nie wiązano ich, by umożliwić opiekę nad rannymi. Rannych także nie skrupowano – nie było takiej potrzeby.

W dziobówce zakwaterowali się żołnierze. Załogę umieszczono w okrętowej ładowni.

Ridi była ze swoimi chłopcami.

Na pokładzie Mevev Cichy polazł między szczątki rufowego kasztelu, gdzie mieściła się kiedyś komórka szumnie zwaną kajutą kapitańską. Podejrzliwie obserwowany przez wartowników Ahagadena, grzebał wśród szczątków i hałasował, wreszcie wrócił do ładowni, niosąc jakieś szmaty, które w świetle niezliczonych latarń pozawieszanych w ładowni okazały się żeglarskimi hajdawerami i płócienną koszulą. Były to rzeczy dowódczyni.

Szukała samotności. Siedziała osobno, w najciemniejszym kącie, przytulona do wręgi.

– Zdejmij to z siebie, kapitana – rzekł, wskazując spódnice i koszulę, które miała na sobie.

Popatrzyła zdziwiona.

– Zdejmij.

– Oszalałeś? Po co?

– Zdejmij.

Wzruszyła ramionami i westchnęła.

– Chcesz mnie teraz posunąć?... Bo już nie wiem.

– Potrzebne mi twoje rzeczy.

– A to co przyniosłeś nie wystarczy?

Oficer zadumał się. Problem musiał być naprawdę niebłahy.

– Właściwie... no, może i tak. Co za różnica. Podrę to.

– A drzyj – pozwoliła z całkowitą obojętnością.

Mevev, pomagając sobie zębami, oddarł od rękawa przyniesionej koszuli wąski pasek płótna i starannie zawiązał na nadgarstku.

– Nie odwiążę tego, aż zdechnę – rzekł głośno, a przy tym tak uroczyście, jak chyba nigdy w życiu, po czym rzucił koszulę drugiemu oficerowi. – Możesz, kapitana, zapomnieć gęby

swoich marynarzy, ale człowiek z taką szmatą na ręce odkroi sobie nożem mięso z własnej nogi, upiecze i nakarmi cię, kiedy będziesz głodna. Żebym tak... żebym zdechł, jeśli tego nie dotrzymam.

Możliwe, że Cichy przez całe życie nie wygłosił podobnego przemówienia.

Okrętowe dziewczuchy zostawiły rannych, pochwyciły koszulę i portki kapitany, po czym jęły drzeć je na pasy, zawiązując szmatki na włosach albo nadgarstkach. Pośród narastającego pod pokładem gwaru zostały zmuszone do przybrania w podobny sposób wszystkich skrępowanych i rannych towarzyszy; nikt nie chciał czekać, każdy musiał mieć swój strzęp natychmiast. Nawet oficerowie pochylali się nad majtkami, szukając miejsc, gdzie można by zawiązać to, co później zwano Kokardami Ridi – przeszkadzały rany i więzy. Wzruszona kapitana gotowa była się rozplakać, co jej łatwo przychodziło tego dnia, lecz w zamian parsknęła śmiechem, gdy doszło do bójki o najpiękniejszy strzęp. Pod pokład zeszło kilku żołnierzy, zaalarmowanych gwarem; zaraz poszli, ujrawszy w kącie niemożliwie zatłoczonej ładowni krztuszącą się ze śmiechu księżniczkę, a u jej stóp dwie rozczochrane, najwyraźniej pomyłone baby z porozbijanymi nosami, wrywające sobie z rąk jakiś skrawek materiału.

Przed północą ładownia ucichła; jeńcy spali, tu i ówdzie tylko rozbrzmiewało stękanie rannego. Niedługo po północy dwaj żołnierze z latarniami zeszli po stromych schodach.

– Wasza wysokość – rzekł jeden.

– Słucham.

– Księżę przysłał po waszą wysokość. Czeką w pałacu.

– Zaraz pójdę.

– Kazano nam...

– Żadnej eskorty ani straży. Powiedziałam: pójdę. Teraz precz.

Spokojny głos garyjskiej magnatki, następczyni agarskiego tronu. Czasem potrafiła być kimś takim.

Żołnierze opuścili ładownię.

Wkrótce opuściła ją także księżniczka. Przez nikogo nie zatrzymywana, zeszła na nabrzeże, przemierzyła pusty rynek portowy i zagłębiła się w ciemne uliczki. Do bramy twierdzy było niedaleko.

Raladan czekał w komnacie, która kiedyś należała do Alidy. Był to pokój nadający się po trosze do wszystkiego: wygodny fotel zapewniał odpoczynek, liczne krzesła wokół długiego stołu mogły posłużyć większemu gronu, wezwanemu na jakąś naradę. Można było tutaj sądzić, rządzić bądź ucztować.

Niewysoki mężczyzna siedzący przy stole, głęboko zamyślony, wydawał się mniejszy niż zwykle. Księżniczka wybrała sobie jedno z krzeseł.

– Nie dokończyliśmy rozmowy – powiedział. – Czy pomyślałaś już, czego mogą chcieć od

ciebie Przyjęci?

Przyglądała mu się w milczeniu.

– To jest teraz... to w ogóle jest ważne?

– A nie jest, Rido? Jutro zostawisz Agaty i nie wrócisz nigdy, a w każdym razie nieprędko. Będziesz zupełnie sama przeciw całemu światu. Naprawdę przeciw całemu światu. Komendantka pirackiego żaglowca, wyjęta spod prawa rozbójniczka dowodząca zwierzętami. Wszyscy szybko się dowiedzą, że ta kobieta to już nie jest ktoś, z kim można prowadzić pertraktacje w jakiegokolwiek sprawie. Pływałaś na Garrę i robiłaś tam co chciałaś, bo każdy na tej wyspie, kto ma cokolwiek do gadania, bał się naszej floty i chciał ją przeciągnąć na swoją stronę. Przedstawiciel, buntownicy... Wszyscy. Teraz już tak nie będzie. A na dodatek poluje na ciebie jakiś Przyjęty, któremu zalazłaś za skórę. Nie wiem jak cię ochraniać.

– Ochraniać? – zapytała. – W jeden dzień zniszczyłeś wszystko, zupełnie wszystko, co było między nami. Chcesz mnie ochraniać? Kochałam cię jak... jak głupia. Jak dziecko. Znalazłam ojca i trzymałam z całej siły, bo to było najlepsze, co w ogóle spotkało mnie w życiu. Co mi zrobiłeś? Za co mi to zrobiłeś, sukinsynu? Za głupotę? Tak, ja... rzeczywiście jestem głupia, wiem.

– Co ty wygadujesz, Rido? – zapytał bez odrobiny gniewu. – Myślisz, że ja tutaj sobie siedzę i jestem zadowolony? Wczoraj prosiłem: zostań na Agarach, rządz. Łatwo było pośmiać się z tego... ale mnie nie było łatwo rządzić przez ten jeden krótki dzień. Nie potrafię, mówiłem ci. Narobiłem głupstw i już to wiem. A ty? Też coś wiesz? Dowiedziałaś się dzisiaj czegoś? Zresztą nie mów, bo już zgadłem: nie. Niczego dzisiaj się nie dowiedziałaś.

Nieoczekiwanie wstał od stołu.

– Ale ty przez całe życie niczego nie zdołałaś się dowiedzieć. Rób co chcesz – powiedział. – Nie odpłyniesz dziś ani jutro, więc zdążymy jeszcze porozmawiać. Wszystko wyszło na opak i głupi ten, kto będzie się temu dziwił. Chciałem teraz pogadać... Ale jak nie, to nie.

– O czym miałabym z tobą gadać?

– O niczym. Wracaj na swój śmierdzący wrak, do swoich chłopców. Rzeczywiście jesteś głupia. Pewnego dnia – powiedział, zatykając dłonie za pas i swoim zwyczajem kołysząc się na obcasach – twoi synkowie znajdą dla ciebie sto łokci żelaznego łańcucha, owiną cię nim i puszcza na dno razem z tą twoją całą nieśmiertelnością. Trochę potrwa, zanim łańcuch na wylot przerdzewieje. Sto lat, trzysta, osiemset... Coś cię żywcem zeżre przez ten czas. Idź już, zostaw tu podłego Raladana i wracaj do swej wiernej załogi, kapitano. I śpij dobrze.

Wyszedł, a wtedy się rozplakała.

Raladan zamknął się w sypialni Alidy, która była też jego sypialnią – w tych rzadkich i zbyt rzadkich chwilach, gdy morskie wiatry zagnały go do domu. Dom... Nigdy wcześniej nie miał czegoś takiego.

A jednak porozmawiał tej nocy. Wczesnym rankiem przyszła doń Alida. Nawet się nie rozniewał... Przez całe życie prowadziła zawile gry, rozumiała tylko dla niej. Wymyśliła więc jeszcze jedną – by zobaczyć, jak małżonek i przybrana córka poradzą sobie zdani na własne siły.

„Zadowolona jesteś?” – zapytał.

Miała na sobie lekką, błękitną suknię – był to kolor, który lubiła najbardziej. Przerzucony na pierś warkocz mienił się szczerym złotem.

„Bardzo” – powiedziała z uśmiechem, przysiadając na brzegu posłania. „Poważanie, respekt i miłość poddanych, wszystko w jeden dzień... Trzeba całych miesięcy, a nierzadko lat, by zdobyć tyle, ile dzisiaj wyrwałeś dla siebie”.

Miała w dłoni trochę rodzynek; wyspała kilka do ust i rozgryzła. Uwielbiała słodyczne.

„Co ty opowiadasz?”.

„Opowiadam, że o twojej głupocie, luby, wie jeden jedyny Ahagaden. Agarom pokazałeś srogiego, ale sprawiedliwego władcę, zdolnego jednak do litości. Nie roztrwoń tego. A Ahagaden jest rozsądny i służy nam wiernie od lat. Poślij mu jutro baryłkę dobrego wina i... posłuchaj czasem, co mówi. W żadnym mieście na świecie nie będziesz miał takich porządków, jak na pokładzie żaglowca”.

Zaczęło doń docierać, że złotowłosa sekretnica tym razem wcale z niego nie kpi.

„Mówisz mi więc...”.

„Że zdobyłeś sobie uznanie jako nowy władca”.

„Jeśli nawet, to za jaką cenę?”.

„Darmo!” – rzekła, wzruszając ramionami. „Twoja kochana Ridi i tak nigdy nie umiała wysiedzieć na Agarach. Chcesz ją widywać i zaopatrywać we wszystko, czego potrzebuje? Nic prostszego: daj wygnańcom prawo zawijania do przystani na Małej Agarze. To oczywiście naciąganie prawa, ale niezbyt rażące, w końcu wyspy są dwie, a wypędzono ich z Wielkiej Agary, nie z Małej. Pokazałeś już, że jesteś sprawiedliwy nawet wobec księżniczki, nie zrobiłeś dla niej wyjątku; skoro wstawiła się za skazanymi, to zgodnie z obyczajem ma zostać wygnana tak jak wszyscy. Teraz nie zaszkodzi, jeśli mieszkańcy wysp zobaczą w tobie ojca, który jednak kocha swoją córkę. Każdy zrozumie, dlaczego księżę Raladan pozwala załodze «Trupa» przybijać do brzegów Małej, i na pewno nikt cię za to nie potępi, bo na twoim miejscu zrobiłby tak samo. To... ludzkie. A że twoja córka nie będzie pomieszkiwać w pałacu? Bardzo dobrze, bo nikt jej tutaj nie kocha”.

Pokiwał głową.

„Powiniem cię stłuc, Alido”.

„Hmm... Od czasu do czasu to wcale nie było takie złe...” – rzekła z właściwym sobie ciepło-kpiącym uśmiechem.

Ujął złoty warkocz i długo, długo jeszcze czuł w dłoni jego aksamitny ciężar.

4.

Łańcuch Wysp Barrierowych, zamykający od wschodu Morze Zwarte, od niepamiętnych czasów miał duże znaczenie wojskowe. Niewielkie przestrzenie między wyspami łatwo było patrolować i zamknąć w razie potrzeby. Położony w środku archipelagu Hogoth nie był największą z Wysp Barrierowych, ale właśnie dogodne położenie sprawiło, że mieściła się na nim Talanta, najsilniejszy w tych stronach port wojenny. Kiedyś stało tu kilka ciężkich eskadr Floty Głównej Garry i Wysp, teraz tylko jedna, wsparta przez skleconą z rozmaitych żaglowców eskadrę Floty Rezerwowej. Na zaniedbanych okrętach siedziały niekompletne załogi: mocno brakowało żołnierzy; porzucali też służbę majtkowie, opłacani i żywieni tak podle, jak chyba nigdy dotąd. Ostatnio zmieniło się to trochę, bo z Garry zaczęły napływać pieniądze. Niewystarczające, ale już przynajmniej nie śmieszne. Wcześniej brakowało nawet na żebracze pobory marynarzy i pokojowy – a więc niemal symboliczny – żołd piechurów morskich. A przecież służba strażników morza nie była służbą garnizonową, ci żołnierze, stale użerający się z piratami, powinni otrzymywać żołd wojenny.

Stara Talanta różniła się od Dranu jedynie wielkością – Wyspy Barrierowe były kiedyś częścią Królestwa Garry, w ich stolicy rozpanoszyła się więc garyjska architektura, a i mowa mieszkańców bardziej przypominała czysty język garyjski niżli którąś z wyspiarskich gwar. Jeśli dodać do tego, że porządki w Talancie były takie mniej więcej, jak w Dranie albo Doronie, wyłaniał się obraz miasta podobnego do tamtych dwóch, ogarniętego bezprawiem, gdzie każdy – poza żołnierzami i władzami, rzecz jasna – robił co tylko chciał. Wszyscy czekali na wojnę, a raczej kilka wojen. Najpierw powstanie przeciw Cesarstwu; potem wojnę dartańsko-armektańską, która przesądzić miała o hegemonii jednego lub drugiego narodu; potem na trzecią wojnę, bo było przecież jasne, że wyzwolonemu garyjskiemu królestwu kontynentalne mocarstwa dadzą spokój tylko do chwili, aż rozstrzygną waśń między sobą. W obliczu tak rysującej się przyszłości – a i, co tu gadać, niemiłej teraźniejszości, wypełnionej chaosem i bezprawiem – każdy człowiek, marzący o bezpiecznym i spokojnym życiu, zwijał manatki i żeglował na kontynent. Jakieś zapomniane przez świat armektańskie lub dartańskie miasteczko pożoga mogła ominąć; największego portu wojennego na Wyspach – w żaden sposób. Zostawali tylko ci, którzy chcieli wziąć udział w nadchodzących awanturach, albo byli zbyt biedni, by opłacić podróż dokądkolwiek. Oraz niezdecydowani, wierzący, że „jakoś to będzie” – ludzie-wióry, których wszędzie pełno.

Wynajęty za bezcen dom w Dranie i tak kosztował fortunę w porównaniu z sumą, jakiej zażądał zdziwiony i niemal wystraszony przybyciem gości kamienicznik w Talancie. Ów zrujnowany człowiek od paru lat przyglądał się bezsilnie, jak kolejni najemcy dziękują mu za mieszkania, obojętni nawet na obniżki czynszów, a nowych najemców nie widać. Świetna

nieruchomość, której zbycie było teraz marzeniem ściętej głowy, popadała z wolna w ruinę – już mocno przeciekał dach, którego nie było za co naprawić. Patrzący na te porządki Gotah, całkiem nieźle znający Szerer, rozkładał tylko ręce i z niedowierzaniem kręcił głową, przyglądając się wcale zamożnej przecież i nie dzikiej krainie, gdzie kwatery dawano półdarmo, a ktoś z solidnie wypchaną kieską mógł sobie od ręki kupować całe ulice. Piętrowy dom kosztował tyle, co niewolnica. Ale wyższość niewolnicy polegała na tym, że można ją było zabrać z przeklętej ziemi i wywieźć...

Mędrzec Szerni siedział w wielkiej izbie i rozmawiał z gospodarzem, którego zdążył polubić, był to bowiem człowiek uczciwy, na dodatek niegłupi i rozmowny. Znał wieści i niezliczone plotki, a przeszłość miał dosyć bujną, na poły żeglarską, na poły zaś kupiecką – jego ojciec handlował kiedyś z kontynentem i uczynił syna dowódcą własnego statku handlowego. Na handlu właśnie zacny kamienicznik dorobił się domu w Talancie, potem dokupił drugi, zarzucił ryzykowne zamorskie interesy i wiódł spokojne życie, aż wielka polityka przewróciła je do góry nogami.

– Dlaczego tak jest, wasza godność, że uczciwie pracujący człowiek, który nie ma wielkich wymagań i nie szuka guza, musi siedzieć i patrzeć, jak inni rujną cały jego dorobek? Znasz, panie, to powiedzenie, że każdy jest kowalem swego losu? No to powiedz, jaki ze mnie kowal? Co ja sobie, niby, mogę wykuć? Wykułem ten domek – Wyspiarz rozłożył ręce, pokazując ściany, pod którymi niewiele już było sprzętów, bo wyposażenie kolejnych izb właściciel od dawna sprzedawał, a pieniądze przejadał – i chciałem tylko mieć spokój. Byłem wcale bogaty, wasza godność. Córkę ładnie wywianowałem handlową karawelką, bo zięć zmyślny i dobry chłopak, miał kupiecką smykałkę. Synom chciałem zostawić po ślicznej kamieniczce i dorzucić trochę oszczędności. I co? Wiano córki poszło pod wodę, bo tak dzisiaj można prowadzić zamorskie interesy, a ja nawet nie mam jak pomóc. Oszczędności rozplynęły się dawno. Żeby dzisiaj handlować, wasza godność, trzeba mieć wojenną eskadrę do wożenia zboża. Kogo stać, to ma. A ja synom zostawię... no, wiesz pewnie, wasza godność, co; lepiej nie będę już mówił. Wojna za wojną, wszyscy uciekają, chociaż jeszcze żadnej wojny nie ma... Ale będzie na pewno, prawda, wasza godność?

– Będzie.

– Czym ja sobie na to wszystko zasłużyłem, co zrobiłem źle? Jeśli kupuje się dom, to jak można zgadnąć, że za piętnaście lat przyjdzie wojna i okaże się, że ten dom trzeba było kupić gdzie indziej? Co zrobiłem źle, waszą godność?

Filozof Szerni uśmiechnął się, czyniąc swą twarz bardziej kpiarską niż zwykle. Znał sto odpowiedzi i mógłby ciągnąć niezliczone wywody – a wszystkie nic niewarte. Od jakiegoś czasu żywił przekonanie, że o ile stawianie podobnych pytań ma sens – to nie ma go udzielanie odpowiedzi. Rozterki podobne do tych, jakie miał kamienicznik, były stare jak świat, pytanie

zawsze brzmiało tak samo... ale odpowiedzi były różne, bo wciąż od nowa losowane przez rządzące światem siły polityczne, nadnaturalne, moce żywiołów albo jeszcze inne... Wszystkie pospołu.

– Nie wiem, panie – powiedział. – Ale też ci przypomnę pewne powiedzonko: jak byś się nie odwrócił, tak zadek zawsze z tyłu. I wszystko zależy od tego, czy ktoś cię w ten zadek kopnie. Czasem tak, czasami nie.

– Myślisz, panie, że od nas nic nie zależy? Że to wszystko tylko... los? Szczęście?

– Nie, nie wszystko. Zadek warto jednak kierować w stronę, z której nikt nie nadbiega. Ale w końcowym rachunku, ten los, o którym mówisz, i tak może spłatać figla.

– Jednak, wasza godność, nad niebem znajduje się Szerń, która stworzyła cały nasz świat, a my tutaj jesteśmy trochę jakby jej częścią. Przecież ona rządzi tym wszystkim?

Kamienicznik nie wiedział, kim jest jego gość, ten zaś tylko pokiwał głową.

– No proszę, wiesz coś, panie, o Szerni – powiedział bez cienia kpiny. – Ale Szerń jest martwa i głupia. Nie, nie głupia, źle powiedziałem. – Uniósł palec na wysokość ucha i lekko zmarszczył brwi. – Ani mądra, ani głupia. Nieświadoma i bezrozumna. Wielka machineria, taki... wiatrak albo młyn. Wiadomo jednak, do czego służy wiatrak, a do czego Szerń? Nie wiadomo. Najpewniej do niczego. Jej rządzenie światem polegało na ustaleniu pewnych reguł i właściwie na niczym więcej. Jeszcze gorzej: te reguły same się ustaliły, wynikają z Szerni, ale ona przecież ich nie wymyśliła, bo niczego takiego nie potrafi.

– Ale Szerń ma chyba władzę nad losem?

– A skąd. Jest akurat odwrotnie. Czy słyszałeś, panie, legendę o Zapomnianym? – Gotah nie chciał się wdawać w zawile rozważania, bo dość już się w życiu narozwahał i wynikło z tego tylko tyle, że... zadek zawsze z tyłu. Więc ostatnio milsze od rozważań były mu żeglarskie historie o potworach z głębin. – Szerń wyłoniła życie i rozum w Szererze, na straży zaś wspólnych praw, rządzących jej Pasmami i tym wszystkim, co jest pod nimi, postawiła Strażnika Praw Całości. Nieśmiertelną istotę mającą dar rozumienia wszystkiego, lecz poza tym zupełnie bezsilną. To ktoś taki, jak Przyjęci ze Złego Kraju – dorzucił wyjaśniająco. – Ta istota ma postać człowieka, starego i garbatego, noszącego dziwny instrument, który zawsze, wbrew staraniom grajka, wyda z siebie jakiś fałszywy dźwięk. W tej postaci Szerń zakłęła, oczywiście tylko symbolicznie, przyczyny... a właściwie Praprzyczynę wszystkiego. Jeśli pytasz: po co to wszystko? dokąd zmierza? do czego służy Szerń, a do czego rozum? po co stworzono wszelkie życie? – odpowiedzi masz w tej postaci. Otóż przyczyna tego wszystkiego jest, panie, garbata, czyli ułomna, wieczna, groteskowa i fałszywie rzępoląca... Dziwaczna, niezrozumiała i nie mająca sensu. Zresztą pewnie za każdym razem inna.

– Ty sam mówisz, panie, jak jakiś Przyjęty – orzekł z namysłem gospodarz.

– A gdzie tam. Przyjęci, panie, o ile mi wiadomo, szukali w tym wszystkim sensu, nie

bezsensu.

– Szukali i szukali – rzekł od drzwi krzepki czarnobrody mężczyzna, zdejmując z ramion przesiąknięty deszczem płaszcz. – Znaleźli, a potem z dnia na dzień się okazało, że wszystko jest odwrotnie, a nawet nie odwrotnie, tylko nie wiadomo jak. Bez sensu, otóż to. Jesteśmy uczonymi, panie – wytłumaczył, zacierając ręce i rozglądając się, jakby czegoś szukał. – Ja i moi towarzysze. Podróżujemy, szukając tego, co później, sumiennie opisane, trafi do ksiąg, których nikomu nie będzie się chciało czytać. Powinniśmy byli ci to powiedzieć, zanim weźmiesz nas za niebezpiecznych dziwaków.

– A! – niezbyt mądrze, a jednak ze zrozumieniem rzekł gospodarz. – Uczeni. Właściwie... coś takiego chodziło mi po głowie.

– Szukam... kiełbasy – oznajmił Moldorn, znowu rozglądając się po izbie, chodząc tam i nazad, i powtórnie zacierając ręce. – Nie do wiary, jaki jestem głodny.

– Kiełbasa? Zjadłem – przyznał się Gotah.

– O, ja nieszczęśliwy!

– Poślę do gospody – rzekł gospodarz, wstając. – Zagoniłbym żonę do kuchni, ale... trochę już późno. Zasiedziałem się – przyznał, strapiiony.

– Każ nam przysłać, panie, chleba, piwa, wina, kiełbas... i kaszanke! – zawołał Moldorn, unosząc ramiona, jakby tknięty nagłym objawieniem. – Olbrzymią kaszanke, największą jaką mają!

– I gorącą zupę w jakimś małym garnku – dorzucił Gotah, pamiętając o upodobaniach nieobecnego w izbie, sędziwego towarzysza, którego słabe (no i niezbyt już liczne...) zęby najlepiej radziły sobie z kaszą i różnymi polewkami. – A tak przy okazji, zacny gospodarzu...

Sięgnął do bezwstydnie pękatej sakiewki.

– To na poczet wszelkich wydatków i za następny tydzień z góry. Pomieszkamy jeszcze trochę; tak, Moldornie?

– Zgadłeś. Ale nie wiem, czy chodzi o tydzień, bo wygląda na to, że raczej miesiąc... Rok!

Znowu wzniosł ramiona, ale tym razem z wyraźnym zniecierpliwieniem. Uradowany kamienicznik nie zauważył tego.

– Choćby i dziesięć lat, wasza godność – powiedział z tak głęboką szczerością, że krajało się serce. – I niech mnie przeciągną pod kilem, jeśli wspomnę kiedykolwiek o podwyżce czynszu!

Wyszedł spiesźnie, by zamówić posiłek. Choć powiedział „poślę do gospody”, było jasne, że podrepcę sam... Ani Gotah, ani Moldorn nie dostrzegli w domu pacholka.

– „Niech go przeciągną pod kilem”... – rzekł Moldorn, siadając przy stole. – W naszym gospodarzu odezwał się stary żeglarz. I w ogóle zuch. Może trzeba z naszą sprawą iść do niego?

Był to żart; niemniej w głosie Moldorna pobrzmiwała prawdziwa desperacja.

– Niczego nie wskórałeś?

– Nie. Ale wszyscy już się ze mnie śmieją i wytykają palcami. Jestem sławny.

Moldorn od tygodnia przyoblekał się w postać jakiegoś żeglarza-nie-żeglarza, zawadiaki i awanturnika, by szukać najemników gotowych zapolować na morzach Szereru. Wymieniał wysokość zadatku – i cisnął się doń kto żyw. Mówił o jaki okręt chodzi – tłum zaczynał pokładać się ze śmiechu, niedoszli najemnicy rysowali kółka na czole, ktoś s pluwał, kto inny kłął. W Talancie, leżącej na przecięciu najważniejszych morskich dróg Szereru, obok portu wojennego był jeszcze ogromny port przeładunkowy. Codziennie zawijał jakiś statek, zwykle kilka, a zdarzało się, że i kilkanaście – były to żaglowce nie tylko handlowe. Szukali tu szczęścia i okazji różni najemnicy, zrujnowani kupcy, właściciele uzbrojonych łajb będących bardziej już okrętami niż statkami – chętni do służby kaperskiej wszelkiego rodzaju, gotowi przyjąć zlecenie eskortowania załadowanego ciężko statku, konwoju, a zresztą jakiegokolwiek. Zdarzało się czasem, że bogaty armator posyłał na morza najemników mających odnaleźć konkretnego pirata, który zdobył i ukradł mu okręt. Jeśli strata była udokumentowana, a przedsiębiorstwo legalne i niezalegające z podatkami, wojskowy komendant Talanty mógł wystawić imperialny list kaperski, i wówczas najemnicy zgodnie z prawem zarabiali swoje złoto, odbierali przychwyconym morskim zbójom łup, odbity żaglowiec zaś odstawiali zleceniodawcy. Często się przy tym mylili... łatwo przecież dużą kogę pomylić z jakąś inną dużą kogą... Ale kogo to obchodziło? Od armatora poczynając, na komendancie floty kończąc, wszyscy byli radzi, że piraci z listami kaperskimi wyrzynają innych piratów, takich bez listów kaperskich. Grunt, że starannie oznakowane legalne statki handlowe zacni kaprzy omijali z daleka. Omijali zaś we własnym interesie.

– Gdzie jest Yolmen?

– Liczy – odparł Gotah, skinąwszy głową w stronę drzwi wiodących do następnej izby.

– Mógłby już przestać – skwitował skrzywiony Moldorn. – Nawet ja przestałem... a on liczy?

Co jeszcze może wyliczyć?

– Nie wiem. Chyba sprawdza dowody Tamenatha, tak mi mówił, a zresztą sam go zapytaj. Ja się na tym nie znam.

– Tutaj nie ma co sprawdzać, bo ten stary łysol miał rację. Szkoda tylko, że niewiele z tego wynika.

– Wartości dwóch Pasm to niewiele?

– Jeśli nie można wyprowadzić analogii dla pozostałych Pasm, to mniej niż „niewiele”. To nic. Najwyżej ciekawostka,

– No tak, ale to są „nasze” Pasma – przypomniał Gotah.

– Zawieszony w próżni układ bez punktu odniesienia, o potencjale niemożliwym do zweryfikowania.

– Jakoś tam przewidywalny.

– Błądzimy po omacku.

– Nie, bo wiemy, że jest wielki skład prochu i że wybuchnie, jeśli nie zgasimy ognia, który się przy nim tli.

– Nie wiemy, jak wielki skład prochu ani gdzie umieszczony. Sto beczulek prochu w środku miasta czy dziesięć tysięcy na pustyni? A przede wszystkim – ze złością rzekł Moldorn – nikt nie chce gasić tego twojego ognia i wszyscy się ze mnie śmieją, gdy w ogóle wspominam o gaszeniu!

– Może źle się do tego zabraliśmy?

– A jak powinniśmy się zabrać? W jaki sposób szuka się czegoś, co może być, choć nie musi, na pokładzie jakiegoś okrętu na jakimś morzu Szereru, ale może też być na jakimś łądzie Szereru, pod warunkiem, że siedzi tam spokojnie, bo może być dziś tu, jutro tam, siedzieć, chodzić, pływać... no, na szczęście nie latać. – Moldorn bardzo łatwo popadał w rozdrażnienie. – Kiedy wreszcie znajdę to COŚ, to każę mu zdychać tak długo, jak długo trwały poszukiwania. I przysięgam, że ani dnia krócej.

Gotah wzdrygnął się mimowolnie, choć w ponurej przysiędze Moldorna była głównie fanfaronada, obficie podlana bezradnością i gniewem.

– Kesa ją znajdzie. Agary chcą pobawić się w wielką politykę i te pertraktacje są ich władcom na rękę. Nie będą uciekać przed...

– Twoja Kesa znajdzie świństwo, którego szukamy, i pokocha jak rodzoną córkę. Prędzej zdradzi jej wszystko, pogłaszcze po główce i odejdzie, niż pozwoli, byśmy zrobili to, co jest oczywiste dla każdego, tylko nie dla niej. Niczego się od niej nie dowiemy, zapamiętaj sobie moje słowa.

Gotah nie odpowiedział, bo Moldorn mógł mieć rację. Kesa, bez wątpienia najtęższa głowa z ich czworga, była jednak kobietą. Potrafiła dyskutować, spierać się, rozważać argumenty... a kiedy indziej powiedzieć: „Nie, bo nie! I już”. Po kobiecemu też umiała przechodzić do porządku nad oczywistymi sprzecznościami; coś mogło być dla niej zarazem białe i czarne, czemu nie? I, o ile filozof mógł jeszcze podejmować z tym dyskusję, to dwaj matematycy dostawali dreszczy, łapali się za głowy i gotowi byli uczynić go wdowcem.

– Jutro ja spróbuję – powiedział. – Położę trochę po porcie...

– Nie umiesz łązić po porcie i nie wiesz gdzie trzeba łązić – przerwał Moldorn. – Zdaje się, że nie lubisz „jarmarcznych sztuczek”? Będziesz się przemieniał w młodzieńca obieżyświata?

– Korci mnie raczej...

Chciał dokończyć: „by przemienić się w jakąś dziewczynę obieżyświatkę...”, ale Moldorn nie pozwolił mu dokończyć żartu.

– Nie! Podjąłem się i sam zrobię to, co powiedziałem! Nie potrzebuję żadnego wyręczyciela.

Gotah zamilkł.

Moldorn nie zniósłby, gdyby jego towarzyszom udało się to, z czym on sam borykał się bezskutecznie. Historyk Szerni raz jeszcze pożałował, że nie mógł staranniej dobrać pomocników. Nie panował nad nimi. Nie panował nad żoną, która wbrew opinii ich trzech przeprowadzała własny plan. Nie panował nawet nad Yolmenem, który jutro mógł stawić się przed nim i oświadczyć: „To jednak ponad moje siły, Gotahu. Rezygnuję; odchodzę. Przebacz mi”. Przede wszystkim nie panował nad chorobliwie ambitnym, porywczym i zarozumiałym Moldornem, który dostał do ręki zakazane dotąd zabawki i bawił się nimi jak dziecko – głupio, bo choć wreszcie dozwolone, nadal mogły być w niewprawnych rękach niebezpieczne. O większości tych zabawek Moldorn nie wiedział w ogóle nic – to tylko, że je ma. I do furii doprowadzała go bezużyteczna potęga, którą w sobie nosił. Nagle dano mu tak wiele – lecz odmówiono wszechwiedzy. Zrażony kolejnymi niepowodzeniami, potężny a zarazem bezsilny, gotów był zesłać ogniową burzę na Agary i wypalić je do czarnej skały – lecz, niestety, nie wiedział jak zabrać się do tego, a choćby nawet wiedział, to nie było pewności, czy zniszczy w ten sposób Rubin; nie wiadomo było nawet, czy Rubin w ogóle tam jest. Palenie zaś kolejnych mórz i lądów, gdyby nawet było możliwe... Podobnym kataklizmom próbowali właśnie zapobiec. Zatopienie okrętu w celu ugaszenia tłącego się w prochni ognia nie miało przecież najmniejszego sensu. I rozumiał to nawet Moldorn. Pytanie: jak długo gotów był o tym pamiętać?...

– Nie wiadomo, co zrobi Kesa, tu masz rację – pojednawczo rzekł Gotah. – Ale z nas wszystkich ona jedna próbuje używać rozumu. Ma jakiś plan i go przeprowadza. A my tylko miotamy się, robiąc rzeczy, o których nie mamy żadnego pojęcia. Ile razy w życiu brałeś najemników? Znasz się na takich ludziach?

– A na kim miałbym się znać? Zamień z nimi trzy słowa. Więcej i tak nie da rady, bo tylko przywódcy znają aż trzy słowa, cała reszta ma ubogie słownictwo. Chyba że „ladacznica” – rozgadał się poirytowany Moldorn. – O, na określenie tej profesji mają przynajmniej sto słów i bez przerwy ich używają. We wszystkich tawernach śpiewa się teraz *Kurwę*, to chyba pieśń roku. Czy znam się na takich ludziach? Nie gorzej niż na psach, i wystarczy.

– Nie udawaj przede mną głupiego, Moldornie – napomniał Gotah. – Mówię, że nie ma niczego dziwnego w naszych niepowodzeniach. Bo też i nie tyle działamy, co zabijamy czas, więc nie przejmuj się tak bardzo swoją „misją”. Wciąż czekamy na wieści z Kirlanu. W każdej chwili możemy dostać broń do ręki, to zależy tylko od Rameza.

– Nie od Rameza, tylko jego kobiety.

Gotah chciał poprawić: „wyjątkowej kobiety”, ale zmilczał, bo wiedział, co usłyszy. Moldorn kobiet po prostu nienawidził, a była to nienawiść pogardliwa i tak szczerą, że aż uwłaczająca każdemu, kto w ogóle z kobietami rozmawiał. Kesa postawiła na swoim także i dlatego, że gorąco poparł ją Moldorn. Przedsięwzięcie uważał za głupie, ale zgodziłby się na sto razy

głupsze, byle piękna pani Gotaha co rychlej ruszyła na kraj świata. Nie powiedział tego, lecz na pewno żywił nadzieję, że w podróży trafi ją szlag.

* * *

Lecz Przyjęta miała się dobrze.

Za wyspą wschodziło słońce. Spowite poranną mgłą brzegi Wielkiej Agary wyglądały sennie, spokojnie... Na pewno nie złowieszczo. Nawet krępe budowle twierdzy portowej, za którymi wylaniało się miasto, nie straszyły. Uwijały się nad nimi mewy. Przyjęta z ciekawością przyglądała się manewrom zwinnego okręciku, który płynął w stronę jej stojącego na kotwicy statku; już w nocy dostrzegli kilka takich małych żaglowców, bez przerwy patrolujących okoliczne wody. Nikt tutaj nie mógł przypłynąć ot, tak sobie. Żaden statek nie zawinął do Aheli, nie opowiedziawszy się wcześniej surowym wartownikom.

Płynący półwiatrem okręcik, nie refując żagli, mocno pochylony, mijał ich w niewielkiej odległości. Obdarzony mocnym głosem osobnik jął wypytywać przybyszów, kim są i co ich sprowadza do Aheli. Kapitan odpowiedział, bo oznaczenia na żaglach niewiele gospodarzom mówiły. Powielane w niezliczonych egzemplarzach ogromne pękate rejestry, opisujące statki różnych armatorów, stale uzupełniano, ale i tak nikt nie miał rejestru kompletnego. Zresztą, czasem znaki na żaglach fałszowano; wprawdzie nader nieczęsto. Było to dosyć trudne, bo marynarskie oczy bez trudu wychwytywały różnice w budowie kadłuba, szczegółach konstrukcyjnych i zaraz wychodziło na jaw, że trzy białe gwiazdy na niebieskich płótnach jak najbardziej powinna nosić karawela – ale na pewno nie ta... Fałszerstwo udawało się rzadko, żaglowce musiały być naprawdę bardzo podobne. Zazwyczaj więc na pirackich okrętach po staremu stawiano czarne żagle, bo choć niczego nie udawały, to przynajmniej były słabo widoczne.

Wyjaśnienia przybysza wypadły widać zadowalająco – z pokładu okrętu strażniczego padł rozkaz: „Płynicie za mną!”. Kesa z przyjemnością patrzyła na krzątanie majtków stawiających żagle. Dzwonił w kluzie łańcuch kotwiczny. Było coś bardzo pięknego w tym chaosie kryjącym przemyślane działania: zgodna współpraca wielu ludzi, potrafiących tchnąć życie w zbudowaną z desek, lin i płótna konstrukcję. Pełnomorski żaglowiec był bez wątpienia najbardziej skomplikowanym urządzeniem Szereru, a przy tym najbardziej niezawodnym, o ile obsługiwały go wprawne ręce, posłuszne mądrym rozkazom. Kesa nie zakochała się w morzu – „kochać” to by było za dużo powiedziane – lecz polubiła je. Łatwo wierzyła, że są ludzie, którzy z pływaniem po oceanach zwiążali całe życie, chociaż nic ich do tego nie zmuszało.

– Nic nie powiedziałem o waszej wysokości – niepewnie rzekł kapitan, podchodząc. – Ale...

– Bardzo dobrze; słyszałam, co mówiłeś, wasza godność. W porcie poślę na ląd swoich ludzi z pytaniem, czy zostanie przyjęta przez księżną. A ty, panie, przecież naprawdę masz tu sprawy

handlowe.

– Tak, wasza wysokość.

Prostemu kapitanowi kupieckiego statku ani razu nie przeszedł przez gardło pospolity tytuł „jej godności”. Przyjęta najpierw zaprotestowała, ale okazało się, że kapitan prędzej umrze, niżli zatytułuje obecną na pokładzie monarchinię inaczej niż „wysokością”.

Strażniczy okręcik kręcił się w pobliżu, czekając, aż garyjska karawela nabierze wiatru w żagle, po czym poszedł ostro w stronę portu. Przeszedłszy na dziób, delikatnie spryskiwana drobinkami wody, rozbitej w mokrą mgiełkę, Kesa z przyjemnością patrzyła, jak radzi sobie „jej” żaglowiec – smukły, piękny, szybki. Bez trudu dotrzymał kroku gospodarzowi. W łuskach fal migotało słońce, rażąc oczy. Jakies półwierci mili przed potężnym łańcuchem zamykającym wejście do portu, na maszt okręciku poszedł bardzo długi, mieniący się bielą i srebrem proporzec. Wartownik odpadł od wiatru, żeglując ku niskiej, ale za to niezwykle szerokiej baszcie, w ścianie której znikał wąż masywnych ogniwi. Sygnał dostrzeżono, bo z dzwonieniem i zgrzytem ruszyły ukryte za kamiennymi ścianami bębny; łańcuch drgnął i osunął się w fale. Jak potężne musiały być kołowroty, jak wielkie i ciężkie ogniwa, skoro tak dobrze było słyhać ich pracę!

Na „Śmieszce” – bo taką nazwę nosiła garyjska karawela – refowano żagle; chociaż przystań w Aheli powszechnie uznawano za wygodną, to ostrogi podwójnego falochronu, będącego zarazem budowlą obronną, zmuszały do lawirowania i nawet tak zwrotny statek, na jakim płynęła Przyjęta, nie bardzo mógł o własnych siłach wejść do portu – było to celowe utrudnienie. Ale z za falochronu już wypływała łódka furkocząca proporczykami pilota portowego, a za nią dwie wielowiosłowe łodzie holownicze. Mała karawela z mieszanym ożaglowaniem, bardzo zwrotna, łatwo podała hol, zachowując na bezanmaszcie tylko mały skrawek płótna potrzebny do wspomżenia sterowności.

Przeptywali nad łańcuchem; Przyjęta uległa złudzeniu, że głęboko pod powierzchnią przejrzystej szafirowej wody widzi ogniwa pospinane z grubych jak udo, owalnie wygiętych sztab – prawdziwy potwór, wąż morski, który, nagle wynurzając się z otchłani, roztrzaskałby dziobnicę statku i w mgnieniu oka posłał go na dno.

Mijali niezwykle baszty, z których jedna stanowiła zakończenie iglicy falochronu; drugą, obszerniejszą, posadowiono na lądzie. W granicach Wiecznego Cesarstwa, gdzie od tylu stuleci panował pokój, niewiele zachowało się budowli obronnych z prawdziwego zdarzenia, ale te, co zostały, bardzo słabo przywodziły na myśl nadbrzeżne umocnienia Aheli. Kesa z ciekawością oglądała mijane fragmenty fortecy.

– Basteje, wasza wysokość! – zawołał kapitan, który miał przy sterze na tyle pewnych ludzi, że znalazł chwilkę, by stanąć obok dostojnej pasażerki.

Potrząsnęła głową na znak, że nie zrozumiała; wiatr świstał w uszach, syczała zgniatana dziobem woda, za plecami krzyczeli marynarze. Wrzeszczały krążące nad pokładem mewy.

– Basteje! – powtórzył, pokazując palcem. – Takich baszt nie ma nigdzie na świecie! Miejscowi nazwali je bastejami! Stoją na nich działa prochowe, ale jakie! Takich nie ma na żadnym okręcie!

Pobiegł gdzieś. Wrócił nieprędko, bo dopiero wtedy, gdy karawela powolutku, majestatycznie podchodziła do jednego z nabrzeży. Luzowano liny holownicze.

– Agary są małe, ale bardzo bogate... wiadomo. – Spojrzał porozumiewawczo, robiąc dłonią taki ruch, jakby podrzywał gardło. – Nie mogą mieć dużej armii, ale w zamian mają wszystko co najlepsze. Chociaż nie wiadomo, czy najlepsze... Na pewno najdroższe, ale nowe i niesprawdzone. Tylko że, jeśli się sprawdzi... Przed rokiem widziałem tutaj ich wojenne karaki. Dwie, a podobno budowali trzecią. Średnio duże, ale mają tyle dział, wasza wysokość, że jeśli tylko nie rozleci się toto od pierwszej pełnej salwy, to znaczy, wasza wysokość, że po morzach Szereru nie pływa nic, co by wytrzymało ogień tych okrętów. A jeśli tak się okaże, to abordaż, wasza wysokość, przejdzie do historii.

Znów ruszył gdzieś spieszenie, wykrzykując rozkazy.

Po pomoście, dotrzymując kroku karaweli, szli już krzepcy chłopcy portowi, czekający na cumy rzucane przez majtków z pokładu. Załomotał o deski zwój ciężkiej liny, zaraz drugi i trzeci. Pochwycono je, okręcono wokół pachołków, wybrano. Zatrzeszczały listwy odbojowe statku i pomostu, skrzypienie przeniknęło cały kadłub. Dwa wstrząsy, silniejszy i słabszy. Garyjska karawela z ładunkiem dartańskich win cumowała w agarskiej Aheli.

Małe miasto – było jednak na tej wyspie miastem jedynym i w oczach mieszkańców, z których większość nigdy w życiu nie widziała nawet brzegów drugiej wyspy księstwa, a co dopiero mówić o jakimś innym mieście – uchodziło za wielkie. Każdy tutaj obraziłby się śmiertelnie, gdyby nazwać Ahelę „dziurą”. Dziurą mogła być Arba (także zwana miastem przez miejscowych), położona w sercu wyspy przy kopalniach osada wolnych górników; były tam dwie ulice na krzyż – w najdosłowniejszym sensie – a przy nich kilkanaście domów. Ponadto małe koszary wojska, liczne składy i coś w rodzaju szop, gdzie mieszkali zsyłani do kopalń więźniowie. Rzeczywiście dziura.

Lecz z Aheli Agarczycy byli dumni.

Idąca ulicami miasta Kesa łatwo odgadła te uczucia. Poprzedzana przez miejscowych żołnierzy, za plecami zaś mając własnych, z dwoma pachołkami i uzbrojoną niewolnicą u boku, postępowwała w środku wcale licznego orszaku. To zwracało uwagę. Zdziwieni mieszczanie przystawali, oglądali się, czasem kłaniali ni w pięć, ni w dziewięć, przekonani widocznie, że znakomita pani jest kimś bardzo ważnym. W stolicy nieuznawanego przez żaden kraj księstwa do znudzenia oglądano świetnie ubranych, nierzadko dobrze urodzonych przybyszów ze wszystkich stron Szereru, którzy po powrocie do domów skłonni byli z oburzeniem machać ręką na samo

słowo „Agary”, ale bez skrupułów z tymi Agarami handlowali... Takich kobiet nie widywano jednak nigdy. Długa i ryzykowna morska podróż w interesach to nie było przedsięwzięcie, którym mogłaby kierować Garyjka albo Dartanka, o Armektance nawet nie wspominając. Nie dlatego, by w Armeckie kobiety znaczyły niewiele, bo było akurat odwrotnie; powierzano im nie tylko komendę nad statkami, ale i wysokie funkcje w wojsku. Jednak Agary stanowiły kiedyś część Wiecznego Cesarstwa. Garyjczycy, choć nie znosili Wyspiarzy, zacierali po cichu ręce, że ktoś wyrwał znieawidzonemu imperium taki ładny kąsek: dwie wcale bogate wyspy. Podobnie rozumowali Dartanczyzy, ciesząc się świeżo odzyskaną niepodległością. W Armeckie widziano rzecz inaczej. Jeśli nawet jacyś synowie Kraju Równin handlowali z Agarami (a na pewno byli i tacy), to skrywali ten proceder bardziej niż ktokolwiek inny w Szererze. Armektanka Czystej Krwi na Agarach zbytnio zwracałaby uwagę.

Kesa uważała się za Dartankę, chociaż z urodzenia właściwie nią nie była. Z urodzenia była... nikim. Przez trzydzieści cztery lata życia miała status przedmiotu; dopiero od kilku lat mogła uważać się za kogoś, nie coś.

Miasto, choć niewielkie, było jednak zadbane i zamożne. Brukowane ulice w takiej Aheli... no, no. Utwardzano właśnie kolejną; brudni i spoceni mężczyźni – bo upał zaczynał już doskwierać – pracowicie układali okrągłaki w bocznej uliczce, nie mającej żadnego znaczenia dla miasta. Agary były więc wystarczająco bogate, by brukować zaułki swej stolicy. Nigdzie tutaj nie łuszczyły się tynki, nie skrzypiały ponadrywane okiennice. Nigdzie nie wylegiwali się żebracy, wieczorami zaś – Kesa była najzupełniej pewna – prostytutki karnie warowały przy gospodach albo siedziały w domach uciech, bo na pewno nie włóczyły się po mieście, nachalnie zaczepiając przechodniów.

Idąc do dawnego gmachu Trybunału Imperialnego – bo do pałacu w twierdzy obcych nie wpuszczano – Przyjęta poczyniła wiele ważnych spostrzeżeń. Z nikim nie rozmawiając, dowiedziała się tego i tamtego o mieszkańcach; nie spacerując po rynkach i zaułkach, zyskała sporą wiedzę o mieście. Port widziała już wcześniej.

Była na ziemiach dobrze rządzonego i zagospodarowanego, spokojnego księstwka, które na siedzibę piratów wyglądało nie bardziej niż Armekt. Taki Dran na tle „pirackiej” Aheli był istną sadybą zbójców. Czy tego oczekiwała?

Nie, nie tego. Zasięgnęła wieści o Agarach i nie dawała wiary mitom, ale jednak ponura sława zawłaszczonych przez zbójów wysp działała na wyobraźnię. Handel – no, może i tak. Lecz poza tym jakieś tabuny pijanych majtków, hałasujących w porcie i na ulicach; jakieś bójki, dzikie śpiewy, wrzaski... Cuchnące zaułki, niezamieszkane domy. Pirackie miasto, no tak?

Zamiast tego były bawiące się przed domami dzieci, liczne patrole straży miejskiej albo karni, świetnie prezentujący się żołnierze... W porcie uprzejmi urzędnicy i obyty, grzeczny oficer (żaden tam niedźwiedz z głową wypchaną tylko regulaminami), gotów rozmówić się z przybyłą

po dartańsku albo w Kinenie, jeśli sprawia jej kłopot ten nieznośny garyjski... Nie sprawia? „O, jak dobrze, wasza godność, ciężar spadł mi z serca... Łaski dla biednego żołnierza! Bałem się, że ośmieszę mundurową tunikę nieporadnym akcentem”. Skąd tu brali takich oficerów? Z „szarej gwardii” Najgodniejszej Cesarzowej?

Jaka była władczyni tego miasta?

Dochodząc do „pałacu”, Przyjęta z iście kobiecą ciekawością w duszy nie mogła doczekać się spotkania z jej wysokością Alidą, osobą naprawdę niezwykłą. Przed laty – kosztowną prostytutką a zarazem tajną wywiadowczynią Trybunału Imperialnego; potem, w Dranie, wysoko postawioną urzędniczką tej instytucji; następnie jedną z przywódczyń stłumionego garyjskiego powstania, a wreszcie władczynią dwóch oderwanych od świata wysp. Wiedziała o niej to, czego tylko mogła się dowiedzieć – ale, choć umiała zdobywać potrzebne wiadomości, to żadna wiedza nie mogła zastąpić spotkania z żywym człowiekiem.

Jednak zamiast księżnej przyjął ją mężczyzna.

Najstarszy z mędrców Szerni, Tamenath, był przyjacielem Gotaha. Kesa nigdy nie poznała tego niezwykłego, olbrzymiego starca, który zmarł, jakby ustępował miejsca Przyjętej... Lecz Tamenath powierzył Gotahowi tajemnice swego długiego życia, ten zaś powtórzył wszystko żonie. Kesa-Przyjęta nie wiedziała na pewno, ale miała prawo podejrzewać, że stojący przed nią niewysoki mężczyzna w schludnym, lecz prostym stroju, to Raladan, mążnek pani Alidy, najlepszy żeglarz świata, legendarny już za życia pilot znający każdą podwodną skałę w każdym morzu Szereru. Przyjaciół Tamenatha-Przyjętego; przybrany ojciec księżniczki Ridarety; w ogóle zaś nie tyle człowiek, co istota powołana do istnienia przez Bezmiary, za sprawą niezwykłego fenomenu i w niejasnym celu... a może bez celu? Krótko mówiąc, ktoś intrygujący. Co najmniej na miarę niezwykłej małżonki.

Ale księżę Raladan – podobno – bardzo rzadko przesiadywał na Agarach, spędzając w domu właściwie tylko miesiące jesienne, gdy pełnomorska żegluga zamierała. A teraz był środek wiosny. Kesa pomyślała, że mogąc poznać tego człowieka, ma szczęście... albo pecha. O swoich sprawach wolałaby pomówić jednak z księżną Alidą.

Milczał nie dłużej i nie krócej niż doroński Książę Przedstawiciel.

– Zechciej usiąść, pani – powiedział, odprawiając gestem stojącego przy drzwiach żołnierza, a w zamian przywołując ładną niewolnicę z pismem, w którym Przyjęta rozpoznała własny list polecający.

– Wasza wysokość – powiedziała.

Pokiwał głową („tak, tak, tak...”); nie było w tym żadnej udawanej niedbałości, a tylko szczerą niechęć mądrego, ale jednak prostego człowieka, do wszelkich ceremonii i tytułów. Wziął pismo i popatrzył nań, ale tak, jakby nie czytał.

– Słabo czytam – powiedział, unosząc wzrok. – Kapitanowi okrętu czasem się to przydaje,

ale nie tak znów często. Nazwy na morskich mapach to właściwie wszystko, co czytam, a prawdę mówiąc, obyłbym się bez nazw. A w rejestrach żaglowców więcej jest symboli niż słów, karakę oznacza się tak – narysował w powietrzu i przekreślił kółko – kogę tak, a to będzie karawela rejowa ze skośnym na bezanie... Przez całe życie nie nauczyłem się porządnie czytać. Składałem litery i... – zawahał się – sylaby?...

Uśmiechnął się.

– Ale na szczęście dartańska niewolnica z dobrej hodowli czytać umie we wszystkich językach świata. – Podziękował skinieniem dziewczynie w kusej szatce; niewolnica ukloniła się i wyszła. – Agary nie są wyjątkiem – dorzucił trochę od rzeczy. – Także i tutaj niewolnik-mężczyzna jest zbyt cenny, by go używać do domowych posług. Wszystko robią kobiety.

– Ale radzą sobie przecież?...

– Tak.

Trudno to było uznać za podtrzymanie rozmowy.

Raladan odgarnął nieco fałdy szerokiej męskiej spódnicy i wygodnie usiadł na krześle, zakładając nogę na nogę, łokieć zaś opierając na stole. Chociaż żeglarz – to, na szczęście, nie biegał na bosaka; miał skórzane buty z miękkimi szerokimi cholewami sięgającymi wysoko nad kolana, warte więcej niż cała reszta stroju. Ale Kesa uznała, że i gospodarz, i jego strój pasują do wnętrza, urządzonego na armektański sposób, gustownie lecz niebogato – choć, skądinąd, porozwieszane na ścianach okazy broni mogły kosztować sporo. Większe wrażenie zresztą robiły trofea... hm, myśliwskie?... Olbrzymie szczęki rekinów albo podobnych ryb stanowiły trofeum myśliwskie czy rybackie? Podczas morskiej podróży Kesa widziała rekiny. W sieć ani na wędkę tego nie złowiono.

Łowieckie; trofea łowieckie. To było najlepsze słowo.

– List jest do jej wysokości Alidy, ale muszę wystarczyć ja – rzekł gospodarz. – Mówię o moim czytaniu, bo powinnaś wiedzieć, pani, że skazana jesteś na rozmowę z kimś, komu wszystko trzeba będzie wytłumaczyć, i to może nawet dwa razy. Polityka... Do tej pory załatwiłem to i tamto, ale z polityką te sprawy nie miały nic wspólnego. Nic nie wiem o polityce. Dartan ma własną królową, to dla mnie najświeższe wydarzenie polityczne. Ale słyszę, że sprzed trzech czy czterech lat.

Na pewno przesadzał. Ale nie za bardzo. Dlaczego więc to on właśnie przyjmował specjalną wysłanniczkę, której handlowe pełnomocnictwa były przykrywką aż ostentacyjnie nieprawdziwą?... Przyjęta potrafiła czytać w gestach, spojrzeniach, słowach – a i między słowami – z biegłością, której sprostać mogło bardzo niewielu. To nie nadmiar zajęć był przyczyną nieobecności księżnej. I nie podróz.

– Czy jej wysokość... jest chora? – zapytała ostrożnie.

– Jej wysokość zmarła miesiąc temu. Wszystko, co ustaliła z kimkolwiek, na przykład z tobą, pani, zmarło razem z nią. Rozmowy na jakikolwiek temat trzeba teraz prowadzić ze mną.

Kesa milczała przez bardzo długą chwilę.

– Wasza wysokość, jest mi naprawdę przykro. I nie wiem co powiedzieć.

– Cokolwiek, byle nie „wasza wysokość” – szorstko odparł mężczyzna. – Zgaduję, że flota, z którą Agary pozostają w dobrych stosunkach, może komuś się przydać. Komu i za ile, wasza godność? Rozmawiasz z kimś, przed kim czuje respekt kilka tysięcy najemników pływających na własnych okrętach. Nie mówię „z dowódcą najemników”, bo nim nie jestem, te żaglowce mają własnych dowódców i zawijają do Aheli tylko dla własnej korzyści, jest to bowiem jedyny port, gdzie można przeczekać jesień i sprzedać wszelkie towary bez głupich pytań o to, skąd pochodzą. Niczego nie mogę tym ludziom nakazać. Ale mogę kapitanom przedłożyć propozycje, które, jeśli będą dla nich ciekawe... No cóż, dzisiaj jest to flota piracka, a jutro, być może, kaperska. Korsarstwo bywa bardziej intratne niż piractwo.

Ten człowiek, jeśli nawet nie był mężem stanu, to tym bardziej nie był prostakiem ani głupcem. I Kesa, przygotowana na „zabawę w słówka” z intrygantką taką, jak jej wysokość Alida, zrozumiała, że z wdowcem po księżnej niczego w ten sposób nie wskóra. Trzeba było rozegrać rzecz inaczej. Zupełnie, zupełnie inaczej. Ale czy potrafiła?...

Przed przybyciem na Agary uzbroiła się najlepiej jak umiała, a teraz w jednej chwili okazało się, że cały oręż trzeba wyrzucić, bo jest bezużyteczny. Skąd miała wziąć nową broń? I jaką?

Słowo w słowo powiedziała to, co pomyślała.

– Ale czy potrafię? – zakończyła. – Każde pertraktacje to potyczka, a ja nie mam żadnego oręża. Wysłano kobietę do kobiety, dyplomatkę do intrygantki, niewolnicę do prostytutki. A tymczasem do ciebie, panie, należało przysłać po prostu jakiegoś mądrego żołnierza, najlepiej dowódcę eskadry straży morskiej. Lepiej by się z tobą porozumiał, ty zaś z nim.

– Co znaczy: niewolnicę?

Zauważył. Zdradził się z tym, więc naprawdę nie był intrygantem. Wyłowił jedno słowo spośród wielu – więc naprawdę był spostrzegawczy. Upewniwszy się co do obu tych rzeczy, Przyjęta wyjaśniła zwięźle:

– Urodziłam się w hodowli; uzyskałam certyfikat Perły. Kilka lat temu zostałam wyzwolona.

– Dartańska Perła – powiedział.

Prostak popatrzyłby z wyższością – niewolnica to niewolnica; droga, tania, wyzwolona... przecież to wszystko jedno. W gruncie rzeczy.

Raladan odchylił się na krześle, splatając dłonie na kolanie. Od wielu lat nie parał się handlem żywym towarem, ale kiedyś, spieniężając nielegalnie pochwyconych niewolników, bywał w dartańskich hodowlach. Widywał Perły i rozmawiał z nimi, bo nierzadko reprezentowały właściciela.

– Zrobimy tak, wasza godność: ponieważ żadne z nas nie potrafi rozmawiać językiem drugiego, nie będziemy rozmawiać wcale. Powiem swoje, potem ty swoje i rozstaniemy się. A jutro dam odpowiedź: tak albo nie.

– Chyba wiem, do czego zmierzasz, panie.

– Bardzo dobrze. No to mówię swoje: wprawdzie jesteś tylko pełnomocniczką potężnego kupieckiego przedsiębiorstwa – skinieniem głowy pokazał leżące na stole pismo – ale rozmawiamy w cztery oczy, więc problemy handlu bławatnego zostawimy w spokoju. Wiemy, czego chcesz: floty, która puści na dno wszystko, na czym będą pływać garyjscy rebelianci. Mówię: możesz ją mieć, ale nie za darmo i nie myślę o pieniądzech. Pieniądze będą potrzebne żeglarzom, których weźmiecie na swój żołądek; teraz mowa o zysku pośrednika. Agary mają dużo pieniędzy, wasza godność, więc pośrednik ich nie potrzebuje. A czego potrzebuje? Ty mi to powiedz, pani, bo ja nie wiem. Wiedziała moja żona, lecz nie ja.

Przyjęta przypomniała sobie respekt, z jakim kapitan jej statku wypowiedział się o nowych, uzbrojonych w wiele dział okrętach agarskich. Przypomniała to sobie dlatego, że jej misja właśnie szła na dno niczym kamień, zgruchotana salwą z najbliższej odległości. Na zaproponowanych warunkach (zaproponowanych? narzuconych siłą!) mogła pewnie skaptować dla Przedstawiciela dwadzieścia lub trzydzieści żaglowców. Ale w żaden sposób nie mogła załatwić własnej sprawy. Gdzie tu było pole do negocjacji, targów, układów... do rozmów, do wymiany setek i tysięcy słów, spomiędzy których dałoby się wyciągnąć bodaj imię księżniczki Ridarety?... W jaki sposób miała się choć otrzeć o właściwy powód swojego przybycia na Agary?

– Czego potrzebują Agary? Może lepiej wyjaśni ci to, panie, księżniczka Ridareta? To ona prowadziła pertraktacje...

– Z tobą, pani?

– Nie...

– Oczywiście, że nie z tobą, bo wiedziałabyś wówczas, że księżniczka Ridareta była tylko wysłanniczką księżnej Alidy. Mówiła to, co jej kazano, i wracała z odpowiedzią na Agary. Nie prowadziła własnej polityki, nawet jeśli tak to wyglądało. Ale wątpię, by tak wyglądało.

Pustka. Nicość. Kesa pochwyciła pełną garść powietrza.

– Może nadal powinna to robić? Pośredniczyć...

– W czym? Pertraktacje właśnie się kończą. Powiedziałem swoje, teraz czekam, co ty powiesz, pani. Ja odpowiem i będzie po sprawie. Załatwimy wszystko od ręki albo wcale.

– Trudno to nazwać polityką.

– Więc nazwijmy to inaczej, wasza godność – zgodził się jak najprzejmiej.

– A jednak polityczne...

Przerwał jej.

– Przypląnąłaś na Agary, wasza godność, po flotę czy pobawić się w politykę? Flotę możesz

dostać, ale zabawy nie będzie, bo ja nie potrafię bawić się w ten sposób. Jestem żeglarzem i rozmawiaj ze mną jak z żeglarzem, pani. Ostatecznie jak z dowódcą najemników, chociaż mówiłem, że nim nie jestem. Ale to ułatwi porozumienie, bo pertraktacje z najemnikiem to chyba nie polityka? Pytam: co mi proponujesz w zamian za flotę, wasza godność? Chcesz tę flotę czy nie?

– Znasz, panie, odpowiedź.

– A więc chcesz. I w zamian dajesz... – zawiesił głos.

– To sprzedawca wyznacza cenę, nie nabywca.

Westchnął. I skinął głową.

– No dobrze. Chcę gwiazdkę z nieba – oznajmił. – Nie dostanę? Trudno. W takim razie, co mogę dostać? Potargujmy się.

Może nie był politykiem – ale jakim negocjatorem! Kesa traciła grunt pod nogami. Jakakolwiek konkretna odpowiedź oznaczała, że jutro pora wracać na Garrę. Z dobrą wiadomością albo złą, ale obchodzącą tylko Księcia Przedstawiciela.

– To nie takie proste, wasza wysokość – powiedziała bezradnie, bezbronna jak nigdy w życiu, spychana w tył krok po kroku. Nie miała pojęcia jak odzyskać inicjatywę, którą ten mężczyzna tak... właśnie po męsku, stanowczo, wyjął jej z rąk. I ani myślał oddawać.

Patrzył na nią w milczeniu.

– Zaczyna mi się wydawać, wasza godność, że Księżę Przedstawiciel wysłał z misją niewłaściwą osobę... Czy na pewno zależy ci na tym, żeby Wieczne Cesarstwo zyskało flotę kaperską? A może ma ją zyskać ktoś inny?...

Chybił, ale musiała skorzystać z możliwości przeciągania rozmów. To stwarzało przynajmniej cień szansy przeniesienia ich na inny grunt.

– A jeżeli tak? – desperacko skorzystała z otwartej furtki, bo było jej w końcu obojętne, kto zyska tę flotę. Najlepiej, żeby nikt jej nie zyskał; nie po flotę przyplłynęła na Agary.

Wzruszył ramionami i wtedy wreszcie do niej dotarło, że przecież rozmawiają o... najemnikach.

– Mhm – zaakceptował. – I co proponuje ten „ktoś inny”?

Kesa za plecami miała już tylko mur.

* * *

Poselstwo nie było oficjalne i Kesa, choćby chciała, nie mogła skorzystać z gościnności księcia Agarów, który wprawdzie zaproponował jej pałacowe pokoje, ale tak jakby wiedział, że jest to czcza uprzejmość. Przyjęta wynajęła całe piętro w najlepszej gospodzie w mieście, sypiąc srebrem tak hojnie, że dwaj najemcy izb zgodzili się przenieść gdzie indziej. W dużym i naprawdę gustownie urządzonej pokoju jej godność rzuciła się na łóżko i... rozpląkała ze

złości jak dziecko – upokorzona, bezradna i rozgoryczona. Kiedyś podejmowała doniosłe decyzje i prowadziła trudne rozmowy – jeszcze jako Perła Domu przyszłej królowej Dartanu; potem jako Przyjęta mierzyła się z tajemnicami, których umysł zwykłego człowieka w ogóle nie umiał objąć. Czy była zadufana w sobie? Nie, po prostu знаła swoją wartość, miała zaufanie do wiedzy, potrafiła używać rozumu. Czy prowadzenie pertraktacji z jakimiś samozwańczymi suzerenami winno jawić się jej jako wielkie wyzwanie?

A jednak mu nie sprostала. Gorzej: wyszła na głupią. „Zdecyduj się w końcu, wasza godność, kogo reprezentujesz i co masz do powiedzenia” – rzekł spokojnie, ale jednak karcąco, gdy zaczęła wycofywać się z tego, co oznajmiła wcześniej. „Mam dużo czasu, ale nie aż tyle, by ucinąć sobie próżne pogawędki z gadułą”. I mogła to tylko przełknąć.

Przedstawiła ofertę Księcia Przedstawiciela.

Nikt jej nie wyganiał z Agarów. Jednak nazajutrz miała zgłosić się do pałacu po odpowiedź – taką lub owaką, w każdym razie na pewno ostateczną, bo stanowczość księcia poznała już na tyle, żeby wiedzieć, czego się spodziewać. W związku z tym było zupełnie jasne, że dalszy jej pobyt w Aheli wywoła co najmniej zdziwienie. „Śmieszka” wypływała w powrotny rejs za dwa dni, zmierzając do Dranu, a potem do portów zachodnioarmektańskich. Dostojna pasażerka musiałaby chyba udawać chorobę, i to chorobę poważną, by odmówić wejścia na pokład i przedłużyć pobyt na Agarach.

Czas! Chociaż tydzień. Gdyby żyła księżna Alida, rozmowy trwałyby dłużej, bo wysłanniczka Księcia Przedstawiciela miała dla ambitnej agarskiej władczyni różne ciekawe sugestie, zawołowane propozycje, niedopowiedzenia... Dla polityka – wszystko, istny ocean możliwości. Lecz dla najemnika – nic.

Udawana choroba nie wchodziła w rachubę. Ale może jakieś kłopoty ze statkiem?... Kapitan był człowiekiem Trybunału Imperialnego, z grubsza wtajemniczonym w misję „jej wysokości”. Przyjęta jak najstaranniej usunęła z twarzy ślady łez, wezwała służkę i zażądała stroju stosownego do spacerów po mieście, bo szata odpowiednia do rozmów z władcą wyspy nie spełniała tego warunku. Wkrótce, w spiętej pasem długiej czarnej spódnicy i jedwabnej koszuli, na której pysznił się wiązany z przodu, haftowany czarnymi nićmi kaftanik, w asyście dwóch żołnierzy i przybocznej niewolnicy, Kesa zmierzała w stronę portu.

Nadal zwracała uwagę. Towarzyszył jej mniejszy orszak i nie było sukni wołającej „kosztowałam pięćdziesiąt sztuk złota!”, ale wyniosłej urody nie dało się zostawić w gospodzie. Jakkolwiek skromnie upięte były włosy; jakkolwiek brakowało klejnotów – wysoka szczupła blondynka o urodzie (no, przecież!...) hodowlanej dartańskiej Perły, z wygiętymi w wąskie łuki brwiami i spojrzeniem zginającym karki, nigdzie nie mogła pozostać niezauważona.

Jeden z żołnierzy pobiegł przodem, dopytał się o drogę i wrócił, po czym poprowadził tak, by pani nie musiała przebijać się przez przykry, cuchnący rybami i nie wiadomo czym jeszcze

tłum na przyportowym targowisku. Jak na niewolnicę z certyfikatem Perły, Kesa miała bardzo bujne życie, kilkakrotnie zmieniali się jej właściciele (w przypadku Pereł rzadkość) i nie wszyscy byli łaskawi – zaznała niewygód, upokorzeń, bywała zanedbana. Ale „zaniedbanie” w domu dartańskiego magnata-utrójca w jakiej niby stało proporcji do spaceru po targowisku? Kesa tylko raz w życiu dotknęła ręką lnianej koszuli i nie mogła uwierzyć, że w coś podobnego można się przyoblec, nie kalecząc ciała. To „coś”, takie... płótno?... nadawało się najwyżej na worek.

Prawdę mówiąc, Gotah, mędrzec-Przyjęty zwany czasem Podróżnikiem, niewybredny, przywykły do niewygód, z nowo poślubioną żoną miał najpierw same kłopoty. Bardzo chciała być dzielna, ale nie zawsze rozumiała, czego mąż od niej wymaga i dlaczego, na koniec, nie prowadzi jej do swojej sadyby w *Romogo-Koor*, tylko za jej posag kupuje przestronny dom w Dartanie.

Niewygody morskiej podróży Przyjęta zniosła z godnością, choć, *co* prawda, kajutę kazała specjalnie wyposażyć. Poza tym, wyruszając w drogę, zabrała ze sobą kilka zmian pościeli, bo zachodziła obawa, iż najlepsza gospoda w Aheli nie dysponuje niczym odpowiednim (o dziwo, dysponowała). Teraz jednak Kesa wolała ominąć rynek, bo w tłumie nietrudno było zostać przez kogoś potrąconym. Wcześniej, opuszczając port, miała liczniejszą asystę, która mogła odgrodzić ją od ciżby kordonem.

Targowisko zostało z boku, potem z tyłu. Idący przodem żołnierz wkrótce pokazał ręką, ale i bez tego Przyjęta poznała smukły kadłub „Śmieszki” – i po cichu bardzo była dumna, że ma takie „żeglarskie oko”. Maszty u nabrzeży tworzyły istny las. Handlowych statków w Ahelskim porcie cumowało bez liku; podobnego ożywienia należało szukać dopiero na kontynencie, bo żaden port wyspiarski bądź garyjski nie umywał się do tego tutaj. Było niemożliwe, by tak prężny handel opierał się jedynie na zrabowanych towarach. Miniaturowe księstwo z całą pewnością prowadziło też legalne interesy. Przyjęta przypomniawszy sobie, że mówiono jej o łowiskach wielorybów i kopalniach – a z drugiej znów strony, na Agarach na pewno nie było dobrej ziemi uprawnej, podobnie rzecz się miała z lasami, więc mąkę, drewno opałowe, węgiel drzewny i wiele innych produktów należało sprowadzać. Przy takiej sile nabywczej, jaką miały zamożne Agary, był to rynek nieobojętny dla największych kupieckich przedsiębiorstw Szereru.

I Kesa zdała sobie nagle sprawę z tego, co ogląda. A oglądała narodziny morskiego imperium, które wkrótce miało objąć wszystkie Wyspy, najprawdopodobniej także Garę, i stać się przeciwwagą dla mocarstw kontynentalnych. Mocarstw albo raczej mocarstwa, bo Armekt i Dartan na pewno nie mogły pokojowo współistnieć. Szerer był za mały dla dwóch takich państw. Przyszłość miała więc należeć do dwóch imperiów: morskiego i kontynentalnego. O ile świat pod walczącymi nad niebem potęgami w ogóle miał jakąś przyszłość.

Kesa przypomniawszy sobie, jaki jest jej prawdziwy cel przybycia do Aheli. Przyjemnie było o tym nie myśleć, tylko bawić się w zgadywanie, jak dalej potoczy się historia... A tymczasem,

już w zasięgu jej życia, nastąpić mógł koniec historii.

Na mijanym dużym żaglowcu, cumującym nie dalej jak dwieście kroków od „Śmieszki”, prowadzono jakieś prace; nie odbywał się tam chyba zwyczajny załadunek zapasów albo towarów, bo żaglowiec daleki był od gotowości do wyjścia w morze, co poznała nawet Przyjęta: brakowało części olinowania, które najprawdopodobniej w całości wymieniano; te liny, które już były (spamiętanie ich nazw wydawało się niepodobieństwem), wyglądały na całkiem nowe. Umorusani i zdyszani mężczyźni, pokrzykując rytmicznie, zmagali się z grubym sznurem, który przepleciony przez bloczki, podtrzymywał gigantyczną beczkę, wypełnioną nie wiadomo czym – jeśli sądzić po wysiłku robotników, to na pewno ołowiem. Beczka kołysała się nad pokładem. Kilku ludzi pochwyciło oplatające ją liny i kierowało ciężar do otwartego luku ładowni. Przyjęta i jej mały poczet ostrożnie omijali robotników i grupkę gapiów, z których każdy – jakże by inaczej – miał własne zdanie na temat usprawnienia załadunku.

Uczepieni liny mężczyźni runęli na ziemię wprost pod nogi Kesy. Lina pękła; rozkołysana nad pokładem beczka spadła nań z hukiem. Żelazne obręcze wytrzymały i potworna baryła stoczyła się z krawędzi luku, miażdżąc nogi człowieka, który chwilę wcześniej próbował nią kierować. Mężczyzna zawył ochryple; musiał przeżywać katusze, jakby obdzierano go ze skóry. Tu i tam rozbrzmiały okrzyki, wszczęło się poruszenie, nad którym zaraz wziął górę nieprzytomny rechot wydarty z kilkudziesięciu gardel. Wokół krzyczącego, tłukącego ramionami o pokład nieboraka w szarej koszulinie robotnika portowego zbierać się zaczęła załoga żaglowca. Jakiś dowcipniejszy od innych marynarz w mgnieniu oka wytrzasnął skądś parę starych chodaków – pewnie zdjął je z własnych brudnych nóg – i jął jak najzyczliwiej wręczać półprzytomnemu biedakowi, który wciąż dławił się krzykiem. To przepełniło czarę; majtkowie wręcz wyli ze śmiechu. Przerazona Kesa, która nie myśląc o tym, co robi, biegła już nieszczęśnikowi z pomocą, stanęła tuż przy trapie, niezdolna do uczynienia kolejnego kroku. Na jej oczach rozgrywał się koszmar; niewyobrażalna była podłość tych szubrawców, którzy z męczarni i dożywotniego kalectwa – czy nie śmierci? – nieszczęśliwego człowieka urządzili sobie widowisko i zabawę.

Na rufowym kasztelu rozbrzmiał gniewny okrzyk, tak silny, że przebił się przez śmiech. Jakiś wielki mężczyzna z pałąk w dłoni schodził na główny pokład, zaraz za nim szedł jeszcze jeden, a na końcu kobieta. Znalazszy się na dole, wielkolud jął grzmocić pałąk każdego, kto stanął mu na drodze, i majtkom w jednej chwili przestało być do śmiechu. Rzucono się do ucieczki. Kobieta krzyknęła coś gniewnie i ci, co byli najbliżej, z miejsca zawrócili. Przetoczono beczkę, uwalniając straszliwie zmiążdżone nogi leżącego. Dwaj marynarze bezceremonialnie porwali go za ramiona i skowyczącego powlekli na nabrzeże, gdzie został porzucony niczym worek. Podbiegli doń robotnicy, którzy wcześniej trzymali linę.

– Nigdy nie wypłyniemy! – zawołała z gniewem kobieta, zamierzając się tak, jakby chciała

trzasnąć w łeb najbliższego marynarza. – Robota?! To jest gównno, a nie robota!

Marynarz uchylił się i uciekł. Znalaziono już nową linę i przywiązywano do beczki tak spieszenie, jakby za każdą straconą chwilę groziło dziesięć kijów. Kobieta ze złością kopnęła szmatę przylepioną do kałuży krwi na pokładzie, po czym popatrzyła na stojącą przy trapie Kesę. Zdziwiła się. Uważnie obejrzała strój Przyjętej, zerknęła na towarzyszących jej żołnierzy i pobladła, ale bardzo spokojną przyboczną niewolnicę.

– Skąd ktoś taki na tej wyspie, wasza godność? – zapytała z nietajoną ciekawością, spoglądając spod ciemnozielonej, skrywającej lewe oko przepaski. – Chyba od niedawna?

Kesa milczała, z głośno bijącym sercem patrząc na istotę, dla której przepłynęła Bliski Bezmiar Wschodni. Spotkanie było zbyt nagłe. Więc tak... więc rzeczywiście tak właśnie wyglądała jednooka księżniczka Riolata Ridareta. Pół kobieta, pół Rubin... legendarna dowódczyni piratów; ktoś od kogo zależało, być może, istnienie całego Szereru. Przyjęta nie mogła uwierzyć własnym oczom, bo legenda naprawdę wiernie oddawała rzeczywistość.

Księżniczka zeszła po trapie na nabrzeże. Była w szóstym, siódmym miesiącu ciąży, a poza tym w każdym szczególe wyglądała jak wyjęta z tawernianej opowieści o piratach. Chodzące wcielenie taniego gustu, złego smaku, tandety... Nosiła pyszną zieloną suknię, albo raczej wspomnienie po sukni, bo rozcięto ją z przodu od dołu aż po stanik: wзираła spod niej równie świetna, haftowana złotem spódnica, która jednak wydawała się krótka, jako że właścicielka zawiązała ją nie w talii czy choćby na biodrach, ale wysoko nad brzuchem, tuż pod samymi piersiami. Na przedramionach, podobnie jak na kostkach bosych stóp, dzwoniły niezliczone łańcuszki i bransolety, migotały pierścienie na palcach rąk i nóg, a przy uszach kołysały się, nieomal dotykając ramion, wielkie złote koła. Na szyi wisiały perły, złoto, srebro, bursztyny, szmaragdy i co tylko. Czy możliwe, by jakakolwiek kobieta była do tego stopnia pozbawiona gustu?... Przecież miała chyba zwierciadło? Zresztą Kesa przebolełaby wszystko, ale – z jakichś powodów – nie mogła uwierzyć, że przybrana córka chłodnego, rzeczowego mężczyzny, który przyjął ją w bogatym domu, lubi biegać boso z rozpaczliwie brudnymi podszewkami. Dlaczego nie miała butów?... Prości majtkowie dzięki temu lepiej się trzymali na wyblinkach, czy jak tam to się nazywało, ale ona chyba nie musiała łączyć po masztach razem z nimi. Czy aż tak zależało jej na pokazaniu, że ma jeszcze więcej pierścionków?...

Kesa zadała sobie w myślach pytanie, czy ten zacietrzewiony głupiec Moldorn na pewno nie miał racji? Czy to dziwne COŚ, co stało przed nią, w ogóle było zdolne do myślenia i rozumienia? Jeśli nawet miało jakiś rozum, to na pewno nie na miarę piersi... O czym mogła z tym kimś porozmawiać? O Szerni; o złamaniu równowagi Pasm i o wynikających z tego zagrożeniach dla Szereru? O matematycznych twierdzeniach Tamenatha i modelach Yolmena?

Co najwyżej o oczkach pierścionków.

Piratka okrągłym ruchem ramienia odgarnęła do tyłu kędzierzawe włosy, których

wystarczyłoby dla trzech kobiet, i stanąwszy przed Kesą, spoglądała wyczekująco.

– Są gnuśni i nieuważni – powiedziała spokojnie, wskazując ruchem głowy umorusanych mężczyzn, którzy wciąż się pochylali nad okaleczonym kolegą. – To wypadek, jakich codziennie pełno, w tym porcie albo innym... Wasza godność na pewno nie jesteś osobą, która *często* bywa na nabrzeżach portowych, więc nie wiesz, jak wygląda praca zwykłych ludzi. Zechciej mi uwierzyć, że ten niezgrabiasz już za trzy tygodnie będzie najszcześniejszym nierobem na świecie. Teraz nie jest, bo bardzo go boli.

Słownictwo i nienaganna dykcja agarskiej piękności do tego stopnia klóciły się z wyglądem, że Kesa – tak jak każdy, kto po raz pierwszy rozmawiał z księżniczką – poczuła się zbita z tropu. I więcej, bo oszołomiona.

– Najszcześniejszym człowiekiem na świecie?... A dlaczego tak uważasz, pani?

– A dlatego, że jest zatrudniony przy wojsku. To wojenny okręt – wyjaśniła jej wysokość, wskazując kciukiem żaglowiec za plecami. – Na dodatek bardzo wyjątkowy... bo mój. – Uśmiechnęła się z czymś w rodzaju delikatnej kpiny. – Więc remontuje go wojsko. A tutaj, na Agarach, sprawy mają się tak jak w Armeckie: ten człowiek nie jest żołnierzem, ale pracuje dla wojska, więc wojsko będzie mu teraz płaciło rentę, skromną, ale dożywotnią, za którą sprawi sobie drewnianą platformkę z kółeczkami. Na tej platformce będzie jeździł na piwo do najbliższej karczmy, pił, jadł, gadał byle co... Byt ma zabezpieczony, a o nic więcej w życiu mu nie chodzi.

– Trochę srebra w zamian za nogi? Zgodziłabyś się, pani, na taki los?

– Ja nie, i ty też nie, wasza godność. Ale on jak najbardziej. Na ulicach każdego portowego miasta znajdziesz sporo takich żebraków, którzy sami sobie poobcinali palce, żeby łatwiej wzbudzać litość u przechodniów. Nie masz pojęcia, wasza godność, jaka tkwi siła w lenistwie. Mevev! – zawołała przez ramię.

– Kapitana – niewyraźnie odpowiedział mężczyzna zaciągający jedną ręką i zębami supeł na zielonej chustce omotanej wokół przedramienia; ozdoba ta dodatkowo była przewiązana jakimś strzępem, który nie wiadomo co oznaczał – w każdym razie Przyjęta nie wiedziała, choć podobne zielone chustki, przybrane strzępami jakichś starych szmat, dostrzegła u wszystkich majtków na pokładzie.

– Masz pieniądze?

– Ile?

– Daj wszystkie.

Wzięła podaną sakiewkę, przeszła parę kroków i niezgrabnie kucnąwszy, z wydatnym brzuszkiem między kolanami, wetknęła rannemu pieniądze do ręki. Powiedziała coś, dźwignęła się na nogi i odeszła, odprowadzana żalnymi podziękowaniami i... uśmiechem. Kaleka śmiał się przez łzy.

– No i już, świat naprawiony – powiedziała do Kesy księżniczka. – Dostał tyle, ile zarabiał przez dwa lata. Gdyby wiedział, że tak będzie, to już dawno spuściłby sobie coś na nogi... Zadowolona jesteś, wasza godność?

Przyjęta nie wiedziała, co powiedzieć. Prowadziła jedną z najdziwniejszych rozmów w życiu.

– Szukasz w porcie, pani, czegoś albo kogoś? Musisz załatwić jakąś sprawę? Pytam, bo mogę pomóc – powiedziała piratka. – Nie jesteś stąd, a ja... właściwie też już nie, więc może porozmawiamy? Co taka osoba robi na Agarach? To nie wścibstwo, tylko... no, może i wścibstwo. Nudzę się, bo nie wolno mi opuszczać portu. Wypływam stąd najwcześniej za tydzień. Z moimi chłopcami jeszcze się nagadam... – Urwała z nagłym zakłopotaniem, co zaskoczyło Przyjętą bardziej niż wszystko, co wydarzyło się wcześniej. – Już sobie idę, zechciej mi wybaczyć natarczywość, pani – powiedziała i zagryzła usta..

– Nie! – zabrzmiało to tak gwałtownie, że Kesa przestraszyła się własnego głosu. – Ja też chciałabym pomówić z waszą wysokością.

– Czyli wiesz, wasza godność, kim jestem.

– Domyśliłam się.

– Trochę szkoda. Chociaż, z drugiej strony, wszystko jedno.

5.

Moldorn nie kłamał, mówiąc, że w tawernach wszyscy się z niego śmieją; kolejne próby zwerbowania najemników nie miały żadnego sensu. Pomimo oporu towarzysza Gotah ruszył z nim do najpodlejszych knajp w Talancie; już w drugiej, na widok rosnącego osiłka (bo kimś takim uczynił się Moldorn) wstał od stołu gruby marynarz.

– Ty! – powiedział, celując paluchem w przybyłego. – Było mówione, cobyś tutaj więcej nie przyłaził! No to, kita! Nam żadnego smrodu tu nie trza. Nikt tu nie chce z tobą gadać, pomyleńcu.

Poparł go zgodny pomruk.

Stojący z tyłu Gotah pociągnął Moldorna za rękaw. I wyszli na ulicę.

Było późno, ale jeszcze widno.

– Wystarczy – powiedział po grombelardzku Gotah; był to język na Wyspach niemal całkiem nieznany, a jeśli nawet, to na pewno nie w „wysokiej” postaci. W brzmieniu podobny nieco do garyjskiego, tak samo gardłowy, obfitował w niezliczone akcenty i przydechy, bez których stawał się nieledwie szkieletem języka – ale w takiej właśnie formie znany był niemal wszystkim Grombelardczykom; wysoki grombelardzki rozumiało bardzo niewiele. – Chodźmy. To naprawdę jest... głupia zabawa, Moldornie. Nic więcej. Posyłamy księżniczce „podarki” w bursztynowych szkatułkach, szukamy jakichś obwiesiów, którzy... To właściwie dziwne, że nikt dotąd nie dogadał się z tobą. Powiedziałyby taki: „Zgoda!”, wziął zaliczkę i śmiał się do rozpuku, a my moglibyśmy najwyżej poszukać kogoś, kto ścigałby już nie księżniczkę, ale naszego najemnika. Czekajmy na wieści z Kirlanu.

– Nie.

– Skoro tylko tyle masz mi do powiedzenia, Moldornie – rzekł Gotah, bo wreszcie trafił go szlag – to siedź tu i baw się po swojemu. Yolmen i ja płyniemy do Llapmy na spotkanie z posłańcem z Kirlanu.

– To dopiero za miesiąc.

– Niecały. Llapma; ładne dartańskie miasto – z zadowoleniem rzekł Gotah. – I jasnowłose, słynące z urody Dartanki. Co drugi statek z Talanty płynie właśnie tam. Idę popytać do portu.

– Niech tak będzie. Gdzie szukać was w Llapmie?

– Nie szukaj.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że jesteś błaznem albo durniem, a najprędzej dzieckiem. Zegnamy się właśnie, Moldornie, i rad jestem, że nigdy nie zapytałeś, gdzie w Llapmie będzie nas szukał posłaniec od Rameza. To pozwoli nam uniknąć „przypadkowego” spotkania.

– Odrzucasz moją pomoc?

– Pomoc? Skądże znowu, mędrze Szerni. Pozbywam się tylko kłopotu. Tam jest jakaś karczma. – Gotah pokazał palcem. – Nuże, Moldornie, najemnicy czekają! No idź, idź! A jak znów cię przepędzą lub wyśmieją, to przyoblecz się w kamienną skórę i pokaż im całą swą potęgę! Niech znają, psy, swoje miejsce! Bo nie wiedzą, że Przyjęty to ktoś, kto w bójce musi być górą. O, zobacz! – Kpiąc z Moldorna, Gotah coraz bardziej rozpałał swą złość, aż na koniec, dojrawszy w błocie zgniłą marchew, podniósł ją, złamał na pół, cisnął pod nogi i podeptał, nie zważając na zdumienie przechodniów. Wsparł się pod bok i z najsroższą miną pokazał, co zostało u jego stóp. – No i jak? Mmm, potęga i sława!... Możesz ułożyć o tym czynie pieśń. „Jak Gotah-Przyjęty zmiażdżył straszną marchew”.

– I mówisz, że jestem błaznem? – zastanowił się Moldorn.

Gotah pokiwał głową i poszedł w stronę portu.

Gdy ściągnął na nocleg, nie zastał żadnego z towarzyszy. Stanąwszy w progu izby, zaskoczony, przyglądał się gromadzie nieproszonych (a może proszonych? któż mógł wiedzieć, co wymyślił Moldorn?...) gości. Na krzesłach i skrzyniach siedziały dziwaczne osobistości przywodzące na myśl żeglarzy, ale Gotah nigdy w życiu nie widział tak schludnie odzianych, czystych, bez mała pachnących ludzi morza. Była to gromada jakichś przebierańców w nowiutkich koszulach i kubrakach, niewygniecionych spódnicach, nieskalanych błotem trzewikach... jako że niemal wszyscy byli obuci, dziw nad dziwy. Błyszczały wypolerowane klingi zatkniętych za pasy noży, migotały miedziane okucia mieczowych pochew. Wszędzie widać było haftowane fulary, wyszywane rękawy, starannie założone mankiety, zawiązane na równe kokardki troczki kaftanów i koszul. Nic nie rozumiejący Przyjęty wodził spojrzeniem od twarzy do twarzy, aż zatrzymał je na pomarszczonym obliczu siedzącego za stołem chudziutkiego jak patyczek, maleńkiego starucha. Człowiek ten miał lat co najmniej sto; prawdę mówiąc, wyglądał na sto dziesięć. Pił coś z kubka; o ile Gotah dojrzał, ciecz była bezbarwna, przezroczysta – gorzałka albo woda.

Dziadek za stołem odkaszlnął i powiedział:

– Późno wracasz do domu, młodzieńcze. Bardzo późno. Co? Dziewczynki?

Pierwszy raz w życiu Gotahowi całkiem serio przyszło na myśl, że oszalał. Poznawał wnętrze, sprzęty... Na pewno nie zabłądził.

– Mieszkam tutaj – powiedział ostrożnie.

Dziadyga trzepnął kubkiem o blat stołu, wychlustując część zawartości, i rozkaszał się ze śmiechu. Zawtórowali mu wszyscy prócz Gotaha.

– To dobrze, synku... khe! khe! Aaa... To dobrze.

Śmiechy umilkły.

– Mieszkaj sobie – powiedział stary. – Ja tam wcale z tobą mieszkać nie chcę. Masz sprawę

do kogoś, zdaje mi się? Szukasz ludzi, he? To znalazłeś.

– Nikogo nie szukam.

– Jeśli nie ty, to twój załogant – stwierdził stary. – Taki czarny, chudy... albo barczysty ryzawy, to zależy gdzie go oglądać. Tutaj czarny, w knajpach ryzawy. Obiecywał, niech mnie zarzną, złote góry. No to ja (bo biedny, do stu kurew, widzisz, bardzo jestem) pędzę z końca świata, o mało żem kapci nie zgubił, a on mi mówi, że niepotrzebnie. Że mi zarobić nie da. No, nieładnie.

Staruch spoważniał.

– Słuchaj żesz mnie, Przyjęty. Bawicie się tutaj, jak dzieciaki świeczką w stodole, niech mnie powiesz, jeśli nie. A to nie dla was zabawa. Jest takie żeglarskie powiedzenie, że kto wiatr sieje, zbiera burzę. I ja wam zaraz piękną burzę zrobię. Przyplłynął żem tu z Dranu. W Dranie, w tawernie, moi chłopcy posłyszeli od innych, co właśnie stąd przyplłynęli, że ktoś, niech mnie utopia, kręci bacik na Ślepą Ridi. Całą drogę stałem na pokładzie i dmuchał żem w grota, coby szybciej tutaj przyplłynąć. Tak czy nie, do stu kurew? Rudy, gadaj! – wrzasnął do piegowatego dryblasa z pięknie uczesanymi ognistymi włosami. Rozkaszał się. – Stałem czy nie stałem?! Khe, khe?! Dmuchałem?!

– Nie, kapitanie – rzekł Rudy.

Na chwilę zapadła cisza.

– Nie dmuchałem – przyznał się staruch. – Ale przyplłynąłem bardzo szybko. Rudy! Tak czy nie?!

– Tak, kapitanie – rzekł Rudy.

– O! Prawdomówny. Ucz się, młodzieńcze – surowo napomniał gospodarza gość. – Ale o czym to ja... Prawda. Rozejrzałem się tutaj, posłuchałem, popatrzyłem. No, mówię sobie, jeśli Ślepej Ridi szukają nie pomylenie jakiegoś, tylko Przyjęci (aż trzech! a ja oprócz łysego Tamenatha na Agarach nigdy żem nie widział Przyjętego!), to znaczy, że można zarobić. Zgłosiłem się, a ten młody czarny... znaczy, w tawernie to on był barczysty i ryzawy... wyśmiał mnie. Dla niego prawdziwy żeglarz, widzisz, musi być młody, brudny, na bosaka i głupi. Ale ty, panie, wasza godność mądry-Przyjęty, dowodzisz i tym starszawym, i tym czarnym-ryżym-barczystym-wysokim, no to chyba, do stu kurew, rozumu masz trochę więcej. Dogadamy się czy nie? Szybko, panie, bo jak się mamy nie dogadać, to szkoda mi tracić czas. Nie jestem już młody, widzisz, i ze wszystkim bardzo mi spieszno. Gadamy czy nie gadamy? Jak nie gadamy, to pałę chałupę, wyrzucam do wody tych twoich załogantów i już se idę, a niech mnie!...

Staruch lubił mówić. Ale do Gotaha dotarło, że wytworna banda w izbie to niekoniecznie przebierańcy. Wyglądało na to, że nie warto stroić sobie żartów. Dziadunio naprawdę sporo wiedział... a w zamian Gotah nie wiedział zupełnie nic. I po raz kolejny rzekł sobie w duchu, że

wdali się w paskudną historię. Jak to ładnie powiedział rozmówca: bawili się, niczym dzieci świeczką w stodole. Wyglądało na to, że właśnie przyszedł ktoś dorosły i dzieci teraz będą chowały tyłki do kieszeni.

– Przedstaw mi się, kapitanie. Bo „kapitanie”, tak?

– Rudy? – upewnił się staruch.

– „Kapitanie” – potwierdził Rudy. – To jest kapitan Brorrok.

Gotah nie miał pojęcia, czy powinien choć ze słyszenia znać żeglarza o takim imieniu. Coś mu się obilo o uszy... ale Brorrok to było w tych stronach popularne imię. Już prędzej pamiętał, że mówiono mu o jakimś sędziwym piracie, dziadku wszystkich piratów Szereru. Wyglądało, że to właśnie ten.

– Gdzie są moi towarzysze?

– Bezpieczni, młodzieńcze. Bezpieczni. Starszawemu nic się nie stało, ryżawego-czarnego będzie bolała głowa. Ja zem tego nie musiał robić – wyznał kapitan Brorrok. – Ale jak ryżawy-czarny mnie wyśmiał, tom powiedział sobie, że pokażę mu śmichy-chichy. Ja dużo lat żyję na świecie i byle czego, Przyjęty, to ja się nie boję. Szerń Szernią, a pała pałą, jak gadał łysy Tamenath. Ha! Cośmy razem wypili, on gorzałki, ja wody... Bo w pewnym wieku, widzisz, trunek szkodzi – wytłumaczył Brorrok. – Ty jesteś może... imienia już nie pomnę... ale czy ty, wasza godność, nie jesteś dobry znajomek Tamenatha? Mówił mi o Przyjętym, co go zwą chyba Głupkiem, bo ma skrzywione... no... – Brorrok dotknął kącika ust. – Tak go zwą, ale głupi wcale nie jest.

– O mnie mówił. Znałem Tamenatha.

– Znaczy... umarł? Bo na Agarach go nie ma, tyle wiem.

– Umarł.

– Szkoda, niech mnie zatłuką. Niestary był jesz... No, niby starszy ode mnie... – Brorrok szczerze się zasmucił. – Ja nie liczę tego czasu, co wy spędzacie w Złym Kraju, bo on się liczy jakoś... podziesiątnie. Liczę tylko normalnie, ale nawet tak, to on był starszy. No, no, no... A ty masz ile, wasza godność?

– Siedemdziesiąt parę.

– Młodyś.

Brorrok powiódł wzrokiem dookoła.

– Ładnie posprzątane tu macie; znać, że żadna baba nie mieszka. No, ale dobra, bo my tu gadu, gadu... Skoro już się tak dobrze znamy, to nie będziemy pierniczyć trzy po trzy. Chcecie Ślepą Fokę czy nie? Ja się jej nie boję, tylko nie wiem jak zrobić, żebyście wiedzieli, zem dotrzymał umowy. Ucięty łeb w beczulce, bez jężora i z wydłubanym drugim ślepiem, żeby nie gadała i nie patrzyła się. Bo od tego jej gadania i patrzenia czasem jest paskudnie, ona różne sztuczki potrafi... Może być?

Gotah wzdrygnął się mimo woli; otaczający go schludni piraci dostrzegli to i kilku uśmiechnęło się półgębkiem. Nie zanadto, bo kapitan mógłby się rozgniewać... Jakkolwiek groteskowa wydawała się postać starca, Gotah znał się na ludziach i już swoje wiedział. Powinien mieć się na baczości, to naprawdę nie były żarty. Po pierwsze, Brorrok miał Moldorna i Yolmena, a po drugie, nawet gdyby się dało pozabijać wszystkich w tej izbie... Gotah nie wiedział, czy potrafi coś takiego zrobić, bo jeszcze nigdy nikogo nie zabił. I nigdy nie użył sił Szerni. Nie wiedział, do jakich obszarów Pasm się odwołać, a łatwo tu było zrobić błąd. Tylko pomyleniec – jak Moldorn – mógł bawić się w coś, co przypominało otwieranie skrzyń z nieznaną zawartością. W jednej piasek zamiast spodziewanego oręża; w drugiej dwa głodne wilki, a w trzeciej morowe powietrze... Moldorn szukał, przeżył szukanie... i parę rzeczy znalazł. Gotah nigdy nie odważył się szukać.

A zresztą, choćby nawet pozabijał tych ludzi tutaj, to oznaczało tylko tyle, że nazajutrz skona w zaułku, grzmotnięty maczugą w potylicę. Szerń była Szernią, a pała pałą, jak mądrze powiedział Brorrok. I – prawdopodobnie – Moldorn już o tym wiedział.

Gotahowi zachciało się śmiać.

– Łeb w beczulce, mówisz, kapitanie. Może być – powiedział.

– Co ona wam zrobiła? – zaciekawiał się Brorrok.

– Coś... ukradła.

– I chcecie to z powrotem? Co to jest?

– Już nic. Przepadło i nie chcemy tego z powrotem. Chcemy tylko, żeby więcej nie kradła...

Co z moimi towarzyszami?

– Kłopot, hm – powiedział Brorrok. – Zwykle to jest tak, widzisz, że za robotę dawany jest zadatek, a cała reszta potem. Ale Ślepa Ridi?... To raz. A dwa: te twoje załoganty, do stu... Dasz trzy razy tyle, coście obiecywali. Wszystko z góry. Ja dotrzymam słowa. A twoich wypuszczę, nawet dziś. Nie, nie dziś, bo późno już i pora spać... – zmitygował się Brorrok. – Zdrowo jest kłaść się wcześniej i wstawać o świtanie. No, to jutro. Jutro ty dasz złoto, a ja wypuszczę twoich. I od razu płynę, bo stary jestem i nie mogę tracić czasu na nicnierobienie. Dobry interes ubijamy, nie?

– Nie – powiedział Gotah.

– Nie? Znaczy się: niedobry czy że nie ubijamy?

– Niedobry. I nie wiem, czy ubijamy.

Brorrok westchnął.

– Rudy, gadaj z nim – rzekł. – Ja już, do stu kurew, nie mam cierpliwości. Jednak dobrze nazwali go Głupkiem. Ja się zdrzemnę, ty mu powiedz po swojemu. Bo starego to on nie słucha.

Zamknął oczy.

– Kapitan boi się Przyjętych – rzekł Rudy.

– O! – powiedział Brorrok, unosząc palec, ale nie otwierając oczu.

– O północy już nie będzie o czym mówić – wytłumaczył Rudy. – Kapitan nie wie, *co* możesz zrobić, wasza godność, bo jesteś Przyjętym i może nawet potrafisz czytać nasze myśli, więc na wszelki wypadek kapitan kazał o północy zabić twoich towarzyszy. Kapitan jest uprzejmy...

– O! – powiedział Brorrok.

– ...I nie chciał po prostu powiedzieć, że twój towarzysz, wasza godność, wyśmiał go i obraził, więc musi ponieść karę, bo nikomu tego nie wolno robić. To bardzo, bardzo nieładnie.

– Nieładnie! – rzekł z naciskiem Brorrok.

– Wykup towarzysza od kary, wasza godność, dorzuc nawiązkę w postaci dobrze płatnego zlecenia i będziemy kwita. Północ blisko.

– A gdybym nie wrócił do północy?

– To nas już by tutaj nie było. Powiedz tak albo nie, ale pospiesz się trochę, wasza godność, bo jeżeli egzekucji ma nie być, to powinniśmy już iść. Kapitan, wasza godność, nie jest młody i nie może biegać.

– W żadnym razie kapitan nie może biegać – powiedział Brorrok i otworzył oczy. – No to, młodzieńcze, tak czy nie? Było siedzieć spokojnie na zadku i nie bawić się świeczką w stodole. Wpierniczyłeś się, teraz gadaj: tak czy nie?

Gotah pokiwał głową. Miał z Moldornem do pomówienia.

– Niech będzie. Ale nie trzymam tutaj pieniędzy.

– A gdzie trzymasz?

Gotah policzył w myślach.

– Zgoda, dam trzy razy więcej, niż było obiecywane. Ale tylko połowę teraz, resztę po robocie.

– O, uczciwy targ! Takie coś to lubię, targować się zawsze trzeba. Ale ja chciałbym dostać wszystko teraz.

– Nie, bo nie mam – twardo powiedział Gotah. – Mogę mieć, ale za miesiąc, dwa.

– Hm... Do ręki, powiadasz, dasz dwa razy więcej, niż mówił czarny-ryżawy?

– No... prawie dwa razy więcej – troszeczkę ustąpił Gotah.

– A potem, mówisz, resztę?

– Jak dostanę beczułkę i sprawdzę, co jest w środku.

– No dobra.

– Tyle ile obiecałem z góry, mogę mieć najprędzej za trzy dni.

– Przyjdziemy za trzy dni – powiedział Brorrok. – Ty zostajesz. – Pokazał palcem marynarza na skrzyni. – Po północy on też sobie pójdzie – wytłumaczył. – Chodzi o to, młodzieńcze, że wiesz...

Gotah wiedział. Nie miał pojęcia, jak śledzi się ludzi w mroku, ale Brorrok miał prawo być ostrożny.

– Wypuście chociaż jednego. Yolmen jest stary...

– E, taki tam stary... Bez niczyjej pomocy chodzi, taki stary. Mamy umowę i nic już nie zmieniamy, Przyjęty.

– Idziemy – rzekł Rudy do kompanów podpierających ściany.

– Jeszcze jedno słowo, kapitanie.

Brorrok spojrział wyczekująco.

– Nie lubisz jej. Dlaczego?

– Nie lubię – potwierdził starzec. – Bo to nie jest żaden marynarz. Żaden pirat. Zakała. Smród, brud, zbieranina. Śmierdzący żaglowiec, a na nim wypierdki. Znał zem jej ojca, prawdziwego, bo Raladan to tylko jej ojcuje... To był ktoś! To był żeglarz! Wojownik! – Brorrok rozkaszał się. – A co po nim zostało? Gównno. Bo tak cesarscy na nią wołają: nie Ślepa Ridi, nie Foka, tylko Gównno. Nie słyszałeś? A ja, do stu kurew, pływam po tych morzach. Jeszcze pływam. I jak przestanę, to nie chcę, żeby... A, co ci tam będę gadał! Zapłacisz? To dostaniesz jej łeb.

Brorrok wsparł się na ramionach dwóch majtków. Po chwili izba opustoszała. Wtedy skrzypnęły niedomknięte drzwi drugiej izby i Gotah aż uśmiechnął się krzywo... Dwaj czyści, wymyć żeglarze, każdy z tęgą kuszą, minęli go bez słowa i także zniknęli. Zerknąwszy w ciemne okno, Gotah zastanowił się, czy dwaj inni strzelcy nie siedzieli w domu po drugiej stronie ulicy... Dwadzieścia kroków. Najprawdopodobniej byłby trupem, gdyby tylko przyszło mu do głowy coś głupiego.

Znudzony majtek na skrzyni towarzyszył mu przez jakiś czas, wreszcie wyniósł się i on. Gotah mógłby przyjąć każdy zakład, że nie poszedł tam, gdzie pozostali.

Było całkiem jasne, dlaczego sędziwy Brorrok dożył swego wieku. Ten człowiek nie był głupcem: miał rozum, spryt... i chyba wszystko, co trzeba. Niewiele wiedział o możliwościach Przyjętych, ale na pewno umiał dbać o swoją skórę.

W pustej izbie filozof-historyk Szerni wygodnie rozsiadł się za stołem, na miejscu opuszczonym przez Brorroka, i zaczął wreszcie chichotać sam do siebie, choć skądinąd wcale nie było mu do śmiechu. Dziecko ze świeczką... W stodole. Gdyby stu takich mądrali jak on, wymachując Szernią, rzuciło się na wytworną załogę Brorroka, to kilku pewnie by się przedarło.

Naśmiawszy się do woli, Gotah spowaźniał nagle, zerwał się i poszedł szukać gospodarza, bo przyszła mu do głowy nieprzyjemna myśl, że pocziwiec ucierpiał od nieswoich spraw. Spotkał Wyspiarza na schodach, spieszącego w przeciwnym kierunku.

– Wasza godność!... Co to się porobiło! – rzekł mężczyzna, nie tając ulgi i nerwowo przekładając kaganek z ręki do ręki. – Kim wy jesteście, panie? Naprawdę uczonymi? Przez cały

wieczór dwóch takich trzymało mnie i żonę pod nożami...

– Nie skrzywdzili was?

– Nie, ale... nie mogłem pisać słowa. Dopiero co sobie poszli.

– Kapitan Brorrok – rzekł Gotah.

– Kapitan... Brorrok?...

– Znasz to imię?

– Kapitana Brorroka?

Pocziwiec wyraźnie zgłupiał.

– Chodźmy do mnie – rzekł Gotah.

Poszli. Przyjęty pokazał krzesło; Wyspiarz usiadł.

– Tak, jesteśmy uczonymi. Skradziono nam cenne dokumenty i księgi, które jednak nie mają dla nikogo, oprócz nas, wartości. Szukaliśmy więc kogoś, kto je odnajdzie i odkupi dla nas, jeśli nie są jeszcze zniszczone – łąał bez mrugnięcia okiem Gotah. – Mój towarzysz obraził najemnika, najemnik porwał go i... wziął nasze zlecenie siłą. Wszystko będzie dobrze, moi towarzysze wkrótce wrócą. Teraz powiedz mi, panie: kto to jest kapitan Brorrok?

Oszołomiony wieściami gospodarz milczał przez długą chwilę, składając sobie wszystko do kupy.

– Kapitan Brorrok? To byli jego?...

– Jego żeglarze i on sam, we własnej osobie. Kto to jest?

– No, wasza godność... pierwszy pirat Szereru. Odkąd nie ma Demona, pierwszy. Mówią, że jest tak stary...

– Rzeczywiście jest.

– Co i rusz słysząc, że umarł. Każdego roku słyszę to od jakichś... no, będzie pewno od trzydziestu lat. Ojciec, jak mi pierwszy raz opowiadał o Brorroku, to już mówił „stary Brorrok”. Musi mieć ze setkę.

– Ma.

– Ma sto lat?...

– Co najmniej.

– Widziałeś, panie, kapitana Brorroka... I rozmawiałeś z nim?

Gotah westchnął. Gdyby rzekł: „To właśnie ja, gospodarzu, wymyśliłem pismo i wynalazłem proch”, nie spotkałby się z większym podziwem. Był KIMŚ. Rozmawiał z Brorrokiem, królem i pradziadkiem wszystkich morskich mętów.

– Kapitan Rapis, Demon Walki, jak go wołali Dartańczycy – rzekł gospodarz – był większym piratem od Brorroka. Głośniejszym. Podobno Ślepa Foka Ridi, ta piękna, co pływa teraz, to jego rodzona córka. Tylko że Brorrok był długo przed Demonem. Demon zginął, potem, powiadają, jego cień pływał na spalonym wraku, cień też przepadł, a Brorrok dalej pływa.

I chyba tak już zostanie.

– Nieśmiertelny? – zapytał sarkastycznie Gotah i ugryzł się w język, bo już chciał dorzucić: „Jeszcze jeden!”.

– Nie... Tylko niektórzy mówią, wasza godność, że on umarł już dawno. Ale to jest taki sławny ktoś, że ci, którzy z nim pływali, wyciągają, niby, różnych starych dziadów i dla postrachu pokazują wszystkim, że niby kapitan Brorrok dalej żyje...

– O nie, ten był prawdziwy – stanowczo orzekł Gotah. – To na pewno nie był dziadek, którego pokazują dla picu.

6.

W ciągu półtora miesiąca i trochę ledwie trzymający się kupy żaglowiec przemieniono w istne morskie чудо: przy rejach na nowiutkich, należycie usztywnionych masztach pyszniły się ciemnozielone żagle – jeszcze zwinięte, bo okręt szedł na holu. Dostał nowe nadburcie. Oprócz tego w rufowej części kadłuba wycięto dwie furty działowe z każdej strony (takie furty to wciąż jeszcze była nowinka), a w dziobowej części po jednej, bo wysoka wolna burta holka pozwalała na podobny zabieg – okręt otrzymał więc mocniejsze uzbrojenie; w kadłubie i na kasztelach było razem dwadzieścia dział. Wysprzążany pokład i łopocząca wojenna bandera na grotmaszcie – szkarłatne „R” na zielonym tle – dopełniały obrazu całości. Tylko nazwa, niestety, została niezmienną.

W porcie zebrał się tłum gapiów, pragnących ujrzeć na własne oczy zakończenie historii, której początkiem był pożar w gospodzie. Załogom wypływających w morze żaglowców machano na pożegnanie, do portu przychodziły rodziny żeglarzy. Ale teraz to było inne wyjście w morze. Ci tam, na pokładzie, mieli już nigdy nie wrócić, wypływali zaś nie z własnej woli.

Ahelczycy żegnali ich w milczeniu.

Na pokładzie nikt nie machał ręką.

Wypatrywano księżniczki. Pojawiła się na kasztelu rufowym. Chyba szukała kogoś wzrokiem w tłumie, ale nie znalazła.

Raladan jednak patrzył, jak „Zgniły Trup” wychodzi w morze. Stał przy oknie w twierdzy; tym samym oknie, z którego oglądał port, gdy wrócił z ceremonii pochówku żony. Nie rozmawiał z córką od miesiąca... i nie pożegnał się. Najpierw posłał po nią raz i drugi – nie przyszła. Poszedł sam – schowała się gdzieś. W końcu dopiął swego, a wtedy mu powiedziała:

„Ty zostajesz w Aheli, księżę, rządzić księstwem i tym miastem, które mnie wyгнаło na twój rozkaz. O czym chcesz ze mną rozmawiać? Nie mamy już ani jednej wspólnej sprawy i nigdy mieć nie będziemy. Nie zobaczymy się już”.

Odpowiedział:

„To, czy się zobaczymy, zależy tylko od nas”.

„Właśnie tak. Więc nie zobaczymy się”.

„A cała przeszłość, Rido?”.

„W mojej przeszłości nie ma nic, Raladan, co chciałabym pamiętać. Matka widziała we mnie pamiętkę po swoim ukochanym i niewiele więcej, po jej śmierci rodzina mnie wyгнаła, odnaleziony po latach ojciec zgwałcił, gończy pies Trybunału tłukł, aż... w końcu zatłukł... Miałam córki, które chciały mnie zabić, ale wykończyły się nawzajem i zdechły jak na to zasłużyły. Pomogłeś mi się wykaraskać z tych wszystkich okropnych rzeczy, ale były właśnie takie: okropne. I wcale nie chcę o nich pamiętać. A ty co? Chcesz spłaty długu wdzięczności?...”

No więc ja swój dług wobec ciebie właśnie spłacam: odpłynę. Bo zapomniałam dodać, że mój przybrany ojciec i jedyny przyjaciel wypędził mnie, tak jak kiedyś rodzina. Pamiętam, co jestem ci winna, dlatego spełnię twoją zachciankę, odpłynę i nie zabiję cię. A teraz wynoś się z mojego okrętu, parszywcu, zanim każę wlepić ci kije”.

To była ich ostatnia rozmowa.

Ridareta nie wypatrzyła w tłumie Raladana – ale za to znalazła Kesę. Piękna pani nie stała pośród gapiów; była na pokładzie „Śmieszki”, której kapitan tak ciężko zaniemógł, że wyjście statku w morze wciąż było niemożliwe, pomimo słonych opłat postojowych uiszczanych portowym urzędnikom. Ridi uśmiechnęła się lekko, bo dwutygodniowe udawanie choroby musiało być dla dowódcy „Śmieszki” naprawdę bardzo uciążliwe... Ale teraz powinien ozdrowieć. Z dnia na dzień.

Pomachała Kesie i ujrzała podniesioną w odpowiedzi dłoń. Żegnał ją tylko ktoś obcy; dziwna kobieta, która jej zaufała i tak wiele pomogła zrozumieć.

„Obiecuję ci, wasza godność. Dotrzymam słowa” – powiedziała Kesie, gdy widziały się po raz ostatni. „Nie jestem rzeczą, jak to, co we mnie siedzi, mam rozum i wolę, trochę tylko ograniczoną. Niektóre rzeczy muszę robić, ale do Grombelardu w ogóle się nie wybieram. Koniec świata to także mój koniec; do czego mi to potrzebne?”.

„Wierzę ci” – odpowiedziała tamta. „Nie byłam tylko pewna, czy potrafisz aż tak dalece zapanować nad Rubinem, chciałam cię lepiej poznać, zanim zdradzę wszystko... Ale myślę, że zrobiłam dobrze”.

– Bardzo dobrze – powiedziała Ślepa Ridi, jeszcze raz machając w stronę „Śmieszki”.

– Kapitana?

Splotła ręce na brzuchu i odwróciła się.

– Powiedziałam: bardzo dobrze. Miniemy falochrony i jesteśmy wolni jak nigdy – oznajmiła wesoło. – Teraz zechciej wydać rozkazy, zastępco, zanim wyrżnę cię w głupi łeb. I kopnę w leniwą dupę.

Idący dokądś marynarz zarechotał i umilkł, doścignięty spojrzeniem Cichego.

– Ale jakie rozkazy, kapitana?

– No, jakie? – droczyła się.

Mevev wzruszył ramionami.

– Kurs na Małą – rzekła, poważniejąc. – Przecież mówiłam, że tam popłyniemy, nawet majtkowie wiedzą. Jutro cumujemy w Orce. Łaskawi ahelczycy dali nam taki przywilej.

– A! – powiedział pierwszy oficer.

– Byłeś kiedyś w Orce?

– Nie. Po co?

– Też nie byłam. Zawijało się od razu do Aheli. Podobno jest tam już całkiem ładna przystań.

Może jeszcze nie port, ale... Jeśli jest dość wody pod kilem, to wszystko, czego nam trzeba. Sprawdzimy, jak tam wygląda.

– Ta – powiedział oficer.

Ridi nagle parsknęła przez nos i usmarkała się. Zakołysała brzuchem.

– Przyszło mi do głowy coś zabawnego – powiedziała, wycierając nos rękawem. – Urodzę ci córeczkę, chcesz?

Ktoś inny na miejscu Meveva odwróciłby się i wrzasnął do załogi: „Hej, chłopcy! Kapitana urodzi nam córeczkę!”. Ale Cichy zwany był Cichym. Ni to skinął, ni pokręcił głową, po czym zszedł z kasztelu.

– Uśmiechnij się! – zawołała za nim.

Cichy uśmiechnął się i zniknął w kajucie pod kasztele.

– Beczka, synkowie! Od mamuśki! – wrzasnęła do załogi. – Do rana ma być sucha! Ale już!

Załoga zawyła triumfalnie; kilku majtków zaraz wspięło się na kasztel, porwało kapitane, wyhuštało i zrzuciło w dół, prosto w ramiona kompanów. Zdyscyplinowani, karni marynarze już miotali się w ładowni: beczka to beczka, chodziło teraz o to, żeby wybrać największą. Niestety, te z gorzałką wszystkie były takie same.

Mevev wyjrzał na pokład, żeby zbadać źródło zamieszania, ale ujrzał kapitanę obnoszoną wokół grotmasztu – czyli okręt był dowodzony. Uspokojony, na powrót skrył się w kajucie. Kiedy indziej musiałby zebrać siły, by wyznaczyć kurs; Foka nie miała o tych sprawach najmniejszego pojęcia. Gdyby obaj jej oficerowie spili się i wypadli za burtę, okręt może nie poszedłby na dno, ale za to dopłynął do miejsca wybranego wyłącznie przez los.

Do Orki jednak trafiłaby nawet Foka; Mała Agara była tak blisko, że wystarczyło żeglować „na oko”, by wkrótce dojrzeć jej brzegi.

Za iglicą drugiego falochronu, gdy rzucono cumy holownicze, wiosłarze na wracających łodziach oglądali ze zdumieniem pokład holka, gdzie podpici majtkowie szamotali się z jakimiś linami; ktoś spadł z masztu i ryczał, bo złamał nogę, ktoś wyrzaskiwał komendy, a jeszcze inny śpiewał. Na dziobowym kasztele kilku żeglarzy sikało właśnie pod wiatr, radując się śmiesznym efektem. Za ich plecami w rytm muzyki tańczyły dziewczyny bez koszul, obłapiane przez marynarzy, a jedna (czyżby nieżywa?...) była przewieszona przez nadburcie. Wył pokładowy pies (a w rzeczywistości jeden z majtków; na „Trupie” nie było psa). Żaglowiec Ślepej Ridi wychodził w najdłuższy, niekończący się rejs. Bezdomny okręt z blisko dwiema setkami bezdomnych na pokładzie.

Ktoś odpalił jedną z burtowych bombard; kula łupnęła w morze, unosząc ku niebu słup wody. To był chyba pożegnalny salut.

* * *

Wódka z garyjskiej Bagby sprawiedliwie uchodziła za jedną z najlepszych w Szererze – ale samopoczucie załogi było rano niewiele lepsze niż po jakiegokolwiek innej berbelusze. Szarzy na gębach majtkowie czerpali kubłami morską wodę i moczyli łby, przemieszczali się nieskładnie w tę i nazad, burczeli na siebie i klęli. Łatwe wejście do przystani w Orce przedzierzgnęło się w niesłychanie trudny manewr – nic nie poszło jak trzeba i „Zgniły Trup” z żaglami w łopocie i sterem bezładnie szarpanym przez pijaków wyrzwał w solidny pomost, gruchocząc listwy odbojowe. Załomotały w ładowni jakieś źle umocowane skrzynie, część załogi wstrząs zwałił z nóg. Zgrzyt trącego o drewno drewna kaleczył uszy. Rozwścieczona Ridi darła się wniebogłosy, siedząc płasko na tyłku przy barierce na rufowym kasztelu, tam gdzie posadziło ją zderzenie z pomostem. Wyglądało na to, że „Trup” nieprędko się zatrzyma; trąc o pomost, będzie jechał i jechał, jeszcze kawałek po wodzie, potem trochę po lądzie, aż zakotwiczy sto kroków w głębi wyspy. Jednak mądry żaglowiec nie pił tyle, co jego załoga. Zdzierając burtę do białego drewna, skrzypiąc więzaniem, zwolnił na tyle, że zdesperowani marynarze rzucający cumy – pierwsze dwie od razu trzasnęły – a nawet abordażowe kotwice i chwytający pomost bosakami, zdolali wyhamować bieg okrętu. Zaklinowanego jakimś śmieciem kabestanu najpierw długo nie można było odblokować, ale teraz nareszcie zadzwoniły ogniwa kotwicznego łańcucha i wielkie żelastwo plusnęło w wodę. Żaglowiec zatrzymał się, nie tyle cumując, co kotwicząc w porcie. Zaraz rzucono trap. Rozwścieczeni majtkowie momentalnie podzielili się na kilka band: tych od żagli chcieli tłuc wszyscy; ci z kolei biegli na rufę wyrzucić pomstę na durniach trzymających ster. Inni, dzierżący jeszcze w rękach bosaki, mieli się za zbawców żaglowca – więc bosaków nie odłożyli, przeciwnie: chwycili je mocniej i ruszyli ku lubym kamratom. Rozpalającej się bitwie zapobiegła Garda – kilkunastu dryblasów z pałkami i batogami wpadło między ruszające do boju gromady i zaprowadziło porządek.

Rozgniewana Foka niezgrabnie złaźiła z kasztelu; przeklęty bęben nie pozwalał dojrzeć wąskich stopni pod nogami. Ujrawszy wyraz twarzy kapitany, marynarze runęli ku lukom pokładowym i zapchali je w mgnieniu oka, wszyscy jednocześnie próbując zejść pod pokład. Ridi zabrała bat jednemu z gwardzistów i tłukła majtków tak długo, aż ostatni tyłek i ostatnie plecy zniknęły w czeluściach okrętu. Na pokładzie zostali tylko oficerowie i Garda. Kapitana wyrzuciła bat za burtę i bez słowa ruszyła do trapu; wyglądało na to, że zejdzie na ląd i nie obejrząwszy się za siebie, pójdzie dalej, by już nigdy nie wrócić. Dowódca Gardy, stary żyłasty Dartańczyk imieniem Nells, poszukał spojrzeniem oficera, ale żadnego nie znalazł, bo zarówno Cichy, jak i Sayl mieli dość rozumu, by nie brać batów na oczach załogi; mógł od tego ucierpieć autorytet. Rad nierad, dowódca Gardy podjął więc samodzielną decyzję, kiwnął ręką na kilku gwardzistów i pobiegł śladem kapitany.

W leżącej nieopodal wiosce, przemienianej powoli w miasteczko – bo był tam już rynek, dwa murowane domy i coś w rodzaju ulic – pokazowe cumowanie wielkiego żaglowca wywołało

znacznego poruszenie. Na spotkanie Ślepej Ridi zdążyła grupka ludzi, której przewodził zażywny osobnik, wyglądający na jakiegoś urzędnika. Był nim. Zarządca nowo powstałej, wciąż rozbudowywanej przystani dawno już został uprzedzony przez załogę stateczku kurierskiego, dla czyjego okrętu jego przystań ma stać się portem macierzystym.

– Wasza wysokość! – wysapał, przejęty jak nigdy w życiu. – Książę... jego wysokość nakazał zgromadzić wszelkie zapasy... Dostarczono nam mnóstwo, wszystko... To wielki zaszczyt, taki zaszczyt, wyróżnienie! – plótł.

– Nie potrzebuję zapasów – powiedziała. – Gdzie mieszkasz?

– Yyy, wasza wysokość... A o, tutaj, ten dom.

Minąwszy zarządcę, poszła we wskazanym kierunku. Pobiegł za nią.

Zarządca przystani był zarazem, z ramienia księcia Raladana, jego namiestnikiem na Małej Agarze, a więc – nominalnie – urzędnikiem wysokiej rangi. Ale tylko nominalnie. Wielka Agara przypominała miniaturowe państwko ze wszystkim co potrzebne, ale jej mniejsza siostra była tylko pokrytą piaskiem skałą, na której niewiele dało się uprawiać, prawie już nie istniały lasy, mieszkańcy kilku wiosek zaś żyli wyłącznie z rybołówstwa. Byle kamienicznik w Aheli był człowiekiem zamożniejszym i bardziej wpływowym niż książęcy namiestnik na Małej, zarządzający robotnikami na przystani, intendentem i poborcą danin, rybakami w wioskach oraz trzema żołnierzami, przydanymi dla powagi urzędu – wojsko to kwaterowało w chałupce zwanej „wartownią”. Był jeszcze stateczek kurierski, chwilowo w przystani nieobecny. Zesłanie. Najwyższy rangą książęcy urzędnik na Małej Agarze jawił się jako nieszczęsny zesłaniec.

W parterowym murowanym domu, w urządzonej po mieszczańsku izbie księżniczka Ridareta znalazła jakąś wystraszoną kobiecinę otoczoną wianuszkami dzieci. Żona zarządcy była w sam raz na jego miarę. Ridi czuła, że lada chwila zemdleje; dusił ją gniew, a ze wstydu paliły policzki. Dowodziła żaglowcem obsadzonym przez bandę pijaków, pozwolono zaś jej bywać na zdziczałej wysepce, gdzie nie było ani jednego człowieka, który mógłby odezwać się po ludzku. Gdy przemierzała „ulicę”, oglądał ją tłumek nieprzytomnie śmierzących rybami, wystraszonych już na wszelki wypadek stworzeń; niechby tylko tupnęła i krzyknęła, wskoczyłyby wszystkie do morza i zaczęły uciekać w pław, byle dalej. Ale te stworzenia z otwartymi gębami oglądały świetny okręt, który tylko cudem nie rozbił się... w porcie.

Obok drewnianego cebra na podłodze stał dzban z wodą. Ridi napiła się chciwie. W płytkiej wnęce spełniającej rolę spizarki wpadła jej w oko opróżniona do połowy beczułka solonych śledzi i kubek z płynnym czerwonym miodem. A więc mieli tu nawet pasiekę! Uśliniona z łakomstwa, porwała śledzia, zanurzyła w miodzie i pożarła. Żona zarządcy wyspy oglądała te wyczyny z mieszaniną niesmaku i wyrozumiałości. Milczał także zasapany zarządca.

W izbie stawił się Nells, prowadzący kilku gwardzistów. Kapitana jadła śledzie, popijając gęstym miodem prosto z kubka.

– Całą załogę na chąd, na chokładzie zostaje tylko achta – rzekła z pełnymi ustami, zwracając się do dowódcy Gardy.

– Wszyscy na ład, na pokładzie tylko wachta – powtórzył, spoglądając na jednego z dryblasów.

Dryblas pobiegł przekazać rozkaz.

Foka najadła się. Zdjęła ze ściany wianek czosnku i włożyła do barylki ze śledziami. Dołożyła kubek z resztką miodu. Znalazła trochę mąki, trochę mięsa, chleb i kaszę – wszystko trafiło do barylki. W skrzyni pod ścianą były jakieś szmaty. Księżniczka kolejno brała do ręki spódnice, sukieneczyny, kaftany i koszule, oglądała, po czym rozdzierała albo rozcinała nożem. Zgarnęła klamoty z zawieszanej na ścianie półki. Oniemiały i przerażony gospodarz patrzył na to, nic nie rozumiejąc. Jego żona zaczęła cicho płakać. Ślepa Ridi metodycznie demolowała wnętrze domostwa, niszcząc wszystko, co wpadło jej w ręce. W oknach rozpięte były błony – podziurawiła je, lecz w ostatnim znalazła szybkę, sprowadzoną przez gospodarzy wielkim staraniem i kosztem. Wytlukła ją.

Dzieciarnia poryczała się wniebogłoso.

– Wasza wysokość... ale... – powiedział zdławionym głosem urzędnik.

Zapłakana żona pociągnęła go za rękaw, potrząsając głową. Rozumna kobieta. Przygarnawszy dzieci, mocno zagryzła wargi, przeczuwając, że najlepiej będzie milczeć.

Ridi zalała ogień w palenisku wodą z ceberka, rozpruła pierzynę, potłukła dzbanek, z którego wcześniej piła, napluła do cebra z wodą po czym wyszła przed dom. We włosach miała kilka kłaczek pierza.

Między domy wioski powoli wsiąkały pierwsze grupki żeglarzy.

– Mevev – powiedziała – każ zebrać wszystkie dzieci i oddaj je pod opiekę jakimś starym babom. Dzieciaki mają być całe i zdrowe, urwę ci łeb, jeśli nie dopilnujesz. Ten dom za moimi plecami zostaje, wszystkie inne podpalić. Chłopów i baby pod nóż, dziewczyny wyłapać. Niech chłopcy wezmą je sobie na pokład, pozwalam.

Najbliżej stojący żeglarze coraz szerzej otwierali nieprzytomne ze szczęścia oczy. Jakaś grupa wróciła biegiem bez rozkazu na okręt i otworzyła zbrojownię, wyciągając powiązane w pęczki miecze, ciskając na deski topory. Niektórzy mieszkańcy wioski dosłyszeli wydane rozkazy i narastał rozpaczliwy lament. Dowodzący silną grupą Mevev już zgarniał otępiałych rybaków w gromady, sprawnie dzieląc według rozkazów kapitany. Wrzeszczące gówniarstwo odrywano od mamusinych spódnic. Jacyś owładnięci przerażeniem ludzie rzucili się do ucieczki, jedni wzdłuż morza, inni ku wnętrzu wyspy, ale nikt ich na razie nie ścigał.

Siny na twarzy zarządca wybiegł zza pleców księżniczki i gruchnął na kolana, kurczowo splatając palce rąk.

– Wasza... wasza wysokość... Ale za co? dlaczego?... Wasza...

– Przekażesz księciu, że Piękna Ridareta jest mu wdzięczna za wszystko, co dla niej zrobił – powiedziała chłodno. – Ile wiosek jest na wyspie?

Urzędnik z przerażenia zapomniał. Ale Małą Agarę dało się przemierzyć w pół dnia; tu nie było dokąd uciekać ani gdzie się schować. Całą ludność wyspy stanowiło najwyżej kilkuset rybaków. Wobec dwustu piratów ze „Zgniłego Trupa” byli to ludzie bezbronni.

– Zostawię ci trochę starych kobiet, żeby zajmowały się dziećmi. Nie zabija się dzieciaków, bo nie. Bo lubię dzieci – wyjaśniła. – Idź teraz do najbliższej wsi i każ wykopać bardzo duży dół. W każdej wsi niech wykopią. Trupy albo spalcie, albo powrzucacie do tych dołów i zakopcie. Tak trzeba robić, bo inaczej, zanim ktoś przyplynie, będziecie mieli zarazę. Weź to sobie do serca – poradziła. – Szkoda dzieciaków, dużo tutaj tego. Po co mają wyrzucić od morowego powietrza?

Zarządca jął wykrztuszać prośby.

– I niech wszyscy tam na mnie czekają – przerwała. – Nie chce mi się uganiać po tej wyspie. Zapowiedz, że każę zatłuc całą rodzinę każdego, kto ucieknie. Ale z tych, co będą czekali, niektórym może przebaczę i daruję.

Urzędnik płakał jak bóbr, zakrywając twarz dłońmi. Harmider we wsi narastał, chłopcy Ridi tłukli już rybaków i podpalali domy. Wyły psy, ale głośniej od psów kobiety, które niemal rozrywano na sztuki, bo wszyscy chcieli je mieć jednocześnie, a tych młodych i ładnych jak zwykle było za mało. Jakiś uszczęśliwiony pijany żeglarz (widać w nocy pił dłużej od innych i jeszcze nie zdążył wytrzeźwieć), któremu miłość do kapitanicy tak wezbrała w piersi, że już nie mogła się pomieścić, pędził dokądś, ale skręcił, rzucił się komendantce do nóg, z całej siły objął ją za kolana i przytulił policzek do łona, niczym dziecko dziękujące za prezent. Parsknęła śmiechem, rozwichrzyła mu czuprynę, a wtedy pocałował ją w biodro, skoczył na równe nogi i pohukując ze szczęścia, pognął dalej. Ridi ruszyła jego śladem. Pod ścianą coraz mocniej płonącego domu dwie okrętowe dziewczuchy kopały jakiegoś dziada, nieporadnie chowającego się pod grubo ciosaną ławą i zakrywającego głowę reumatycznie powykręcanyimi rękami; kawałek dalej dwie inne trzymały przy ziemi wrywającą się i skowyczącą kobietę z okaleczonymi dłońmi, o dostęp do której tłukli się majtkowie. Kolejny właśnie zrobił co trzeba i został nagrodzony triumfalnym wrzaskiem dziewczyn, które wcześniej zagrzewały go do boju, a teraz mocniej przydusiły ofiarę, bo dziko rzucała się pod nożem, gdy przyciskały jej rękę do ziemi, wyłamując i odcinając kolejny palec – każdy oznaczał jednego oblubieńca. Popatrując dokoła, Ridi dostrzegła między przebiegającymi żeglarzami swojego pierwszego oficera, który tak mocno wziął sobie do serca zalecenia, że osobiście, w asyście dobrze uzbrojonego oddziałku, pilnował bandy półżywych od płaczu dzieciaków. Cztery stare kobiety – wyglądały na pijane albo obłąkane – niczym kwoki próbowały zgarnąć drobiazg pod skrzydła.

– Wszystko jak trzeba, kapitana!

– I tak ci nie zapomnę tego wejścia do przystani! – odwrzasnęła, przekrzykując hałas, który

wprawdzie już nie narastał, ale i tak był prawie nie do wytrzymania. – Już nie jesteś pierwszym oficerem, słyszysz?!

Cichy uśmiechnął się półgębkiem, sięgnął za pazuchę i pokazał jakiś wisior. Zbliżyła się, zaciekawiona.

– Co to?...

Kunstownie oprawiony, na długim łańcuszku kołysał się prześlicznie oszlifowany szmaragd.

– Moje. Chcesz?

– Tu zdobyłeś? – niedowierzała, z zachwytem biorąc klejnot do ręki.

– Głupia jesteś? Jak: tu?... Dawno. Ale trzymałem. Masz.

– Mianuję cię pierwszym oficerem – powiedziała, zakładając łańcuszek na szyję i spoglądając w dół, gdzie bajecznie piękny kamień prawie dotykał brzucha. – Kopnę w tyłek kogoś innego.

– He! – rechotnął Cichy. – Ładna jesteś.

– No! – przytaknęła ucieszona.

Poszła dalej, co jakiś czas zerkając na rozkołysany klejnot. Mevev był taki, jaki był... ale naprawdę potrafił sprawić jej przyjemność. Zżyli się i dobrze rozumieli. Ale drań doskonale wiedział, że kapitana go i lubi, i potrzebuje... Postanowiła trochę wtłuc mu przy okazji. To na pewno nie mogło zaszkodzić.

Do ściany jednej z chałup przybito po obu stronach drzwi jakichś wyrostków z otwartymi brzuchami; jeden był nieżywy albo nieprzytomny, drugi poskrzekiwał, jakby stracił rozum, gapiąc się na serpentynę wiszących do ziemi flaków. Śmierdziało. Jakaś kłęcząca na ziemi kobiecina wybałuszała na to oczy, skowycząc, jakby obdzierano ją ze skóry. Dom nie płonął, ale od innych pożarów zrobiło się niemożliwie gorąco, a dym zaczynał dusić. Kaszląc i ocierając łzy, Ridi zawróciła na okręt, mijając trzy głowy w hełmach, zatknięte na resztkach płotu – miejscowe wojsko zostało więc pokonane. Szła na okręt, bo z rufowego kasztelu też było dobrze widać co się dzieje na brzegu, a poza tym niektórzy, bardziej sprytni od innych majtkowie przywlekli już na pokład parę dziewczyn, mogła więc pogapić się z bliska na różne miłosne zmagania i podokuczać „ogierom”.

Zawsze było to przyjemniejsze od krztuszenia się gryzącym dymem.

W następnej wiosce, oddalonej raptem o milę, znalazła mieszkańców poukrywanych w domach; wyglądało na to, że uciekli tylko nieliczni. Obrzydliwa była pokorna bierność, z jaką te stworzenia przyjmowały swój los. Najmarniejszy z dowodzonych przez nią żeglarzy – była zupełnie pewna – nie mając nic do stracenia, czekałby za ścianą jakiegoś domu z siekierą, wiosłem albo zaostrzonym kołkiem w ręce i umierając, zabrałby ze sobą przynajmniej jednego

prześladowcę. W każdym razie ona tak by zrobiła.

Ale rybojady potrafiły tylko lamentować.

Wrzaski i skowyty przybierały na sile w miarę, jak grupki żeglarzy wpadały do kolejnych domów i wywlekały wieśniaków na zewnątrz. Ridareta skręciła w bok i weszła do chałupy stojącej trochę na uboczu, przystanąwszy wcześniej na chwilę, bo z jakiegoś powodu przykuł jej uwagę słup z drewnianym kołkiem do zawieszania sieci. Przekroczyła próg i ujrzała się przed ciasno skupioną grupką ludzi. Rozbrzmiał krótki, urywany krzyk strachu.

W izbie panował półmrok. Musiała minąć długa chwila, nim księżniczka dostrzegła, że kobieta w środku grupki jest brzemienna. Do jej nóg tulili się kilkuletni chłopcy, obok zaś stali dwaj niestarzy mężczyźni, bardzo podobni do siebie. Chyba bracia.

– Przed dom, smrody – powiedziała i zwróciła spojrzenie w stronę paleniska. – Zanim wyjdiesz, podpal chałupę – poleciła jednemu z mężczyzn.

Odwróciła się... ale nie wyszła.

Przez otwarte drzwi było widać pal do suszenia sieci.

Odwróciła się i raz jeszcze, bardzo powoli rozejrzała po izbie. Mieszkańcy domu nie mogli wyjść, bo zagradyła dostęp do drzwi.

Zatrzymała spojrzenie na twarzy wyższego mężczyzny.

– Stary dziadek... nie mógł już chodzić... – powiedziała. – Kobieta i mężczyzna... i piątka dzieciaków, dwaj chłopcy i trzy dziewczynki... Mieszkali w tym domu. Wiele lat temu, piętnaście... a może dwadzieścia...

Oszołomieni strachem rybacy milczeli.

Ridareta odstąpiła dwa kroki i usiadła na zydłu pod ścianą.

– Tam, przed domem... – powiedziała stłumionym głosem, który ledwie się przebił przez dobiegające z zewnątrz wrzaski mordowanych – stoją słupy do suszenia sieci... Na jednym z tych słupów wisiała dziewczyna w dybach, mówili, że to piratka... Najpierw była trzymana tu, w tej izbie, potem wisiała na palu, potem siedziała pod tym palem... Złapał ją gończy pies Trybunału, taki chudy urzędnik. Też tu mieszkał. Ktoś to... pamięta?

Mężczyźni zaczęli rozumieć, że są o coś pytani.

A nadzieja potrafiła zakiełkować na najbardziej jałowym gruncie.

– Piratka? Ja... Brat też, pani, my... pamiętamy. Tak było, ano. Tak jak wasza dostojność powiedziała.

– I pewnej nocy ta dziewczyna zniknęła, a gończy Trybunału razem z nią. Pamiętacie to?...

Mężczyźni przytaknęli.

Ridi zerwała się nagle i wybiegła przed dom.

– Garda! Gaardaa!!

Usłyszał ją jakiś żeglarz i rozdarł się jeszcze głośniej. Po chwili kilku drabów co tchu

w piersiach pędziło ku komendantce.

– Stać przed drzwiami! Tego domu nie ruszać!

Zawróciła do izby.

– Ten stary dziadzius, który nie mógł chodzić – powiedziała. – Powiedział raz do mnie „córeczko”. Kobieta dawała mi jeść.

– Dziadus dawno umarł – rzekł mężczyzna i z jakiegoś powodu otarł nagle policzki; przecież chyba nie z żalu po zmarłym. – A matusia i ojciec niedawno. Ja wziąłem... wziąłem żonę, a to, pani, to jest mój brat.

– Te dzieci, ci chłopcy, którzy wtedy... To wy?

– Tak, pani.

Zdjęła opaskę z wybitego oka.

– Taka wtedy byłam, tak?... Pamiętam was. Gdzie są wasze siostry?

– Starsze w Aheli posługują... mają dobre życie. Trzecia poszła za mąż i teraz... chyba właśnie... – mężczyzna urwał i nagłym niezręcznym ruchem znowu otarł policzki. – Ano.

Owo wyspiarskie „ano” zabrzmiało jak: stało się.

– Idź stąd! Żonę i dzieciaki już uratowałeś – powiedziała. – No?! Na co czekasz, głupcze, pędź z bratem i ratuj siostrę, może zdążysz! Garda! Wy dwaj za nimi, macie robić wszystko co powiedzą! Kto stanie na drodze, temu w łeb! No szybko!...

Rybak zachłysnął się oddechem, spojrział na brata i żonę, po czym wybiegł, a brat zaraz za nim.

Ridi znowu usiadła na zydłu i patrzyła na kobietę, do której tuliły się ciche dzieci. Nie płakały, ale ich oczy wydawały się wielkie. Nienaturalnie wielkie.

– Spodziewasz się dziecka – powiedziała cicho. – Tak jak ja. Słuchaj, powiedz mi, jak to jest?... Jak jest, kiedy na świat przychodzi płaczące maleństwo, które nie jest przedmiotem, odłamkiem Rubinu, tylko prawdziwym dzieckiem? Płacze, bo chce ciepłego mleka, a wtedy dajesz mu pierś... Najgorzej, jak zaczyna żąbkować... i gryzie. – Dotknęła palcami ust, zapatrzona w jakiś punkt na klepisku. – Wiedziałam, ale już nie pamiętam. Prawie nie pamiętam. Miałam córki i tak się cieszyłam... A potem się okazało, że to nie są moje córki tylko jej... Riolaty – mówiła chaotycznie, bardziej zresztą szepcząc do siebie, niż kierując słowa do pobludłej żony rybaka, która nic z tego nie mogła zrozumieć. – Ja byłam tylko... takim workiem, z którego się wyjmują różne rzeczy. Takim workiem, wiesz?... Teraz znowu jestem czymś takim, stale jestem. Stale i stale.

Kręciła głową.

– Worek z Rubinami... Trzy miesiące ciąży i dziecko... Sześć lat i dorosła kobieta. Brzemenna kobieta. Dziesiątki, setki Rubinów Geerkoto, Ciemnych Porzuconych Przedmiotów. Złych. Nie, nie złych... Tamenath tłumaczył. Nie są złe, są... już wiem: aktywne.

Sięgnęła do uszu, odpięła wielkie kolczyki i położyła na stole. Pospieszenie zaczęła ściągać pierścionki z palców dłoni i stóp, potem bransoletki i łańcuszki. Zdjęła wszystko, co miała na szyi, wieńcząc kopczyk klejnotów przepięknym szmaragdem.

– To dla ciebie i dla twoich dzieci. Prawdziwych dzieci, takich... Żyćcie jak ludzie. Gdzieś, gdzie nie ma wojny, piratów, Rubinów... o ile takie miejsce istnieje. Pamiętam ten dom... Taki stary dziadek, już nawet nie chodził... Powiedział: „jedź, córeczko”. Była tu piątka dzieciaków, dwaj chłopcy i... taka śmieszna mała, szczerbata... To byłaś ty?

Nie słuchała odpowiedzi. Wyszła przed dom, dotknęła pocerniałego od morskiej bryzy słupa, odwróciła się i spojrzała na wieś. Na cichą wioskę wyspiarską, drzemącą pod niskim jesiennym niebem, gdy sztormowa fala nie pozwalała rybackim łódkom wyjść w morze. Jesień; na Bezmiarach pora burz. Pochmurne niebo, wiatr i deszcz...

Coś rozdarło obraz cichej wioski. Na niebie lśniło późnowiosenne słońce, przysłonięte dymami. Wybuchły wrzaski. Jacyś palący się ludzie wybiegali z płonącego domu i rybackimi wiosłami wpychani byli z powrotem do ognia. Pędziło kilku rozradowanych mężczyzn, wlokących na sznurze uwiązaną za nogi kobietę; postrzępione szmaty odsłaniały pościeraną do krwi skórę. Otwarte usta, zalane krwią z rozbitego nosa, zdarty do żywego mięsa podbródek i lśniące, nieprzytomnie wytrzeszczone oczy. Obok kilku drabów kopało coś zwinętego w kłębek, co mogło być człowiekiem, workiem szmat albo dużym psem... Ridareta uniosła ręce do twarzy i zaczęła wyc z przerażenia. Słońce zgasło, zapadła noc. U nabrzeża niewielkiej przystani majaczyła ciemniejsza od mroku bryła olbrzymiego okrętu, z pokładu którego zbiegali ludzie niosący płomieniste żagwie. Kapitan K.D.Rapis, Demon Walki, najsłynniejszy pirat Bezmiarów, przyplłynął po niewolników, między którymi znalazł córkę, o istnieniu której nie wiedział. Ridareta uciekała, ale jakiś mały szczerowaty człowieczek chlasnął ją batem, do którego były przyczepione żelazne haczyki. Szarpnięta, uderzyła głową w ścianę domu, gorąca ciecz zalała jej twarz. Nie wiedziała jeszcze, że straciła oko. Wszędzie wokół mordowano ludzi, szczególnie starców i dzieci, bo to nie był dobry żywy towar, słabeusze umierali w ładowni podczas morskiej podróży. Ridareta zapamiętała swojego dobrodzieja, wędrownego kupca, z którym podróżowała: jakiś grubas siedział mu na piersi, wielką łapą napierał na podbródek i powoli podrzynał gardło, a raczej oddzielał głowę od tułowia, bo skończył dopiero wtedy, gdy trzymała się na samym kręgosłupie. We wsi szalała burza płomieni. Ridaretę prowadzono związaną między innymi spętanymi ludźmi. Uzbrojeni żeglarze śpiewali starą morską pieśń o załodze, która spoczęła na dnie, ale dzięki pomocy braci-marynarzy razem ze swym statkiem wróciła na wody Szereru; piękną pieśń o lojalności i wspólnym losie ludzi morza:

Podmorskie fale zielonym echem

Podwodnej trawy przynoszą szmer.

*Przegniłe dłonie martwego szypra
Na dnie otchłani trzymają ster.*

*A nad powierzchnią niebo się chmurzy
Z mocami sztormu siądźmy do gry.
Śpiewa wiatr w wantach, śpiewa o burzy,
Więc zaśpiewajmy i my.*

– Kapitana! – ryczał Mevev. – Kapitana!

Patrząc nań, wyla jak zwierzę, aż zatkał jej usta ręką i siłą zawlókł w ustronne miejsce, a potem kazał odstawić na okręt. Komendantce czasem odbijało; za jego pamięci czwarty raz. Nie było czym się przejmować.

Znakomity i Godny Przyjacielu!

Chętnie opisałbym drogę, jaką zdążyłem do celu, ale będzie na to czas kiedy indziej. Odgadując niecierpliwość, z jaką bierzesz do ręki ten list, od razu piszę: Jej Cesarska Wysokość zrozumiała, jak doniosłe mogą być skutki powziętej przez Nią decyzji, i przychyliła się do moich próśb. Grombelardzka opowieść, którą znasz, jest prawdziwa: znajdziesz Strażnika Praw w Grombie, pod gruzami gmachu, który był niegdyś siedzibą Trybunału Imperialnego. Wiem, że znałeś Gromb takim, jakim był za stołecznych swoich czasów, powinieneś więc odnaleźć to miejsce. Nie ostrzegam przed niebezpieczeństwami Grombelardu, bo znasz je lepiej ode mnie. Potrzebny wam będzie liczny, dobrze uzbrojony poczet gotowych na wszystko ludzi. Skoro i tak jesteście w Llapmie, to poszukajcie takich w Dartanie. Po minionej wojnie pełno tam wojowników, którzy zasmakowali w przygodach i lupach, ale po tych pierwszych zostały im tylko wspomnienia, drugie zaś roztrwonili. Tacy ludzie chętnie poszukają szczęścia w Grombelardzie, skoro ominęło ich we własnym kraju.

Wiem, że masz potrzebne środki, ale gdyby wydatki okazały się większe niż przewidywałeś, nie zapominaj o mnie. Wciąż jestem człowiekiem majątnym. Wprawdzie przy sobie noszę tylko zwykłą sakiewkę, ale na Twoje żądanie każę wysłać z Sar Soa tyle pieniędzy, ile będzie trzeba.

Na koniec wybacz mi, Czcigodny Przyjacielu, osobisty dopisek, ale muszę z kimś podzielić się nadzieją: nie wszystko jeszcze dla mnie stracone. Wiem, że zrozumiesz, co mam na myśli. Nie zdziwi Cię zatem, że posłucham Twojej rady – a nawet rozkazu! – i zaniecham dalszej zabawy w mędrca Szerni. Nie wiem, czy Pasma mnie przyjęły, ale jeśli nawet tak się stało, to odrzucam ich dar, powodowany zarówno rozumem, jak i sercem. Bądź zdrów!

N.R.M.Ramez

Twój przyjaciel i zawsze dłużnik

Kesa odłożyła list na stół i z namysłem popatrzyła na Moldorna, krążącego po izbie, a chciałoby się rzec: po komnacie. W Llapmie, jednym z najbogatszych miast Dartanu, albo i Szereru, Gotah nie szukał kwater w prywatnych domach, wystarczyła porządna gospoda. To nie była Morska Prowincja... Wprawdzie dartańskie przydrożne zajazdy uchodziły za najgorsze w Szererze, ale te w miastach odwrotnie, oferowały wszystkie wygody. Bo też były bez mała domami schadzek dla dartańskich elit.

Spacerujący tam i nazad Moldorn nie tupał, bo pod nogami miał pyszny kobierzec.

– Przeczytałeś to im? – zapytała.

Gotah wiedział, co żona ma na myśli.

– Prywatne życie Rameza nic ich nie obchodzi – powiedział tak jak ona, półgłosem. – Powiedziałbym Yolmenowi, ale nie Moldornowi. Przeczytałem tylko początek.

– Mądry mężczyzna – pochwaliła. – No cóż, wygląda na to, że cieszysz się szczerą przyjaźnią małżonka Najgodniejszej.

– Jeszcze nim nie jest – zauważył Gotah. – Werena wprawdzie nigdy nie rozwiodła się z Ramezem definitywnie, zawiesiła tylko małżeństwo na pół roku, a potem na kolejne kilka lat. O ile dobrze liczę, mniej więcej za rok książę Ramez znowu będzie jej mężem. Chyba że cesarzowa wręczy mu kolejny list rozwodowy... ale raczej się nie zanosz. Z tego, co pisze Ramez, wynika, że nie.

– Mhm... Uważaj. Nasz przyjaciel Moldorn będzie mówił.

Wciąż półgłosem... ale jednak sporo wyraźniej. Moldorn miał to usłyszeć – i usłyszał.

– To niepotrzebny sarkazm, wasza godność – powiedział. – Niewiele mam do powiedzenia, chcę tylko dopytać, bo nie wszystko dobrze zrozumiałem. Więc księżniczka Riolata Ridareta wie o wszystkim?

– Prawie.

– O tym, że może zniszczyć symboliczne treści Ferenu i wytrącić tym Szerń z równowagi?

– Tak.

– I wie, że szukają jej Przyjęci?

– Powiedziała jej. Jednak swojej tożsamości nie zdradziłam, w jej oczach jestem... kimś, kto wam pomaga.

– Uwierzyłaś jej? Zaufałaś?

– Tak, wasza godność – odparła bardzo chłodno, akcentując grzecznościowy tytuł tak delikatnie, że tylko w jej ustach mógł zabrzmieć jak napomnienie; nigdy nie spoufaliła się z Moldornem. – Czy chcesz, panie, wiedzieć coś jeszcze?

– Tylko jedno. Jak sądzisz, wasza godność: za ile tygodni, a może już tylko dni, twoja nowa przyjaciółka pojawi się w Dartanie?

– A ma się pojawić?

– Wasza godność – powiedział szyderczo Moldorn. – Bardzo krótko jesteście Przyjętą, pozwól więc, że wytłumaczę. Rubin Córki Błyskawic to odbicie dwóch Ciemnych Pasm, które stale ciążyą ku macierzystej Potędze. Księżniczka poszuka więc tego, czego szukać musi.

– Księżniczka nie jest Rubinem.

– Tylko ty tak twierdzisz.

– Tylko ja ją znam.

– Księżniczka całym swym życiem dowodzi, że jest wyłącznie Rubinem.

– Księżniczka całym swym życiem dowodzi, że nim nie jest.

– Różnimy się więc w ocenie.

– Owszem. A dlatego że twoja ocena, panie, bierze się z powietrza. To ocena intuicyjna, babska ocena, wasza godność – oznajmiła z nieskrywanym szyderstwem. – Nie wątpię, że można matematycznie wyliczyć zależności i relacje między Wyklętymi Pasmami a Ferenem, ale w wypadku księżniczki Ridarety matematyka zda się na nic. Za dużo niewiadomych i zmiennych. Natura ludzka jest, jak dotąd, niepoliczalna. Zastosowanie ma tu najwyżej statystyka. A ta, jak wiemy, do jednostek się nie odnosi.

Moldorn chciał coś powiedzieć, ale zrobiła słaby ruch dłonią... i zamilkł.

– Przedstaw mi wzór, matematyku, opisujący syntezę sił Rubinu i charakteru kobiety. Zobaczę ten wzór i wycofam swoje zastrzeżenia.

Moldorn nie miał na to odpowiedzi.

– Więc niech będzie, jak mówisz, wasza godność: babska intuicja – rzekł na koniec. – Mówię, że piękna Ridi zjawi się w Dartanie.

– Tak? Być może. Ale tylko przypadkiem.

– Przypadkiem?

Przyjęta dyskretnie westchnęła.

– Okłamałam ją. Nie jestem naiwna ani głupia, wasza godność. Ufam i wierzę Ridarecie, ale mogę się mylić. Sprawa jest trochę za poważna, by uzależnić jej wynik od oceny jednej osoby, nawet jeśli jest to mądra osoba – Kesa nie zawsze była skromna. – Jeżeli się pomyliłam i Rubin rzeczywiście uderzy symbole Ferenu, to cios trafi w próżnię. Ta dziewczyna niewiele wie o Szerni... Powiedziałam jej, że odbicia Ferenu należy szukać w Grombelardzie. A dokładnie: w Grombie. Przestrzegłam, by tam nie jechała. Obiecała, że nie pojedzie.

Nawet Gotah był zaskoczony.

– Powiedziałaś jej... że odbicie Ferenu jest w Grombie?

– Tak i wskazałam Strażnika Praw jako cel, bo to brzmiało prawdopodobnie. Założyłam, że Strażnik rzeczywiście został tam pogrzebany i będziemy chcieli go odszukać. A jeśli nie, to i tak będzie można sprawdzić, czy przypadkiem po Ciężkich Górach nie włączyła się armia... żeglarzy. Jeśli dowiemy się, że tak było... Wtedy złożę hołd twojej intuicji, panie – obiecała skwaszonemu Moldornowi.

Gotah stłumił niewczesny śmiech, bo mina matematyka była akurat taka, jaką widział po wykupieniu go z niewoli. Brakowało tylko guza na czole. Od czasu spotkania z wytwornymi piratami Brorroka Moldorn trochę spokorniał i stracił zaufanie do wszystkiego, co można wyszarpnąć z Pasm. Chociaż nigdy tego nie przyznał.

– No dobrze – rzekł Gotah pospiesznie, bo obawiał się, że parsknie śmiechem. – Przekonamy się, kto ma słuszość, a tymczasem... Keso, czy jest coś, co powinniśmy wiedzieć? Nie pytam już, czy księżniczka Ridareta zasługuje na zaufanie. Pytam: kim albo czym jest? Opowiedz nam o niej trochę więcej.

– Bardzo ją podziwiam – odparła z głęboką powagą, udając, że nie dostrzega wzruszenia ramion Moldorna. – Jest bardzo silna i... dobra.

Tego już Moldorn nie wytrzymał.

– Jeśli chcesz ze mnie kpić, Przyjęta... – zaczął.

– Wcale nie – przerwała. – Nie złość się na mnie, wasza godność. Posłuchaj, proszę, co mówię. Jest dokładnie tak, jak przewidziałeś dzięki swoim obliczeniom... a muszę im wierzyć, bo choć jesteś niemożliwy jako człowiek, to zarazem genialny jako matematyk, co przyjąłam do wiadomości.

To nie było pochlebstwo; Przyjęta potrafiła chłodno ocenić rzeczywistość.

– Skądinąd to oczywiste, że skoro Feren zbudowany jest ze Smug oddzielonych od wszystkich Pasm, to jego odbiciem jest po trosze wszystko w Szererze, bo każda rzecz i każde zjawisko jest symbolem jakiegoś okrucha treści Szerni. Rubin rzeczywiście jest więc skłonny napierać... może lepiej powiedzieć: atakować i niszczyć wszystko. Najzupełniej wszystko. Ale ta dziewczyna w jakiś sposób skierowała jego siłę do wewnątrz. Nie przerywajcie mi, proszę, zaraz skończę, a wtedy będziemy dyskutować... Wydaje mi się, że Ridareta wymusza na Riolacie tak dużą aktywność, że niewiele jej zostaje do działań... do działań... Nie wiem jak to powiedzieć?... Innych działań. Zewnętrznych. Nie mogę tego twierdzić na pewno, ale wydaje mi się, że sto innych osób na miejscu księżniczki siałoby zniszczenie po prostu na prawo i lewo. A ona? Ona jest nikim więcej, jak tylko królową piratów, taką jak jej ojciec, na pewno nie bardziej okrutną, nawet nie bardziej aktywną. Zestawcie tych dwoje ludzi; porównajcie, proszę. Kapitan Rapis przecież nie nosił w sobie Rubinu, nie był Rubinem w żadnej mierze. On go tylko... po prostu miał przy sobie. A ona jest jego treścią przesiąknięta do cna, do dna duszy. Powinna być istnym demonem zbrodni, a tymczasem cała jej występna aktywność to... piratowanie. Czyli nic nadzwyczajnego. To są, oczywiście, okropne czyny i zbrodnie. Ale ani większe, ani bardziej przerażające od setek i tysięcy innych zbrodni, jakie były, są i będą popełniane. To nie ją, lecz jej ojca zwano demonem, Demonem Walki... Podziwiam ją – powtórzyła. – I chcę wierzyć, że ma w sobie dość siły, by pozostać tylko piracką księżniczką, niczym i nikim więcej. A to już nie nasza sprawa. Od ścigania piratów jest straż morską, nie Przyjęci.

Słuchali uważnie.

– Dobrze, Keso – powiedział Gotah, który był w żonie na zabój zakochany, ale tylko, rzecz by można, prywatnie; jako *lah'agar* atakował ją z innych pozycji niż Moldorn, choć wcale nie rzadziej. – Ale może księżniczka nie miała dotąd okazji, by stać się tym „demonem zbrodni”?

– Czy naprawdę nie miała?

– Jaką jednak dasz nam gwarancję, że tak będzie zawsze? Że nic się nie zmieni; że księżniczka Ridareta zawsze będzie panować nad Riolatą? Według pojęć każdej istoty w Szererze ta dziewczyna jest nieśmiertelna. Jeśli nie dziś albo jutro, to może za dziesięć,

pięćdziesiąt albo sto lat zrobi swoje?

– Czyli co? Każe zgładzić sto tysięcy ludzi? Jeśli nawet każe, jeśli nawet będzie miała możliwość wprowadzenia takich zamierzeń w czyn, to Przyjętym chyba nic do tego? A może przeciwnie: nagle zaczniemy naprawiać niedobry świat?

– Wiesz, że mówię o zachwianiu równowagi. O Ferenie.

– Ależ, historyku... Księżniczka może i jest nieśmiertelna, ale za to odbicie Fereny jest śmiertelne. Wydaje się, że ta emanacja sił Szerni rzeczywiście raz na kilka wieków przybiera postać Trzech Sióstr. Niemniej jednak pozostaje tylko symbolem Fereny. Żadna z Sióstr nie jest nosicielką treści Szerni i oboje wiemy o tym najlepiej. Zwłaszcza ty. Wiesz, kim jest królowa Ezena, lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. I tak samo dobrze znasz jej niewolnice. Wszystkie trzy. – Uśmiechnęła się i było w tym dużo przekory.

– Tylko dwie są Siostrami. A trzecia już nawet nie jest niewolnicą – wytłumaczył z największą powagą Gotah, nie bacząc na tłumioną złość Moldorna, któremu małżeńskie zarciki i przekomarzenia podobały się jak zdechły szczur. – Jest...

– ...twoją żoną. No dobrze... A wy? Co wskóraliście?

Gotah znowu powściągnął uśmiech. Zostawiając smakowite szczegóły na później, najogólniej opowiedział o Brorroku i tym, czego stary kapitan się podjął.

– Jeśli ten starzec wywiąże się z obietnicy, to... będzie mi jej żal. Ridarety – powiedziała, przemyślawszy nowiny. – Ale to tylko zwykłe porachunki między piratami, nic z czym nie miałyby do czynienia na co dzień. To jej życie i jej własny los. Prędzej albo później... może Brorrok, a może ktoś inny... Jest nieśmiertelna, ale nie niezniszczalna.

– Jest zbrodniarką, która powinna skowyczeć na placu kaźni – spokojnie powiedział Moldorn.

– Ty zaś, panie, jesteś zwykłym głupcem, uzdolnionym matematycznie, ale tylko tyle. Jakich nagród dla niej żadasz za dobre uczynki, skoro tak skwapliwie domagasz się kary za złe?

– Mam już dosyć tych połajanek, wasza godność – w głosie Przyjętego zabrzmiało poważne ostrzeżenie. – W końcu przebierze się miarka.

– I co wtedy zrobisz, królu wszystkich głupców?

– Przestańcie – zażądał Gotah.

– Nie, bo życzę sobie usłyszeć odpowiedź – rzekła Przyjęta, swobodnie odchylając się na oparcie krzesła i leciutko unosząc swe królewskie brwi. – Jego godność Moldorn jest gburem, nędznikiem i głupcem nad głupcami; obecność kogoś takiego w naszym gronie uważam za dotkliwą karę. Tylko za co?...

– Keso...

– Nie – ucięła; Gotah jeszcze nigdy nie widział żony takiej. – Pomyśl, że bardzo bliska jest chwila, gdy usłyszysz ode mnie: jego godność Moldorn albo ja. I będziesz musiał wybrać,

niestety.

– Nie mówisz tego poważnie.

– A skądże, żartuję sobie... Jesteś gburem, głupcem i nędznikiem, Moldornie – rzekła wprost do matematyka. – Co ty na to? Czy smagniesz mnie wyrwanym z Pasm płomieniem? A może zamienisz w kamień?

Zaległa krótka cisza. A potem, zupełnie niespodziewanie, Moldorn zaczął się śmiać.

– Zamienić w kamień?... Ty już jesteś kamieniem, Keso – powiedział całkiem życzliwie. – Jak pewnie słyszałaś, wasza godność, miałem w życiu trochę do czynienia z kobietami... Jedna z nich była nawet Przyjętą, a do tego moją żoną, bo to niezupełnie bajki i plotki. Ale Slava nie była taka jak ty. Trochę szkoda. Przebacz mi gburowate zachowanie. Głupoty nie zarzucaj, bo ten zarzut mija się z prawdą. A nędznikiem mam prawo być, bo walczę o słuszną sprawę i liczą się moje czyny, nie natura.

Udało mu się zaskoczyć Przyjętą.

– Jednak trochę się zapędziłeś – powiedział po chwili Gotah. – Przecież zaraz powiesz, że i czyny w gruncie rzeczy się nie liczą, bo ważny jest cel, a słuszny cel usprawiedliwia wszystkie środki... To twierdzenie nie jest nowe Moldornie.

– Ani nowe, ani fałszywe. Oby wiara w człowieka i dobre intencje Kesy okazały się dla świata bardziej zbawienne niż podłość nędznika Moldorna... Ale to raczej podły Moldorn zbawi świat. A dlaczego? Bo tak to już jest. Śpijcie dobrze, a ty, piękna pani z kamienia, jeszcze raz przyjmij moje przeprosiny. Chyba zawsze będę twoim oponentem, lecz bodaj nigdy wrogiem.

– Dlaczego nigdy nie rozmawiasz ze mną w taki sposób, Moldornie? – zapytała z wymówką, ale bardzo łagodną, płacąc matematykowi za nieoczekiwaną uprzejmość.

– Bo nie mam do tego cierpliwości. Bo przez całe życie słucham, że „z jednej strony... ale z drugiej strony...”. Jeśli nawet jestem nędznikiem, to bardzo mi zależy na Szererze. Chcę go ocalić i nie będę oglądał się na nic. A sądy, które wygłaszam, wyglądają może na pochopne, jednak biorą się nie tylko... z tego, co nazwałaś „babską intuicją”, czyli z wewnętrznego przeświadczenia o czymś. Przynajmniej z innej linii rozumowania.

– Jaki błąd popełniam w moim rozumowaniu?

– Metodologiczny, wasza godność – cierpko rzekł matematyk. – Przedstawiasz szacunki procentowe, ja zaś operuję wartościami bezwzględными. Ty mówisz: księżniczka jest dobra, bo robi połowę tego, co mogłaby robić jako Rubin. Ja mówię: to zbrodniarka, bo popełniła sto zbrodni i nic tu nie ma do rzeczy, że mogłaby popełnić ich dwieście. Czy jest dobra jak na kogoś, kto nosi w sobie Rubin? Przecież w ten sposób, Keso, usprawiedliwisz niemal każdy występki. Zaczajony z nożem w zaułku lump też jest dobry jak na kogoś, kto przez całe życie był głodny; pirat dobry jak na kogoś, kogo pijany ojciec codziennie tłukł w dzieciństwie, potem zaś ojca zastąpił kapitan statku... Każdy z nich nosi swój Rubin: jeden głód, drugi gniew... I każdy z nich

mógłby pewnie robić jeszcze więcej złych rzeczy, niż robi. Obiektywnie jednak są to ludzie nikczemni i – odkładając na bok wzruszające tego przyczyny – należy spodziewać się po nich dalszych nikczemności. Twoja wiara w takich ludzi jest więc tylko wiarą, wasza godność. Naiwną.

Z sąsiedniego pokoju wynurzył się Yolmen.

– A wy wciąż rozmawiacie? Pozwól ze mną, Moldornie. Prosiłem, żebyś znalazł chwilę czasu! – przypomniał z wyrzutem. – Znalazłem w równaniach Tamenatha coś, czego zupełnie nie rozumiem. Pomóż mi.

– Tak. Już właśnie do ciebie szedłem.

* * *

Po całych miesiącach rozłąki Gotahowi marzyły się miłosne uniesienia, ale wyszło na jaw, że... nie jest do nich zdolny. Męskie siły zawodziły go rzadko, rozsądnie więc poszukał przyczyny tam, gdzie jej szukać należało: mianowicie między uszami, nie niżej. Wzburzyła go wieczorna rozmowa; słuchał żony, słuchał... towarzysza, bo nie przyjaciela... Chciał rozmawiać dalej, inne chęci musiały poczekać.

Podobnie czuła Kesa.

Leżeli w delikatnej pościeli, w łóżu godnym dartańskiej królowej, pod baldachimem. Za oknami pyszniła się ciepła noc; pokój przecinała jasna smuga księżycowej poświaty.

– Nie wyobrażam sobie, jak ona to znosi – powiedziała Kesa, myśląc o Ridarecie. – Ten Przedmiot... Rubin... TO jest martwe; to tylko ślepa siła. A ja myślę o tym jak o przeklętej, złej istocie, o demonie, który zamieszkał w żywym człowieku, kobiecie.

– Przede wszystkim, niestety, nie żywej. Nie ma, Keso, dobrego słowa na określenie... trwania Ridarety. Ty żyjesz; ja żyję, ale ona, zamiast żyć... rubinuje?...

– Przecież Rubiny Córki Błyskawic to nawet nie są prawdziwe rubiny – szepnęła z namysłem. – To są niewielkie czerwone przedmioty, trochę podobne do szlachetnych kamieni, tylko tyle.

– I co z tego wynika?

– Nic. Nie, ja... tak tylko, mówię na głos, co przychodzi mi do głowy. Wiesz, jakie to przyjemne? Leżeć tak i mówić co się chce... Nie muszę ważyć słów, bo nie załatwiam żadnej sprawy, nie wypełniam misji... Bardzo dobrze mi tutaj z tobą.

Wyciągnął rękę. Oparła głowę w załamaniu mężowskiego ramienia.

– Ale to nie demon – powiedziała, wracając myślą do Ridarety.

– Wódka – odpowiedział. – Mocny trunek. Chyba tak trzeba o tym myśleć.

– Nie rozumiem? Wódka?

– Byłaś kiedyś pijana? Chociaż raz?

– Nnnie... – odparła, zdziwiona, jakby właśnie w tej chwili to odkryła.

– W takim razie trudno mi będzie wyjaśnić. W każdym razie widywałeś pijanych. Niby wiedzą, kim są i co robią, ale mówi się czasem o takim, że myślała za niego gorzałka. Wódka w beczce nie robi nic niezwykłego, najwyżej ostro pachnie, to tylko ciecz. Martwa, nieżywa. Ale wlana w człowieka... no, to już co innego. Księżniczka jest bez przerwy „pijana”, ale ładnie się upija, bardzo grzecznie; inaczej niż większość ludzi. Od czasu do czasu traci kontrolę i robi coś, co dyktuje jej trunek, a potem znowu bierze się w garść i choć nadal widać, że jest pijana, zachowuje się jak pijana, to jednak... można od biedy z nią wytrzymać. Tak to wygląda, jeśli przyjąć wszystko, co o niej powiedziałaś. A ufam twojej ocenie.

– Trucizna.

– Tak. To trucizna.

Gotah chciał o coś zapytać, ale nie wiedział jak.

– Czy rzeczywiście jest aż tak... urodziwa?

Zaśmiała się.

– O, mężczyzna... Głupio urodziwa – rzekła, poważniejąc. – Wulgarnie. I nieprawdziwie. W sam raz dla prostych żeglarzy. Rubin działa na oślep, ale jednak celowo, bo urodziwa kobieta może więcej niż brzydka. Jednak... Riolata to naprawdę nie jest demon, to tylko siła, rzecz. Uroda Ridarety jest odbiciem jej własnych wyobrażeń na ten temat, to ona skierowała ślepą moc w pożądanym przez siebie kierunku. Głupiutka jest ta dziewczyna. Taka lub inna; zła czy dobra... ale w każdym razie głupiutka. Nie mówmy już o niej. Ja zaczęłam, wiem. Ale już wystarczy.

Gotah poczuł poruszenie opartej na ramieniu głowy, jakby żona pokręciła nią do własnych myśli.

– Najpierw nie mogłam uporać się z tym chaosem, z Szernią... Tak jak ty. Odkąd Pasma toczą wojnę ze Wstęgami Aleru, wszystko się rozsypało, mówiliśmy przecież o tym tyle razy... Dopiero od jakichś dwóch miesięcy... niedługo po naszym rozstaniu, odnalazłam nowy porządek. Zresztą, czy na pewno porządek?... Po prostu uspokoiłam się.

– To podobnie jak ja. Yolmen i Moldorn też.

– Moldornowi tak łatwo przyszło dotknięcie Pasm, wydobyć z nich tego, co uznał za potrzebne – mówiła z namysłem. – Może i są to „sztuczki”, jak je nazywasz, ale... jak on to zrobił?

– Próbował.

– Próbował? Dobrze, ale... czego? – zapytała bezradnie. – Ja mam uczucie... a właściwie pewność... mam świadomość, że w każdej chwili mogę zrobić... Że mogę zrobić COŚ. Coś odpowiedniego, ale co to będzie? Nie wiem, zupełnie nie wiem. I boję się. Może coś gwałtownego, nieodwracalnego, co wyrządzi krzywdę?... A ty? Jak ty to czujesz?... Podziel się ze mną, opowiedz! – zażądała, opierając się na łokciach. – Najpierw rozumiałam całą Szerni.

Wiedziałałam jak sprawić cokolwiek, chociaż wiedziałam zarazem, że gdy tylko zechcę wprowadzić zamiar w czyn, zostanę odrzucona przez Pasma. Rozmawialiśmy o tym i mówiłeś, że to tak właśnie jest. Ale teraz wszystko wygląda inaczej, w Pasmach wymieszały się treści... znaczenia... Znalazłeś już w tym nowe reguły? Opowiedz!

– Ale to jak baśń o uczniu czarodzieja. Dla mnie to jest ogromna piramida skrzyń. Od jakiegoś czasu już wiem, co zawierają, ale nie wiem, do której sięgnąć. Mogę otworzyć każdą, ale boję się zbliżyć do którejkolwiek, bo w środku może być wojownik, który stanie w mojej obronie, albo potwór, który urwie mi głowę. Elixir zdrowia albo fiołka z trucizną. Kłęb morowego powietrza. Kamienna skóra, jaką nakłada Moldorn, albo liszaje i wrzody, które okryją całe moje ciało. Moldorn chyba odczuwał to podobnie. Yolmen, wiem, zupełnie tak jak ja.

– I Moldorn otworzył te skrzynie?...

– Kilka... kilkadziesiąt... kilkaset... Nie rozmawialiśmy na ten temat. Sięgnął do Pasm i parę rzeczy znalazł. Teraz wie gdzie szukać.

– I wszystko, co znalazł, było pożyteczne?

– Nie wiem. Nie pytałem.

– Jest odważny...

– ...bądź głupi.

– Jedno nie wyklucza drugiego.

– Nawet uzupełnia. Głupota i odwaga lubią chodzić w parze.

Westchnęła.

– Czujemy inaczej – powiedziała, opadając na poduszki. – Może to dlatego, że jestem...

– Kobieta? Tak mi się wydaje. To możliwe, bo przecież różnice zawsze istniały. Obok wszystkich podobieństw. Mówisz, że możesz zrobić coś odpowiedniego, właściwego w danej chwili?

– Tak. Ale właściwego według reguł, którym teraz podlega Szerń, a ja tych reguł przecież nie znam. To są reguły Pasm toczących wojnę, a ja takich Pasm nie rozumiem. Gdyby Moldorn naprawdę chciał dzisiaj uderzyć mnie ogniem... tak tylko mówię... wiem, że nie chciał. Ale gdyby chciał, obroniłabym się. Jestem pewna.

– Tylko nie wiesz, w jaki sposób ani z jakim skutkiem dla Moldorna?

– Żeby tylko dla Moldorna... Dla ciebie, dla Yolmena, dla całego domu, a może całego miasta...

– Nie przesadzaj.

– Naprawdę nie wiem.

– Przestraszona, a przez to niemądra. Keso, niektóre reguły rządzące Pasmami uległy zawieszeniu, ale istnieją reguły nadrzędne, którym podlega nie tylko Szerń. Takie choćby, jak zasada akcji i reakcji. Jakaś równowaga w tym być musi, przecież nawet stan wojny nie zawiesza

podobnych praw. Armie nie ścierają się z pojedynczymi żołnierzami, a flota stu żaglowców nie wypływa przeciw rybackiej szalupie.

– Już rozumiem, nie kończ.

Gotah lubił jednak doprowadzić każdą myśl do końca.

– Szerń nie „oszalała”. Tak jak powiedziałaś, jest w stanie wojny, tylko tyle. Wojna nie jest podobna do pokoju i stąd nasze rozterki, niemniej, jeśli twierdzisz, że z tej wojującej Szerni potrafisz wydobyć właściwą rzecz we właściwej chwili, to przecież oznacza zachowanie jakichś proporcji. Może to być niezrozumiałe, może niemoralne lub okrutne z naszego... z ludzkiego punktu widzenia...

– ...ale jakoś odpowiednio do problemu – przyznała.

– Więc taki Moldorn, być może, skonałby pod ścianą z poodrywanymi kończynami, udławiony własnym kręgosłupem...

– O, przestań! – Wzdrygnęła się.

– ...Ale na pewno nie zmieniłby się w popiół razem z całą Llapmą. Może powinnaś czegoś popробować?

– Prędeż umrę.

– Ale czegoś niezbyt gwałtownego. Dowiedz się, gdzie jest teraz i co robi księżniczka Ridareta – podsunął.

– Może dowiem się zarazem, co myśli, co czuje... Skąd mam wiedzieć? Może od tego oszaleję.

– Keso, złościsz się na mnie, gdy tłumaczę każdy drobiazg, a kiedy indziej udajesz, że nic nie rozumiesz. Możesz zrobić coś WŁAŚCIWEGO? No to zrób.

– Ale... to nie na zawołanie – zaoponowała. – Wiesz, co teraz wydaje mi się właściwe?

– Co takiego?

– Spać – odparła poważnie. – Nie śmieć się, przecież ja... Czy ty mnie słuchasz? Próbujesz zrozumieć? Mówię ci, że mogę wydobyć z Szerni właściwą rzecz we właściwej chwili. Teraz mogę nie więcej niż uspić nas oboje. W mgnieniu oka. Chcesz?

– Nie – odparł, bo nareszcie zmęczyła go rozmowa, a w zamian odnalazł siły do czegoś zupełnie innego. – Naprawdę pora na właściwą rzecz we właściwej chwili i miejscu.

– Ach, tak? Ale mnie boli głowa.

– O... Nie poruszaj nią.

8.

Prowadzony na holu żaglowiec majestatycznie wpływał do portu w Aheli. Pokład, pełen krzątających się marynarzy, lśnił czystością, a ciemnoczerwone żagle, choć zwinięte, wyglądały na zupełnie nowe. Na dziobie i rufie holka widniała pięknie wymalowana, dumna nazwa: „Kaszalot”. Zarówno okręt, jak i jego dowódcę dobrze znano w tych stronach.

W ślad za holkiem posuwała się zgrabna karawela z mieszanym ożaglowaniem; ten okręt także szedł na holu, choć można było odnieść wrażenie, iż poradziłby sobie bez żadnej pomocy – marynarskie oczy nieczęsto oglądały tak udany, bardzo zwinny i szybki żaglowiec. Każdy, kto miał pojęcie o tym, co pływa po południowych morzach Szereru, nie czytając nazwy, mógł zgadnąć, że widzi słynną „Kołysankę” Armektańczyka Kitarą, o którym powiadano, iż nikt nigdy go nie dogonił – i tak samo nikt przed nim nie uciekł.

Niestary jeszcze, urwisowaty kapitan Kitar, zawołany żeglarz, był przed laty żołnierzem. Jego majtkowie, wyszkoleni i zdyscyplinowani niczym morscy piechurzy, nosili coś w rodzaju mundurowych tunik; po armektańsku dumny ze swego kraju Kitar nigdy nie abordażował armektańskich statków – co najwyżej brał umiarkowanie niski okup – unikał walk z armektańskimi okrętami, ale w zamian kazał wszędzie malować i haftować (na żaglach, na kubrakach marynarzy...) imperialne czteroramienne srebrne gwiazdy, co do szaju doprowadzało cesarskich strażników morza. „Kołysanka” i „Kaszalot” bardzo często działały razem. Sędziwy Brorrok, o którym powiadano, że był niegdyś ogrodnikiem w służbie garyjskiego bogacza wysokiego rodu, zakochany w pięknie i porządku, bardzo cenił towarzystwo „młodzieńca” wiedzącego co to ład i dyscyplina. Widok tych dwóch okrętów razem zapowiadał jakieś wielkie morskie wydarzenie. Ich kapitanowie nie składali eskadry bez powodu.

Okręty sprawnie cumowały do nabrzeża.

Brorrok i Kitar, każdy w odpowiedniej asyście, spotkali się przy trapie „Kaszalota”, bo starzec poruszał się z trudem i unikał zbędnych spacerów. Obaj posłali oficerów, by dopełnili portowych formalności. Już zniesiono na ląd otwartą lektykę dla Brorroka – było to szerokie, dobrze wyoszczędzone krzesło na solidnych drążkach; czterech krzepkich żeglarzy bez wysiłku uniosło je wraz z leciutkim jak wiórek kapitanem i cała kawalkada ruszyła ku głównej bramie twierdzy ahelskiej. Czterej żeglarze Kitarą, torujący drogę w portowym tłumie, mieli w rękach najprawdziwsze halabardy – oręż u żeglarza co najmniej niezwykły – którymi grzecznie lecz stanowczo usuwali z drogi przechodniów. Dwaj dostojni piraci stanęli u celu i opowiedzieli się strażom. Wkrótce nadszedł rozkaz wpuszczenia ich do środka.

U stóp schodów Brorrok westchnął i wysiadł z lektyki. Nie był zniedołężniały i potrafił pokonać nawet strome stopnie, ale nie miało to nic wspólnego z przyjemnością.

– Rudy, zostań tutaj z chłopakami.

Przed ćwierćwieczem ksiązę Raladan jako pilot pływał (wprawdzie krótko) pod komendą Brorroka. Zręczliwego starca trudno było lubić, ale jeszcze trudniej nie szanować. „Ślepy” wyszedł gościom na powitanie. Zwano go tak niegdyś, bo – młody i próżny – popisywał się, z zawiązanymi oczami rzucając nożami do celu. A skądinąd, różnych „ślepych” – a właściwie półślepych – było na Bezmiarach całe mnóstwo; zranione w walce abordażowej lub jakiejś karczemnej bójce oko, urządzenie bardzo delikatne, nie goiło się tak dobrze, jak przecięte ucho lub policzek. Trudno było znaleźć taki wojenny żaglowiec, gdzie przynajmniej dwóch drabów nie biegało z opaską na prawym bądź lewym ślepiu.

– Dawno was tu nie było – rzekł Raladan, po czym osobno zwrócił się do Brorroka: – Mówili mi, kapitanie, że nie żyjesz.

– Ano, prawda – poświadczył Brorrok.

– Szkoda. Wreszcie się sprawdziło, bo co rok to słyszę... Chodźcie.

Wyglądający na trzydzieści pięć lat, a w istocie czterdziestodwuletni Kitar, chłop na schwał, wysoki i przystojny, rozpromienił się na widok ślicznej niewolnicy, która przepuściła go w drzwiach. Mrugnął okiem i powiedział coś takiego, że dziewczyna oblała się rumieńcem – lecz nie wstydu, a przyjemności. Uciekając, zdążyła jeszcze zerknąć na postawnego żeglarza, po męsku odzianego w grubą czarną spódnicę, nie zaś portki, jak większość marynarzy (w portkach nie ścierało się skóry podczas zjeżdżania po linie). Bezceremonialnie usiadłszy przy stole, Kitar wziął jabłko ze srebrnego talerza i z apetytem jął chrupać, zostawiając rozmowę Brorrokowi.

– Krótko, Ślepy, bo lada dzionek może się sprawdzić to co gadają od zawsze – zaczął staruch. – Nie mam, widzisz, czasu. Twojej córki szukam. Mam sprawę, niech mnie zatłuką.

Raladan milczał wyczekująco. Poprawił się na krześle, wyciągnął nogi przed siebie i splótł ręce na brzuchu.

– No to, Ślepy, gdzie jest?

– Zdawało mi się, że jej nie kochasz, kapitanie.

– Bo to fletuch i zdzira – przyznał Brorrok. – A jeszcze ma coś z głową, tak czy nie?

Po trzykroć była to prawda.

Raladan czekał.

– No, Ślepy, powiesz czy nie powiesz?

– Do czego ci potrzebna Ridareta?

– Zapłacili mi za jej łeb – wyznał Brorrok. – Nie uwierzysz, jak ci powiem kto.

– Niech no zgadnę... Przyjęci?

– Przyjęci, ano, niech mnie upieką! – uradował się Brorrok. – Skąd to wiesz?

Raladan leciutko zacmokał przez zęby.

– I czego od niej chcecie?

– No jak? Tego łba, a czego?... – zdziwił się staruch. – Tylko że, widzisz, mam go przywieźć

w beczulce. Coś mi się wydaje, że nic z tego. Nie lubię tej twojej paskudy, no naprawdę nie lubię! – rozzłościł się Brorrok. – I ja bym jej ten łeb nawet uciął, tyle tylko że nie wiem jak. Widziałem raz, jak spaliła żagle strażnikowi... bardzo brzydko, bo tak się nie robi. Wymyśliłem, Ślepy, że dotrzymam słowa i zawiozę Przyjętym głowę twojej pięknej, ale razem z całą resztą. Bo najpierw było, że odcięty łeb w beczulce, potem że nie musi być w beczulce... Takie tam. He? I co powiesz na to? Nikt nie lubi, jak na niego polują, nawet misio z lasu, bo to w sidła, widzisz, wpaść można. To ja ten misio z lasu mogę zawieźć tam, gdzie siedzą myśliwi, no i, do stu kurew... Jak twoja Foczyca się zgodzi, to zawiozę.

Raladan milczał i myślał.

Przyjęci dużo wiedzieli, ale niewiele mogli. „Podarunki” w rodzaju Kuli Ferenu, nasyłanie łowców głów w rodzaju Brorroka – wszystko to było, być może, bardziej niebezpieczne niż spotkanie z nimi oko w oko. Ridareta potrafiła niejedno i mogła spróbować szczęścia. Czy też miała raczej uciekać i uciekać? Jak długo?

– Zapłacili ci z góry, kapitanie?

– Dali tylko zadatek. – Staruch frasobliwie podrapał się po nosie. – Dlatego mówię, że mam sprawę. Zapłać całą resztę, dorzuc jeszcze trochę... Znaczy ty albo Foczyca, wszystko jedno.

– Nie podoba mi się ta historia.

– Dobra, Ślepy. Ale ja zem coś komuś obiecał. Mogę kręcić, bo głupkom takie coś się należy, ale całkiem słowa nie złamię. Pirat, Ślepy, to nie jakiś kupiec, pirat musi być, widzisz, uczciwy. Bo inaczej nikt mu za nic nie zapłaci. Powiedz „nie”, a płynę szukać twojej małej cipki i, do kurwy królowej, co będzie, to będzie. Stary jestem.

– Kiedy widzisz, kapitanie – z namysłem odparł Raladan – znamy się już trochę, nieprawdaż? I dlatego coś mi się zdaje, że ty chcesz dotrzymać słowa bez żadnego kręcenia.

– Gadaj z takim! Rudy, weźże mu powiedz... Zostawił zem Rudego na dole – zreflektował się Brorrok. – Zgadali my się z Kitarą, bo ta twoja córka dużo wrednego zwierza na pokładzie wozi i lepiej ją zdybać we dwóch. Nie to, żebym chciał zrobić jej co złego, ale toć to głupie i nie wiadomo, co wymyśli. A Kitar nie kładzie się do grobu i nie poszedłby na takie coś, żeby mieć u ciebie przerąbane do samego końca. Bo ty, Ślepy, wasza wysokość księżę, trochę za dużo możesz. Gadaj, Kitar: co ci mówiłem?

– To co teraz – przyznał Armektańczyk. – Ja, Raladan, nic nie mam do Pięknej Ridi, a jeśli nawet coś mam, to na pewno nie mieczyk... Ładna jest. Złota trochę już zarobiłem – kiwnął głową ku Brorrokowi – a teraz chętnie zawiozłbym Piękną tu czy tam... To nie musi być nudny rejs. Nie gniewasz się, braciszku, że tak mówię, hm?

Raladan może by się i gniewał, ale wszystko, co o Ridi mówił i myślał znany ze słabości do kobiet kapitan, było szczerą prawdą, niestety.

To nie musiał być nudny rejs.

– Nie wiem, czy wam wierzyć. Ale na szczęście nie wiem także tego, gdzie jest ani gdzie będzie Ridareta, więc nie muszę podejmować decyzji. Popłynęła. Ma prawo zawijać na Małą. Do Aheli już nie. I to wszystko.

– Jak niby? Na Małą, ale nie do Aheli?

– Popytajcie w knajpach o co chodzi – uciął Raladan, wstając z krzesła na znak, że rozmowa skończona. – Cumujecie do jutra?

– Co najmniej.

– Przyślę wam pieniądze. Ile to ma być?

– Zaraz... ale... – Brorrok co prawda sam mówił, że nie ma czasu, zarazem jednak bardzo nie lubił, gdy coś działo się byle jak. – Umowa, mówisz, zawarta?

– Przyjęci dali zadatek, ja mam zapłacić resztę i dorzucić jeszcze trochę, tak? No to płacę i dorzucam. Ile?

– Złota to ty już dawno nie liczysz, co? – rzekł z zawiścią ale i szacunkiem dziadek wszystkich piratów.

– Nie liczę. No to, ile?

Brorrok palnął sumę. Raladan skinął głową. Brorrok osłupiał i obraził się.

– Zawarliśmy układ – powiedział Raladan. – Teraz dogadujcie się z Ridaretą, ale o pieniądzech ma już nie usłyszeć od was ani słowa. Kitarze, do ciebie mówię, bo ty, kapitanie, zawsze byłeś troszeczkę za sprytny. Zawarliśmy układ?

Stary obraził się ponownie. Kitar pokiwał głową.

– Zawarliśmy.

– No to wynocha mi stąd.

– Dałbyś mi, braciszku, w prezencie jedną taką. – Kitar wskazał podbródkiem niewolnicę.

– Kup sobie, najlepiej w Dartanie. Ceny spadły, bo ma się na wojnę. Broń jest droga, niewolnice i chałupy coraz tańsze.

– Mówisz? A może i kupię. Właściwie, to dobra myśl... Jeszcze nigdy niczego nie kupilem.

* * *

Dwa groźne okręty, połyskujące brązem dział na kasztelach, znękanej Małej Agarze zwiastowały wszystko co najgorsze. Wielka zgraja dzieciaków, rozplakanych już na wszelki wypadek, rzuciła się do ucieczki w głąb lądu. Z wysokości swych kaszteli dwaj kapitanowie ciekawie spozierali na czarne pogorzeliisko widoczne tuż za przystanią. Ostał się tam tylko jeden dom.

Śmierdziało spalenizną i trupami. Kitar obejrzał zgliszcza z bliska, pocmokał, podniósł z ziemi zieloną chustkę, do której przywiązano jakiś strzęp. Niczego ciekawego nie znalazł.

W ocalałym domu kapitan „Kołysanki” znalazł zgębnionego człowieczka z roztrzęsionymi

dłońmi, któremu wszakże na niczym już nie zależało – może tylko na życiu własnym i najbliższych; nic już więcej do stracenia nie miał. Musiał wiedzieć, że do przystani wpłynęły okręty, ale nawet nie wyszedł na próg. Kitar pytał, człowieczek odpowiadał – trochę chaotycznie, cicho, ale zrozumiale.

– Cała wyspa? Wszystkie wioski? Mieszkańcy?

– Zostawiła tylko dzieciaki, trochę starych babek do opieki. Za mało na setkę głodnego drobiazgu. Oseski zaczynają... zdychać. Bo to przecież nie jest umieranie.

– Nikt więcej nie ocalał?

– Paru albo parunastu rybaków uciekło, jacyś pewnie chowają się do tej pory. Jeden się powiesił, znalazłem go wczoraj. Może wszyscy się powiesili.

– Co jej zrobiliście?

– Księżniczce? My nic, panie. Ale kazała powiedzieć... tylko...

– Co kazała powiedzieć?

Gospodarz domu wzruszył ramionami. Z kąta dobiegł szloch jego żony.

– Pytam: co kazała powiedzieć? I komu?

– Jego wysokości księciu.

– Księciu Raladanowi?

Zarządca wyspy pokiwał głową, na której srebrzyło się szerokie siwe pasmo.

– Tak, księciu. Że Piękna Ridareta dziękuje mu za wszystko. Ja... nie wiem, za co. Nic więcej nie wiem. Ci ludzie tutaj... całe życie łowili ryby.

– Dokąd popłynęła?

– Myślisz, panie, że zapytałem? Nawet... nawet wiosłowej łodzi mi nie zostawiła, żebym mógł posłać na Wielką... – dorzucił zupełnie od rzeczy. – A zresztą... Nie wiem, kto miałby powiosłować? Chyba moja żona i ja.

– Nic nie słyszałeś? Nie mówiła nic do swoich oficerów?

Człowieczek westchnął i pokręcił głową.

Kitar wyszedł i wrócił na przystań. Najpierw wkroczył na pokład „Kaszalota”. Brorrok, utrudzony niedawnym bieganiem po Aheli, tym razem nie pokwapił się na ład.

– Hę? No, co tam?

Armektańczyk opowiedział, co widział i słyszał. Brorrok zadumał się.

– Całą wyspę z dymem, powiadasz, puściła? Niezła jest, he, he... – zarechotał i rozkaszał się.

Kitar czekał. Starzec krztusił się i chrypiał, wybałuszał oczy, pluł i nie mógł złapać oddechu.

– Kiedyś... zdechnę od tego, niech mnie... – wymamrotał wreszcie i raz jeszcze kaszlnął cichutko. – No... khe... niech mnie uwężdzą. Noo... chciałbym zobaczyć Ślepego, jak mu o tym powiedzą. Idź, szukaj, gadaj ze wszystkimi! – zażądał. – Dam ci Rudego i paru mądrych chłopaków, co byś sam nie latał. Też bym poszedł, ale widzisz mnie: popatrzę se z bliska na

wszystko i już mnie nie odratują... Nie taka ona całkiem do niczego, ma dziewczucha pomysłu i zadziór. Tylko że niechlują taka, bła!... Do tego jeszcze ladaczna. Idź, synuś, pytaj! W Aheli jakoś znalazł się głupek, co posłyszał gadanie majtków, że pewnie kapitana, niby, będzie chciała zajrzeć na Małą. To i tu jakiś uszaty się znajdzie. Niech mnie rozprują, jeśli nie.

– Rudy się przyda, ale marynarzy mi nie dawaj, bo nie lubię rządzić cudzymi – powiedział Kitar. – Dość mam własnych. Dobrze, poszukam jeszcze i popytam.

– Weź też moich. Co chcesz? Żeby twoi zaczęli kwękać? Że niby za chłopców Brorroka wszystko robią, a ich kapitan lata na posyłki?

– Może to i racja. Dobrze, daj mi paru.

Kitar szukał i pytał do wieczora.

Marynarze odwiedzili kilka wiosek, a nawet z udającej lasek kępy drzew wydobyli ogłupiałego ze strachu rybaka, który siedział tam od kilku dni, jedząc liście – jednak nie dowiedzieli się niczego. Po zmroku zniechęcony i zmęczony Armektańczyk bezceremonialnie obudził Brorroka, który wprawdzie wstawał bardzo wcześnie, ale jeszcze wcześniej lubił kłaść się spać.

– Że też wy, niech mnie oprawia, żadnego szacunku dla starszych nie macie! – źlił się Brorrok, z wielkim trudem siadając w pościeli i osłaniając oczy przed blaskiem latarni, kołyszącej się w mocnej dłoni Kitara. – Gdy ja byłem młody...

– ...to nie miałeś szacunku dla nikogo, bo nikogo jeszcze nie było na świecie, tylko ty. – Kitar postawił latarnię na stole i rozsiadł się na kapitańskim krześle. – Ale ja już nie mam tak łatwo. Gównu! Nikt nic nie wie.

– O, Kitar, nie mów tak brzydko! – jak najszczerzej zgorszył się Brorrok. – Ja, widzisz, ja mam brzydki nawyk i bardzo z nim, do stu... bardzo walczę. Ale mowa powinna być schludna. A ty powiedziałeś „gówno”.

– A jak schludnie mówi się na gówno, bo ja nie wiem?

– Kupa.

– Kupę to robi mewa, a ja gówno się dowiedziałem! – Kitar wreszcie stracił cierpliwość. – Tu zostały jakieś stare ropuchy, banda ryczących z głodu małych smrodów i może dziesięciu chłopca, a wszyscy ze strachu obesrani. Kobiety ani jednej, wszystkie pozabierane, a te co zostały, już cuchną. Prawda, znalazłem jedną, paskudną i o, z takim bębniem, chyba brzydzili się ją ruszyć. Piękna Ridi jest lepsza niż najczarniejsza zaraza, życie na tę wyspę wróci za sto lat. Gdzie płyniemy, braciszku? To ty jesteś dowódcą eskadry, nie ja.

Brorrok nie mógł być braciszkiem Kitara. Żaden mężczyzna na świecie nie był jurny dość długo, by dać życie jednemu i drugiemu. I żadna kobieta nie mogła powić synów w odstępie ponad sześćdziesięciu lat.

– Ten zarządca na pewno nic nie wie?

- Nie. Kazałem go powiesić, a i tak już nic nie powiedział.
- Ale wisi?
- Skąd, straszylem go tylko. Nie wisi.
- To niedobrze. Po co ktoś ma wiedzieć, o cośmy go pytali?
- Jak chcesz, to sam go powieś.
- Boisz się trochę Ślepego, co?
- Nic nie mam do Raladana. I potrzebny mi port u niego.
- Niech ci będzie. W takim razie, mój chłopcze, żeglujemy do Grombelardu.
- To na koniec świata.
- E, tam... Niewiele dalej, jak do twojego Armektu.

Kitar wskazał palcem za siebie.

– Na „Kołysance” mam mapy, każę przysłać, to sobie przerysujesz. Grombelard to znaczy Lond, bo innych portów tam nie ma. Do Londu jest trzy razy dalej niż do „mojego Armektu”.

– Dobrze, dobrze... Ale ja niczego lepszego, widzisz, nie wymyślę. Foczyca była już w Londzie. Jakieś dwa lata temu. Jej hałastra ze „Zgniłego... tfu! tfu!... Trupa” spaliła w Londzie całą dzielnicę...

- Słyszałem, każdy słyszał.
- Była tam z Przyjętym, ze starym Tamenathem.
- I co z tego?

– Nic – przyznał starzec. – Ale to wszystko, com wydumał. Miała kiedyś jakieś sprawy w Londzie, a była tam z Przyjętym. Teraz dybią na nią... no, Przyjęci. Może jedno coś ma do drugiego? Powiedzieli, że coś im ukradła i rozchodzi się o to, żeby nie kradła dalej. Skąd można coś ukraść Przyjętym? Z Grombelardu. A była tam, zdaje mi się, jeden raz. Właśnie w Londzie. Gdzieś popłynąć, do stu kurew, trzeba.

Kitar nie wyglądał na przekonanego.

– Dobrze; a niech tam – rzekł jednak i wstał z krzesła, bo prawda była taka, że dzięki układowi z Brorrokiem już zarobił krocie za najprostszą, jak dotąd, robotę w całym życiu, a miał dostać jeszcze drugie tyle (stary chytrus nie lubił płacić z góry). – Mamy naszą umowę: pływam z tobą, aż znajdziesz Ślepą Fokę Ridi. Jak znajdziesz, ja biorę swoje złoto i patrzę co będzie dalej. Dogadacie się – możemy rozmawiać znowu; chętnie zarobię jeszcze trochę, byle za coś mądrego. Nie dogadacie się – już mnie nie ma.

- Chyba żeby brudne Foczydło bez niczego rzuciło się na nas! – przypomniał Brorrok.
- Chyba żeby, braciszku – potwierdził Kitar i wyszedł.

CZĘŚĆ DRUGA
Trzy żaglowce

9.

W ładowni skończyła się gorzalka. Ostatnią beczkę, zostawioną na czarną godzinę, Mevev trzymał przy swojej koi; bez mała spał z głową na niej. Było jeszcze szlachetne czerwone wino, ale – cierpkie i obrzydliwe, a do tego słabe – smakowało tylko dowódczyni; załoga upijała się tą ciecżą z nieopisanym wstrętem. Niemniej chłopcy z wachty pokładowej, którym wina nie dano – bo przynajmniej kilkunastu przytomnych musiało być na okręcie – z zazdrością aż nienawistną spojrzeli na szczęśliwych kompanów, śpiewających, płasających i bawiących się z dziewczynami. Podczas bojowego rejsu każdemu przysługiwał kubek wódki dziennie, jednak libacje należały do rzadkości; kapitana pozwalała wypić najwyżej raz w tygodniu – wysuszone marynarskie gardła domagały się więc trunku. Ostatecznie, mogło być nawet wino.

Kiwało niezbyt mocno. W obszernej kajucie pod rufowym kasztelek, gdzie oprócz kapitany mieszkali tylko jej oficerowie, bawiła się starszyzna, do której zaliczano także komendanta Gardy oraz dowódców oddziałów strzelczych i abordażowych – jednak drzwi były szeroko otwarte, więc każdy marynarz mógł przepić do dowództwa; przepędzano tylko kompletnie nieprzytomnych i bełkoczących nie wiadomo co. Uczony Sayl, drugi oficer, któremu przypadła tego dnia komenda, nie pił; ale był to dziwak i cudak, który mógł pić albo nie pić i zawsze miał tak samo niewyraźną minę. Mevev, po trunku bardziej cichy niż zwykle, mocno przytrzymał się stołu, z wyrzutem patrząc przekrwionymi oczyma na hałaśliwą, rozwrzeszczaną kapitanę. Foka, ciężka jak chyba nigdy dotąd, z przyodziewkiem trzeszczącym w szwach pod naporem napęczniałych wymion i wydętego brzucha, pólżąc na łóżku z karkiem opartym o ścianę szamotała się, a przy tym klęła i piszczała na przemian, wierzgając i kopiać podkomendnych trzymających ją za szeroko rozkrzyżowane, przyciśnięte do ściany ręce. Można by pomyśleć, że chciała się wyrwać – ale, tak naprawdę, nie chciała. Chwiejnym krokiem, z solidnym młotem w garści, już zbliżał się skupiony, blady (bo przed chwilą wymiotował) dowódca Gardy Nells – przed laty pomocnik kata, więc do figli z kapitaną najlepszy, żeby nie powiedzieć: wymarzony, jedyny. Widząc Nellsa, któremu upadł młotek, Foka rozpisywała się tak przeraźliwie, że pękały uszy; nie wiadomo jakim cudem Mevev wyłowił z tego rozkaz:

– WIIII-NAAA!!!

Posłusznie choć z wielkim trudem stanąwszy na nogi, oficer ujął dzbanek, rozlał trochę na stół, więcej na podłogę, a najwięcej na podbródek i piersi kapitany, choć co nieco trafiło też do ust. Krawędzią dzbanka omal nie wybił jej przednich zębów, zarobił za to kopniaka – ten był prawdziwy, nie na niby – więc obruszył się i sam wypił resztę, nie bacząc na przekleństwa i groźby syjące się z ust dowódczyni.

Wypił i stracił przytomność. Chrapiąc i co chwila dziwacznie podrygując, mocno spał obok przybitego do podłogi stołu.

Z pokładu dobiegały trzy różne marynarskie piosenki. Ryczano *Kurwę*, a ponadto *Tawernę na Garranach*:

*Dobrym chłopem był stary Hagher,
Niby szynkarz, a poczciwa miał mordę.
Jak nie miałeś miedziaka, dał piwa,
Czerstwą bulkę wetknął ci w torbę.*

*Hej, stary, stary Hagher
To był z kośćcami chłop.
Jak trafisz do jakiejś
Na Garranach knajpy,
To za pamięć Haghara
(Za pamięć Haghara!)
Za jego pamięć piwo żłop.*

*Kiedyś Hagher był niezłym szyprem,
Znał mielizny i rafy wśród mórz,
Potem karmił żeglarzy, bo głodnych
Chłopców nie chciał oglądać i już!*

Hej, stary, stary Hagher...

W tle dwóch piosenek kładła się trzecia; posepnie zawodzono *Cesarskich*:

*Com zawinił, że mnie wzięli na okręt
Z żaglem szarym i niebieskim pół na pół?
Najpierw spili, ogłupili,
Potem zbili, przymusili
Do roboty na gwardziście morskiej straży.*

*Tam kapitan ani spojrzy na żeglarza.
Armektański żołnierz – to jest ktoś!
A marynarz, cóż marynarz?
Do roboty jest marynarz
I niech gęby otwierać się nie waży!*

Nells na czworakach szukał upuszczonego młotka. Znalazł, chwycił blat stołu i podciągnął się do góry, stanął, utrzymał pozycję, zrobił krok i stracił równowagę, nie schodząc z kursu zrobił jeszcze dwa szybkie kroki i niemal wpadł na kapitanę. Foka skowyczała jak kopany pies, ale już nie wierzgała. Trzymana za nadgarstki, szeroko otwierała przyciśnięte grzbietami do ściany dłonie. Nells z największą starannością przytknął wielki ćwiek do środka dłoni i walnął trzy razy młotem: raz w ścianę, dwa razy w łeb ćwieka. Poprawił; jeszcze trochę dobił. Tak samo przybił drugą rękę i odsapnął, ocierając pot z czoła. Był przejęty wykonanym zadaniem. Odepchnął na boki tych, co trzymali nadgarstki kapitanę – to już nie było potrzebne.

Suczy skowyt umilkł. Rozkrzyżowana na ścianie Ślepa Foka Ridi ziajała z wystawionym językiem. Spazmatycznie kurczyły się palce przebitych żelazem dłoni. Jakiś majtek, zaglądnący przez szeroko otwarte drzwi kajuty, darł się wniebogłose, przyzywając załogę: kapitanę dawała widowisko! Zbiegowisko przy drzwiach szybko rosło, przepychano się. Ci z tyłu nic nie widzieli, więc ci z przodu musieli opowiadać co się dzieje. Jak zwykle w takich wypadkach, w tylnych szeregach doszło do bójk. To rozładowało trochę tłok, bo walczący zaraz zapomnieli, o co właściwie się tłuką. Dzika banda miotła się po pokładzie; ktoś miał pecha, bo wyleciał za burzę. Drugi wrzeszczał, żeby go ratować; trzeci wrzeszczał na wrzeszczącego. Ryczeli zresztą wszyscy na wszystkich. Na kasztelu dziobowym śpiewano:

*Ciepły kąć dla żeglarza miał Haghar,
Za miedziaka wiązkę słomy podłożył,
Ale nie ma już jego tawerny,
Lepszych czasów stary Haghar nie dożył.*

Hej, stary, stary Haghar...

Majtkowie, którzy byli najbliżej drzwi, wspinali się na palce i wybałuszali ślepie. Mieli nieśmiertelną, niezniszczalną kapitanę, która mogła zupełnie wszystko! Starzy chełpliwie wyśmiewali nowych, którzy nie wierzyli własnym ogłupiałym oczom, a z wrażenia niemal trzeźwieli. Znaczący się, to nie były zwykłe pokładowe bajdy! Komendantka naprawdę umiała pokazać nie byle co!

Oficerowie w kajucie, stłoczeni w drzwiach gapie, tłukący się za ich plecami marynarze, a nawet ci, którzy śpiewali na dziobie – wszyscy właśnie ocierali się o śmierć. Ale nikt o tym nie wiedział.

Raz na jakiś czas nadchodziły chwile, gdy ognista moc Rubinu zaczynała się przelewać i musiała dostać żer do strawienia. Siły Geerkoto uwiązano na smyczy – ale teraz była to smycz

bardzo długa, jej koniec zaś trzymała kompletnie pijana kobieta. Gotah i Kesa mieli sporo racji: przed laty Ridareta, walcząc z nieoswojonymi siłami Porzucanego Przedmiotu, odchyliła je, skierowała w trochę inną stronę. Riolata, królowa Rubinów, częściowo ujarzmiona, poskromiona, zazwyczaj znajdowała strawę tylko tam, gdzie pozwolono jej szukać. Mało tego: nauczyła się dziękować.

Wciąż dysząc z wytkniętym językiem, przybita do ściany Ridi dygotała, podrzucana paroksyzmami bólu – i paskudnie wynaturzonej przyjemności.

Mistrz ceremonii Nells, piastujący ten urząd już nie po raz pierwszy, uroczyście jął ściągać hajdawery z tyłka kapitany. Niesporo mu szło, bo przeszkadzał dzierzony w rękę młot, więc w końcu odłożył go. Uporał się z hajdawerami, ale ciągle nic nie szło jak należy; komendant Gardy wprawdzie wyrzygał całe wino i już trochę podtrzeźwiał, ale nie w takim stopniu, niestety, by wykonać trudne zadanie, którego bęben kochanicy nie ułatwiał. Nells lawirował, kluczył i zwlekał, majstrując przy zawodnym narzędziu. Gdy wreszcie mógł przystąpić do dzieła, rozbrzmiał triumfalny ryk gapiów: nieszczęśnicy niemal podusili się jeden w drugiego, z zapartym tchem wspierając go duchowo. Znacząco klepnięta w obłe udo Foka pokazała podeszwy stóp, a po chwili krzyknęła ochryple. Piegowata dziewczucha okrętowa, która wiedziona ciekawością precyzyjnie się do progu kajuty, zaczęła pisać z radości niemal tak samo głośno, jak potrafiła Ridi. Podskakując, szczypała najbliższych stojących kompanów, więc zaraz jeden od tyłu oblał ją za cycki. Rytmicznie dzwoniły bransolety na kostkach kapitany; trzeszczało zaplamione winem wyro; dobiegały mokre odgłosy miłości; stękająca z bólu i rozkoszy Foka stukała głową o ścianę. Powiększały się rany w przebitych ćwiekami dłoniach, coraz obficiej krwawiąc. Majtkowie wiwatowali, gwizdząc i rechocząc do utraty tchu. Nie wiadomo jak to się stało, że cała kajuta pod kasztem, do której zwykły marynarz nigdy nie miał wstępu, wypełniła się trąbiącymi z kubków i dzbanów, walącymi się nawzajem po ramionach, nieprzytomnie hałasującymi ludźmi. Nells nareszcie dopełnił obowiązków, wydał okrzyk zwycięstwa i poklepał rozdęte brzuszysko, po czym zabrał komuś wypełniony do połowy dzbanek i pił z flaczącym, ale jeszcze budzącym szacunek zaganiaczem na wierzchu, wzniosłszy nad głowę mocno zaciśniętą pięść. Tłumek zawodził ze szczęścia; autorytet Nellsa znacznie wzrósł. Jednak sapiąca jak humbak Foka Ridi, w rozchełstanej i mokrej od potu, zaplamionej winem koszuli, ze strużkami krwi na przedramionach, tak wspaniale zgwałcona z przybitymi do ściany dłońmi, wciąż wyglądała na kogoś, kto nie wie, jak się nazywa. Tępo zapatrzona w jeden punkt, podrzucana była drgawkami, które przywodziły na myśl atak jakiejś choroby. W rytm skurczów wydostawał się na zewnątrz kleisty podarunek od sumiennego Nellsa, co podskakująca z radości pieguska przywitała nowymi piskami (było to piętnastoletnie dziewczę z ikrą, przedwcześnie osierocone, które – jak powiadano – tak bardzo miało dosyć wiecznie chorej i kwękającej babki, że zatłukło ją w łóżku pałką do bicia świń; to już pech, że wszedł na to dziadek, do którego

wychowanka nic w gruncie rzeczy nie miała...)). Nowi majtkowie cisnęli się z ciekawością, koniecznie chcąc sprawdzić intrygujące wieści rozsiewane przez weteranów: ponoć ostryga „starej” była taka, że hej, co najmniej na miarę cycków – a bodaj czy jeszcze nie w poprzek. Jakiś krępy rozradowany marynarz przytknął do ust Pięknej Ridi kubek z winem, więc bezmyślnie zaczęła pić. A potem zdarzyło się coś, co za pamięci załogi miało dotąd miejsce tylko raz – tak dawno, że już wszyscy prawie zapomnieli. Zresztą, wtedy niedokładnie tak to było...

Pijany marynarz z kubkiem zaczął ryczeć prosto do ucha kapitany:

– Mamuśka! Jak ci było, co?! Powiedz: dobrze?! Ale dob... ale dobrze ci było, mamuśka! My cię wszyscy mańska, za to... za to my cię, m... uśka, kochamy!

Mamuśka popatrzyła nieprzytomnie i ucięła mu łeb.

Ludzi w kajucie zatkało – oprócz tych, którzy nic nie widzieli; oni, owszem, ryczeli dalej. Ktoś z przodu krzyknął, następny tylko stęknął. Dziesięciu chłopów naraz rzuciło się do drzwi, więc zgnetli się w nich i zaklinowali. Kapitana szatkowała ich żywcem: cienka ognista smużka bezgłośnie wiła się we wszystkie strony, tnąc ludzi i sprzęty w pomieszczeniu. Podrzucona dziwaczными drgawkami, przybita do ściany piękność wodziła wzrokiem na prawo i lewo, a zgodnie z ruchami głowy i oka miotał się wąski czerwony sznur. Już nie było rechotu i triumfalnych ryków, zamiast tego skowycieli i wyli ludzie, którym ręce odpadały od korpusów, rozszepiały się tułowia, niczym cięte niebywale ostrą głownią miecza. Rozwalił się stół i zaczęła rozpadać ściana, chłaśnięta od sufitu aż po pokład. Osunęło się na kogoś ucięte skrzydło drzwi. Niczym cudaczne ptaszysko ni to skrzeczał, ni krakał klęczący na podłodze majtek, unoszący ku oczom kikuty obu przedramion. U stóp miał odciętą wraz z barkiem połówkę głowy małej pieguski. Po pokładzie rozbiegli się przerażeni szczęściarze bez palców i uszu, bez półdupków lub mięsa na ramieniu – wobec jatki w kajucie były to nieledwie śmieszne kontuzje.

Czerwona nić zgasła. Nagle.

Podłoga była zalana krwią i winem z pociętych bądź potłuczonych dzbanów. Charczeli i stękali poranieni żeglarze. Potężnie chrapał śpiący przy resztkach stołu Mevev, mający na plecach połówkę komendanta okrętowych strzelców. Z kąta patrzył zupełnie trzeźwy Nells, nie wiedzący jeszcze o tym, że ogromna dziura w kapocie odsłania brak skóry na żebrach – gładko odcięty płat mógł mieć wielkość co najmniej dwóch dłoni. Ktoś płakał; ktoś wzywał pomocy.

Tumult na okręcie narastał; pijacka bitka na pokładzie wciąż trwała i nikogo nie obchodziło, co wrzeszczą pokrwawieni kamraci nadbiegający z rufy. Chcieli w mordę? A proszę bardzo!

Z dziobowego kasztelu przybiegł drugi oficer, próbujący wcześniej uspokoić załogę okrętu. W drzwiach kajuty ugięły się pod nim nogi.

Siedząca na łóżku kapitana wiła się i skręcała, próbując oderwać przybite do ściany ręce. Po twarzy płynęły jej łzy. Stękała z bólu, co chwila dławiąc się krzykiem;

– Neells! NEEELLS!! Odczep mnie... bo zabiję!... Już mnie odczep, aaa!... Zaa-bii-jęęę!!

Na pokładzie drągale z Gardy, prowadzeni przez zastępcę Nellsa, tłukli majtków batami i pałkami, z wielkim trudem przywracając porządek.

* * *

Szorowano pokład. Sprzątano. Huczał młot okrętowego cieśli, który wraz z pomocnikami zbijał nowe sprzęty do kapitańskiej kajuty.

Praca szła bardzo niesporo, bo nikt na „Trupie” nie przywykł do podobnych zajęć. Tym razem jednak narzygane, nasikane i napaskudzone było wszędzie, a smród bił na wysokość grotmasztu – nawet chłopcy Ridi nie mogli w tym wytrzymać. Ślizgawica na pokładzie groziła wypadkami, od których mogła zmaleć liczba załogi.

Dostatecznie już została uszczuplona.

Szorowanie pokładu szło opornie także i dlatego, że na rozkaz kapitany całą pracę wykonać mieli winowajcy wczorajszego nieporządku. Wlepiono im kije, pokazując sprawiedliwą kaźń całej załodze, zebranej na głównym pokładzie – teraz ci sami ludzie, ledwie żywi z bólu i już zaczynający gorączkować, nieporadnie sprząтали żaglowiec.

Ślepa Ridi stała tam gdzie zwykle: z bezanem za plecami, oparta o barierkę na rufowym kasztelu. Przyglądała się podkomendnym, co jakiś czas palcami jednej dłoni pocierając wnętrze drugiej, gdzie skóra była troszeczkę jaśniejsza. Miała coś w rodzaju... pamięci o bólu. Zdarzało się. Nieraz ran nie było już widać, ale jeszcze przez krótki czas bolały.

Marynarz zemdlął przy kubie i osunął się na deski ze śmierzącą szmatą w rękę. Na kasztel wgramolił się Mevev.

– Problem, kapitana.

– Problemem jesteś ty. Upiłeś się wczoraj jak świnia. Do nieprzytomności.

– Ty też.

– Ja nie. A zresztą, ja mogę. Komu wolno, to wolno.

– O to chodzi – podsumował Cichy i wyjaśnił: – O picie.

– Co jest z piciem?

Mevev kiwał głową, myślał, popatrywał to na morze, to na pokład. Przyzwyczajona, że zastępca taki już ma obyczaj, nie ponaglała go.

– Jest inaczej. Wszystko. Załoga nie zna moresu.

– Wykonują każdy rozkaz.

– Ale do dupy wykonują.

– Boją się mnie.

– Ale tak jak wariatki z pochodnią i beczką prochu. Nie wiedzą, co zrobisz, ani jak z tobą gadać.

Przypatrywała mu się z uwagą.

Mevev kiwał głową, myślał, układał sobie słowo po słowie. Patrzył na morze, na żagle, na nieprzytomnego majtka przy kuble. Problem przerastał go. Był niegłupim, nawet trochę otrzaskanym w świecie, ale jednak prostym człowiekiem. Widział, że jest źle, jednak ledwo ledwo rozumiał, na czym to „źle” polega. Ubrać takich trudnych myśli w słowa w ogóle nie umiał.

– Załoga lubi, jak im pokazujesz, co potrafisz... – zaczął wreszcie.

– No właśnie – wpadła mu w słowo.

Mevev zgubił wątek.

– Zamknij się, kapitana. Bo nigdy nie powiem.

Zaczął jeszcze raz.

– Załoga lubi, jak im pokazujesz, że jesteś prawie jak jakaś Przyjęta. Kto ma kapitanę, którą można dziabnąć mieczem, a jej nic? Nikt, tylko my. Każdy lubi, jak się popisujesz. Bo na własne ślepie może pooglądać taką babę, której Nells przepchnie włócznie na wylot, a ona tylko wrzeszczy i się śmieje. Widzieli cię też przy robocie. Jak urywałaś łby cesarskim. I to naprawdę urywałaś. Nikt tak nie potrafi.

Mevev zagapił się na morze. Kiwał głową, milczał. Odpoczywał.

Na pokładzie trwało sprzątanie. Żagle były postawione tak starannie, jak nigdy.

– Ja wiem, że masz w sobie to świństwo, ten Rubin – odezwał się znowu. – Ale załoga nie wie. Wiadomo, że nie przynosisz nieszczęścia swojej załodze, tylko innym. Opowiadają sobie różne bajki. O tym, że zaszyli ci Rubin tam, gdzie wszyscy mają serce. Albo że nosisz go pod opaską w tym wybitym oku, takie coś też słyszałem. W tawernie. I w ogóle, że nosisz gdzieś przy sobie różne Przedmioty, albo... no.

Mevev znowu odpoczywał przez chwilę.

– Jak ktoś nowy i głupi – podjął – to mu podpowiadają twoje prawdziwe imię. I kiedy wymówi całe, to patrz, co się z nim dzieje. Wiadomo, jednego roztelepie, drugi się poddusi, trzeci zesra. Potem mają o czym gadać przez miesiąc. Ale dobrze, bo jesteś dla nich dziwna i straszna. Mówisz takiemu: „napsociłeś, to wyskakuj za burtę”, a on hyc! już go nie ma. No bo przecież, jakby zaraz nie wyskoczył i rozgniewał cię, toby go inni wyrzucili za burtę. Tyle tylko że już w kawałkach.

Słuchała w skupieniu.

– No to o co ci chodzi?

– Czekał. No i jeszcze jesteś... no, ich. Swojaczka. Kapitan to czasem taki ktoś, do kogo marynarz nie otworzy gęby. Bo od razu zarobiłby w pysk. A ty pijesz z nimi, wyglupiasz się, tańczysz. No i czasem dasz nawet chłopakowi z dziobówki, jeśli pozna, że masz humor, ładnie się przymówi i przyniesie jakąś błyskotkę. A już odkąd odcięłaś nas wszystkich od stryczka, załoga pójdzie za tobą w ogień.

– Więc o co ci chodzi? – powtórzyła. – Słyszę, że wszystko dobrze.

– Tak dobrze, że aż za dobrze.

Patrzyła pytająco.

– Zechciej mi to przystępnie wytłumaczyć – zażądała.

Czasem, jak coś palnęła tym swoim wielkodupnym garyjskim, Meveva trafiał najjaśniejszy szlag. Kiedyś zauważył, że Ridi, chyba nawet o tym nie wiedząc, zupełnie inaczej rozmawia z Raladanem, albo na przykład kimś takim, jak wysoka blondynka spotkana w porcie w Aheli, taka wielka pani, psia jej krew – a inaczej z nim i w ogóle wszystkimi żeglarzami. Zniżała się do nich, czy co? Żeby zrozumieli, co mówi?

– Mówię, że za dużo tego dobrego. Marynarz musi mieć wszystko jasne, proste, a ludzie się pogubili. Wszystko im się popierdzieliło. To jest kapitana, a to jest piczka dla załogi. Ale jeśli kapitana to też jest piczka dla załogi, to jak niby powinno być: słuchać się jej czy ją dmuchać? Czasem słuchać, a czasem dmuchać?

– No! – potwierdziła. – Na wszystko jest czas i miejsce.

– Ale oni nie wiedzą, kiedy robić jedno, a kiedy drugie. Jak wypiją, to wszystko im się miesza. – Mevev miał już dosyć rozmowy i żałował, że w ogóle ją zaczął.

– Nigdy nie mówiłeś, że się miesza.

– Bo kiedyś się nie mieszało. Robiłaś widowisko, oni się gapili i nie wiedzieli nawet, czy mogą podejść bliżej. Ale teraz Nells przybija cię do ściany i wchodzi na ciebie.

– No bo tak mu kazałam. – Piękna Ridi umiała mówić o wiele składniej niż Mevev, ale on był, niestety, mądrzejszy; widział problem, a tylko nie umiał się wysłowić, natomiast kapitana niczego nie widziała. – Inaczej by przecież nie wlaź, bo urwałabym łeb. Nie rozumiesz, po co to było? Przecież ci mówiłam, jak to jest, kiedy muszę nakarmić sukę, bo inaczej...

Cichy miał naprawdę dość rozmowy.

– Tylko patrzeć, jak za Nellsem wlezie na ciebie cała reszta. Chociaż... no, po tym, co było wczoraj, to nieprędko. Chyba. Sześciu zabitych, dziesięciu pokrojonych. Ale im dałaś.

– No! – Zaśmiała się.

– Słuchaj, kapitana... Ale następnym razem nie rób... no, widowiska. Zwłaszcza po wypiciu. Jak musisz coś zrobić, no to musisz. Ja rozumiem, bo mi powiedziałaś. Ale my z Nellsem sami możemy cię przybić. Albo przypiec ci podeszwy, czy co tam sobie wymyślisz. Chłopcom lepiej nie pokazuj. Przecież już wiedzą, co umiesz. Nie od dziś.

Zaskoczona, gapiała się nań, niepewnie mrugając swym jedynym okiem.

– Ale kiedy ja lubię się pokazać. Lubię, kiedy tak na mnie patrzą, a jeszcze zaczynają wrzeszczeć i gwizdać na wiwat... Przecież jestem bardzo ładna, tak? Czy nie jestem? – zaniepokoiła się nagle. – Nie jestem?... Mevev? Ja wiem, to przez ten brzuch!

Nie dała mu dojść do słowa.

– Ja wiedziałam, ja coś czułam. Ale co?... Bardzo zbrzydłam? – nalegała. – Powiedz! Jestem gruba, tak?

Mevev niby wiedział, że jego kapitana jest idiotką, czasem jednak o tym zapominał i musiał dowiadywać się od nowa.

– Ale przecież wiesz, dlaczego ja ciągle chodzę z brzuchem! – tłumaczyła ze złością, szarpiąc go za rękaw. – Kiedy mogłam, to piłam ziółka na spędzenie płodu, ale przestały na mnie działać. Muszę to COŚ nosić, aż urodzę. Myślisz, że chcę? Albo lubię?

Mevev miał na końcu języka, że sprawa nie jest zupełnie prosta, bo babskie brzuchy raczej nie biorą się z niczego.

– Przestań już, kapitana.

– Powinam mieć większe piersi, już wiem – powiedziała zupełnie poważnie.

Mevev osłabł.

– Kapitana, ty... głupia jesteś?

– Bo mówisz mi, że jestem gruba i brzydka! – wrzasnęła i palnęła go w łeb. – A co mam zrobić?! Ja też już nie mogę na siebie patrzeć! Zawsze to trwało trzy miesiące, najwyżej parę dni dłużej, a teraz tak długo, jak chyba jeszcze nigdy! Jak to można wytrzymać przez dziewięć miesięcy, to ja nie wiem! Hodować w sobie żarcie dla ryb! Chciałbyś tak?! I przychodzi taki, mówi: brzydka jesteś! Ludzie patrzeć na ciebie nie mogą!

Awantura na rufowym kasztelu zwracała uwagę marynarzy.

– Ładna jesteś, już przestań. Mówię ci, że ładna.

– Łżesz!

Jeszcze raz trzepnęła go w ucho i zaczęła złazić z kasztelu. Po drodze się popłakała.

Mevev stał na kasztelu. Pogapił się na morze, na żagle, na pokład...

Kiwał głową i myślał.

Grombelardzkie szlaki morskie – bo były dwa: Północny i Południowy – należały do najbardziej uczęszczanych w Szererze. Z Armektańskiej Riny i Rapy spływały przez Wody Środkowe rozmaite towary z północnego i środkowego Armektu. Przeładowywano je w Londzie, po czym wieziono dalej, najczęściej Szlakiem Południowym, do Dartanu.

„Zgniły Trup” płynął właśnie tym szlakiem.

Prawie nie było dnia bez jakiegoś żagla na horyzoncie. Na horyzoncie – dlatego że żaden kapitan specjalnie nie dążył do spotkania z innym żaglowcem, a już szczególnie żaglowcem samotnym; wiadomo, kto zacz? Nie wiadomo. Handlowe statki, zwłaszcza powolne kogi, najczęściej skupiano w konwoje. Przydawano im wojskową asystę. Samotny okręt to mógł być pirat.

Mijano się w rozsądnej odległości.

Ale jakieś dziwne statki pojawiły się za rufą „Zgniłego Trupa”. Tylko dwa. Za mało na konwój. Płynęły tym samym kursem. Nie było ich, potem się pojawiły – czyli były szybsze od holka Ślepej Foki Ridi. Powinny go doganiać.

A nie doganiały.

Cichy wytrzeszczał oczy, posiłkował się też sokolim wzrokiem kilku członków załogi (na każdym żaglowcu znalazło się paru widzących lepiej niż inni). Ale niczego nie ustalił, zdany był na domysły. Żaglowce różniły się wielkością, ale mogło to oznaczać cokolwiek. Plamka i punkcik pod horyzontem. Mały holk i duża koga. Karaka i holk. Cokolwiek i cokolwiek. Może jednak bez kogi; koga „Trupa” by nie dogoniła.

Wojskowe eskadry cesarskich składano zwykle z okrętów o podobnych rozmiarach i szybkości. Zwykle, bo nie zawsze. Zwłaszcza floty garyjskie, przetrzebione w ostatnim powstaniu, wciąż nie mogły się dorobić eskadr z prawdziwego zdarzenia. Pływało tam wszystko, co tylko trzymało się na wodzie. Jednak garyjska eskadra na tym szlaku? Południowym Grombelardzkim? Chyba że w asyście konwoju.

Cichy uznał, że za rufą ma piratów. Prawdopodobnie z Agarów. Ale co to mogło znaczyć? Czy wyszło już na jaw, co Ridi po sobie zostawiła na Małej, i Raladan wysłał pościg? Wątpliwe. Nawet, jeśli sprawa wyszła na jaw, to Raladan – tak przynajmniej mówiła Foka – nie wiedział, dokąd płynie „Zgniły Trup”. A gdyby wysłał coś w pościg, to raczej którąś z wojennych eskadr Ahagadena, starą albo nową. Jacy kapitanowie, zawijający do Aheli, by spieniężyć łupy, zgodziliby się ścigać Ślepą Fokę Ridi?

Mevev myślał i myślał, a choć umiał, to bardzo nie lubił. Ostatnio zaś kazano mu myśleć na okrągło.

Zlął do kajuty, ale ciągle nie miał z kim gadać. Kiwał głową, dumał, układał sobie plan. Poszedł szukać Sayla. Znalazł go rządzącego chłopakami przy rumplu. Starzy uczyli nowych, jak obchodzić się z wrednym drągiem.

– Chodź.

Sayl zdał komuś komendę nad sterem i wyszli z Mevevem na pokład.

– Nic nowego nie wymyśliłem z tymi tam. – Pierwszy oficer wskazał daleko za rufę. – Tylko patrzeć, jak okrążymy Najdalsze. I już prosto do Londu. Za rufą mamy nie wiem kogo. Nic nie wiem.

– Co ci powiedziała?

– Stara? Że płyniemy do Londu. Od tego czasu nic. W Londzie pozna „Zgniłka” każdy mieszczuch, a co dopiero marynarz. Nie możemy tam zawinąć, bo po nas. Jak mnie pytasz, to nie pokażę się nawet w Zatoce Lońskiej, a co dopiero w Londzie.

– A teraz Foka co mówi?

Mevev popatrzył ciężko.

– A podobno żeś taki mądry. Jakby coś mogła mówić, tobym do ciebie nie laźł. Kiedyś ty ją widział?

– No... jak wstała.

– Na śniadanie wypła, teraz śpi. Zerzygała ci się na koję i zeszczala, bo pomyliła wyrka.

– Mhm – uznał Dartańczyk. – Czyli tak jak wczoraj.

– I przedwczoraj, a najgorsze, że tak, jak jutro i pojutrze. Ile to ma potrwać, tydzień? Dwa?

– Mniej jak tydzień na pewno nie. – Sayl też wiedział, że kapitana potrafi pójść w cug.

– Nie dam jej więcej pić. Może sobie pić na Bezmiarach. Ale nie prawie na redzie portu.

– Powiesz: nie pij?

– Powiem: nie ma co pić. Zaraz każę rozwalić beczki – twardo oświadczył Mevev. – Razem z tą, co trzymam w kajucie. Bo jak zabraknie wina, to dobierze się i do gorzałki.

– No... – powiedział Sayl. – To ja się chowam i szykuję na pierwszego oficera. Bo ten, z którym rozmawiam, ma już wyrwane obie nogi z dupy, tylko udaje, że jeszcze o tym nie wie.

– Przetrzymam – odpowiedział bohatersko, chociaż bez sensu Mevev, bo tego, o czym mówił Sayl, nie przetrzymał jeszcze nikt na świecie. – Nie popłynę do Londu z szybszą od „Trupa” eskadrą na karku. Jakby co, to nawet nie będzie jak uciekać. Z przodu Lond, a z tyłu nie wiadomo kto i po co. Strasznie mi coś tutaj śmierdzi.

Przywołał bosmana i ku przerażeniu załogi kazał porozwalać beczki z winem. Poszedł do kajuty i osobiście wytoczył ostatnią baryłkę wódki, bo nie dało się jej schować tak, żeby nikt o tym nie wiedział. Od cieśli wziął topór i z krwawiącym sercem – bo nie był przecież pozbawiony uczuć – kazał pysznej bagbiance wsiąkać w deski pokładu.

Załoga okryła się żałobą, niektórzy po prostu płakali. Ale wiadomo było (choć gadano o tym najwyżej półgębkiem), że płyną do Londu – czyli tam, gdzie na pewno ich nie chcą – a kapitana od trzech dni nie trzeźwieje. Kiedy piła z załogą, to piła dla zabawy – ale kiedy sama... no, to piła. Tymczasem już za Ostatnim Przylądkiem lubiły się kręcić patrolowe szniki Floty Grombelardzkiej. Rozważywszy to, marynarze przebaczyli Cichemu. W zamian czyniono zakłady, jaki los go spotka. Był odważny do szaleństwa, czego dowiódł, zyskując u załogi nowe poważanie; teraz musiał jeszcze pokazać, że ma szczęście.

I, skurczybyk, pokazał. Widocznie szczęście naprawdę lubiło sprzyjać głupim.

Wieczorem kapitanę wreszcie sparło.

Tym razem nie było widowiska. Sayl i Mevev wzięli sobie do pomocy Nellsa, który – choć z żebrami na wierzchu, ledwie żywy – umiał doradzić coś mądrego, bo jako były katowski pomocnik dobrze znał się na sprawach cielesnych i rozmaitych bólach (porodowych, co prawda, najmniej). Nowiutkie, dopiero co sklecone przez cieślę drzwi kajuty zatrzaśnięto na głucho i otwarto tylko dla zabrania doniesionego pod próg szaflika z ciepłą wodą – podtrzymywana przez akuszerów kapitana darła się w kucki na stole. Załoga w skupieniu słuchała przekleństw,

przeplatanych wymęczonym, wysiłonym wrzaskiem; raz nawet w kajucie rozbrzmiał wybuch dzikiej wesołości. Nikt nie słyszał o babie, która się śmiała, rodząc – ale o takiej, co pocięła paru chłopca na kawałki, także nikt nie słyszał. Widocznie kapitana lubiła się pośmiać przy rodzeniu. Śmiała się czy nie śmiała, wróżono sobie z tego same dobre rzeczy; starzy majtkowie tłumaczyli nowym, że Foka nigdy nie jest dla załogi tak łaskawa, jak po... no, wiadomo. Właśnie po tym.

Wrzaski i przekleństwa w końcu umilkły, ale nie zastąpił ich płacz bachora. Późną nocą Mevev, z drewnianym szaflikiem w rękach, wylazł z kajuty i wywalił za burtę coś, co przypominało obrzydliwą zupę przyrządzoną z nie wiadomo czego. Zaraz potem wyrzygał się, dając rybom jeszcze więcej żarcia. Na koniec wyrzucił szaflik.

Widziała to i słyszała tylko nocna wachta.

Gadało się w dziobówce, że Foka rodzi potwory – całe czarne i z mackami, niczym ośmiornice. Ale wielu kiedyś widziało, co rodzi, i ci mówili, że nie, a jeżeli nawet tak, to nie zawsze. W rzeczywistości rodziła Rubiny, chociaż nigdy tak nie wyglądały. Miały w sobie czerwoną moc Riolaty – i nie miały niczego więcej. Ridareta przeżyła własnym życiem aż szesnaście lat, nim jej dusza wymieszala się z Geerkoto; miała własne wady i zalety, doświadczenia i przemyślenia... Jednak w tym, co rodziła, nic z niczym nie mogło się wymieszać. Mogły być z tego – jak przed laty – myślące Rubiny i nic więcej.

Już następnego dnia wieczorem rozfiglowana i bez przerwy uśmiechnięta kapitana biegała po pokładzie, a nawet łąziła po wantach, w nisko wiszących, bo słabo zasznurowanych portkach, ale za to koszuli zawiązanej na supeł pod samymi piersiami – tak wysoko, że wszyscy mogli zobaczyć jej wąziutką kibić i płaski, twardy brzuch. Żadna inna kobieta na świecie nie mogła w tak krótkim czasie odzyskać nieskazitelnych kształtów. Foka mogła – i ze swojej własnej sakiewki kazała wypłacić uradowanym marynarzom po dwie sztuki złota na głowę, a ważniejszym członkom załogi nawet więcej. Wydała w ten sposób pół tysiąca i była szczęśliwa jak nigdy. Wytrzasnęła skądś srebrne dzwoneczki, które zawiesiła na kostkach i przegubach, a cztery zamiast kolczyków wpięła w uszy i nozdrza. Było ją słychać wszędzie.

Zaśpiewała chyba wszystkie znane sobie piosenki. Głos miała na tyle znośny, że dało się tego słuchać; jedynie przy trudnych *Białych mewach* okropnie fałszowała.

Mevevowi się upiekło. Dostał tylko niegroźnego kuksańca na wieść o tym, że wielkiego czynu dowódczyni nie można uczcić powszechną pijatyką.

Zaczęto go nazywać Szczęściarzem Mevevem Cichym.

* * *

Zachmurzyło się; wiatr był silniejszy i przykry, a bezksiężycowa noc ciemna jak smoła. Na „Zgniłym Trupie” wzmocniono pokładowe wachty. Pojawił się nowy kłopot: wszyscy chłopcy Ridi – a było ich przeszło półtorej setki – zwali się marynarzami, jednak pojęcie o zagłowcu miał

najwyżej co czwarty. Reszta nadawała się do abordaży, obsługi dział i do najprostszych prac, ale nijak nie mogła zapamiętać, co to noki, co bukszpryt, a co rogi szotowe grot. Los sprawił, że niedawne zajścia wytrąciły ze służby aż dwunastu prawdziwych marynarzy – zabitych, rannych, bądź stłuczonych za karę. Teraz, w przedsztormowych warunkach, na nogach byli w kółko ci sami ludzie.

Dzień wstawał szary, zimny i mglisty. Wciąż trapiiony niedobrymi przeczuciami Mevev kazał budzić się wcześniej i wylazł na pokład w samą porę, by usłyszeć wołanie stojącego na oku majtka:

– Okręt od rufy ze sterburty! Hee-ej! Ooo-kręć!

Średni holk, tylko trochę mniejszy od „Trupa”, ostro szedł lewym halsem, doskonale już widoczny w rzednących kłębach mgły. Tak samo ożaglowany, musiał mieć jednak jakiś inny wiatr, własny, bo do wiatru okrętu Ridi płynął bardziej ostro – a prawie dwa razy szybciej. Mevevowi wydało się, że niemal słyszy, jak grają napięte liny, trzeszczy czerwone płótno pełnych żagli, syczy cięta dziobnicą woda.

Marynarz na oku rozdarł się po raz drugi:

– Hee-ej! Na lewym trawersie! Ooo-kręć!

Ale to nie mógł być okręt. To było coś, czego Cichy nigdy dotąd nie widział. Niby karawela z mieszanym ożaglowaniem, ale ta karawela, prawie położona na burcie, szła półwiatrem z szybkością orki, nie okrętu. Mevev nie miał dotąd pojęcia, że w ogóle można uzyskać taką prędkość. Ależ, ściervo, było wybalastowane!... A jak prowadzone! Przy takim wietrze i fali dawno już powinno leżeć na wodzie!

Ożaglowany na czerwono holk naraz wydał się Mevevowi powolny i niezgrabny.

Wyzbył się ostatnich wątpliwości i przyzwał wachtowego.

– Budź kapitanę. Powiedz, że „Kaszalot” Brorroka i „Kołysanka” Kitarą proszą, żebyśmy się zatrzymali.

Kitar właśnie przecinał kurs „Trupa”, przemykając przed dziobem cięższego żaglowca w odległości godnej pomyłka – była to uprzejma prośba o zrefowanie żagli. Mniej uprzejma polegała na posłaniu sto kroków przed dziobem kuli działowej w morze – taka „prośba” miałyby już rangę ostrzeżenia. Na pokładzie „Kołysanki” uwijała się przy żaglach śmiesznie nieliczna załoga pokładowa – ale każdy tam świetnie wiedział co robić, i rozkazy na żagle i ster padały tylko takie, które były naprawdę niezbędne. „Trupem” mocniej zatelepało w świeżym śladzie torowym karaweli, która już robiła zwrot – ale taki, jakby wiatr przestał nagle wiać, a za to jakiś podwodny olbrzym obrócił okręt w palcach. Bardzo krótko trwało zwykle przy manewrach zamieszanie, które szczerom lądowym (na przykład zabranym w rejs pasażerom) stawiało włosy na głowach – bo zawsze był taki moment, gdy wszyscy biegali, na pozór zupełnie bezładnie, a okręt, jak się zdawało, robił co tylko chciał... Aż trzasnęły brasowane reje; huknęły płótna.

Kitar najwyraźniej zamierzał opłynąć „Trupa” dokoła.

Coś było nie tak z tym żaglowcem. Kitar zdobył go, ale nie zmienił nazwy – kupiec, do którego karawela należała, nazwał ją „Kołysanką” podobno dlatego, że kiwała się na wodzie niczym koga i podobnie prędko pływała. Chłopcy Kitara majstrowali przy łajbie tak długo, aż wykryli, że statek jest po prostu niedożaglony – i dla odmiany przeżaglili go tak, że byle podmuch powinien przygniatać ich do wody.

A jakoś nie przygniatał.

Brorrok obelżywie refował foka i grota – obelżywie dlatego, że płynął teraz kursem równoległym i brał dokładnie ten sam wiatr, z którego korzystał wymęczony do granic okręt Ridi. Jeśli „Kaszalot” nie chciał zostawić go w tyle, musiał zwolnić. Szczęściarz Mevev zamarzył nagle o takim okręcie i takiej załodze. Ale nic z tego. Miał w zamian niesamowitą, legendarną kapitanę, która właśnie wylazła na pokład tak jak spała: w wygniecionej koszuli, niezwiązanych portkach i ze zmierzwionymi kudłami na twarzy. Drapała się pod pachą i po przyrodzeniu, co było zrozumiałe o tyle, że na okręt ktoś przywłókł mendi i drapali się wszyscy tak samo.

– To Brorrok i Kitar? – zapytała, odgarniając włosy, dzwoniąc dzwonkami, ziewając i gapiąc się na okręty. – Aha, rzeczywiście oni... Czego chcą?

– Żebyś zasznurowała i podciągnęła portki.

– Mhm. A tak poważnie?...

– Poważnie to jeszcze nie wiem. Wciągnij portki i powiedz co robimy.

– Co ty z tymi portkami? Znowu ci się nie podobam, czy co?

Mevev zatrzęsł się na samą myśl o tym, że znów będzie musiał w kółko powtarzać: „Ale ładna jesteś, kapitana, bardzo ładna”.

– Mniejsza o portki... Co robimy?

– Zakotwiczmy. Chyba możemy tutaj?

– Nie bardzo – sucho powiedział Mevev.

– Dlaczego? A, bo za głęboko?

Szorowali stępką po szelfie kontynentalnym. Mevev policzył w myślach do pięciu.

– Bo pogoda się robi paskudna i lepiej by było poszukać jakiegoś cichego kotwiczowiska. Zamiast sterczeć tu i tracić czas.

– Wiem, tak tylko powiedziałam – rzekła, grzecznie wiążąc troczki hajdawerów. – Ale zakotwiczmy. Jakoś się zdąży.

Wściekle dzwoniąc, okręciła się na pięcie. Rozłożyła ręce: „No i jak?...”.

– Pięknie.

– No to kotwica w dół – powiedziała.

– Jak chcesz z nimi pogadać, to będziesz musiała się wybrać. Do jednego albo drugiego.

– Dlaczego?

– Żaden tu nie przyplynie.

– Dlaczego?

– Co ty, dzisiaj się urodziłaś?... Kto ci wejdzie na pokład okrętu, który się nazywa „Zgniły Trup”?

– Aha, no tak. Zapomniałam. Ale to oni mają jakąś sprawę i ja się do nich nie wybiorę. Postoimy, poczekamy, a jak nie, to nie.

– Kotwiczymy?

– Kotwiczymy.

– Trochę za duża fala, żeby spinać okręty. I paskudny wiatr.

– To nic. Może nawet dobrze. Wyślij do Brorroka chłopaków w szalupie. Będzie uprzejmie.

A może im tylko każe, żeby coś mi powtórzyli?

– Jak chcesz.

– Wiecznie coś ci się nie podoba.

Mevev udał, że nie słyszy, albo rzeczywiście nie słyszał, wykrzykując rozkazy.

– To ja idę coś zjeść, a ty spuść szalupę na wodę. Wykąpię się szybko, chyba zdążę, co? Jak myślisz? Brorrok uważa, że jestem brudas, no to go dzisiaj zaskoczę. Oczywiście, jeżeli przyplynie.

10.

Grombelardzka wyprawa Przyjętych od samego początku była warta śmiechu. Albo morza łoż.

Najpierw okazało się, że Moldorn ani myśli maszerować w dzikie góry.

– Zamierzam czekać na wiadomość od pirata. Ten staruch, który kazał mi przyłożyć pałą, jest więcej wart niż ten, którego zamierzacie odkopywać – powiedział.

– Nie jesteś ciekaw, co ma do powiedzenia Strażnik Praw Całości? – szczerze zdziwił się Gotah.

– A co może mieć do powiedzenia dziadek, którego parę lat temu żywcem zamurowali i przysypali gruzami? Śmiertelny czy nieśmiertelny, żaden umysł tego nie wytrzyma. A choćby nawet wytrzymał, to ja od początku nie widziałem w tym sensu, Gotahu.

– Próbował zniszczyć Riolatę Ridaretę już kilkanaście lat temu. Wiedział, czym grozi jej istnienie.

– Nie udało mu się. Potem próbował w Grombelardzie podnieść Srebrną czy Złotą Wstęgę, żeby sprowokować wojnę przewencyjną z niegotowym jeszcze Alerem. To też mu się nie udało. Kiedy sika, to na pewno na but.

– O... Czy nie jesteś nazbyt rubaszny, wasza godność? – napomniała Kesa.

– Czy nie jesteś nazbyt delikatna, pani, by przedzierać się przez dzikie góry?

– Ale ja nie będę się przedzierać przez góry. To śmieszne, wasza godność... Uważałeś, że zamierzam wyruszyć do Grombelardu? Czy ty to słyszysz, Gotahu?

Oniemiały Gotah dowiadywał się coraz to nowych rzeczy.

– Ale... Więc i ty nie zamierzasz ze mną jechać, Keso?...

Teraz zdziwiła się Przyjęta. Zdziwiła i przestraszyła.

– Czyżbyś sądził...? Ale dlaczego?...

Gotah siedział za stołem, przenosząc spojrzenie z twarzy Moldorna – który chyba z trudem powstrzymywał się od złośliwego uśmiešku – na twarz żony. W końcu popatrzył na Yolmena, jakby pytał: „Słyszałeś? Co to wszystko znaczy?”.

Ale starzec zrozumiał spojrzenie opacznie.

– Hm.. ehem!... Ja też się nie wybieram, wybacz mi, drogi przyjacielu. To już nie na moje nogi. A paski suszonego mięsa nie na moje zęby. Pojadę z Moldornem. Naprawdę mamy jeszcze sporo pracy... czy nie tak, Moldornie?

– Rzeczywiście. Ze wzorów Tamenatha wynika więcej, niż podejrzewaliśmy. Może mówię to trochę na wyrost, ale... kto wie, czy nasza księżniczka nie będzie wkrótce dla nas przewidywalna. Matematycznie przewidywalna, przynajmniej jeśli chodzi o jej „rubinową” część. Prawdopodobnie możemy z dużą dokładnością określić interwały aktywności

Odrzuconych Pasm, a więc i Rubinu. Oznaczmy dni, kiedy księżniczka nie potrafi nic. Zupełnie nic, bo bez swojego Rubinu jest nikim i niczym.

– Otóż, co do tego, nigdy się nie zgodzimy – oświadczyła Przyjęta.

– Czekajcie – rzekł Gotah. – W Ciężkich Górach pogrzebano żywcem Strażnika Praw Całości, jedyną istotę w Szererze, która rozumie wszystko, co związane z Szernią. Trwa wojna Szerni z Alerem. Czworo Przyjętych próbuje nie dopuścić do spotkania żywego symbolu Odrzuconych Pasm z żywym symbolem Ferenu. I z tych czworga Przyjętych troje mówi, że ma ważniejsze sprawy niż szukanie jakiegoś zakopanego dziadka.

– Najdroższy, ależ ja nie mam żadnych ważniejszych spraw. – Kesa czuła się winna. – Ja tylko... w żaden sposób nie mogę jechać do Grombelardu. Przecież wiem, co to za kraj. Jak to sobie wyobrażałeś? Że dosiędę konia, a wieczorem na biwaku... zrobię sobie z dwóch peleryn taki mały namiocik, jaki podobno potrafią zbudować żołnierze?...

Gotah popatrzył na żonę. Pomedytował nad kształtem perłowo-różowych paznokci uniesionej dłoni; przyjrzał się miedzianej barwy sukni z zielonymi dodatkami, a najwięcej uwagi poświęcił starannie upiętym włosom i wygiętym łukom królewskich brwi. Zastanowił go delikatny jak pajęczka nitka, złoty łańcuszek na nieskazitelnej szyi.

Nie wyobrażał sobie. Myślał, że tak będzie, że pojedą, ale nigdy jakoś nie zszedł do poziomu szczegółów. Do namiociku z dwóch peleryn, wilgotnego pledu i śmierdzącej podróżnej sakwy z koziej skóry. Rechotu najemników przy kopającym ognisku obozowym.

Znów popatrzył na Moldorna i Yolmena.

– Chcecie siedzieć i czekać, aż Brorrok wróci ze swych łowów? To może trwać i pół roku.

– Albo kilka tygodni. Ale nawet jeśli pół roku, to mamy co robić z Yolmenem i na pewno nie będziemy się nudzić. W Talancie zwolnimy pachółka, który czeka na wiadomość od Brorroka, a na jego miejsce przyjmiemy kilku sprawnych rachmistrzów.

– Więc mam jechać do Grombu sam? – zapytał Gotah... i nagle poczuł ulgę. – A właściwie, dlaczego nie?... Jest dużo racji w tym, że ja jeden jako tako nadaję się do podobnych wypraw. Odbywałem już niezwykle podróże; z jednej nawet przywiozłem żonę.

– Teraz tak nie będzie – rzekła Kesa.

– No, niestety, nie. Co ja mówię „niestety”... Nie będzie tak i tyle. – Gotah był w coraz lepszym humorze, ale jeszcze nie wyzbył się resztek uczucia zawodu i złości. – Gdybym od początku działał sam, to już dawno wszystko byłoby zrobione. Mam was serdecznie dosyć, was też! – Wycelował palec w kobietę. – Wielka damo z niewolniczej hodowli!

– Jestem podła – powiedziała z płaczem Kesa, kucając w swojej świetnej sukni i zakrywając twarz dłońmi. – Liczył na mnie... a ja jestem podła. Nielojalna i podła. Ale czy on wcale mnie nie kocha? Nawet nie pomyślał, że taka wyprawa może być dla żony niebezpieczna.

– Określmy te fluktuacje aktywności Pasm, Moldornie – poprosił Yolmen. – Sam sobie nie

poradzę, a zależy mi, żeby coś po sobie zostawić. Żeby ktoś powiedział kiedyś: „Moldorn? Ale ktoś mu trochę pomógł, chyba Yolmen-Przyjęty”.

– Banda głupców, wszyscy siebie warcą. Ty jeden, Yolmenie, choć brak ci zdolności, przynajmniej robisz to, na czym się znasz, i nie udajesz kogoś, kim nie jesteś.

Wszyscy jednocześnie rzekli swoje. Wielkie szczęście, bo każdy niewiele usłyszał, cztery głosy zlały się w niezrozumiałą gwar.

Zaległa cisza.

Kesa bardzo wolno odsłaniała wilgotne oczy, wciąż kucając na podłodze pod ścianą. Gotah i Yolmen siedzieli za stołem. Moldorn stał ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. I Moldorn właśnie odezwał się pierwszy. Podszedł do okna, wyjrzał i oparł się plecami o ścianę.

– Poszło Pasma – powiedział po prostu. – Tak? Czy nie?

– Raczej kilka Pasm jednocześnie – zaprotestował Gotah, wstając. – Ile czasu minęło, zanim Smugi z pozostałych przejęły funkcje tego, co szlag trafił! To jest wojna, tak, to jest wojna! – mówił, chodząc po komnacie. – Ona cały czas się toczy, a my o tym mówimy, ale nie pamiętamy! Tylko my? – pytał chaotycznie. – Czy inni także stracili kontrolę? Wszystkie istoty w Szererze? Ludzie i koty? Tylko ludzie? Tylko Przyjęci? Nie pytajcie mnie, bo nigdy nie powtórzę tego, co powiedziałem!

– Ja chyba... nie powinnam.

– A ja bym nie chciał – rzekł Yolmen.

– A ja powiedziałem: banda głupców, z których tylko Yolmen robi swoje, chociaż brak mu talentu! – palnął Moldorn. – Dobrze świadczy to o mojej szczerości względem was. W każdej chwili mogę powiedzieć i powtórzyć to, co myślę. I zdaje się, że nikt więcej w tym szlachetnym gronie.

– Mylisz, wasza godność, nieszczerłość z taktem i delikatnością. Ktoś, kto na ulicy powie mojemu mężowi: „Ale masz krzywą gębę!” jest nie tyle szczerzy, co bezczelny i gruboskórny. – Kesa wiedziała, że Gotah nie ma urazu na punkcie swego (bardzo w końcu drobnego) kalectwa, więc wolno jej przytoczyć taki przykład. – Skończmy już rozmowę na ten temat. Ubliza mi tłumaczenie w tym gronie, że stosunki między istotami rozumnymi nie są oparte na mówieniu w każdej chwili wszystkiego, co tylko przyjdzie do głowy. O wojnie Szerni z Alerem też nie mówmy; wiemy, że się toczy, i nie mamy na nią wpływu. Mówmy o czymś innym. Zgadzam się z Moldornem – oświadczyła.

Nikt się nie odezwał.

– Jesteśmy grupą głupców, zajmujących się sprawami, o których nie mają pojęcia. Wstrząsnęły nami wzory Tamenatha, na których Yolmen oparł swoje modele. Od pół roku zajmujemy się pogonią za widmami. Szukaniem dziury w całym. Pora oprzytomnieć i przestać.

– Po świecie biega istota, która sama jedna może doprowadzić do nieprawdopodobnej

katastrofy. Do utraty równowagi przez walczącą Szerń. Mówiąc obrazowo: zapaśnik, którego zwycięstwo jest dla nas ważne, zmagający się z innym zapaśnikiem, w każdej chwili może zostać przez kogoś uderzony maczugą w tył głowy. Ty nazywasz to, Keso, „szukaniem dziury w całym”?

– Tak, bo takie zdarzenie jest mało prawdopodobne. Prawie nieziszczalne. Mieliśmy powody przypuszczać, że Feren jest realnie zagrożony, ale to była sytuacja modelowa, nie mająca, jak się okazało, odbicia w rzeczywistości. Riolata nic nie wie o Trzech Siostrach, nawet nie przeczuwa ich istnienia i nie przychodzi mi na myśl nikt, kto mógłby jej wskazać cel. Wie o nim kilka osób na świecie. Teraz już tylko nasze przewrażliwienie, nasza wiedza o konsekwencjach jej spotkania z Siostrami, każe nam ścigać widmo takiego zdarzenia. Kometa spadająca na Szerer też może go unicestwić.

– Nie możemy bronić się przed tym. Ale gdybyśmy mogli?

– Obawa przed każdym zagrożeniem, jakie majaczy w nieodgadnionej dali, nie świadczy o zdrowym rozsądku. Dlaczego w ogóle wychodzimy z domu? Przecież nawet tu, w Dartanie, może pędzić ulicą szaleniec z nożem, który rzuci się na nas. Dlaczego nie szukamy tego szaleńca, nie bronimy się przed nim już na zapas? Czyżby takich szaleńców nie było? Skończcie to, co zaczęliście. Matematycy niech policzą swoje i czekają na wieści od tego pirata; ty Gotahu, zwany czasem Podróżnikiem – uśmiechnęła się – ruszaj w podróż. Ja przeniosę się do En Anelu, gdzie będę czekać na posłańców od was. Żadnych nowych przedsięwzięć. Uważam, że kto zbyt niecierpliwie szuka dziury w całym, ten w końcu może ją nie tyle znaleźć, co zrobić.

Poirytowany Gotah spostrzegł nagle, że już nie jest zwierzchnikiem tej grupy. Stanowczo choć subtelnie odebrano mu berło i wyproszono z tronu. Zeżliło go to, niemniej w tle irytacji i złości położyła się cicha duma.

– Chcesz czekać w En Anelu? Dlaczego nie w stolicy?

– Bo to za blisko mojej byłej pani. Jestem jej wdzięczna za wyzwolenie i posag, ale nie chciałabym zostać wezwana do pałacu, by mieć możliwość złożenia podziękowań.

– Wątpię, by się dowiedziała o twoim pobycie w Rollaynie. Nawet taka kobieta jak ty, Keso, nie zwróci tam niczyjej uwagi. To jest w końcu największe, a do tego najbogatsze miasto świata.

– Może. Ale ja wiem tylko tyle, że mieszka w nim królowa Dartanu, pilnowana przez swoje dwie Perły, które dobrze znam. Mogłabym może zobaczyć się z Hayną, ale na pewno nie z Anesą. Przede wszystkim, w ogóle nie powinnam pokazywać się w otoczeniu Ezeny. Musiałabym milczeć o sprawach, które jej dotyczą, a zatajanie wiedzy o niebezpieczeństwie grożącym monarchini to prawie zdrada stanu, Gotahu.

– Przecież to...

– Gdyby jednak, jakimś zrządzeniem losu, dowiedziano się o mojej obecności, to stanęłabym właśnie przed Anesą.

Zniecierpliwiona tłumaczeniem oczywistych rzeczy, Kesa powiedziała dwa słowa za dużo. Uczucia żywione przez żonę do dawnej chlebobawczyni i jej wiernych sług nie do końca były dla Gotaha zrozumiałe – ale tym razem akurat pojął, o co chodzi. Anessa, Pierwsza Perła Domu królowej miała wszystkie wady właściwe swojej płci – i chyba ani jednej zalety. Wezwałyby Kesę tylko po to, by pokazać, na czym polega różnica między zaufaną niewolnicą królowej, a wolną żoną mądrali z Grombelardu. Po widzeniu z Anesą jego żona płakałaby przez całą noc i cały następny dzień.

Moldorn uśmiechał się pod nosem. On także zauważył, że Przyjęta powiedziała troszeczkę więcej, niż chciała.

– A cóż cię tak bawi, panie? – zapytała z niezwykłym u niej rozdrażnieniem.

Ale matematyk tym razem nie chciał się kłócić.

– Daruj, wasza godność, to nie ciebie dotyczy mój uśmiech – skłamał. – Podśmiewam się z własnych myśli. I na własny temat.

– Skoro tak... Przebaczcie mi teraz, ale muszę odpocząć – powiedziała Kesa. – Źle się czuję po tym, co dzisiaj niechcący powiedziałam... i co mimowolnie usłyszałam. Wiem, że te słowa nie mają znaczenia, ale jednak chcę być trochę sama.

Wyszła, zostawiając bladego męża z przykrą pamięcią o tym, co rzekł.

* * *

Samotna wyprawa.

Gotah w pełni docenił zalety takiego stanu rzeczy, gdy tylko przystąpił do wstępnych przygotowań. Nie musiał oglądać się na nic; zbędny był zarówno worek kaszki dla sędziwego Yolmena, jak i czterdzieści mułów objuczonych składanym pałacykiem, sprzętami, pościelą, sukniami i zastawą Kesy. Dla siebie Gotah potrzebował żołnierskiego prowiantu, lekkiej kolczugi, zwykłego wojskowego miecza (bo nie był jakimś finezyjnym rębajłą, specjalnie gustującym w orężu o takim lub innym kształcie czy długości), szat podróżnych, niewybrednego wierzchowca, dwóch sprytnych gońców-pachołków – i trzydziestu zaprawionych do wojny najemników.

Rozsądny książę Ramez posłużył z Kirlanu dobrą radą: tych ostatnich nie należało szukać w portowej dzielnicy Llapmy, tylko trochę dalej. Na przykład w Semenie na Złoty Wzgórzach, gdzie dotarła miniona wojna (bo do Llapmy – niestety dla Gotaha, a na szczęście dla mieszkańców okręgu – nie dotarła). Złote Wzgórze były dosyć daleko, Gotah najął więc gońców, wyposażył ich w srebro, dobre konie i odpowiednie pisma, po czym wyprawił w drogę, sam zaś uzbroił się w cierpliwość. Zresztą miał co robić. Pieniądze nie brały się znikąd; Przyjęci musieli kontrolować kwitnący handel Porzuconymi Przedmiotami. W ogromnej części były to zabawki, których niezwykle właściwości mogły wydawać się pociągające dla bogaczy; tylko czasem trafiał

się w tej stercie śmiecia znamienitszy artefakt. Odkąd zgasła aura *Romogo-Koor* – Nienazwanego Obszaru, gdzie jeszcze niedawno czas płynął wolniej niż w innych częściach Szereru – większość Przedmiotów przemieniła się w bezużyteczne klamoty. Przestały symbolizować Ciemne lub Jasne Pasma, czasem tylko zachowały zabawne („magiczne” w powszechnym rozumieniu) właściwości. Ostre Ziarna bez reszty likwidowały ból – cecha zbawienna dla wielu rannych i chorych, trochę mniej dla pijaka siadającego w kominku i bezwiednie palącego się żywcem. Krowi Ozór rozjaśniał ciemności – istne cudo, zwłaszcza jeśli zważyć, że kosztował tyle, co dziesiątki tysięcy świec bądź jezioro oliwy do kaganków. Gotah-Przyjęty nigdy nie mógł pojąć, dlaczego ludzie – bo koty już nie – gotowi są wykładać absurdalne sumy za niewiele warte... głupotki. Miały wartość (kiedyś) dla uczonych Szerni, ale cała reszta posiadaczy Przedmiotów przywodziła na myśl krowy, które mają własne pałace – przydatne najbardziej wówczas, gdy pałacowa ściana rzucała cień, dający schronienie przed słońcem. Mógł zrozumieć cierpiących; Ostre Ziarna naprawdę niosły ulgę – zwierzęcą agonię w paroksyzmach bólu potrafiły przemienić w godne i pogodne trwanie aż do końca. Ale dla rozrutników kupujących Kłębki Włosów Królowej Zimy (oczywiście dartańska nazwa...) zrozumienia już nie miał. Kłębek Włosów czynił prawie nieważkim opleciony nimi przedmiot – nie każdy przedmiot, bo musiała to być rzecz martwa i do pewnego stopnia jednorodna. Dwieście Kłębków w rękach dwustu ludzi noszących kamienne bloki mogło mieć ogromne znaczenie dla Tamenatha, który podjął się zbudowania w krótkim czasie twierdzy – noszono te bloki niczym puste skrzynki, potem tak samo wciągano na rusztowania i za pomocą Wachlarzy spajano bez użycia zaprawy. Ale jeden Kłębek albo jeden Wachlarz w ręku jednego człowieka (na dodatek bogatego) był właśnie tylko zabawką, niczym więcej. Zakup owocował niebotycznym słupem posklejanych kamyków, ku podziwowi przyjezdnych sterczącym na dziedzińcu posiadłości.

„Naprawdę powinieneś być trochę mądrzejszy” – rzekła mu kiedyś żona. „Filozof Gotah dziwi się światu” – zakpiła zeń łagodnie. „A widziałeś kiedyś hodowlaną Perłę?...”.

„Widziałem z bliska” – odparł z niezmaconą powagą.

„Żadna niewolnica na świecie, obojętnie jak wykształcona i piękna, nie jest warta tysiąca sztuk złota. Są to pieniądze, które biedakowi wystarczą na całe życie. Kupuje się Perły dlatego, że są drogie. Na dodatek utrzymanie bardzo dużo kosztuje, w sumie znacznie więcej niż zakup, a pożytek z niej taki, jak z nałożnicy, albo znośnego zarządcy, jeśli kogoś interesuje to, co Perła nosi w głowie. Tylko znośnego, bo zarządca w pełni zależny od chlebobawcy i nie mogący odejść, wcale nie jest wybornym zarządcą. Nałożnice i dobrych zarządców można mieć za ułamek tej sumy. Kupuje się Perły, żeby pokazać wszystkim: mam dość pieniędzy, by kupić i utrzymać takie zbędne ale urodziwe coś. Z tego samego powodu kupuje się Przedmioty”.

Co prawda, to prawda. Właściwie nie powiedziała nic nowego. Ale Gotah czasem przecierał oczy, spoglądając na świat, który w niezliczonych przejawach był... durny, po prostu głupi.

I potrzebował kogoś, kto życzliwie szczypał go w ucho i mówił: „Wcale nie śpisz; po prostu tak już jest”.

Zagłębiwszy się na krótko w rozważaniach o Porzuconych Przedmiotach, Przyjęty otrząsnął się, wziął pióro i zaczął liczyć. Właściwie mogliby to zrobić matematycy, ale wstyd było iść do Moldorna z prośbą o zachowanie kilkunastu ustawionych w słupki liczb... Gotah policzył, ile mu trzeba, i zagwizdał – podróże były kosztowne jak... najdroższe hodowlane niewolnice. Ale z końcem miesiąca powinny nadejść pieniądze od księcia Askara; dziesiątą część uzyskanych sum garyjski Przedstawiciel odprowadzał do szkatuły Przyjętych, bo taka była umowa. Szukał nowych rynków, bo garyjski z wolna się nasycił, a ceny brzydko spadały. Co nie powinno dziwić, jako że do dyspozycji garyjskiego wicekróla Gotah oddał dużą kogę z pełniutką ładownią, a pośpiech także nie sprzyjał windowaniu cen. Księżę Askar potrzebował pieniędzy na wczoraj, Gotah-Przyjęty natychmiast.

Nie będąc biegłym w sprawach handlu i prowadzeniu różnych interesów, Gotah znowu potrzebował żony do uświadomienia sobie, co właściwie wyprawiają – on i jego towarzysze.

„Dajemy bardzo silny impuls do rozwoju niektórych gałęzi rzemiosła i handlu. Ściągane z rynku nadwyżki pieniądza zasilają wytwórców oręża, skutnie i stocznie, przepływają do sakiewek coraz liczniej zaciąganych i lepiej opłacanych żołnierzy, którzy po służbie wydają swój żołd tylko na dziewczęta i piwo. Ale to nie dzieje się w próżni. Zwłaszcza na rynku najdroższych przedmiotów zbytku panuje zastój, a przybliża się widmo katastrofy; dzisiaj zamiast niewolnic i grzebieni z masy perłowej kupuje się Porzucone Przedmioty, dostępne i tanie jak nigdy”.

„Przebacz, Keso, ale nie chcę nic o tym wiedzieć”.

Uśmiechnęła się.

„Królowa Ezena, jeszcze będąc księżną Dobrego Znak, zdobyła dartański tron nie tylko dzięki mieczom swych rycerzy, ale także finansowym machinacjom” – przypomniała. – „Nadchodzą nowe wojny, a do ich prowadzenia potrzeba tylko dwóch rzeczy, mianowicie złota i srebra. Ostatecznie... wystarczy jedna z nich. Nasze zabawy z Rubinem Córką Błyskawic...”.

„To nie zabawy, Keso” – zaprotestował surowo.

„...Zaowocować mogą zmianami na mapie Szereru, albo brakiem zmian” – skończyła niezrażona. „Czyjaś żona-Przyjęta już zdobyła dla Wiecznego Cesarstwa niekarną i dziką, ale groźną flotę. Tylko po to, by przy okazji porozmawiać z pewną obwieszoną błyskotkami dziewczyną”.

„Żona-Przyjęta bardzo chce, żeby mężowi-Przyjętemu wypadły resztki posiwiałych włosów. Czy ja nie mam dość kłopotów, Keso? Co do mapy Szereru, to najbardziej zależy mi na tym, żeby w ogóle jakaś mapa była, a co na niej, to już mniejszy problem... Idź sobie stąd, rachmistrzyni”.

Uśmiechnęła się, pocałowała go i poszła – chyba jednak troszeczkę obrażona.

Do Grombelardu było daleko. Gotah uznał, że mija się z celem męcząca, kosztowna i długotrwała podróż przez cały Dartan. Taniej i wygodniej było załadować poczet i zapasy na wynajęty statek, po czym wyokrętować wyprawę gdzieś na brzegu Morza Dartańskiego, ale już w Grombelardzie Niskim. Gotah czekał więc w Llapmie na odzew od werbowanych najemników; chciał rozpatrzyć oferty i wybranych ściągnąć wprost do portu.

Liczba chętnych przekroczyła jego najśmielsze oczekiwania. Ani się domyślał podobnego głodu wojaczki w kraju, przez który ledwie parę lat wcześniej przewaliła się naprawdę krwawa wojna. A jednak to właśnie ta miniona wojna popychała ludzi do czynu. Jego wysokość Ramez świetnie wiedział, co pisze: dzięki bitewnym zmaganiom wyrosły nieliczne fortuny – i stokroć liczniejsze rozbudzone a niezaspokojone ambicje. Rzadko przysyłano Gotahowi oferty, przeważnie od razu ściągali do Llapmy ubodzy wojownicy, dla których u schyłku wojny brakło już rycerskich pierścieni i łupów, ale wciąż mieli swoje miecze i zbroje – bo poza tym właściwie nic więcej. Werbowanie tak licznego pocztu wywołało w środkowym Dartanie istny huczek. Pędzili do Gotaha potężnie zbudowani zawadiacy – niegdyś knechci werbowani przez rady miejskie, teraz głodni nędzarze, gotowi bić się z kimkolwiek za samo utrzymanie. Przybywali nawet prawdziwi rycerze z wiejskich zamków – owe zamki składały się przeważnie z jednej jako tako połatanej wieży, sterczącej pośród ruin, w której to wieży rycerz i jego pani małżonka, otoczeni wianuszkami dziatwy, odżywiali się soczewicą i bytowali w warunkach urągających byle dartańskiemu mieszcuchowi. Świetna gospoda, w której Gotah zamieszkiwał z żoną (matematycy już ich opuścili), codziennie gościła przybyszów spoza miasta. Przyjęty nabawił się kłopotów, których nie oczekiwał: nie mógł przyjąć do służby wszystkich, a odmowa czasem nie chciała mu przejść przez gardło. Stał przed nim młody i gotowy na niebezpieczeństwa człowiek w niekompletnej, ale starannie oczyszczonej zbroi, której krawędzie wszelako nadgryzione były przez rdzę, i nie mógł prosić słowami, bo pochodził ze starego rycerskiego rodu – ale w zamian prosił samym swym przyjazdem, długą drogą odbytą na pożyczonym koniu. Była w jego obecności zakłeta nadzieja żony na przywieziony przez męża z wojaczki grosz; być może wskrzeszona otucha starej matki, która wymarzyła dla syna coś więcej niż kapiące z dziurawego dachu krople dżdżu i małżeństwo ze szlachetnie urodzoną panną, mającą wszakże za wiano pierzynę i dwie poduszki. Gotah w panice odwoływał gońców, a w zamian posyłał nowych z wieściami, że nikt już w Llapmie nie chce żadnych najemników. Bez rozterek odprawiając pijaków i drabów, którym źle z oczu patrzyło, zarazem przyjmował wielu, wielu innych. Przyjmował i przyjmował... aż przestał, bo zamiast trzydziestu miał czterdziestu dwóch wojowników pod bardzo dobrym dowództwem rycerza, którego wprawdzie słabo pamiętał, ale jednak znał osobiście, albowiem ów służył przed laty w świetnej Chorągwi Domu pani Dobrego Znaku, porzucił zaś służbę z powodu nieszczęśliwego ożenku. Mając taki oddział, Gotah uciekł, po męsku zasłaniając się żoną, co już dawno powinien był zrobić. Piękna pani o sercu wykutym

z najtwardszego czarnego lodu (Gotah truchlał, oglądając zimową pustynię na dnie jej przejrzystych oczu) obojętnie słuchała przybysza, bawiąc się przy tym pierścionkiem przesuwającym wzdłuż smukłego palca, po czym mówiła: „Jestem wdzięczna, że zechciałeś przybyć, panie, ale ja nikogo już nie potrzebuję. Na dole rozkaż mojemu gospodarzowi, by cię zaopatrzył na drogę powrotną. Nie wątpię, że masz własne zapasy, jednak ten człowiek winien podziękować ci za honor, który stał się jego udziałem dzięki twojej obecności w tej oberży”. Z byłymi knechtami i wszystkimi ludźmi niskiego stanu poczyniała sobie bardziej bezceremonialnie: na skinienie pani przyboczna niewolnica wciskała w dłoń biedaka dwie lub trzy sztuki srebra, a wówczas niedoszły najemnik, którego przez całe życie odpędzano najwyżej kopniakiem, rzucał się Przyjętej do nóg, całował skraj jej sukni lub zdawkowo podsunęty czubek trzewiczka i wychodził tyłem, zgięty wpół.

* * *

Późnym wieczorem Gotah ściągnął na nocleg, bo ostatnio nie tyle mieszkał, co właśnie nocował w „Diamentowej Iskrze Nocy” – czyli, jak wolno mniemać, „gwieździe” (gospodarz Gotaha był Dartańczykiem z dziada pradziada). Wracał z portu, gdzie dobił wreszcie targu i wynajął niewielki statek; po drodze zajrzał jeszcze do kwater najemników – była to wielka i całkiem porządna szopa w niedziałającym tartaku pod miastem; za nieduże pieniądze jego ludzie mieli przyzwoite schronienie, a do tego ciszę i spokój. Zmęczony Przyjęty, któremu marzyła się już tylko ciepła polewka przed snem, zatrzymał się w progu pokoju, uderzony niezwykłym widokiem. Wyglądało na to, że niestety nie pójdzie jeszcze spać.

Kotów było w Szererze niezbyt wiele – może to z powodu nietrwałości „małżeństw”, jeśli można tak nazwać niechętnie i zdawkowe kocie spotkania, w wyniku których przychodziło czasem na świat kocię – zwykle jedno, bo odkąd Szerń obdarzyła koty rozumem, mnożyły się niezbyt licznie, a już w żadnym razie tak żwawo jak myszy, króliki czy ludzie. Był w tym umiar; był zachwycający – przynajmniej Gotaha – namysł i zdrowy rozsądek. Nie w tym jednak tkwiła przyczyna, dla której czworonożnych Rozumnych trudno było spotkać. Istniało mnóstwo miejsc, w których koty z jakichś powodów nie bywały, a już na pewno nie mieszkały. Cała Morska Prowincja (na wielu Wyspach istnienie kotów uważano wprost za legendę, zaś wspomnienia żeglarzy przywożone z różnych portów – za bajania); niemal cały Dartan; większość miast Armektańskich.

W Llapmie kot był rzadkością. A już szczególnie taki, jaki leżał przed Gotahem na stole.

– Pozdrowienie Nocy, mędrze Szerni – powiedziało śnieżnobiałe cudo głosem trochę mniej ochryłym i niewyraźnym, niż zwykle mówiły koty, ale nawet bez tego Gotah poznał, że ma do czynienia z kocicą. – Nazywam się K.N.Vasaneva. Przychodzę od królowej Dartanu.

Krótko, z istic kocią zwięzłością.

– Jej godność śpi; nie budziłam – dorzuciła, wysuwając i lekko zakrzywiając pazury, co było milczącym powtórzeniem kociego Pozdrowienia; nie każdego człowieka w ten sposób honorowano.

– Od królowej Ezeny – rzekł Gotah.

Koty nigdy nie rozumiały, dlaczego ludziom trzeba powtarzać niemal każde słowo – a jak nie, to powtórzą sobie sami. Przysłowiowa kocia zwięzłość, o której pomyślał Gotah, była nią tylko dla ludzi... Między sobą rozmawiały inaczej, rzeczywiście zwięzłe; do tego stopnia krótko i zwięzłe, że choć nie miały własnego języka, człowiekowi trudno je było zrozumieć. Biała piękność nie przejawiała jednak zniecierpliwienia. Zamiast tego zapytała:

– Historyku?...

Gotah podjął podsunięty trop. Co nie było szczególnie trudne, bo do rodowych monogramów przed imieniem przyznawało się zaledwie kilka kotów w Szererze.

– Keyla Nelos Vasaneva – powiedział, rozejrzał się za krzesłem i usiadł.

Był w środku historii Dartanu.

Przez wieki Złoty Dartan stanowił zaledwie Pierwszą Prowincję armektańskiego imperium. Lecz kiedyś – tak jak obecnie – był niepodległym królestwem. Zmieniali się królowie i dynastie, przenoszono stolicę – a w każdej stolicy i u boku każdego prawowitego władcy pojawiał się kot mający prawo do monogramów imion dwojga niezwykle przodków, Keyli i Nelosa. Tych dwoje ocaliło kiedyś monarchę, wyprowadzając go nocą z oblężonego przez potężne wojsko obozu. Przed Gotahem, w jego własnej izbie, leżała na stole najlepiej urodzona kocica Szereru. Przyjęty zdążył już usłyszeć plotkę – ba! niemal młodą legendę – o pierwszej nocy po koronacji, kiedy królową Ezenę przestraszył śnieżny błysk w mrocznej sypialni.

„Jestem, królowo” – miało rozbrzmieć w ciemności. „Śpij dobrze, a jutro mi powiesz, jakie dokumenty albo tajemnice powinnam dla ciebie ukraść”.

Vasaneva, tak jak jej przodkowie, była królewską złodziejką.

– Złodziejka królowej chyba nie powinna być biała – zauważył Przyjęty.

Nigdy nie było wiadomo, czy kot pojmie żart.

– Tak przynajmniej, jakby kradła sama – powiedziała kotka. – Albo jakby krawiec królowej nie mógł uszyć dla niej drugiej skórki z czarnego aksamitu.

Gotah roześmiał się.

– Jestem rad, że poznałem waszą godność – powiedział po chwili, poważniejąc. – Dla historyka to ważne zdarzenie. Nie jesteś tu bez powodu.

Vasaneva doceniła zwięzłość gospodarza.

– Kilku nowych ludzi na miejsce innych, wydalonych za jakieś przewinienia, zaciąga się często, do jakiegoś prywatnego pocztu – powiedziała. – Trzydziestu najemników werbuje ktoś raz w roku. Trzeba sprawdzić, kto werbuje i po co. Sprawdziłam. Teraz pozdrawiam mędrca

Szerni, którego królowa bardzo dobrze wspomina. Wracam z wieścią, że najemnicy wyruszają do Grombelardu. Ale mam też dla królowej inne wieści, chyba dosyć ważne. Nie rozumiem i nie kocham tego, czym się zajmują Przyjęci, jednak zdaje mi się, że czasami to mogą być sprawy niebłahę. Opowiedz mi o nich, wasza godność, bo w raporcie, który złożę, nie powinno być pomyłek wynikłych z mojej niewiedzy.

– O których sprawach mówisz, wasza godność?

– O agarskiej księżniczce i Przedmiocie, który w niej tkwi, a także Trzech Siostrach będących odbiciem Ferenu. O wszystkim tym, wasza godność, o czym małżeństwo Przyjętych rozmawia, gdy sądzi, że nikt nie słyszy.

Została zrobiona dziura w całym – ta dziura, o której tak niedawno proroczo mówiła Kesa. Królowa Ezena wiedziała, że do pewnego stopnia jest wcieleniem legendarnej królowej Rollayny, najstarszej z mitycznych cór Szerni. Ale tylko tyle. Teraz potężna monarchini, mająca więcej wojsk i pieniędzy niż cesarzowa Wiecznego Cesarstwa, miała poznać całą prawdę. Miała się dowiedzieć, że jest odbiciem Ferenu, tarczą Szerni, w którą może uderzyć agarska awanturka – symbol Wyklętych Pasm.

Gotah nie miał pojęcia i bał się przewidywać, jakie mogą być skutki gniewu monarchini.

Anessa, Pierwsza Perła Domu królowej, jedna z najbardziej wpływowych kobiet w państwie, niewolnica, przed którą schylali się magnaci, miała cechy Seili, Drugiej Siostry.

Hayna, dowódczyni wszystkich gwardii królewskich i straży, odpowiadała najmłodszej z Sióstr, Delarze.

Kapryśnica Anessa i obronny pies Hayna – obie dobrze znane Gotahowi – nie wiedziały dotąd o niczym. Nawet o tym, że są odbiciem Młodszych Sióstr.

– Czy zażądam wiele, gdy poproszę, byś rozmówiła się wyłącznie z królową, wasza godność? Bo podejrzewam, że uzgadniasz swoje działania z Hayną.

– Uzgadniam. Ale służę tylko królowej. Nikomu innemu nic nie powiem. Może to zrobić królowa.

Gotah trochę odetchnął. Ezena była rozsądna – przynajmniej ta Ezena, którą znał. Władza zmieniała ludzi... Niemniej królowa mogła postanowić coś mądrego. Bo Anessa w oczach Gotaha była rozpieszczoną ladacnicą, Hayna zaś – właśnie obronnym psem. Wiernym, niezastąpionym, ale jednak bezmyślnie brutalnym, przynajmniej gdy chodziło o bezpieczeństwo pani.

Poszedł obudzić Kesę. Nie była mu potrzebna, ale miała prawo wiedzieć o wszystkim i podejmować decyzje razem z nim.

11.

Jeśli nawet Brorrok żywił do córki Demona Walki jakieś resztki słabości, to wyzbył się ich, uderzony w twarz straszliwą obelgą, jaką było zaproszenie na jej okręt. Stary pirat dokonywał w życiu najprzeróżniejszych czynów, ale teraz stanął przed wyzwaniem, któremu mógł nie sprostać. W odległości stu kroków telepało się na wodzie śmierdzące dziadostwo, do którego nazwa „Zgniły Trup” pasowała jak ulał. Starzec nie umiał wytłumaczyć sobie, w jaki sposób coś, co tak się nazywa, nie zostało jeszcze pochłonięte przez Bezmiary. Woda chyba brzydziła się tym czymś. Podobnie jak niemal wszyscy ludzie morza, sędziwy kapitan „Kaszalota” był przekonany, że ocean jest podobny do Szerni, tyle tylko że widzialny i pożyteczny. Ma moc sprawczą, ponadto żyje, czuje, ma swoje zachcianki i kaprysy, a łaskawy jest wyłącznie dla tych, którzy go szanują. I szczerze bał się temu szacunkowi uchybić, stawiając stopę na pokładzie okrętu, który swoją nazwą drwił z Bezmiarów i szyderczo rzucał im wyzwanie.

Ale popłynął. Siedząc w szalupie, oglądał się na wszystkie strony, czy aby już sam zamiar przybicia do burty „Trupa” nie ściąga na niego nieszczęścia. Wiatr chyba przybierał na sile, fale zaś zdawały się wyższe i groźniejsze. Gdy wreszcie dotarli do celu – pół wciągany, pół wpychany na pokład starzec aż trząśł się na myśl o tym, że dokona długiego żywota na takiej zbutwiałej – i do tego cudzej – kupie desek. Mocno chwycił Rudego za łokieć – i Rudy odkrył wówczas rzecz zdumiewającą: jego kapitan wyglądał na szczerze wystraszonego.

Jednak pierwsze wrażenie było nie najgorsze. Brorrok widział kiedyś „Trupa” z bliska, cumującego w porcie, mnóstwo słyszał i – jak to czasem bywa – zapamiętał i wydumał sobie więcej, niż było w rzeczywistości. Odszykowany w Aheli żaglowiec prezentował się jeszcze jako tako, a nawet lepiej niż zwykle, bo przecież po ostatniej pijatyce został gruntownie posprzątny. W oficerskiej kajucie pod kasztelem powietrze było troszeczkę nieświeże, ale pyszniły się nowe sprzęty, tak niedawno zbite przez cieślę, zaś niewielki brunatny przedmiot pod stołem, któremu kapitan „Kaszalota” przyglądał się z nieufnym obrzydzeniem, to jednak była tylko jakaś szmata, jakiś związany na supeł fular, nie ekskrement. Ale najbardziej Brorroka zdumiała osoba kapitanicy. Przywitała go ubrana w piękną i czystą, trochę tylko wygniecioną jasnobrązową suknię, godną jakiejś księżniczki, którą... no, niby i była. Kończyła splatać warkocz. Chyba nawet nie bardzo śmierdziała. Właściwie wcale a wcale.

Jednak, czysta czy brudna, to jednak była wstrętne morska dziwa. Obsyty aksamitem pas do sukni spięty został złotą klamrą umieszczoną dokładnie na przyrodzeniu, jakby brakło lepszego miejsca, a wielkie dydki, ku zgorszeniu Brorroka, aż wyłaziły na wierzch, ściśnięte i rozdzielone ciemną szczeliną, niczym, nie przymierzając, półdupki, z czego bezwstydne dziewczuszyko nic sobie nie robiło. Jednak, będąc gościem, stary żeglarz umiał się znaleźć, więc wytwornie powstrzymał się od splunięcia pod nogi i nie powiedział ani słowa.

Foka pamiętała, że starzec nie pije żadnych trunków (zresztą nie miała ani kropli).

– Woda paskudna, jak to na okręcie – powiedziała wesoło, stawiając kubki na stole. – Do pełna, kapitanie?

– Daj do pełna – rzekł Brorrok.

Po przejeździe szalupą miał objawy morskiej choroby. Klątwa okrętu Ridi najwyraźniej zaczynała już działać. Obejrząwszy się groźnie na Rudego – tak przynajmniej, jakby to jego pilot zwodował „Zgniętego Trupa” – Brorrok łapczywie wysiorbał wodę z kubka. Zrobiło mu się od tego trochę lepiej.

– Płyniecie za mną od paru dni – zagaiła gospodyni, odchylając się na oparcie krzesła i zakładając nogę na nogę.

Brorroka na chwilę zatkało, bo zobaczył, że Foczyca nawet nogi ma czyste.

– Płynęliśmy, bośmy nie byli pewni, czy to ty – wytłumaczył. – Tak mi się zdawało, ale mógł być jakiś duży kupiec. Zobaczyłby, że płyniemy i zaczął wiać, a mnie się tam nie chce latać po morzu we wszystkie strony. Nie spieszyło mi się.

– Poczekaliście aż zmieni się pogoda – powiedziała domyślnie.

– Ano. Ciemna noc, wiatер poszedł... – Brorrok podrapał się po nosie. – Jakby był kupiec, tobyśmy go z Kitarą złupili i utopili. Ale jednak myślał, że to ty. Od razu tak żem myślał, ino ten głupek Kitar... Zawsze swoje wie. Ale dzisiaj byśmy cię łapali przy każdej pogodzie. Za Ostatnim Przylądkiem, widzisz, za duży ruch. Grombelardczyki lubią szwendać się po morzu.

– Szukaliście mnie? – Ridi wymieniła spojrzenie z Mevevem.

– Goniliśmy. Słuchaj mnie, fląderko, polują na ciebie Przyjęci. Mówią: coś im ukradłaś i nie chcą, żebyś znowu ukradła... – Brorrok pokrótce wytłumaczył, jak mają się sprawy i w jaki sposób doszedł do wniosku, że warto płynąć do Londu. – Łepetyna, widać, jeszcze pracuje; dobrzem zgadł.

Ridi spoglądała ze zdziwieniem swoim jedynym okiem.

– Mówią, że im ukradłam?... Co ukradłam?

– A mnie, dziewczyno, niby co do tego? Ukradłaś, nie ukradłaś... Znalazłem cię i wystarczy. Zapłacili mi za twoją głowę. Pieniądz wziąłem, a teraz słuchaj, co żem sobie umyślił: mogę zabrać ten twój łeb na „Kaszalota”, i to z przyczepioną od spodu całą resztą. Twój ojczulo mi zapłacił, mówię uczciwie, bo i tak by się wydało. Ale godziwie by było, jakbyś jeszcze troszkę dorzuciła, bo to, widzisz, od jakichś sześćdziesięciu lat nie było na moim pokładzie żadnej baby, niech mnie przeciągną pod kilem. Żadnej. A tu jeszcze, kapitanica, takie półkurwię jak ty. Chłopaków mi popsujesz, gapić się będą gdzie nie trzeba, o robocie ani pomyślą. – Brorrok był prawdziwie strapiony. – Ale co tam, już trudno. Mogę cię zabrać i zawieźć tam, gdzie mają czekać na mnie i twój łeb. Chcesz? Bo jak nie, to nie. Ja tam już pieniądz wziąłem, teraz tylko chcę się wywiązać.

Ridareta patrzyła to na Brorroka, to na zaskoczonego Meveva, a wreszcie nawet na Rudego. Jak dla niej, staruch mówił trochę za dużo i za szybko.

– Mmm... jeszcze raz – zażądała. – Masz przywieźć Przyjętym...?

– Twój łeb, Foczyca, twój kudłaty łeb – powtórzył cierpliwie Brorrok. – Umyśliłem sobie, że zarobię więcej, i faktycznie: Ślepy dorzucił drugie tyle, żebym razem z tym łbem zawiózł Przyjętym całą resztę. Znaczy, jeżeli chcesz, bo jeżeli nie, to płynę dalej polować na twój łeb dla Przyjętych. W tym roku mogę polować... eee... na Bezmiarze Zachodnim. Może być? Ja stary jestem, dziewczyno, popisywać się już nie muszę, wiem co warto próbować, a co nie. Łba ci nie utnę, bo ty różne paskudne rzeczy umiesz.

– Gdybym nie umiała, tobyś uciął?

– A może bym i uciął. Lubić, Ślepa, to ja cię nie lubię, chociaż dziwnie umyta dzisiaj jesteś... Ale jak można zarobić dwa razy za to samo, to może bym uciął, może nie... Powiedziałem, że przywiozę twój łeb; nie mówiłem, że będzie ucięty – zełgał Brorrok. – No jak? Idziesz na mojego „Kaszalota” czy nie? Tylko – uniósł palec – ubierz ty się, dziewczuszycko, jak należy. Żeby tych twoich dydków tak nie było widać, bo ja, do stu kurew, nie upilnuję potem swoich! Wszystko to młode i głupie, o! – Nawet nie patrząc, pokazał kciukiem Rudego, który... no, w samej rzeczy, ku zadowoleniu Pięknej Ridi, niby mimochodem co chwila popatrywał, gdzie nie trzeba. – Jak mówisz: wtłuczysz tym Przyjętym?

Wzruszyła ramionami i prychnęła lekceważąco.

– Takaś silna? – W głosie starego zabrzmiało niechętnie uznanie.

– A co oni mogą mi zrobić? Kiedyś, na początku... – Urwała. – Kiedyś sama nie wiedziałam, co umiem. Ale potem Tamenath cały czas prawił i prawił. O Szerni, o Przedmiotach. Powiedział mi też, co i kiedy mogą zrobić Przyjęci. W Złym Kraju mogli sporo, bo tam Szerń prawie leżała na ziemi i... Tamenath mówił, że wystarczy jej cień, aura czy coś takiego, bo samej Szerni żaden Przyjęty nie dotknie. Muszą zachować równowagę – mądrzyła się Ridi, widząc, że jej wiedza robi wrażenie nawet na Brorroku, o Mevevie i Rudym nie wspominając; cała trójka słuchała z uwagą.

– Alem słyszał w Aheli, że jeden przyszedł kiedyś do ciebie, chyba w Dranie. Cały był z kamienia. Czy nie był, a tylko tak gadają?

Wieści – zwłaszcza takie – rozchodziły się szybko. Jej majtkowie pletli w knajpach, inni powtarzali... Brorrok dobrze spożytkował czas spędzony na Agarach.

– Daj to – poleciła Mevevovi, wskazując szeroki żeglarski nóż.

Chwyliła trzonek, palcami drugiej ręki ujęła ostrze i przeciągnęła w poprzek po obu jego stronach; wydawało się, że narysowała paznokciami na żelazie dwie cienkie jak włos czerwone kreski. Nóż rozpadł się, przecięty na pół.

– Może i był z kamienia.

– O, cipcia... – Zaimponowała staremu. – A zresztą, masz ty rację, dziewczucha. Przyjęci, nie Przyjęci... Weź na mój pokład paru swoich. Pokażę ci dom, wejdziecie tam w nocy, wyróżnicie fajfusów i tyle. Nawet nie będziesz się musiała popisywać.

– Lubię się popisywać. Dlaczego mam iść na twojego „Kaszalota”? Mam swój własny okręt.

– Nie, Ślepa – powiedział Brorrok. – Okręt to mam ja, albo Kitar. A jak my mamy okręty, to znaczy, że ty, widzisz, masz coś innego. I to „coś innego” nie dopłynie do Talanty na czas. Niech się wlecze z tyłu. Zrobisz swoje, a potem wsiądziesz na tą beczkę z powrotem, bo ja już cię wozić nie będę.

– Dlaczego tak się spieszymy?

– Bo oni, znaczy Przyjęci, gdzie się wybierają. Potem będzie czekał tylko posłaniec od nich. Posłańcu, to ja mogę najwyżej powiedzieć, że mam beczkę z twoją głową, taki z niego pożytek. Będziesz, cipcia, mordowała posłańca?

– Aha. Ale ten posłaniec chyba będzie wiedział, gdzie ich szukać?

– No chyba, Ślepa, będzie wiedział. – Brorrok westchnął. – Słuchaj no, dziewczyno, mnie tam się tak bardzo nie spieszy. Byłem tylko dożył. Jak dla mnie, to możemy się umówić nawet za dwa lata. A najlepiej, widzisz, płyn ty w swoją stronę, bo tak mi się chce do tej Talanty, że aż kopytami przebieram, patrzaj: o! – Brorrok zaczął przebierać kopytami. – Wszystko? No to, cipcia, na mnie już czas. Gdzie mamy, niech mnie uwężdzą, spotkać się za te dwa lata?

– Czekać. Tylko zapytałam. – Rozłożyła ręce i od tego gestu wypchnęło się jej do przodu takie coś, że Brorrok aż zaklął pod nosem. – Czyli mówisz, kapitanie, że wzięłbyś mnie na „Kaszalota”?

– Coraz bardziej nie wiem, do stu kurew.

– Kapitana – powiedział Mevev.

– Hm?

Oficer nie bardzo chciał mówić przy Brorroku i jego rudym pilocie, ale Ridi nie kwapiła się do wyjścia na słówko.

– To tutaj jest twój okręt i twoja załoga.

– „Zgniły Trup” popłynie do Talanty tak szybko, jak będzie mógł.

– O! – powiedział Brorrok, spoglądając na Cichego z wyraźnym politowaniem. – Ale ty, cipcia, pamiętaj, żeby zabrać do mnie paru swoich, bo ja ci moich chłopaków do zabawy z Przyjętymi nie dam. No i upilnują cię przed starym... he, he... – Brorrok zakasłał i otarł oczy. – Ja, widzisz, tylko tak niegroźnie wyglądam, ale jeszcze, dziewczucho, jeszcze... jak ucapię, to... tak w pupsko uszczyptać cię mogę, że zobaczysz. Niech cię lepiej pilnują.

– Sama się upilnuję.

– Weź kogoś ze sobą, mówię! Ja wiem, że ty się mnie nie boisz, tak ci tylko... tego... dogadałem. Ale paru swoich musisz mieć ze sobą choćby dla fasonu! Nawet jak ci do roboty

z Przyjętymi niepotrzebni.

Mevev kiwał głową. Zastanawiał się.

– Wszystko mi tutaj śmierdzi – powiedział.

– A co ci, chłopcze, tak śmierdzi? – obruszył się Brorrok. – Hę?

– Teraz mówię z moją kapitaną – rzekł Cichy, nie patrząc na Brorroka; w zamian ruchem głowy wskazał drzwi. – Kapitana?

– Ale czego chcesz?

– Co chcę, to powiem, ale tylko tobie.

– A idźże z nim, Ślepa! – zdenerwował się stary. – Jak twój oficer ma sprawę, to z nim gadaj. Ja ci stąd niczego nie ukradnę.

Ociągając się, Foka wstała i poszła do drzwi. Mevev wyszedł zaraz za nią. Odeszli pod grotmaszt.

– Pomyśli, że się go boję! – powiedziała, odęta. – Że nie mam odwagi mówić przy nim, co myślę! Czego chcesz? Nie boję się Przyjętych!

– Przyjęci to później. Ale Brorrok.

– Co: Brorrok? Rzeczywiście mam się go bać?

– A nie boisz się?

– Nie!

– No to... chyba powinnaś.

– Kogo? Brorroka? Ja wiem, kto to jest Brorrok, ale nikogo się nie boję. Co on mi może zrobić?

– Może dotrzymać słowa i zawieźć Przyjętym twój głupi łeb, kapitana. Ucięty. Skąd wiesz, że nie? Co on taki chętny, żeby zrobić sobie wrogów z Przyjętych? Ma coś do nich? Bo że ma do ciebie, to wiem.

– I utnie mi łeb? – zastanowiła się Ridi. – A w jaki sposób mi go utnie, co?

– Kiedy będziesz spała.

– Mogę nie spać, przecież dobrze wiesz. Będę zła i zmęczona, ale na upartego mogę wcale nie spać; co, naprawdę nie wiesz?

– Wiem, ale...

– Otruć mnie też nie otruje, mogę nie jeść – przerwała. – Będę głodna, ale nawet nie schudnę, choćbym nie jadła przez rok. O tym też wiesz. Trucizny mi zresztą nie szkodzą, w każdym razie od żadnej nie umrę. Co ci jeszcze powiedzieć, o czym wiesz?

– Nic.

Ale Ridi już się rozpędziła.

– Że mnie nie udusi, bo oddychać właściwie też nie muszę? – pytała szyderczo. – Wieszaście mnie już z Nellsem na rei! No i co?... Pocharczałam i wywaliłam jęzor. Tyle wyszło

z wieszania Pięknej Ridi, że powierzałam i upaprałam pokład. Nawet tobie się nie podobało, chociaż tobie to nigdy nic się nie podoba. – Lubowała się w rozpamiętywaniu swych znamienitych czynów i dobra była każda okazja.

Mevev słodkie wspomnienia o wieszaniu Ridi miał w tej chwili bardzo głęboko. Chyba już zapomniała, że mówią o Brorroku. Spozierał na maszty, trochę pogapił się w paskudne niebo, posłuchał szumu morza i gwizdania wiatru. Kiwał głową.

– Co on się tak spieszy? Parę dni włókł się za nami, a teraz od razu musisz zejść z okrętu i płynąć na tej jego wypucowanej balii.

– Wytłumaczył, dlaczego się włókł i dlaczego trzeba się spieszyć.

– Co ty mu tak wierzysz we wszystko?

– A dlaczego mam mu nie wierzyć? Zresztą, boi się mnie. Widziałeś, jaką miał minę, kiedy przecięłam nóż?

– To największy drań na Bezmiarach. Nie dorastasz mu do pięt, kapitana.

Wybrał najgłupszą z możliwych taktyk; jego komendantkę aż zatkało.

– Że... co niby?...

– Zatopił sto żaglowców, zanim przyszedł na świat. Rzygowinę z zyskiem by sprzedał. Zawsze przechytrzył każdego: sojusznika, wroga... każdego. Bał się tylko jednego żeglarza, twojego ojca. Tego prawdziwego.

– A co ty w ogóle o tym wiesz?

– To co każdy.

– I córki się, mówisz, nie boi?

– Boi? Kapitana, on ma cię w dupie. Jest sto razy mądrzejszy od ciebie. Podpuścił cię. Idziesz za nim jak cielę na sznurku.

– Nie, to ja ciebie mam w dupie – powiedziała.

– Chcesz pokazać, że się go nie boisz? Dawaj, kapitana, spalimy ten jego pływający kram! Spełni się wreszcie, że stary Brorrok wyciągnął kopyta! – Mevev wpadł na lepszy pomysł niż straszenie mądrej Ridi Brorrokiem. – Tylko powiedz, a zrobimy mu sprzątanie na okręcie. Powiedz: zrobić?

– Rozmawiam z nim. Jest gościem na moim pokładzie. Zaprosiłam go.

– Niech wraca i szykuje swoje działa. Kitar też. A co właściwie Kitar tu robi?

– Nie wiem, pewnie Brorrokowi był potrzebny szybki okręt. Chciał mnie szukać po całym Szererze, przecież mówił. Jakby znalazł później, to pewnie byśmy popłynęli do Talanty na „Kołysance”.

– Kapitana...

– Przestań już! – Tupnęła nogą, aż szczęknęły bransolety, a pierścionki zgrzytnęły o deski. – Płynę z nim! Mam już dosyć tych wszystkich Przyjętych! Wysyłają taką na Agary, żeby mnie

ugłaskała, a sami wynajmują Brorroka! Trzeba poucinać parę łbów i zaden nie będzie mój. Co ty się tak boisz wszystkiego? I od kiedy? Wezmę Nellsa i kilku z Gardy.

– Na stu paru chłopców Brorroka?

– Przypilnują mnie.

– Nells ma ciągle zebra na wierzchu. A choćby i nie miał, to...

– Mam cię powyżej uszu. Zrobię tak, jak powiedziałam.

– Nie puszczę cię.

– Że co niby?...

– To mnie zatłucz. Od razu, zanim zejdziesz z pokładu. Bo wysadzę „Zgniłka” w powietrze.

Ty schodzisz z pokładu, a ja złażę do prochowni i podpalam sznurek.

Gapiła się i gapiła.

– Co w ciebie wstąpiło?

– Nie puszczę cię nigdzie z Brorrokiem.

– Sama się puszczę gdzie tylko będę chciała! – zapowiedziała groźnie, i to akurat na pewno mogła zrobić. – Chcesz wysadzać „Trupa”, to wysadzaj, znajdę sobie inny okręt. Najwyżej.

– Inny okręt?

– Inny okręt.

Mevev rozejrzał się dokoła. Pokazał (głupio, bo o czym to niby miało świadczyć?...) zieloną szmatę na nadgarstku, do której przywiązany był nierówny strzep.

– Ale... to jest twój okręt i twoja załoga.

– A tak, moja załoga – powiedziała szyderczo. – Nawet zawinąć do przystani nie potrafią, a Brorrok może nas dogonić, przegonić i co tylko. Załoga! – Pokazała podbródkiem majtków gramolących się tu i tam niczym muchy w smole. – W sam raz dla ciebie.

– Są tacy, jacy są, bo innego okrętu i innych chłopaków nie chciałaś... A tym tutaj nigdy nie mówiłaś, że są źli. Dla ciebie to oni nawet praliby szmaty, jak ci od Brorroka. Wlepiasz im kije, tniesz ich na kawałki i ciągle jesteś ich Foczka... Nie zależy ci na nich? Mam ich wszystkich wysadzić? Zrobię to, naprawdę to zrobię.

– Wysadzaj. Zdaje się, że to właśnie tobie na nich nie zależy.

– Zależy, ale... wysadzę. Nie schodź z pokładu, kapitana. Masz swój okręt, załogę, płyniemy do Londu... Co? Już nie płyniemy?

– Popłyniemy potem.

– Nie popłyniemy. Wysadzę „Trupa”.

– Wysadzaj. I nie wracaj ze mną do kajuty, bo to już nie są twoje sprawy, tylko moje.

Następny wierny przyjaciel – powiedziała. – Przyzwyczyłam się.

Poszła. Huknęły drzwi.

Mevev pogapił się na żagle. Na morze, na marynarzy... Na zieloną chustkę na nadgarstku.

Gapił się, myślał... Kiwał głową.

Brorrok najpierw kazał się wieść do Kitara.

Przykra fala huśtała łodzią; przeklęty okręt Ridi został z tyłu i Brorrok musiał sobie powiedzieć, że jednak nie o klątwę tu chodzi... Chciało mu się rzygać zupełnie normalnie, całkiem zwyczajnie i po prostu. Kołysanie solidnego okrętu miało się nijak do podrygów łupiny, w której siedział. Stuletni żeglarz dotarł do burty karaweli ledwie żywy, zielonkawy na pomarszczonym obliczu – i wisielczo zadowolony. Skoro nie o klątwę chodziło, mógł się pośmiać.

– Widzisz, chłopcze... he!... No, patrzaj na mnie – wychrypiął do Kitara i głęboko zaczerpnął powietrza. – Rzyguś za burtę poszedł. Kapitan Brorrok, patrzaj. Szczur lądowy, niech mnie udławią...

Kitar kazał dać wody. Stary, gulgocząc, wypłukał usta, potem napił się, pooddychał głęboko. Trochę wydobrzał, lecz odmówił pójścia do kajuty.

– Nóg mi szkoda, a i świeżego powietrza tutaj więcej.

– Może być niezły sztormik. – Kitar ruchem głowy pokazał majtków mocujących wszystko, co dało się umocować.

– Nie będzie. Przejdzie bokiem. Przestało mnie łupać w gnatach, a znam już to łupanie, że ho! ho!

Cokolwiek sądzić o łupaniu, Brorrok naprawdę rzadko mylił się co do pogody.

– To i lepiej – skwitował Kitar.

– Rozliczmy się, chłopcze. Rudy, daj no... Właśnie. – Brorrok ujął solidny worek, wydobyty przez pilota zza pazuchy. – To twoje, synku. Trochę mniej, niż mówiłem, ale więcej, niż ześ się spodziewał.

Armektańczyk skrzywił się w kpiącym uśmiechu, bo było właśnie tak, jak powiedział stary. Nie po raz pierwszy robili coś razem i Kitar przyzwyczaił się już, że od sum wymienianych przez chciwego dziadygę zawsze trzeba odjąć gdzieś tak jedną czwartą. Przy rozliczeniach Brorrok wymieniał różne nadzwyczajne koszty, przyznawał sobie nagrody za to, co niby zrobił, choć według umowy miał nie robić... Ale ponieważ ugoda z nim i tak zawsze owocowała ciężkim trzosem, nie warto było wszczynać o to wojen. Bardziej opłacało się być stale podskubywanym przez Brorroka, niżli raz twardo postawić na swoim i już nigdy więcej nie zostać zaproszonym do tworzonej przez niego eskadry.

– Czyli, robota skończona? Co załatwiłeś?

– Wszystko, chłopcze, wszystko... Nie oglądaj się teraz na mnie, płyn gdzie chcesz. Jakbyś był na Agarach, możesz powiedzieć Ślepemu, że dogadał się z jego córczydłem. A co z tego będzie, to będzie. – Brorrok zadumał się na chwilę. – Dobryś żeglarz. Kiedy już mnie zabraknie

na Bezmiarach, wspomnij czasem starego Brorroka i wypij za moje gnaty na dnie morza.

– Kiedy twoje gnaty tam spoczną, moje będą już dawno zjedzone przez meduzy. Do czego ci byłem potrzebny? – zagadnął, ważąc worek w dłoniach. – Jeszcze nigdy nie zarobiłem tyle za nic... Do towarzystwa mnie wzięłeś, do pogaduszek, czy co?

– A żebyś wiedział, że trochę i do tego. Ja, synu, naprawdę cię lubię – nieoczekiwanie wyznał stary – a coś czuję, że śmichy śmichami, a niedługo przyjdzie na mnie pora. Chciałem z tobą popływać, a co tam... Trochę mi się przydałeś, a mogłeś przydać bardziej.

– Do czego ci się przydałem? – Kitar nie krył powątpiewania.

– Do, jak to się mądrze i ładnie mówi, do robienia dobrego wrażenia. Taki Ślepy, dajmy na to, widzisz, on wie, że ja jestem stary i wszystko mam gdzieś, niech mnie spalą. Nie pogadałby ze mną tak, jak gadał. Ale ty jesteś młody, potrzebujesz portu w Aheli, sam mówiłeś. Ślepy wie o tym, no i widzisz. – Brorrok pokazał worek w rękach rozmówcy, przy czym omal nie stracił równowagi, bo puścił linę, której się trzymał, a kiwało naprawdę niezłe. – W końcu wziął od ciebie słowo za nas obu. Teraz płyn, a przy okazji powtórz mu, co żem ci powiedział.

Kitar popatrzył uważnie.

– Co ty chcesz z nią zrobić? Z Piękną Ridi?

Starzec obruszył się.

– O, patrzajta go!... Ja, chłopcze, dlatego zawsze znajdę zarobek, że jak coś powiem, to powiem. Tylko trzeba słuchać, co mówię; kto nie słucha, ten sam sobie winien. Przyjęci dostaną, za co zapłacili. I Ślepa Ridi też. Pokażę jej dom w Talancie i niech se zarzyna Przyjętych.

– Ale słyszę, że kładziesz się do grobu.

– Eee, no ale nie przez Foczycę! – rzekł z politowaniem Brorrok. – Kładę się, bo kładę, bo czuję, że na mnie pora. Ale jeszcze nie dzisiaj, chłopcze, o nie, jeszcze nie dzisiaj... I nie przez Ślepą Ridi. Widzisz Kitar, tak na mój rozum, to najlepiej nazwali ją cesarscy: Gówno. Znaczy: za przeproszeniem. Jaka tam Piękna, jaka Foka, jaka Ślepa Ridi?... To jest tylko, chłopcze, pływające po wodzie kupsko. I to nawet nie jego wina, że śmierdzi.

Wyciągnął kościstą dłoń i poklepał Armektańczyka po ramieniu.

– Płyn, Kitar! Jeszcze się zobaczymy, i to pewnie prędzej, synu, niż myślisz. Kończę robotę, zaraz znajdę inną, no i, do stu kurew, będzie mi potrzebny twój okręcik! Tym, co gadam, to ty się nie przejmuj; jak dożyjesz stu lat, to też będziesz żegnał się z każdym tak, jakby to było na zawsze.

– Nie dożyję stu lat.

– Jak tam chcesz. Ale nie zawadzi, jak ci powiem, co robić: pókiś młody, to pij dużo gorzałki; myj się nawet codziennie; z dziewczuchami za często nie łaż, bo wyciągną ci siłę z lędźwiów; jedz dużo i tłusto, bo to krzepi. Naucz się wreszcie palić fajkę; ja do dzisiaj bez fajki spać nie pójde. A, i syp na wszystko bardzo dużo soli, bo to wyżre ci ze środka robaka.

* * *

Smukła „Kołysanka” miała na pokładzie ledwie kilka słabiutkich dział, i pojedynczy pożegnalny wystrzał nie narobił wiele hałasu. Za to przenikliwy dźwięk glinianej świstawki, za pomocą której Kitar zwykł wydawać załodze niektóre rozkazy, był doskonale słyszalny. Majtkowie chwacko uwijali się przy żaglach, podśpiewując do rytmu; karawela pełnym wiatrem szła na południowy wschód ku południowi, gładko rozcinając dziobem grzbiety fal. Na „Kaszalocie” machano rękami i powiewano fularami, życząc szczęścia zaprzyjaźnionemu okrętowi.

Wymęczony jazdami w szalupie Brorrok nie spoglądał za mknącym niczym mewa żaglowcem. Choćby chciał, to nie mógł, bo w otwartych drzwiach kajuty kapitańskiej tkwiła, oparta o framugę, Ślepa Ridi – więc siedzący za stołem kapitan „Kaszalota” mógł najwyżej oglądać jej rufę. Wcale nie chciał. Baba na okręcie. Już mniejsza o to, kim była. Dość, że baba.

Brorrok nic nie miał przeciwko dziewczuchom. Za młodu... he! Ho, ho. Przez to brakowało mu teraz siły w łędźwiach, dlatego ostrzegł zyczliwie Kitara. Ale i na starość... choć niby dziewczuch nie potrzebował, to nie przeszkadzały mu. W porcie potrafił swoim chłopcom pożyczyć z własnej sakiewki, gdy już całe srebro prze hulali. Wiedział, na co poszło: najpierw na kobiety i gorzałkę, potem już na samą gorzałkę, bo nikt zdrowy na rozumie nie kupi przecież za ostatnie grosze dziewczuchy, gdy może kupić trunk. Ale trunk to była żeglarska rzecz, kobieta zresztą też. Byle nie na okręcie. Z dwojga złego, stary kapitan wolałby mieć pijaną załogę – niżli trzeźwą, ale mieszaną. Gdyby musiał wybierać, nie wybrałby mieszanej załogi. No, na szczęście nie musiał.

W trakcie długiego i bujnego życia stary pirat – a kiedyś ogrodnik – poczynił mnóstwo cennych obserwacji. Kobiety były brudne, leniwe, niechlujne. I tchórzliwe, co akurat wychodziło im na korzyść. Gdy taka miała swój dom, swego chłopca i stadko dzieciaków, stała się bała, co inni pomyślą i powiedzą. Prała, myła, sprzątała, gotowała, byle tylko inni pomyśleli, że jest czysta, robotna... Ale niech no trafiła w takie miejsce, gdzie nie musiała się bać „tego, co inni powiedzą”. Brorrok widział w życiu kilka „kapitanic”. Pływała kiedyś – na pokładzie burdelu, bo okręt to nie był na pewno – Szkarłatna Alagera. Teraz ta tutaj, piękna... Obie siebie warte. Gadać takiej: „Aleś ty dzielna, odważna!...” to ho! ho! Cały dzień, całą noc i od nowa. Ale niechby kto spróbował zapytać: „Tylko, córcia, a czemu tu tak brudno?”. Obraza! Hańba, zniewaga! Brudno? No przecież to okręt, wojenny żaglowiec, nie dom! W domu to co innego, przecie co by ludzie powiedzieli? I chłop zaraz by se wziął inną babę, nawet brzydką, byle tylko porządną.

Ślepa Ridi przyodziła się niczym na wojnę; mrużąc jedno oko, a wysoko unosząc brew nad drugim, Brorrok podziwiał drucianą koszulkę na grubym zielonym kaftanie, niżej zaś męską spódnicę spiętą skórzanym pasem, do którego przytwierdzone były dwie okute miedzią pochwy. W jednej tkwił miecz, w drugiej zaś – tak na stare pirackie oko – oręż zwany półmieczeniem,

a w innych stronach łamaczem mieczów. Wytwarzano tę broń z pękniętych mieczów właśnie, formując nowy sztych, a jedną stronę głowni nacinając w kwadratowe zęby. Zachowywano rękojeść. Była to solidna, krótka – więc wygodna w walkach abordażowych – broń, bardzo groźna we wprawnych rękach, jednak posługiwanie się nią wymagało dużej zręczności i siły: półmiecze, jako oręż poniekąd prowizoryczny, zawsze były źle wyważone i cała siła ciosu uciekała gdzieś w głowicę rękojeści. Nadawały się właściwie wyłącznie do klucia – no i wychwytywania, a nawet łamania wrogiej broni.

Brorrok nie kochał Ślepej Ridi, miał ją za brudasę i blondynkę o brązowych włosach – ale swoje wiedział i wcale nie śmiał się z jej półmiecza. Jakoś nie byłby zdziwiony, gdyby potrafiła tego użyć. Bo niby dlaczego nie?

Foczego stroju dopełniały skórzane opaski ściskające przeguby i pęciny. W zamian zniknęły niezliczone pierścionki i bransolety.

Ridi krzyknęła coś do osiłka dowodzącego pięcioma paskudnymi dryblasami, których wzięła ze sobą na „Kaszalota”. Pokazała osiłkowi ręką, by coś zrobił; Brorrok nie zrozumiał, o co chodzi. Osilek kiwnął głową i gdzieś poszedł; przez szczelinę między ramieniem Ridi a framugą niewiele było widać.

– Chodź już tutaj, dziewucho, nie stój w drzwiach – zrzędlawie rzekł dowódca okrętu. – Nie będziemy gonić Kitarą.

– A co mnie obchodzi Kitar... Na co innego patrzę.

„Kaszalot” jeszcze nie wybrał kotwicy, ale posłuszni oficerskim komendom marynarze już zaczęli się krzątać. Wszystko tutaj lśniło czystością, pokład był wyszorowany niemal do białości. Gdyby komuś wiatr zerwał chustkę z głowy, wstrząśnięci chłopcy Brorroka wszyscy naraz rzuciliby się na nią, sprzątnęli i sprawdzili, czy do deski pokładu nie przyczepiła się nitka.

Zaczęło padać, jednak wiatr raczej osłabł, niż przybrał na sile. Brorrok zdążył już powiedzieć Pięknej Ridi, że go nie łupie w gnatach i burza przejdzie bokiem – wyglądało na to, że się nie pomylił. Gdyby miała być, to już by była. A tymczasem, choć dzień zrobił się ciemnoszary, z niskiego nieba miała spaść tylko ciepła letnia ulewa.

– To są niedojdy dopiero!... – powiedziała ze złością. – Nie słuchali mnie w ogóle, czy jak? Pogłupieli?

– A kto taki, hę?

– Moi, na „Zgniłku”. Już podnieśli kotwicę, ale wybierają się na północ... Trzeba dokoła opłynąć cały Szerer, żeby dotrzeć w ten sposób do Talanty.

Brorrok zastanowił się – coś go tknęło. Oparł się o blat stołu i wstał tak żwawo, jakby miał siedemdziesiąt pięć lat.

– Czekaj no, co ty mówisz? No już, cipcia, wynocha mi z tych drzwi!

Wypchnął Ridi na zewnątrz i sam wylazł. Pokuśtykał do burty.

Nie przerywając pracy, majtkowie na pokładzie zaczęli się oglądać na żaglowiec Ślepej Foki Ridi, który oddalał się od nich, żeglując ostro na wiatr; rzeczywiście maszerował prościutko na północ.

Z nieba, w ślad za pierwszymi grubymi kroplami, spadła ulewa. Sieczone deszczem fale wyglądały jak pokryte gęsią skórka. Strugi dżdżu rozmyły kontury „Zgniłego Trupa” – ale nie minęło wiele czasu i żaglowiec znowu zarysował się wyraźniej.

Przekrzywiając głowę, Ślepa Ridi ze zdziwieniem przyglądała się swojemu okrętowi. Brorrok gapił się i drapał po nosie. Patrzyła cała załoga.

Aż wszystko stało się jasne.

– Hyyp... do stu kurew, to sukin... khe! – wrzasnął Brorrok, uczepony nadburcia obok osłupiałej Foki. – Za... khe!... łoga!! Khe! kee!...

Dudniły o deski pięty biegnących marynarzy, na których ryczał pierwszy oficer.

Z głębi deszczu, zgniatając klute milionami kropel fale, nadciągał pod pełnymi żaglami przeklęty okręt wyrzutek, którym na niczym nie zależało – czego właśnie zamierzali dowieść. Mevev Cichy nie wysadził „Trupa”, zamiast tego odszedł ćwierć mili, zrobił zwrot i wziął pełny wiatr w żagle. Nie było mowy, by jego załoga wygrała bój abordażowy z rzeźnikami Brorroka, którzy – jak powiadano – piechotę morską z imperialnych żaglowców wyrzynali niczym stada owiec. Ostatnimi czasy zastęp chłopców Ridi stale przerzedzano; spośród nowych, którzy wypełnili luki w szeregach, niektórzy w ogóle nie umieli się bić (bo daleko nie każdy szubienicznik był od razu dzielny wojownikiem), a jeżeli nawet, to nie w nowych dla nich warunkach potyczki abordażowej. Szturmowanie okrętu Brorroka w ogóle nie wchodziło więc w rachubę – ale jak najbardziej wchodziło w rachubę rozwalenie obu żaglowców.

„Zgniły Trup” dał ognia z dwóch dział pościgowych – i z jednego jakimś cudem trafił. Mocno trafił; wyglądało na to, że warto było już na stałe zaopatrzyć się w żeliwne kule, odlewane w Aheli dla zastąpienia kamiennych – nowe pociski, wzięte na próbę obok starych, były przeszło dwa razy cięższe. Brorrokowi wyrwało z kasztelu wypucowane deski. Staruch ryczał, co chwila kaszląc z wywalonymi oczyma; ryczał jego zastępca (i to chyba nie były jednobrzmiące rozkazy...); wrzeszczał zbrojmistrz przyzywający pomocników; klęli marynarze. „Kaszalot” sprawnie schodził z kursu „Trupa”, ale wobec uskrzydłonego pełnym wiatrem holka Ridarety wydawał się wołowaty: zwrot trwał stanowczo zbyt długo. Napastnik lekko odpadł od wiatru, i to w zupełności wystarczyło. Już nie mógł trafić w burtę, ale było jasne, że dojdzie do rufy. Stary żeglarz Brorrok, którego cesarscy ani kupcy jakoś nigdy nie taranowali, stracił głowę – raz, że wmieszał się w dowodzenie swojego zastępcy; po wtóre, należało raczej nakazać zwrot ostro na wiatr, co dawało przynajmniej szansę, że dziobnice zderzonych okrętów rozjadą się na boki, zgruchotane zostaną kasztele, ale potem oba żaglowce zedrą burty i rozejdą się w przeciwne strony. „Trup” nie byłby już zdolny do zrobienia zwrotu i doścignięcia – o niebo

sprawniejszego przecież i szybszego – wroga.

Zamiast tego dowódca „Kaszalota” rzucił się do ucieczki według znanej kurom zasady „byle dalej!” i pozwolił, żeby Cichy zgniótł mu ster.

Wstrząs był słaby, taki... niegroźny, prawie niegodny wzmianki. Nikt się nie przewrócił. Uchodzący pełnym wiatrem „Kaszalot” miał już prędkość na tyle znaczną, że napastnik ledwie go dopadł – raczej dołączył doń, niż weń uderzył. Na długą chwilę dwa duże żaglowce zespoliły się w jeden olbrzymi sześciomasztowiec – po czym „Trup” ze złamanym bukszprytem, pokiereszowaną dziobnicą i zgniecionym dziobowym kasztelem został w tyle.

„Kaszalot” obracał się bokiem do fali. Brorrok mógł obejrzeć ster swojego żaglowca, telepiący się pośród zwałów sieczzonej deszczem wody, które dźwigały na grzbiety, to znów opuszczały między cielska całe mnóstwo połamanych desek.

Stary pirat, ruszający właśnie w wielką podróż ku Szerni – bo i serce, i płuca przestały mu pracować – rzucił się na Fokę i wyrznął ją pięścią w nos, a miał więcej krzepy, niż można by przypuścić. Jednak Ślepa Ridi, trzymająca się nadburcia, chyba nie zauważyła, że ją biją, bo traciła przytomność ze śmiechu. Odruchowo oddała Brorrokowi, klaszcząc go w czerwoną z gniewu papę, rozmazała krew z nosa i aż skowyczała z radości, gotowa wypaść za burzę. Świetni żeglarze Brorroka miotali się jak w ukropie, próbując zapanować nad żaglami, ale bez steru mogli bardzo niewiele. Szczęściarz Mevev Cichy osiągnął stokroć więcej, niż oczekiwał: chciał staranować Brorroka i rozbić oba okręty, a tymczasem obezwładnił wroga, zachowując bardzo nieznacznie uszkodzony, a w istocie najzupełniej sprawny, gotowy do walki żaglowiec.

Ślepa Ridi nigdy się nie dowiedziała, w jaki sposób jej pierwszy oficer poderwał załogę do czynu, który miał być czynem ostatnim. W jaki sposób przemówił do ludzi; co takiego im zełgał, że rozpaprana banda typów spod ciemnej gwiazdy, dzieciobójców i matkojebów, rzuciła się na ratunek swojej oszukanej, omotanej i przekabacanej przez Brorroka, bez mała porwanej dowódczyni.

Wokół Foki skupiła się piątka jej gwardzistów, dowodzonych przez wiecznie skrzywionego Nellsa, którego bolał niewygojony bok.

– Schowaj się gdzieś – rzekł dowódca Gardy. – Będzie jatka, a działa nie wybierają. Słyszysz, kapitana? Schowaj się!

Foka znowu rozmazała krew z nosa. Przestała się śmiać.

– Ja zabiję tego skurwysyna – powiedziała. – Słyszysz, Nells? Ta parszywa świnia będzie poćwiartowana, bo taki los każdej świni! Poćwiartujesz go dla mnie i wolniutko obedrzesz ze skóry, szykuj się.

Na „Trupie” Cichy już odkrył, że jest władcą mórz – a przynajmniej tego kawałka, po którym pływał „Kaszalot”. W pojedynku dwóch sprawnych okrętów ślamazarne manewry holka Ridarety skazałyby go na przegraną – lecz żaglowiec Brorroka nie był już okrętem, a tylko otaklowanym

plywającym kadłubem. „Zgniły Trup” przecinał jego kurs za rufą – jeśli można było mówić o kursie – przeciwstawiając dwóm średnim działom rejteradowym ciężką burtową baterię. Pełna salwa z odległości pięćdziesięciu kroków zdemolowała kasztel „Kaszalota” i rozerwała płótno na bezanmaszcie. Prochowa pukania nie dawała rozstrzygnięcia w morskich bitwach, bo kadłuby wciąż były mocniejsze od okrętowych bombard, niemniej działowe kule mogły posiąć spustoszenie w osprzęcie i wytrącić z walki wielu ludzi. Niesterowny okręt stanowił cel nieledwie bezbronny, mogący odgryzać się z tych dział, przed które uprzejmie wyszedł mu przeciwnik. „Kaszalot” już nie miał niczego; za cenę jednej szczyrby w nadburciu „Zgniły Trup” rozniósł mu baterię rejteradową, zakopaną w kupie połamanych desek i pozrywanych lin. Tłukli już do siebie łucznicy i kusznicy obu stron, ale Brorrok wyraźnie widział, że Cichy ma rozum i nie wda się w przepychanki. W ogóle nie musiał się spieszyć; odpadł od wiatru i wyraźnie szykował się do zwrotu, by skierować w stronę wroga baterię lewoburtową. Mógł potem spokojnie nabić działa – obojętne, jak długo to trwało – i kopać „Kaszalota” w zadek do chwili, aż ten zadek rozleci się w drzazgi. Holk pierwszego pirata Szereru był dla niego tak samo groźny, jak zbombardowana szopa na ahelskim nabrzeżu (Brorrok zdążył posłyszeć w Aheli to i owo o pamiętnych rozruchach).

Niesione wiatrem, przeciskały się przez deszcz urywki komend rzucanych na „Trupie”:

– ..Foka szot!... ster... trzymaj tak!... Trzyy-maaj!... przekłete dupy wołowe!... wybieraaa!...

Starzec przestał się miotać po pokładzie, zamiast tego popadł w osłupienie. Topił wszystko, co pływało po morzach Szereru, w żadnej flocie nie istniał taki okręt, któremu by nie dał rady. Miał żeglarzy potrafiących wyprawiać cuda na rejach, zawsze mógł uchylić się od walki z zespołem kilku okrętów bądź dogonić pojedynczą ofiarę. Dobrał i wychował sobie na pokładzie rzeźników, w mgnieniu oka wycinających obrońców abordażowanego żaglowca. Teraz jego okręt był bezkarnie rozstrzeliwany przez zgraję brudasów i łapserdaków, którym dziób mógł pomylić się z rufą... Bezradnie miotali się we wszystkie strony masakrowani marynarze. To nawet przez chwilę nie była bitwa; od początku do końca egzekucja. Stary pirat ujrzał nagle wewnątrz garyjskiej tawerny, gdzie przy piwsku jeden żeglarz mówi do drugiego: „Brorrok już nie pływa, słyszałeś? Niedowodzone, he, chłopaki ze «Zgniłego Trupa» złamały mu ster i rozwalily tego jego «Kaszalota» z dział. Nawet się do niego... he, he... nie wybrali”.

Wciąż lało. Strzały znów wbijały się w drewno i dziurawiły żagle. Rufowego kasztelu już prawie nie było – konstrukcje na kadłubie budowano z lżejszych desek niż sam kadłub. Łucznicy nie mieli skąd strzelać – zupełnie inaczej niż przeciwnik, u którego na obu kasztelach uwijało się mnóstwo zbrojnych. Wrzeszczeli szpikowani pociskami majtkowie. Odgryzano się desperacko z głównego pokładu, ale właśnie odezwało się osiem dział lewej burty „Trupa”. „Kaszalot” zadygotał, trzask łamanego drewna zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Gdy przebrzmiał, wrzaski

były liczniejsze. Pod olbrzymim czerwonym płótnem zerwanego grotu, pośród lin i szczątków miotali się uwięzieni marynarze. Pokład był najeżony strzałami. Nikt już nie mógł wątpić, że po następnych dwóch salwach oddanych z odległości półsta kroków, z pięknego holka Brorroka zostanie właściwie sam kadłub ozdobiony dziobowym kasztelem i zwieńczony gołymi masztami.

Brorrok siedział oparty o nadburcie przy wsporniku dziobowego kasztelu. Uspokajająco poklepywał po ramieniu Rudego, który siedział obok z rozbitą głową; widać czymś zdrowo oberwał. Bardzo zdrowo; Ridarecie wydało się, że pilot Brorroka nie oddycha.

– Patrzaj, pomoc – powiedział gorzko Brorrok, ukazując ruchem podbródka spowite ulewą morze.

W samej rzeczy: niesione wiatrem odgłosy kanonady dotarły do „Kołysanki”. Karawela Kitar ostro szła prawym halsem; była już blisko placu boju. Ridi przekrzywiła głowę, ale stary żeglarz po prostu sobie kpił... Kitar nie mógł się bawić w morskie wojny; imperialne okręty zostawiał za rufą i tyle. Miał na pokładzie najwyżej czterdziestu chłopca – aż nadto do rozprawy z eskortą ładunku na kupieckiej kodze. Ale jeśli chciał abordażować Cichego, to znaczyło, że życie mu zbrzydło – „Zgniły Trup” był dwa razy większy, miał sporo wyższe burty (naprawdę paskudna rzecz przy abordażu) i co najmniej pięciokrotnie większy ciężar salwy, nie mówiąc już o liczebności załogi. Brorrok wiedział równie dobrze jak Ridi, że Kitar może najwyżej powyławiać z wody rozbitków. O ile mu Mevev pozwoli.

W eskadrze „Kołysanka” była nieoceniona, bo mogła dogonić każdy żaglowiec, rzucić kotwice abordażowe, obezwładnić i przytrzymać go. Do chwili, aż przyszło wsparcie – ale dobrze, jeśli przyszło bardzo szybko.

– Chłopaka mi zabili... znał morza prawie jak Ślepy... – rzekł Brorrok, jeszcze raz klepiąc Rudego, tym razem po piegowatym policzku. – Nie poznał żem się, do stu kurew... Ten twój... jak mu? Cichy? Może żaden marynarz, ale ma chłop ikrę. Oj, ma... No, dziewucho, wyciągnij mnie z tego. Głupia jesteś, aż boli, do tego jeszcze ładaczna, ale niech ci tam będzie. Szalupka jeszcze cała. Ja opuszczę z masztu wojenną banderę... pierwszy raz, do stu... Pierwszy raz. Ale twoi tam pomyślą, że szachruję, sam bym tak pomyślał. Wsiadaj i płyn do swoich. Powiedz, żem się wykupił. Potem mnie weźta na hol, a ja ci podziękuję. Pomogę.

Ridareta popatrzyła z podziwem.

– Jeszcze czego... Już zadieram kieckę i lecę. Widzisz mnie? Mam z Cichym do pogadania, ale teraz to sprawa między wami. Między sławnym „Kaszalotem”, a wypędzonym z własnego portu „Zgniłym Trupem”, którego wszyscy się wstydzą. Jak chcesz, to sam płyn do niego.

– Ja nie mogę, córcia, bo kapitan ma być na pokładzie. Nie ucieknę z okrętu, który idzie na dno... A nikomu, kto popłynie, nie uwierzą, muszę odesłać im ciebie. Coś ty temu Cichemu powiedziała?

– Wtedy, na „Trupie”? Nic. Żeby zniknął mi z oczu. Powiedział, że mnie nie puści. No

i chyba rzeczywiście nie puści, ale będzie za to wisiał. W kawałkach – zapowiedziała spokojnie.

Tuż nad nimi ochryple krzyknął łucznik, któremu pocisk ze „Zgniłego Trupa” przeszył szyję. Na pokład upadł oręż, a po chwili z kasztelu spadło ciało – jeszcze żywe... Majtek tłukł o deski piętami, wybałuszał oczy i charczał, zaciskając ręce na strzale.

– Pomóż mu, Ślepa. No już, pomóż mu.

Ridi wgniotła kolano w brzuch konającego, wyciągnęła półmiecz i dobiła łucznika jednym krótkim pchnięciem. Wytarła ostrze brzegiem mokrej spódnicy.

– Nie chciał cię puścić, mówisz, he, he... – zarechotał Brorrok. – No i dobrze, widzisz cipcia, że nie chciał. Dla mnie źle, ale dobrze dla ciebie. Obiecał żem Przyjętemu twój pusty suczy łeb, ale drugi Przyjęty, taki czarny... najpierw, widzisz, to on był ryżawy... sporo mi dopłacił, żebym tylko przywiózł cię całą. Ażem musiał mu dwa razy obiecać, że ci nie utnę głowy. Czekają tam, cipcia, na ciebie. I nie wygląda mi na to, żeby byli bardzo zestrachani. Na moje oko, widzisz, to ten czarny już włożył do ognia obcęgi.

Ridareta, wciąż z kolanem na trupie i półmieczem w ręku, spoglądała, nie mówiąc ani słowa. Po twarzy ściekał jej deszcz.

– Miał od razu czekać pacholek, ale ten ryżawy-czarny mi szepnął, że na pewno będzie czekał sam. Choćby rocze, he, he... a pacholka to on pośle do portu, żeby wypatrywał mojego „Kaszalota”. Wiedziałyby, żeś przyjechała. Możesz pociąć i powiesić swojego oficera – ciągnął Brorrok, popatrując na pełną rannych i trupów ruinę, w którą się przemieniał jego okręt – ale widzisz, dziewucha, uczciwiej będzie, jak zrobisz to, co chyba umiesz najlepiej... Jakby tu rzecz: weź ty do buzi ten bukszpryt, co twój Cichy ma między nogami, i trzymaj tak długo, aż ci powie, żebyś poszła ugotować mu obiad. I niech mnie, do stu kurew, zabatożą. Uratował ci życie, głupia foko.

– Po co mi to mówisz?

– No bo, rybcia, przecie, nawet jak wyjdę z tego cało, to nie wezmę cię na Kitarową „Kołysankę” i nie powiem, że twardo płyniemy do Przyjętych. Nawet tobie zaczęłoby śmierdzieć, że za bardzo mi na tym zależy. Że okręt w kawałkach, pół załogi gada z rybami, a ja nic tylko Talanta i Talanta... Nie chcesz płynąć do swoich, to ci mówię, jak było. Wykupuję się. Jak mnie z tego wyciągniesz, to pomogę.

– Nie potrzebuję pomocy.

– Że co? Że nie potrzebujesz?

Brorrok nie krył politowania.

– Ty żelazo tniesz, cipcia, pazurem, ale nie masz rozumu w pustym łbie. Ja bym ci go uciął dziesięć razy. Kiszonym ogórkiem, rybeńko. Tylko żem się bezpotrzebnie połaszczył na pieniądź.

Brorrok raz jeszcze prychnął z politowaniem i rozkaszał się.

– Taka kapitanica, co na morzu... khe! khe!... zeszła z pokładu okrętu i zostawiła załogę... Ja wiedziałem. Przyplłynąłem po ciebie jak po pisklak, który każdy sobie może wyjąć z gniazdka. Tylko że nie pomyślałem, że te twoje łachmyty mają tyle ikry. I rozumu, do stu kurew; i rozumu. Bom ich sądził podług ich kapitanicy.

Cichy uwinął się: salwa była trochę za słaba jak na burtową, widać dwóch czy trzech dział nie nabito – a może po prostu zawiódł proch, lubiący kapryścić przy tak wilgotnym powietrzu. Rozleciały się resztki barierki na rufowym kasztelu. Furkotały strzepy bezana, przestrelonego po raz drugi. Deszcz osłabł, ale wciąż padał i nie przejaśniało się.

Brorrok uznał klęskę – i pogodził się z nią, pokazując prawdziwy hart ducha, który mieszkał w wątlwym starczym ciele. „Nosił wilk razy kilka...” – no, tak to bywało. Postawił nogę na pokładzie „Zgnitego... a tfu!... Trupa” – no to ma, czego chciał. Każdy wiedział, że Foczyca i jej parszywa trumna ściągają nieszczęście. Chciał, to doigrał się. Ale teraz niemalże wesoło spoglądał na pobladłą twarz rozmówczynie. Foce trzęsła się ręka, gdy chowała swój oręż do pochwy. Jednak stary nie oszczędził jej niczego. Lubił gadać – a nie lubił Foki.

Wolno ale zręcznie ją nabijać ukochaną fajkę.

– Ruszże wreszcie ogonem, Foczyca. W lewo albo w prawo. Weź ten swój dziabak i zachechłaj mnie, a jak nie, to raz w życiu pokaż, że masz jakiś rozum, he? Szoruj, Ślepa Ridi, do tej łódki, a ja ci ją spuszcze na wodę i wrócisz do swojej załogi. Pogadasz ze swoim Cichym, on ci powie, co trzeba robić, a potem najwyżej do reszty mi rozwalisz „Kaszalota”, przecie zdążysz. Rozwalisz albo weźmiesz na hol.

– Nie, ty obłudny dziadu – powiedziała Ridi. – Aż tak głupia to ja nie jestem.

Zerwała się z pokładu, cofnęła o kilka kroków i podpaliła Brorroka razem z jego fają, trupem Rudego, nadburciem i dziobowym kasztelem.

* * *

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Szczęściarz Mevev Cichy ledwie żywy siedział na koi, bo nie mógł leżeć na pociętych batem plecach, a i w brzuchu miał ranę od strzały – niegroźną, ale bolesną. Kapitana, chmurna jak niebo nad okrętem, weszła do kajuty, huknęła drzwiami i stała przy nich, głęboko zamyślona. Wreszcie zrobiła trzy stanowcze kroki i kucnęła przy wyrku. Leżący na swojej koi drugi oficer wytrzeszczył zdumione oczy, gdy półmieczem rozcięła Mevevowi portki. Pogapił się chwilę, po czym ostentacyjnie legł na drugim boku, podkładając ramię pod głowę – znaczyło to, że wszystko ma gdzieś i akurat teraz będzie spał.

Na pokładzie, mimo gęstniejących ciemności, marynarze hałaśliwie sprząтали żaglowiec po bitwie, wciąż na nowo gadając o zwycięstwie. Każdy odegrał w nim decydującą rolę; inni mu tylko pomagali.

Ridi odłożyła broń na łóżko.

– Stary gaduła, zanim zdechł, powiedział, że jestem ci coś winna – kwaśno oznajmiła Mevevowi. – I miał rację. Jak się zrobisz głodny, to powiedz... a szyniosę hoś ho jesenia.

Przez okienko wpływał do kajuty drżący czerwony poblask. Wrak „Kaszalota” wciąż trzymał się na wodzie i płonął.

12.

W całej historii świata bardzo niewielu istotom dane było oglądać Pasma Szerni.

Wyłoniło się znikąd. Nie spadło z dalekich przestworzy. W chmurach i wolnych przestrzeniach między nimi zaczęło się zapadać niebo. Pękło. Od horyzontu po horyzont, do niewidzialnej szczeliny coraz szybciej wsączało się... wszystko. Powietrze, chmury, chyba nawet światło. Bezgłośnie powstawało coś, co nie miało żadnego odpowiednika w widzialnym świecie Szereru, jakieś zdumiewające załamanie nieba; gigantyczny stopień, uskok, tak jakby jedna część przeciętej na pół kopuły osunęła się ku dołowi. Lecz ten uskok niemal natychmiast przestał być uskokiem – znowu stał się szczeliną, lecz tym razem widzialną, wąską, doskonale równą, zalaną rtęcią. Rtęci przybywało, aż wydostała się na zewnątrz i przybrała postać szerokiej na pół mili, wygiętej sztaby, spinającej wschodni i zachodni kraniec widnokregu. Od srebrnego lśnienia niemal pękały oczy. Wciąż bezgłośnie, Pasma osuwało się w dół, ciągnąc za sobą chmury. Wzrok nie mógł zaakceptować niemożliwego obrazu czegoś, co było proste i wygięte zarazem, a jeszcze wygięte dwojako, bo w górę i w dół jednocześnie; umysł bronił się przed uznaniem takiej rzeczywistości.

Idealnie równa wstęga, wycięta z zastygłej rtęci. Płaska i prosta jak głośnia miecza, jednostronnie wybrzuszona ku niebu i ziemi.

Wstęga rtęci dotknęła Bezmiarów i zarysu lądu na zachodzie, przecinając Szerer na pół. Tak się zdawało. Lecz w rzeczywistości upadające Pasma miało najwyżej pięćdziesiąt, sześćdziesiąt mil długości. Dobry piechur przemierzyłby je z końca w koniec w ciągu trzech, najwyżej czterech dni.

Połamane grombelardzkie góry osunęły się w przepaść, wyrąbaną żelźcem rtęciowego topora; wstrząsy dało się odczuć w odległym o ponad sto mil Londzie. Ale ziemi dotknął tylko sam kraniec ostrza. Niemal całe Pasma zapadło się w wodę – i w mgnieniu oka rozpląnęło w niej, niczym kawałek smalcu we wrzątku. Bezmiary unicestwiły je jednym krótkim dotykiem. Fale delikatnie bawiły się wielomilowym pasem granatowej, niemal czarnej wody.

Jednak trzęsienie ziemi na grombelardzkim brzegu podniosło falę, jakiej nie widział świat. Gigantyczny garb sunął na południe i nieco ku zachodowi. Mógł uderzyć w półwysep Mały Grombelard, potocznie nazywany Złym Krajem, złamać się, opłynąć go częściowo i po jakimś czasie dotrzeć przez Morze Puste do gęsto zaludnionego półwyspu Mały Dartan, zmiatając zeń wszystkie ślady ludzkiego istnienia.

Lecz pradawny opiekuńczy byt Szereru, tak na co dzień kapryśny i srogi, równoważył moce obcych potęg, które rozpostarły swe obmierzłe macki nad lądami. Bezmiary były nieodmiennie wrogie wobec potęg takich jak Szerń. W niepojęty sposób, wodny garb o długości kilkudziesięciu mil ociężale zmienił kierunek ruchu: osunął się na bezludne wybrzeża Złego Kraju, zatopił

wschodnie archipelagi Morza Pustego – ale już odpływał, zataczając ogromny łuk, na południowy wschód; odchodził od lądu, kierowany przez potężną siłę, gdzieś w niezbadaną i nieodgadnioną dal oceanicznych przestrzeni.

Na Południowym Grombelardzkim szlaku kilka okrętów i statków wyrzuconych zostało na ląd. Ale te, które były na pełnym morzu, nie ucierpiały wcale; wodne wybrzuszenie, mające szerokość kilku mil, łagodnie dźwignęło je ku niebu – i tak samo łagodnie opuściło. Największy kataklizm w dziejach został zduszony, chciałoby się rzec: rozpuszczony w zimnym cielsku oceanu – bytu starszego i potężniejszego niż wszystkie podniebne i nadniebne potęgi razem wzięte.

Po odejściu wodnego wału Bezmiary były spokojne aż nienaturalnie.

Ale tylko w pobliżu lądu. Nikt nie mógł widzieć morskiego wiru, wielkiego jak całe Morze Puste, który powstał kilkadziesiąt mil w głębi Wschodniego Bezmiaru. Niewyobrażalne masy wody ciągnięte były dokąds; zderzał się z tym prądem drugi, idący od dna, wstępujący. Dźwignęła się nagle ku niebu jeszcze jedna fala – ale to nie była wodna góra o łagodnych stokach. Dwie rwące morskie rzeki zderzyły się, tworząc poszarpany grzywacz, istne monstrum, które z hukiem pomknęło na wschód. Dokądkolwiek ów grzywacz dotarł, przyniósł ze sobą koniec świata.

Czy istniały na Bezmiarach jakieś lądy, wyjęte spod potężnej opieki oceanu?...

W Dartanie i Armeckie nikt nie wiedział, że upadło Pasma.

Przez krótką chwilę ludzie popełniali głupstwa i wygadywali oczywiste bzdury – wszystko, co akurat przyszło im do głów. Doszło na tym tle do licznych kłótni, sprzeczek, nawet bójek. Tu i ówdzie nie ubito interesu; ktoś stracił współnika, a ktoś przyjaciela – lecz ktoś jeszcze inny powiedział wreszcie coś, co nosił w sercu od dawna, dzięki czemu zdobył sobie żonę... Nie zdarzyło się nic wielkiego, jeśli wziąć pod uwagę, że właśnie zostało zniszczone jedno z największych Ciemnych Pasm Szerni.

* * *

Olbrzymia niecka, wytłoczona w tarczy oceanu, była gładka niczym jezioro; wodna fałda przez chwilę majaczyła w oddali i zniknęła za horyzontem, zostawiając dziwnie zapadnięty ocean – o czym jednak załogi dwóch żaglowców nie wiedziały, bo niecka miała takie rozmiary, że można by ją dostrzec najwyżej z lotu ptaka. Po jakimś czasie pod kotwiczącymi okrętami jęły się przesuwać płaskie, bardzo długie fale. Poza tym nie zdarzyło się nic.

Ale wszyscy widzieli Pasma.

Na „Kołysance”, oprócz marynarzy Kitara, były jeszcze resztki załogi Brorroka – wszyscy ci, którzy uniknęli działowych kul, strzał, ognia, a na koniec śmierci w słonej wodzie. Na „Zgniłym Trupie” siedziała własna załoga. Razem blisko ćwierć tysiąca ludzi, podobnych do siebie –

i bardzo różnych zarazem. Ale po upadku zniszczonego Pasma wszyscy czuli to samo: przygnębienie. Było coś przerażającego w tej monumentalnej śmierci... chociaż chyba nie śmierci, bo Szerń była przecież martwa. W tym... końcu.

Niewiarygodne, niebywałe zjawisko, nieoglądane dotąd przez nikogo, pozostawiło po sobie właściwie tylko jedno uczucie – właśnie przygnębienie. Brakło niedowierzania, podziwu, strachu... Szerń zbyt mocno sprzęgnięta była z duszami istot, które obdarzyła świadomością. Wszyscy wiedzieli, że tak jest.

I wszyscy naraz stracili po kawałku duszy.

Natychmiast coś innego weszło na to miejsce, zastępując utracony fragment. Ale pamięć po stracie pozostała. Podobna do odległego wspomnienia o śmierci bliskiej osoby.

Na „Zgniłym Trupie” najszybciej ze wszystkich oprzytomnieli oficerowie. Nie dlatego, że mieli poczucie obowiązku wobec załogi... Coś niepojętego działo się z ich dowódczynią; coś, co się nie wydarzyło nigdy wcześniej.

Ridareta oglądała upadek Pasma tak samo, jak cała załoga. Potem, wstrząśnięta, widziała odległy garb wodny. Garb przesunął się, unosząc ku niebu horyzont, a po jakimś czasie zniknął. Dowódczyni „Trupa” odwróciła się, przeszła kilka kroków i uderzyła w ścianę obok drzwi kajuty. Nim ją pochwycono, tocząc z ust pianę rzuciła się na pokładzie jak ryba wyjęta z wody. Na oczach przerażonych oficerów i marynarzy kłębiło się to wszystko, co utrzymywało ją dotąd przy istnieniu, przy namiastce życia, jaką miała. Wypadały jej całe garście włosów – i natychmiast z niebywałą szybkością odrastały nowe. Twarz stała się twarzą nierozpieszczonej przez życie czterdziestoletniej kobiety, by niezwłocznie odmłodzić, a potem znów się zestarzeć... Te błyskawiczne przemiany, wiotczejąca, to znów napinająca się skóra na dłoniach, policzkach i szyi; pojawiające się pojedyncze siwe włosy, ustępujące zaraz miejsca brązowym kędziorom; migające spod zadartej koszuli rozstępy na brzuchu i liczne brzydkie blizny, natychmiast zastępowane jędrną, gładką skórą; pojawiające się, to znów znikające odciski i zgrubienia na bosych stopach – wszystkie te ataki dojrzałego wieku zderzane z gwałtownymi kontratakami dziewczęcej młodości, były szokujące, a ponadto w jakiś sposób wstrętne. Jednak same drgawki przywodziły na myśl atak choroby, z którą Mevev kiedyś się zetknął, choć nie pamiętał jej nazwy; ale w porę przyszło mu do głowy, że dotknięty taką przypadłością człowiek gotów bezwiednie odgryźć sobie język, podważył więc szczęki kapitany i wetknął jej między zęby owinięty kawałkiem szmaty drewniany trzonek noża; nic lepszego nie miał pod ręką. Trzymano jej ręce, nogi i głowę, bo tłukła nimi o pokład. Próbowwała wygiąć się w łuk – i nagle zamarła w bezruchu. Napięte do granic mięśnie zwiotczały. Mevev był pewien, że umarła.

Ale po chwili dostrzegł słabe poruszenie piersi.

– Ty i ty – powiedział zdyszany, bo siedział na Ridi okrakiem i trzymał najmocniej ze wszystkich.

Wydobył trzonek noża spomiędzy zaciśniętych zębów, wstał i odstąpił na bok. Wskazani majtkowie podnieśli bezwładne ciało i przenieśli przez próg kajuty. Cichy wskazał łóżko. Położono ją. Wydawało się, że na chwilę odzyskała przytomność. Wyszepiała coś; w kącikach ust i na policzku miała zastygłe resztki piany. Mevev pochylił się szybko i zdołał pochwycić kilka słów.

Ridi zachłysnęła się powietrzem; przeszył ją dreszcz i powtórnie straciła świadomość.

Cichy wyprostował się i myślał, zagapiony na ścianę. Nie przeszkadzano mu. Wreszcie pokiwał głową.

– Łódź na wodę. Przywieźcie mi tu Kitara. To jest... poproście go. Może się zgodzi. Ważna sprawa.

Majtkowie wybiegli na pokład.

Cichy usiadł na stołku i wymownie popatrzył na Sayla.

– Gównu – powiedział, bo nic lepszego nie wymyślił.

Od jakiegoś czasu nie pamiętał o bólu posieczonych batem pleców; teraz sobie przypomniał. Skrzywiony, poruszył ramionami. Koszula przyschła do świeżych strupów. Na brzuchu kałały ją cztery czerwone plamki. Otrzymał najśmieszniejszą ranę w życiu: wystrzelona przez łucznika z „Kaszalota” strzała trafiła go w brzuch, ale z boku – i płasko weszła w skórę niczym drzazga. Wbiła się z prawej strony pępka, wyszła w dołku pępkowym; wbiła się z drugiej strony tego dołka i wylazła z lewego boku. Cztery rany od jednej strzały.

– A ty, Sayl, masz czasami ochotę wziąć toto za ręce i nogi, rozhuścić i wyrzucić za burtę?

Drugi oficer siedział na stole. Pogapił się na leżącą, która wyglądała tak kiepsko, jak chyba jeszcze nigdy. Nawet blada i chora po przepiciu prezentowała się lepiej. Znacznie lepiej. Wzruszył ramionami i trochę pokiwał, a trochę pokręcił głową, niby że: „tak, ale...”.

– Kiedyś bardziej. Ale teraz nie.

– Przeszło ci, mówisz? A czemu?

– Bo ciągle to noszę. – Sayl pokazał zieloną chustkę na ramieniu, przewiazaną strzępkim tkaniny. – To ty wymyśliłeś, nie ja. Ja tylko pamiętam, że miałem stryczek na szyi, a ona... księżniczka, która mogła rządzić Agarami i siedzieć teraz w pałacu... Ona klęczała przed tymi starymi pierdzielami z rady miasta. Klęczała i poszła na wygnanie, żebym ja mógł wozić dupę po Bezmiarach. – Sayl mówił wolno, z namysłem. – Ja w ogóle nie wiedziałem, że naprawdę zdarzają się na świecie takie rzeczy. Dlaczego ona to zrobiła? Do dziś nie wiem. Ale szmatę będę nosił i Ridi za burtę nie wyrzucę. I nikomu nie dam wyrzucić.

– Głupi jesteś, chłopie, oj głupi... – powiedział Cichy. – I ja też. Ale wiesz co? Ona jest jeszcze głupsza od nas. Ja bym czegoś takiego nie zrobił. No, może dla brata... Miałem brata; to dopiero był sukinsyn, mówię ci. Dałem mu kiedyś pas, ale taki... wiesz, naprawdę kawał pasa. Jeszcze dzisiaj pamiętam, jak mi się podobał. Ściągnąłem z jakiegoś kramu. A wiesz, dlaczego

mu dałem? Bo mnie, gówniarz, poprosił!... – Mevev zaśmiał się i klepnął w uda. – No i tak to było.

Zamilkł, jakby się nagle zawstydził, że bez przerwy gada i gada. Ale coś go uwierało i naprawdę chciał gadać. Jak rzadko.

– Spadło Pasma Szerni – powiedział od rzeczy Sayl.

Mevev popatrzył nań i zadarł podbródek: „hę?”.

– Kiedyś już się działy takie rzeczy – wytłumaczył tamten. – Bardzo dawno. Podobno Szerń toczyła wojnę z Alerem. No, tym paskudztwem za północną granicą Armektu. Aler to taka siła jak Szerń, tylko inna. Obca. Nie nasza. Przyplłynęła skądś nad Bezmiarami i chciała odebrać Szerer naszej Szerni. Szerń, ta nasza, prawdziwa, wygrała, a z Aleru został tylko kawałek. Ten za północną granicą. Dlatego tamtą ziemię też nazwano Alerem. Od tego, co nad nią wisi.

– Skąd to wszystko wiesz?

– No... gdzieś usłyszałem. Albo przeczytałem.

Sayl był dziwny. Czytał nie tylko potrzebne rzeczy, takie jak rejestr statków. Kiedyś złupili kogę, na której był kufer ze zwojami, a na samym jego dnie kilka solidnych ksiąg. I Sayl to wszystko przeczytał, zanim sprzedał. Jakies wymyślone historie, które wcale się nie zdarzyły... Mevev też umiał czytać, kiepsko bo kiepsko, ale zawsze. To była dobra i potrzebna rzecz, umieć czytać. Przydawała się. Ale takie historie, które się nie zdarzyły?... Można posłuchać różnych bajek w knajpie przy piwie, ale... czytać? Tyle się natyrać dla historii, które się nie zdarzyły?

– To znaczy, że teraz Szerń i Aler znowu zaczęły wojnę? A jak taka wojna wygląda?

– Nie wiem. Nie wiem, jak wygląda, i nie wiem, czy to Aler. Może coś nowego przyplłynęło nad Bezmiarami? Tak tylko powiedziałem. Kiedyś, gdy Pasma spadały na ziemię, zniszczyły cały Grombelard.

– No, widziałem, co się dzieje. Kiedy spada Pasma. Jakoś... źle mi z tym.

– Mhm. Wiem. Mnie też.

Zadumali się obaj.

Niepodobna było pozbyć się wspomnienia srebrzystej sztaby, prostej i wygiętej zarazem, która tak ciężko i powoli, bezdźwięcznie, osuwała się w dół i w dół... A za nią, jak przylepione, ciągnęły się kłaki chmur.

– I to już teraz tak będzie? Będą spadać Pasma? To ja biorę największą mapę i patrzę, gdzie jest sam środek Szereru. I tam będę siedział. Widziałeś, co się działo na morzu?

Pytanie było z rodzaju tych, na które odpowiadać nie trzeba, więc Sayl nie odpowiedział.

Kitar przyplłynął dopiero pod wieczór, bo miał robotę na łajbie. Brakowało miejsca dla setki ludzi; czterdziestu to było w sam raz. Przyplłynął zmęczony i wściekły. Ale zobaczył wymizerowaną kapitanę „Trupa” i trochę mu przeszło. Spojrzał na Cichego.

- A tej co znowu?
- Widzisz.
- Widzę, ale nie wiem, co jej jest. Pijana? Ranna, chora?
- Chora, nieprzytomna. Mam sprawę.

Kitar usiadł.

- No to daj coś do picia.
- Nie mam. No, nie mam, mówię. Wszystko poszło za burtę.
- Bo co?
- Nic.

Kitar westchnął. Uważniej przyjrzał się Cichemu, którego już kiedyś widział, ale słabo pamiętał. Zresztą – widział, nie widział... Teraz patrzył na kogoś innego. Na dowódcę, który dał radę Brorrokowi.

– Ty masz sprawę, a ja mam na okręcie trzy kliny piechoty, czyli ładną kolumnę... A wiesz co? Obóz tylko na jeden klin.

– Daj mi ich. No, daj. Była bitwa, wyłowiliś ich. Teraz to są tylko sieroty-marynarze. Bez własnego pokładu pod nogami. Jak który będzie chciał, to może zostać na „Trupie”. Resztę po cichu wysadzę na Wielkiej. Gorzałki nie mam, ale zapasów pełną ładownię. Woda też jeszcze jest. Do Agarów wystarczy.

– Który z nich ci przyjdzie na „Trupa”? Ich kapitan postawił nogę na pokładzie i teraz rozmawia z rybami.

– A ty co? Siedzisz tu, tak?

– Ja, braciszku, urodziłem się w Armekcie – rzekł Kitar. – Jak dla mnie, to twoja łajba może się nazywać: „Zgniły Trup Który Przynosi Kitarowi Codziennie Cztery Nieszczęścia”. Dalej będę tu siedział, bo tak wierzę w podobne pierdoły. A w to, że Piękna Ridi przynosi nieszczęście, uwierzę, jak mi przy niej nie stanie.

– Brorrok by ci powiedział co innego.

– O szczęściu czy o tym, jak staje? Brorrokowi już przy nikim nie stawał. A co do szczęścia, Brorrok sto lat pracował na uczciwą śmierć w morskiej bitwie. Przeliczył się, ugryzł zbyt twardą skórę i połamał zęby. To tyle.

– Mielicie eskadrę.

– Rano tak; przed południem już nie. Miałeś powód, więc go utopiłeś. Lubilem starego i mi żał, ale za burtę z powodu jego kręactw nie wyskoczę.

Kitar wyłowił z wody nie tylko załogę „Kaszalota”, ale i Fokę Ridi, która ani myślała upiec się przy trupie Brorroka. Wiedział już, co się wydarzyło i dlaczego.

– Może wśród tych chłopaków od Brorroka znajdą się jacyś, co rodzili się w Armekcie tak jak ty – powiedział Mevev. – W każdym razie, możesz im powiedzieć. Kto chce, to ma u mnie

miejsce. Jak przyjdzie tylko pięciu, to o tyle będziesz ich miał mniej. Mam sprawę.

– No, czekam.

– Źle z nią. – Cichy wskazał kapitanę ruchem głowy. – Może jej się poprawi, może nie.

Powiedziała, że chce na Agary.

– Co jej się stało właściwie?

– Widziałeś to co wszyscy. Najpierw spadła Szerń. Potem pokazała się fala, a ta wyfajtnęła się. Ona... – Cichy urwał, bo nie chciał palnąć czegoś głupiego. Pokiwał głową i skończył: – Ona i Szerń mają coś do siebie. Pewnie słyszałeś, co się o niej gada, a jak nie, to nie. Spadło Pasma, a ona... no. Jak jej się polepszy, to ją spytaj.

Kitar patrzył wyczekująco.

– Weź ją na Agary – powiedział Cichy. – „Zgnilek” nie może zawijać do Aheli, a na dziko, nocą, to ja mogę wysadzić na brzeg paru chłopca. I to po wschodniej stronie, bo od zachodu Wielka jest mocno pilnowana. – Pogapił się na Fokę i pokiwał głową. – Nie wiem, co z nią jest, i nie wiem, czy w ogóle zdążę ją dowieźć. Pewnie jej się poprawi, ale może nie... Tego, co było dzisiaj, to jeszcze nigdy u niej nie widziałem.

– Mam ją zawieźć do Aheli?

– A gdzie się wybieraleś?

– Do Aheli.

– No.

– Ale z ładunkiem to będzie kosztowało.

– Powiedz ile. Jak mi nie wystarczy, to Foka dołoży ci resztę.

– Chyba że się przekręci.

Cichy popatrzył na ścianę. Podumał, pokiwał głową.

– Powiedziałem ci, jaką mam sprawę. To teraz ty mów „tak” albo „nie”. Bo jak nie, to ja nie mam czasu. Dla mnie na Agary jest dwa razy dalej, jak dla ciebie.

– No dobra, braciszku. Wezmę ją.

– A na miejscu najpierw idź do Raladana. On wymyśli, jak ją przenieść albo przeprowadzić do pałacu. Nikt nie może jej tam widzieć, pamiętaj.

– Tylko że Raladan... hm... Na pewno wie już, coście zostawili na Małej.

– To niech wie. Ja też coś wiem. Dla Raladana to Ridi może spalić nie tylko Małą, ale i Wielką Agarę. Powiedziała mi, że chce się z nim widzieć. Zawieź ją. Nawet gdybyś nic za to nie wziął, to i tak zrobisz dobry interes. Nie mam racji? Z Raladanem warto żyć w zgodzie. Co dopiero mieć u niego dług.

13.

Ku zaskoczeniu dowódców obu okrętów aż siedmiu chłopców Brorroka bez zastanowienia przyjęło propozycję Cichego, a po namyśle i z niejakim ociąganiem w ich ślady poszło jeszcze czterech. Ale było tak, jak powiedział Mevev: na pokładzie „Kołysanki” siedziały sieroty po dobrym żaglowcu i sławnym dowódcy – prości ludzie, którzy potrafili obsługiwać okręt, bić się i nic więcej. Niektórzy uwielbiali swego kapitana, ale inni równie dobrze mogli w kółko pracować koszule i szorować pokład u Brorroka, jak maszerować w nogę pod gwizdek Kitara, albo zbierać baty u kogoś innego. Okręt Ślepej Ridi nazywał się paskudnie, to prawda. Ale widać nie ściągał nieszczęścia na własną załogę, bo gdyby tak było, to nie „Kaszalot” leżałby teraz na dnie... Tylko głupi mógł przeczyć aż tak oczywistej prawdzie. Pokład pod nogami oznaczał pełny brzuch, od czasu do czasu pełny trzosik, no i grupę-rodzinę, do której się należało. A tymczasem w Aheli całymi miesiącami mogli wycierać tyłkami błoto z ulic, głodni, przeganiani z knajp przez oberżystów (bo na co komu marynarz bez miedziaka?), codziennie łąząc do portu i próbując się zaciągnąć na jakiś żaglowiec. I na koniec trafić znacznie gorzej, niż mogło być pod komendą Ślepej Foki Ridi, u której na pokładzie, jak mówiono, były nawet dziewczynki do zabawy. Darmo!

Kitar palnął w morze z jednej ze swoich pukawek, Mevev kazał dać odpowiedź z rejteradowej bombardy – i okręty rozstały się.

Zamożny kupiec, po którym Kitar odziedziczył „Kołysankę”, darzył widać jej dowódcę szczególnymi względami, bo w długiej i płaskiej nadbudówce rufowej nakazał wydzielić dlań osobne pomieszczenie, co zdarzało się bardzo rzadko; zwykle zarówno kapitan, jak i jego oficerowie, a na koniec zabierani w rejs pasażerowie, dzielili wspólne pomieszczenie, do którego najwyżej wstawiano dodatkowe, zbite na poczekaniu prycze – i tyle. Kitar mógłby zabrać na spacer po morzu samą cesarzową – tak przynajmniej powiadał. Rzeczywiście; z wojskową akuratnością urządził sobie naprawdę wygodną, schludną kajutkę, gdzie wszystko było na swoim miejscu, liczne latarnie rozjaśniały mrok, a pod nogami pysznił się dartański kobierzec wart tyle, że nie chciał tam pasować w ogóle do niczego. Ozdobiwszy dodatkowo ściany orężem (jakże Armektańczyk mógłby obyć się bez tego?...), pośród którego trafiały się naprawdę cenne okazy, dowódca „Kołysanki” umieścił jeszcze na poczesnym miejscu wykutą z blachy armektańską gwiazdę – i mógł być zadowolony.

Cesarzowa Wiecznego Cesarstwa nie wybrała się na spacer po morzu; do podziwiania kapitańskiej komnaty Kitara musiała wystarczyć agarska księżniczka. Bo zakwaterował ją u siebie.

I niemal do samego końca rejsu nie miał z tego żadnego pożytku. Ridi nie była towarzystwem. Była żywą rzeczą, czasem niby przytomną, niemniej tępo spoglądającą w sufit

i gotową bez końca składać odpowiedź na najprostsze pytanie. Najczęściej jednak spała, bo to nie było omdlenie. Dawała się obudzić, tyle tylko że... Patrzyła tępo i bez końca składała odpowiedź na pytanie, które wystarczyło skwitować „tak” lub „nie”.

Podczas długiego rejsu przy dobrej pogodzie Kitar miał niewiele roboty i nudził się na potęgę. Poupychał jakoś chłopców Brorroka, niektórych w dziobówce, innych w wydzielonej części ładowni (w każdym razie z daleka od beczulek). Doglądał wszystkiego, grał w kości ze swoimi oficerami, uproszony przez marynarzy parę razy zagrał na lutni, ku podziwowi tych od Brorroka (miał dobre ucho i grać umiał naprawdę przyzwoicie, a znał wiele tęsknych armektańskich pieśni, nuconych przez żołnierzy na biwakach). Wszystko to zajęło mu trzy razy mniej czasu niż nudzenie się.

A nudził się w swojej kajucie.

Na innym okręcie podśmiewano by się ze „starego”, że chyba ukradkiem podmacuje chorą pasażerkę... Ale nie u Kitara. Nikt tu nigdy nie uderzył marynarza, bo mir i dyscyplina były takie, jak w armektańskim wojsku, gdzie oficerowie nie śmieli poniżać podkomendnych. Ale ci niebici, nakarmieni, przyzwoicie opłacani marynarze, też musieli znać swoje miejsce. Każdy z nich mógł w te pędy wylecieć z „Kołysanki”, a za ciężkie przewinienie zawisnąć. Kapitan miał więc prawo wyczyniać cokolwiek, choćby łązić po pokładzie z dyndającym fajfusem i piórem rybitwy w zadku; nikt by się nawet nie obejrzał, a co dopiero uśmiechnął.

Kitar zawsze nudził się u siebie, jako że kapitańskiej nudy podkomendny oglądać nie powinien. Niby wszyscy wiedzieli, że zamknięty w swoich czterech ścianach dowódca ziewa od ucha do ucha i drapie się pod pachą, ale każdy zapytany oficer albo marynarz natychmiast by odpowiedział: „Kapitan? Jest u siebie. Na pewno wykreśla kurs”.

Jednak Kitar kursu nie wykreślał.

Piękną Ridi poznał bardzo dawno, tak jak poznawali ją inni kapitanowie. Na Agarach. Pokazano mu księżniczkę; popatrzył, cmoknął, zaświstał, unióśł brwi – i poszedł. Już kilka razy przeczekiwał w Aheli porę burz; jesienią zbierały się tam żaglowce ze wszystkich mórz Szereru, bo nareszcie miały macierzystą przystań, sto razy lepszą od dzikich kotwicowisk lub niegościnnych portów wyspiarskich, gdzie oczy cesarskich żołnierzy i urzędników trzeba było zasypywać kruszcem. Ale choć należał do grona najznamienitszych dowódców spod znaku czarnego żagla, do Foki szczęścia nie miał. Nie znosiła księżnej Alidy, więc na zabawach wydawanych przez nią dla żeglarskiej starszyny nie bywała. Po mieście włóczyła się zawsze z jakimiś smętnymi fagasami, których łapska najwyraźniej przyrośnięte były do jej tyłka; fagasy zmieniały się często, ale obyczaj Ridi – nie. Hulanki z udziałem prostych żeglarzy, w których lubowała się księżniczka – to z kolei było nie dla Kitara. Mógł przepić do swoich chłopaków niczym setnik legii do żołnierzy, ale uchlać się należycie potrafił tylko w gronie innych kapitanów i okrętowych szarż. Skutkiem tego prawie nie znał Ślepej Foki Ridi i pierwszą dłuższą

rozmowę w życiu przeprowadził z nią dopiero co: po tym, jak wdrapała się na pokład ociekając wodą – jeden z wielu topielców Brorroka. Topielec ów musiał wrzasnąć, by dowódca „Kołysanki” zauważył, iż jest to topielec szczególny.

Porozmawiali wtedy o Brorroku.

Kitar siedział w kajucie i się nudził. Dla chorej Ridi kazał zrobić wyrko, a teraz sam na nim spał. Księżniczkę przeniósł na swoje własne łóżko.

Nie wyglądała już tak źle, jak na samym początku. Jej twarz miała normalną barwę, usta nie były sine, na czole przestał się perlić zimny pot. Oddychała równo. Po prostu spała. Tyle tylko że nie bardzo dawała się dobudzić.

Nieprawdopodobnie wręcz bujne były włosy tej dziewczyny. Nieprawdopodobnie. Zmierzwione na poduszce, wokół ramion... Wszędzie było ich pełno. Ciemnobrązowe, kędzierzawe, gęste.

– Aleś ty ładna – mruknął, kiwając się lekko na krześle. – Niech mnie zatłuką, jak powiedziałby stary. Co ja bym dał, żeby dorwać tego, który ci wybił oko. Okaleczyć taką dziewczynę. Mówię ci, braciszku...

Urwał.

– No nie. Chyba jednak: siostrzyczko – dokończył.

Sunący po morzu okręt sennie poskrzypywał więzaniem. Kitar pokiwał się na krześle, pobębnił palcami w kolano, podlubał w ucho i w nosie. Podrzemał. Przecknął się, ziewnął, popatrzył na Ridi, która w międzyczasie nie zbrzydła. Wziął lutnię i cichutko bawił się podwójnymi strunami.

Cienie dusz z pajęczyny rozplyną się w mroku, gdy Szerń postanowi o końcu.

Lecz inaczej kontury istnień stałą rzeźbionych; te na zawsze utrwala się w słońcu.

I na zew Niepojętej Arilory powstaną rycerze mgłą śmierci zdławieni,

By zaświadczyć o czynach, co tuniką chwały okryły kolczugę ziemi.

Pośród legend o czynach z diamentu,

żłobiących

gładź pustą zwierciadeł historii

Zabrzmią...

Urwał i patrzył na Ridi.

Ridi patrzyła na niego.

– Ładne – powiedziała cicho. – O czym to?...

Kitar śpiewał po armektańsku.

Odłożył lutnię na stół.

– O żołnierzach Niepojętej. O tych, którzy nie umierają... bo giną. Bardzo stara żołnierska pieśń. Śpiewali ją łucznicy z Sar Soa. Najlepsi łucznicy świata. Poszli przeciw wszystkim innym armektańskim księstwom, które się zjednoczyły przeciw nim.

Myślała.

– I zwyciężyli?...

– Przegrali. Księstwo Sar Soa przyłączono do innych i powstało Królestwo Armektu. Ale pobitych łuczników Sar Soa sławi się do dziś. Nie umarła ani jedna z ich pieśni.

– Ta jest smutna.

– Nie. Tylko łagodna i spokojna. Zupełnie inna niż to, co wrykują żeglarze.

– O czym jest? – zapytała jeszcze raz.

– O tym, że po śmierci wszyscy roztopią się w Szerni, ale nie żołnierze Niepojętej. Bo Pani Wojna jest silniejsza od Szerni i ci, co jej służyli, wrócą pod jej rozkazy bić się znowu. Ale już nie między sobą. Ramię przy ramieniu staną naprzeciw tchórzy. I będą ich zabijać gołymi rękami, bo szczury nie są godne oręża.

– Wierzysz w to?...

– Nie... Nikt w to nie wierzy. To tylko takie żołnierskie marzenie. Ale dla takich marzeń... armektańskich marzeń...

Nie dokończył.

– Co: „dla armektańskich marzeń”? Powiedz. Ja też trochę jestem Armektanką. Półkrwi. Ale nic nie wiem o kraju ojca.

– Prawda... No tak, prawda. Kapitan K.D.Rapis był przecież Armektańczykiem – powiedział zdziwiony Kitar. – Zapomniałem. Znałem twojego ojca, pomagałem mu zdobyć Barirę. To był czyn. Co z tobą, Piękna Ridi? Obudziłaś się wreszcie na dobre?

– Nie wiem. Płyniemy do Aheli?

– Mhm.

– Pamiętam, że... chyba prosiłam Meveva... I zabrałeś mnie?

– Mhm.

– I daleko mamy jeszcze?

– Jeśli wiatr się nie zmieni, to trzy dni.

Odetchnęła.

– To dobrze. Muszę...

Usiadła, odgarniając włosy do tyłu. Upewniła się dotykiem, czy ma opaskę na wybitym oku. Poprawiła ją.

– Nie chce ci się jeść? Ani pić? Wyglądasz jakbyś całkiem wyzdrowiała.

– To dlatego że nie byłam chora. Jeść i pić?... Tak, ale później. Lustro! – powiedziała. – Masz tu coś takiego? Muszę się zobaczyć... albo nie. Nie! – mówiła, wygrzebując się z pościeli. –

Najpierw mi powiedz, jak wyglądam. Na ile lat? Trzydzieści? czterdzieści? pięćdziesiąt?...

Kitar nie był przyzwyczajony do sposobu bycia Pięknej Ridi. Odchylony wraz z krzesłem, które stało na dwóch nogach, opierał się karkiem o ścianę.

– Mówisz, że jesteś już zdrowa, yyy... siostrzyczko? – zapytał z powątpiewaniem.

– Tak, ale nie wiem, czy ładna... Ładna jestem? – zapytała.

Zadarła koszulę (Kitar nie był aż tak dobrą niańką, by ściągnąć z niej odzienie do snu) i lękliwie spojrzała na brzuch. Był gładki, bez znamion po ciąży, bez brzydkich szram po zranieniach. Puściła skraj koszuli, oburącz chwytając się za piersi. Twarde. Przeciągnęła językiem po zębach. Wszystkie. Szybko dotknęła policzków.

– No, mów mi: ładna jestem czy nie? Gdzie masz to lustro?

– Chyba nie mam w ogóle... Po co mi?

Aż jęknęła.

– No to naczynie z wodą, wypolerowane żelazo albo coś! – zawołała rozzłoszczona nie na żarty. – Kpiny sobie ze mnie robisz czy jak? Ładna jestem czy nie?! – Omal nie rzuciła się na niego z pazurami.

– Ładna. Nawet ci to powiedziałem, kiedy spałaś... – odrzekł. – Ale poza tym, siostrzyczko, chyba coś... nie tego.

– Ale... taka, jak kiedyś?

– No... chyba tak. W każdym razie ładniejsza niż wtedy, kiedy wyciągnąłem cię z wody. Nie taka osmyczona.

Usiadła na łóżku, przygryzła usta i nagle parsknęła śmiechem.

– Wygrałam z suką – powiedziała. – No, Riolatko? I kto znowu jest górą? Riolatka czy Ridaretka?

– Rio...

– Nie mów! – zawołała ostrzegawczo. – Suka lubi żarty! Cała Szerń w ogóle lubi żarty. Tamenath jakoś inaczej to nazywał, ale... no, to właśnie są żarty. Takie niepoważne nie wiadomo co.

Patrzył, rozważając, czy Ridi naprawdę oszalała. Ale okazało się, że nie.

– Rubin Córki Błyskawic. Imię Riola to skrót od Riolata. Riolata, Królowa Rubinów. Ciemny Porzucony Przedmiot, który jest symbolem dwóch odrzuconych Pasm Szerni – powiedziała dobitnie, ale trochę tak, jakby klepała wyuczoną formułkę. – Słuchasz mnie?

– Słucham. I to jest to twoje przekłete imię, Piękna Ridi?

– Nie moje i nie przekłete. Jeśli nie wiesz, co oznacza, ma moc Formuły, tak przynajmniej mówił Tamenath. Odwrotnie niż zazwyczaj, i dlatego to jest... taka kpina, żart. Nie wiadomo dlaczego coś tak potężnego jak Szerń robi różne... no, głupstewka. Tamenath mówił, że na przykład dziewczyny urodzone w Alerze, tam gdzie nie ma naszej Szerni, mają na włosach znak

Aleru. Nie wiadomo dlaczego. To tylko taka... zabawa. Aż dziwne, że takie wielkie moce, które stwarzają całe światy, robią różne śmieszne rzeczy po nic.

Przyglądał się jej z namysłem.

– Ale teraz już wiesz – zakończyła – co znaczy Riolata, i teraz nawet dziesięć razy dziennie możesz mówić Riolata. Jednak lepiej mów Ridaretka.

Z pełnym satysfakcji westchnieniem oparła się o ścianę. Oburącz uniosła nad głowę kłęby włosów i przepuściła między palcami. Przeciągnęła się, pokazując pępek.

– Teraz chcę jeść i pić. Masz wino? Najlepiej dartańskie czerwone, z Seyenu. I daj mi naczynie z wodą, bo muszę się przejrzeć. A gdzie są wszystkie moje klejnoty? – przestraszyła się. – Ten sukinsyn Cichy... Dał ci jakieś suknie i dodatki dla mnie?

Kitar nareszcie zrozumiał, dlaczego razem z Ridi przywędrował na pokład „Kołysanki” wielki kufer. Nawet dotąd go nie otworzył.

Ten Cichy to był bardzo mądry ktoś.

– Chyba dał.

– O, i to jest pierwszy oficer! – powiedziała z dumą. – A twój? Nie masz nawet lustra na pokładzie. Wyrzuc go.

Kapitan Kitar już się nie nudził.

– Ale szerokie masz łóżko – powiedziała, jakoś tak mimochodem, chyba bezwiednie opierając rękę na brzuchu trochę poniżej pępka i lekko przebierając palcami. – A gdybym była ruda? Jak myślisz? Co ty tak nic nie mówisz?! Baw się ze mną, rozmawiaj, noo! Wszyscy tu są tacy ponurzy? I przestań mnie wreszcie głodzić.

Kitar na pokładzie własnego okrętu nigdy nikomu nie nosił jedzenia. Teraz poszedł i przyniósł.

Ridi gadała bez przerwy przez trzy dni, biegała po całej „Kołysance”, a nocami spała jak zabita. Kitar przetrzymał te trzy dni i dwie noce, ale widział, że gdyby podróż miała potrwać dłużej, to już nie pozabierałby załogi i okrętu do kupy. Jednooka piękność wystroiła się w czarną suknię o armektańskim kroju, bez rękawów i pleców, ale za to porozcinaną ze wszystkich stron i nie było takiego kąta na żaglowcu, z którego nie dolatywałyby brzęk jej bransolet oraz wpiętych lub wszytych w jakieś tajemnicze miejsce – bo niewidocznych – dzwoneczków. Wprowadziła obyczaj na „Kołysance” nieznaną: przegadywała się z cieślą i kucharzem; przegrała perłowy naszyjnik do chłopaków z obsługi dział, bo żadne od jej pisku samo nie wypaliło, chociaż wszyscy niemal ogłuchli; zabawnie dokuczała majtkom z pokładowej wachty; wieczorem tańczyła na pokładzie, tak jak nikt nigdy nie tańczył – gibka i zwinna aż niewiarygodnie, roześmiana, wirująca z rozkrzyżowanymi, to znów wzniesionymi nad głowę ramionami. Kitar nie domyślał się nawet, że ma w załodze aż dwóch świetnych tancerzy – Foka to odkryła w jeden wieczór. Rozradowane jak dzieci dryblaszy – jeden szczerbol; drugi ze złamanym nosem – pod

rękę z tańczącą w środku Ridi misternie przeplatały krok w lewo i prawo, trzaskały o pokład podeszwami wydobytych skądś drewnianych chodaków, pokazując mało znane, niezeglarskie tańce garyjskie. Obaj pochodzili z Harenów, gór będących kręgosłupem wyspy. Księżniczka gotowa była przetańczyć całą noc. Ale dała też się wyzwąć do walki na niby – obojętnie uchechłała pół spódnicy swojej czarnej sukni, po czym, z mieczem w lewej, a półmieczem w prawej ręce, wychwyciła i złamała oręż dowódcy Kitarowych gwardzistów – i od razu cmoknęła go w policzek, jakby przepraszając... W trzy doby potłukła – niczym gliniane garnki – wszystkie ponure mity narosłe wokół niej; kochali się w Ślepej Ridi już nawet chłopcy od Brorroka, niektórzy wciąż skomlący z bólu od poparzeń, poranieni, a potem opici morską wodą... Wielu starych majtków pluło sobie w brody, zupełnie jawnie biadając nad głupotą, która kazała im odrzucić zaproszenie do załogi „Trupa”. Kitar nie miał pojęcia co z tym wszystkim zrobić.

A najgorsze, że sam nie był bez winy, bo i jemu zawróciła w głowie.

I jednego tylko nie rozumiał: gdzie w tym wesołym i pogodnym dzieciaku mieszka przyzwolenie dla wyrznięcia wszystkich mieszkańców rybackiej wyspy.

Dowódca „Kołysanki” nie był okrutnikiem. Zabijał dla zysku, nie z potrzeby serca. Ten, kto niczego nie miał, mógł się czuć przy nim bezpieczny. Ale przy Ridi chyba nie. Przyglądał się tej dziewczynie i myślał; myślał i znów się przyglądał. Najpierw obrachował, że nie jest dziewczyną, a tym bardziej „wesołym i pogodnym dzieckiem”... Trudno było o tym pamiętać. Niemniej, jakkolwiek liczył, wychodziło mu, że Piękna Ridi ma jakieś trzydzieści pięć lat. Wyglądała najwyżej na dwadzieścia.

Ostatniej nocy, już kotwicząc na redzie ahelskiego portu, dowódca „Kołysanki” musiał sobie powiedzieć, że boi się wrócić do własnej kajuty, bo zupełnie nie wie, jak trzeba rozmawiać i postępować z tym niezwykłym stworzeniem, które nieopatrznie – ledwie żywe, pogrążone w odrętwieniu – zgodził się przyjąć na pokład.

Ridi siedziała z podwiniętymi nogami na jego fotelu i przeglądała się w małym zwierciadku, które skądś dla niej wytrzasnął jeden z marynarzy. Kitar nie był zdziwiony, bo już wiedział, że dla Ridi chłopcy wynaleźliby w klamotach nawet małą kamienicę albo wiatrak.

– Ale się wytańczyłam... – powiedziała trochę niewyraźnie, bo akurat robiła do lustra różne miny. – A ty? Tak ładnie potrafisz grać i śpiewać. Dlaczego nie tańczysz?

– Bo myślę, jak cię jutro dostarczyć do twierdzy – wykręcił się od odpowiedzi.

– Nijak.

– Hm?

– Nie wybieram się do twierdzy – oznajmiła, po czym uniosła górną wargę i lekko zadarła głowę, żeby w zwierciadku obejrzyć przednie zęby.

– Chciałaś widzieć się z Raładanem.

– Tralala. Już nie chcę. Nic mnie nie obchodzi ta świnia.

Kitar stracił cierpliwość.

– Posłuchaj no mnie, siostrzyczko. Prosiłaś o coś Cichego, a on mnie zaprosił na pokład, pokazał, co leży na koi, i zawarliśmy umowę. Jutro schodzisz na ląd, a jak nie, to z mojego pokładu i tak zejdziesz.

Odłożyła lusterko.

– To znaczy, że mnie wyrzucasz?

– Nie. Dowozę, gdzie trzeba, bo taka była umowa.

– Przeszkadzam ci?

– Trochę. To jest pokład wojennego okrętu, nie karczma. Rób u siebie, co ci się podoba. Ale ja nie będę tańczył dla swojej załogi ani mizdrzył się do bosmana, żeby zgodził się mnie posłuchać.

– Aaa! – rzekła ze zrozumieniem. – Zabrałam ci załogę.

– Nie, bo ci jej nie dam.

– Sama sobie ją wezmę, jeśli będę chciała – oświadczyła, wstając z fotela i zmierzając do łóżka.

Grzmotnęła plecami o dartański kobierzec, aż deski pod spodem jęknęły. Kitar podciął jej nogi kopniakiem, który każdemu zadarłby kopyta aż pod sufit. Przygniół szczękę kolanem, obracając głowę policzkiem do podłogi. To na pewno nie były żarty. Na skroni czuła zimny, kłujący dotyk żelaza.

– Puszczaj swoje ognie, Piękna Ridi, a ja się oprę na tym, co właśnie trzymam w rękach. Podobno nie można cię zabić. Przedziurawię łeb i zobaczymy, co jest w środku.

Wargi z lewej strony miała zmiażdżone o zęby. W ustach pełno krwi z rozciętego od środka policzka. Powoli sięgnęła ręką i dotknęła gniotącego twarz kolana. Pchnęła lekko...

Nierozkazująco.

Wstał.

– Jestem dowódcą tego żaglowca, więc bądź grzeczna.

Obróciła twarz do góry, tak że mogła go wreszcie zobaczyć.

– A teraz mogę cię zabić – powiedziała.

Nim skończyła, obrócił się na pięcie i dostała takiego kopniaka, że omal nie odpadła jej głowa. Na szczęście znów miała kolano miażdżące wargi o zęby, które ledwie trzymały się w dziąśle. Na skroni poczuła znajomy ostry dotyk.

– Zabijaj.

Bardzo chciała, ale nie mogła. Bo zdążyłby całym ciężarem oprzeć się na nożu. A to mogło zboleć bardziej niż dziesięć kopniaków w twarz. Nie chciała sprawdzać, co ma w głowie. Tego jednego nigdy nie sprawdzała.

W głosie Kitara niewiele było emocji:

– Kiedy chcesz zabijać, to zabijaj. A jak nie chcesz, to nie strzep języka – pouczył. – Daję ci trzecią szansę, siostrzyczko, i ta będzie ostatnia. Zabijaj albo milcz, bo jak powiesz słowo, to ja zabiję ciebie. Słuchasz mnie? Zabiję. Dotąd nie chciałem, więc gadałem. Ale teraz już nie powiem ani słowa.

Puścił ją po raz drugi.

I po raz drugi popatrzyła nań. Bardzo, bardzo ostrożnie i powoli. Miała obtarte, rozcięte w kilku miejscach i zakrwawione usta, do których przylepił się pukiel włosów.

Przyglądał się jej z wyżyn swego wzrostu – a nie był małym mężczyzną.

Nie powiedziała ani słowa. I nie zabiła go.

Wbił nóż w ścianę przy drzwiach, bo bardzo lubił, kiedy wszystko było na swoim miejscu..

– Wstawaj, Piękna Ridi. No już, podnieś się.

Pokręciła głową, że nie.

– Możesz już mówić, jeśli chcesz. Byle tylko do rzeczy.

Pokręciła głową, że nie.

– Coś ci... zrobiłem?... – zapytał.

Pokręciła głową, że nie. Nieruchomo leżała na plecach. Wolniutko odsunęła rękę od tułowia, kładąc dłonie płasko na kobiercu.

Całował ją delikatnie, bo popękane wargi drżały z bólu. Smakowała lekkim oddechem, rozrzedzoną krwią i włosami, których kosmyk dostał się do ust. Z najbliższej odległości widział długie rzęsy, które zgasiły spojrzenie. Mięciutko, samym koniuszkiem języka, z psim oddaniem polizła mu policzek, tuż przy kąciku ust. Obejmowała go za szyję i plecy. Niepewnie i trochę nieśmiało, czego nie oczekiwał. W pewnej chwili zauważył, że spod zamkniętej powieki potoczyła się ku skroni drobna łza.

Pocałował tę łzę.

Ostrożnie wziął dziewczynę na ręce – bo wszystko jedno, ile tak naprawdę miała lat, była przecież dziewczyną – i położył na łóżku. Znalazł trochę wody i czystą szmatkę. Delikatnie opatrzył porozcinane wargi, lekkimi muśnięciami zmywając krew. Szczypało i bolało; znów zobaczył małą łezkę – i znowu ją pocałował.

Dowódca „Kołysanki” przeżył aż czterdzieści dwa lata, zanim się dowiedział, że miał o czymś fałszywe pojęcie.

* * *

Raladana nie było, pojechał w jakiejś sprawie do Arby i miał wrócić dopiero nazajutrz. Kitar zmartwił się i ucieszył zarazem; Ridareta tylko ucieszyła.

– Nie ciesz się – powiedział. – Tak czy owak, na „Kołysance” nie zostaniesz ani chwili dłużej.

– Masz mnie dosyć?

– Jak zarazy.

Posmutniała. Naprawdę szczerze. Ujął ją za włosy po obu stronach głowy.

– Tutaj jest jeden kapitan i tak ma zostać, Rido. Mamy umowę, tak?

– Mhm.

– No to zbieraj się.

Jakie przebranie wchodziło w rachubę dla jednookiej kobiety, której twarz znał każdy mieszkaniec Aheli? Kitar długo myślał, ale niczego nie wymyślił. Nawet w środku nocy musieliby ją rozpoznać choćby wartownicy.

Wpakowano Ridi do skrzyni i zaniesiono jako dar dla księcia.

Dowodzący garnizonem twierdzy oficer, wyjątkowo tępy żołdak-służbista, nie potrafił podjąć decyzji, czy wolno wnieść do pałacu wielką pakę, o zawartości której nic nie wiedział. Do Kitora wyszła pierwsza niewolnica domu, bardzo ładna (choć nieprzesadnie już młodzianka) perełka o imieniu Lasena. Armekańczyk odwołał ją na bok i wyjawiał bez ogródek, o co chodzi. Nie był prostakiem, któremu się wydaje, że niewolnik to coś w rodzaju rozumnego psa. Pies stał o wiele wyżej; był zwierzęciem, podczas gdy niewolnik zaledwie rozumnym przedmiotem. Niemniej przedmiotem wyjątkowym, bo jeśli książę Raladan powierzył takiemu przedmiotowi zarządzanie domem, to znaczyło, że przemienił go w swoje uszy, usta, ręce i nogi, a w środku tego wszystkiego działał jego własny, Raladana, rozum. Cokolwiek zrobiła niewolnica reprezentująca właściciela, szło na jego rachunek. Mógł ją bez żadnej przyczyny upiec żywcem, pokroić, a resztki wrzucić do koryta dla świń – ale musiał odpowiadać za wszystko, co zrobiła.

Działało to jednak w dwie strony. Kitar rozmówił się z Laseną dokładnie tak, jak rozmówiłby się Raladanem, perełka zaś ważyła każdą odpowiedź, bo najpierw trzy razy pomyślała, co powiedziała jej pan. Jej własne uczucia i chęci nie miały najmniejszego znaczenia.

– Dobrze, wasza godność, każę wskazać drogę do pokoi jej książęcej wysokości. Wypuście ją z tej... skrzyni, a resztą zajmę się sama.

Tak zrobiono.

Raladan, wbrew zapowiedzi, wrócił późnym wieczorem. Miał niezłego konia, ale nigdy nie był dobrym jeźdźcem, ledwie więc zlął z kulbaki. Zamienił kilka słów z żołnierzami, którzy przyjechali razem z nim – miał ich przy boku bardziej dla towarzystwa niż z jakichkolwiek innych powodów – po czym, na zdrętwiałych nogach, wkroczył do twierdzy-pałacu. Strome stopnie budowli napawały go szczerym lękiem, jednak drogą powietrzną dostać się na górę nie umiał. W połowie schodów spotkał idącą na spotkanie Lasenę.

– Zaczekaj, panie – powiedziała.

Niedługo potem stał w drzwiach pokoju, w którym tak niedawno i dawno zarazem pokazywał córce Kulę Ferenu.

Ridareta siedziała na swoim ulubionym miejscu przed zwierciadłem, lecz nie patrzyła weń. Usłyszała, jak otworzyły się drzwi. Zobaczył okropnie spuchnięte, okryte świeżymi strupami usta i paskudny siniak na policzku.

Najpierw oboje milczeli.

– Nic się tu nie zmieniło – powiedziała niegłęboko i trochę niewyraźnie, być może z powodu obrzękniętych ust. – Łóżko, pościel... Lustro, a w skrzyniach moje suknie. Miałam przecież nigdy nie wrócić na Agary?...

Raladan pokręcił głową.

– Co ci się stało? – zapytał.

Zrozumiała, o co mu chodzi.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Uderzyłam się... mniejsza o to. I nie goi się od wczorajszego wieczoru. Takie... – Opuszkami palców dotknęła strupa na wardze. – Takie nic.

– Po tym, co ci ktoś zrobił – rzekł, bo umiał rozpoznać skutki pobicia – zwykła kobieta przez tydzień wygląda jak... No, źle.

– Właśnie. A ja nie jestem zwykłą kobietą, tylko pół-Rubinem. A przynajmniej byłam. Czy zacznę teraz się starzeć? Zbrzydnę? Zwichnę nogę i przez miesiąc będę utykać? Ale ja... Ja już nie umiem tak żyć.

Usiadł tak samo jak kiedyś, na pysznie malowanej skrzyni pod ścianą.

– Po co przypląnąłaś? – zapytał. – Chcesz czegoś ode mnie, Rido? Dobrze, ale nie wiem, czy na wiele się przydam. Coś ty narobiła, dziewczyno?... Wszyscy wiedzą, co się stało na Małej. Wielu ahełczyków miało tam rodziny. Wielu innych wychowuje sieroty, które z wrzaskiem zrywają się po nocach i chcą na oślep uciekać, a przybrane matki płaczą z nimi... Jeśli „Zgniły Trup” pojawi się na horyzoncie, to Ahagaden, nie pytając mnie o nic, weźmie swoje karaki i rozwali go z dział na kawałki, a tych, co wyskoczą za burtę, każe podobijać w wodzie bosakami. Bo jeśli tego nie zrobi, będzie miał do czynienia z mieszkańcami Aheli, a może i częścią własnych zbuntowanych żołnierzy. Po co przypląnąłaś?

Milcząc, patrzyła w jakiś punkt na podłodze.

– Po co przypląnąłaś? – powtórzył.

– Nie wiem. Chyba po nic. Myślałam, że umieram... Tak myślałam. Potem wyzdrowiałam, ale Kitar już mnie tutaj przywiózł. Chciałam cię jeszcze zobaczyć i powiedzieć, że bardzo cię kocham, ojciec.

Raladan odwrócił twarz ku drzwiom.

– Wczoraj mi przeszło. Znowu nie chciałam cię widzieć. I wtedy Kitar mnie stłukł. – Zaśmiała się, a zaraz potem pociągnęła nosem. – Lubię, jak mężczyzna mnie stłucze, kiedy sobie zasłuży. Co to za mężczyzna, któremu można gadać, co się chce, a on tylko będzie się gapił? A Kitar to taki mężczyzna jak ty, zupełnie taki sam, wiesz? Prawdziwy mężczyzna. Przypomniał

mi, jaki jesteś. Że tak samo jesteś mądry, zawsze wiesz czego chcesz i niczego się nie boisz. Ty też potrafiłeś mi przyłać, kiedy zasłużyłam – przypomniała. – Zateęskniłam do ciebie, bo... ty byłeś ze mną przez całe życie, może i wredne, tylko że ja też jestem wredna... – Pogubiła się; już nie wiedziała, co właściwie chce mu powiedzieć. – Co prawda, już nie umieram, ale lżej mi będzie pływać dokoła Szereru, jeśli już nie będziesz się gniewał. – Prawie się rozpląkała.

Raladan głęboko odetchnął.

– Gniewał... – powiedział strapiony. – Nienawidzi cię cały świat, Rido.

– I co z tego?

– Jak zwykle: nic. Dla ciebie zawsze nic, Rido.

– Jak maluchy? Ciągłe płaczą po matce? Będę je mogła zobaczyć? – pytała. – Może to już ostatni raz...

– Pomyślę o tym jutro. Dokąd się teraz wybierasz?

– A tutaj nie mogłabym zostać?... Ja nikomu się nie pokażę, to tylko parę dni...

– Z Aheli, Rido. Dokąd płyniesz?

– Do Talanty na Wyspach Barrierowych. Albo do Niskiego Grombelardu, w każdym razie na łowy. Wiem gdzie siedzą, albo będą siedzieć, Przyjęci.

– Skąd wiesz i co wiesz? – zapytał rzeczowo.

Ridareta pociągnęła się trochę. Jeszcze raz pociągnęła nosem i wzięła głębszy oddech.

– Powiedziałam, co. Rozpoznam dom w Talancie. A skąd wiem o tym domu? No, tak samo kiedyś wiedziałam, że spotkam cię na Brzegu Wisielców, potem czekałam na dartańskich wydmach... Czasem czegoś się dowiaduję. Wiem, jak z morza wygląda miejsce na wybrzeżu Niskiego Grombelardu, gdzie warto czekać. To tylko parędziesiąt mil łądu. W tle niewyraźne góry, z lewej strony dymy wioski, chyba dosyć dużej. Zagajnik... Znajdę. Jest ich czterech.

– Przyjętych?

– Tak, ale wiem tylko o trzech. Czwarty jest jakiś dziwny.

– Talanta, zgoda. Ale skąd wiesz, że chodzi właśnie o Niski Grombelard?

– Bo w całym Szererze, patrząc z morza, tylko jedne wysokie góry można mieć przed sobą i po prawej ręce, kiedy czerwone słońce świeci ci w twarz. Może jeszcze na Ostatnim Przylądku, ale tam rzadko jest piękna pogoda.

– A niektórzy mówią, że jesteś głupia – rzekł z uśmiechem.

– Bo jestem. Czasem coś mi tłumaczą cały dzień, a ja dopiero przed zaśnięciem zaczynam rozumieć o co chodziło i... robi mi się gorąco, tak mi wstyd. Albo przypominam sobie co palnęłam i tak samo robi mi się duszno. Ale umiem rozpoznać strony świata i znam całe wschodnie wybrzeże Szereru.

– Był u mnie Brorrok. Mówisz jednak, że przywiózł cię tu Kitar? No to chyba wiesz, jaki pomysł miał stary? Chciał...

– Brorrok nie żyje.

Raladan uniósł brwi.

– Potem ci opowiem – powiedziała. – Podobał ci się jego pomysł?

– Tak sobie. Nie można uciekać i chować się bez końca. Wreszcie cię dopadną, i to zawsze będzie w najgorszych możliwych warunkach. Nie wygrasz, jeśli będziesz bez przerwy się cofać i nie wybijesz przeciwnika z uderzenia. Ale kiedy już stary odpłynął, pomyślałem, że to jednak zbyt ryzykowne. Przyjęci to Przyjęci... Teraz jednak, mówisz, wybierasz się do nich?

– Tak, bo mam ich dosyć.

Myślał.

– To od Brorroka wiem, gdzie ich szukać – dorzuciła. – Takich domów jak ten, o którym wiem, może być tysiąc w Szererze. Jak znaleźć jeden dom, który stoi... gdzieś? Ale skoro wiem, że w Talancie, to go znajdę.

– Że też nie ma z nami Tamenatha... Mógł poczekać trochę z umieraniem. Zawsze robił wszystko nie w porę. Jak chcesz się do nich zabrać? Wiesz teraz o sobie cokolwiek pewnego? Dostałaś pięścią w zęby, i to się nie goi, a właściwie goi się, ale tak jak u wszystkich... Czyli: można cię teraz zranić, a nawet zabić jak każdego? Co potrafisz?

– Złamać miecz, bo mnie Bohed nauczył. *Ale* tylko komuś, kto nie pomyśli, że po lewej stronie nic nie widzę. I przy dobrym świetle, bo inaczej ciężko mi ocenić dystans.

– Ano właśnie. A poza tym, Rido, trochę trudniej łamie się miecze, kiedy trzeba naprawdę uważać, żeby ostrze nie weszło ci w brzuch... I to już wszystko, co umiesz? Nie pytam o machanie żelazem.

– Nie wiem. Nie próbowałam. Myślisz, że zawsze mogę podpalić okręt albo dom? Przecież wiesz, że nie zawsze. A niektórych rzeczy już w ogóle nie potrafię.

Skupiona, przeciągnęła paznokciem w poprzek tafla lustra.

– I co? Całe – skonstatowała z namysłem.

– To samobójstwo – ocenił. – Nie możesz się wybrać do Przyjętych, nic o sobie nie wiedząc. To od początku zakrawało na szaleństwo, ale teraz twoje szanse, Rido... Nie masz żadnych szans.

– No to co mam robić? Siedzieć i czekać?

– Siedzieć nie, ale czekać – tak. Czy jest jakiś sposób, żebyś się dowiedziała, co właściwie się z tobą stało? Bezpieczny sposób. Trudno, żebyś na próbę wepchnęła sobie miecz w brzuch.

– Sposób? Jaki może być sposób? Kiedyś moje córki wypróbowały wszystko za mnie, a resztę wytłumaczył mi Tamenath. Mam urodzić Rubinek i zobaczyć, co można mu wydłubać i uciąć, zanim zdechnie? Może i tak – powiedziała – ale nawet jeśli zaszłam już w ciążę... a nie jestem pewna... to trzeba czekać co najmniej ze dwanaście tygodni. O ile będę rodzić o czasie, bo ostatnio...

– Nie wygaduj głupstw. – Nawet dla starego pirata były gdzieś granice makabry i Raladan

właśnie otarł się o nie, bo wyglądało na to, że jego przybrana córka snuje swoje rozważania całkiem serio.

Przeraziła się nagle.

– A jeżeli to też się zmieniło? – zapytała nieswoim głosem. – I teraz będę musiała przez dziewięć miesięcy, jak każda?...

Udał, że nie słyszy.

– Tamenath... – powiedział z namysłem. – Może jest ktoś, kto zna się na Szerni i może coś wiedzieć? Kiedy byliście w Londzie z Tamenathem, mieszkaliście u jakiegoś kupca...

– Ogen. Miał na imię Ogen.

– Był kiedyś pomocnikiem Gotaha, tego przyjaciela Tamenatha, pamiętasz. Stary często mówił o Głupim Gotahu, tym historyku ze skrzywionymi ustami.

– Pamiętam. Ale Ogen... nie. – Teraz ona się zamyśliła. – Ale jest ktoś inny. Kesa. Ona wie o Szerni chyba tyle samo, co Przyjęci.

– Kesa?... – Raladan zmarszczył brwi.

– Wysłanniczka garyjskiego Przedstawiciela. Raladan, przecież ona nie przyплыnęła tu po flotę.

Raladan zadumał się. Wreszcie pokiwał głową.

– Więc to tak – powiedział. – Spotkałaś się z nią?

– Spędziłyśmy razem ładne parę dni.

Raladan od nowa zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

– Wiesz, gdzie jej szukać? W Doronie?

– W Lłapmie, a jak nie, to w... w jednym dartańskim mieście. Czekaj... zaraz sobie... Już wiem: w En Anelu.

– Chyba musisz mi o wszystkim opowiedzieć, Rido. Co właściwie się wydarzyło?

– Co się wydarzyło... To rozmowa na całą noc.

* * *

Wczesnym rankiem niewyspany Raladan wybrał się do portu. Obudził wachtowego, a wachtowy Kitara. Armeckańczyk rozkoszował się odzyskanym łóżkiem, w którym pełno jeszcze było długich brązowych włosów. Zezując, jeden taki włos odczepił właśnie od twarzy, bo łaskotał go w czoło i nos.

– Rozumiem, że już się z nią widziałeś? – zapytał.

– Wczoraj – odrzekł krótko Raladan, siadając na tym samym krześle, które sobie upatrzyła Ridareta. Z roztargnieniem wziął do ręki leżące na stole zwierciadło i bawił się nim przez chwilę. – Wróciłem wcześniej. Powiedziała, że zabierzesz ją na „Trupa”.

– Przyplynie tu za jakiś czas. Zakotwiczy przy północno-wschodnim wybrzeżu, Rida

dokładnie wie gdzie. Powtórzyłem jej, co mi powiedział Cichy, i od razu wiedziała wszystko. Masz lepszy pomysł, jak ją zaokrętować?

– Nie.

Raladan podumał i pokiwał głową – zupełnie, jakby przypadł mu do gustu sposób bycia Meveva Cichego.

– Ridareta wygląda tak, jakby miała męża pijaka. Uprzedzam: pobijesz mi dziewczynę jeszcze raz, a inaczej porozma...

– Nie, braciszku – powiedział Kitar. – Co najwyżej sobie pobiję dziewczynę jeszcze raz. To nie jest twoja dziewczyna, tylko moja. A pijakiem nie jestem, więc o przyszłość też możesz być spokojny.

Raladan otworzył usta, zamknął je i na powrót otworzył.

– Coś ci padło na rozum?... Chyba tak.

– Tutaj zgoda – powiedział Kitar. – Daj mi jeszcze trochę pospać, hm? Cumuję w bezpiecznym porcie, a trzy czwarte załogi mam na ładzie. Jeśli teraz się nie wyśpię, to kiedy?

Ale Raladan był ojcem, to zaś oznaczało, że tak łatwo nie przejdzie do porządku nad zasłyszonymi głupotami.

– Będziesz spał, jak pójdę. Przyczepiłeś się do Ridarety?

– Słuchaj, braciszku, czego ty chcesz ode mnie? Zawsze tak męczyłeś każdego, kto złapał Ridę za tyłek?

– Ty nie jesteś każdy, tylko pies na baby. A odkąd nie ma Brorroka, to jeszcze na dodatek najślawniejszy żeglarz na Bezmiarach.

– Uu? – zastanowił się Kitar. – Mówisz, że najślawniejszy?...

– Jakoś tak.

– Idź już, tatuś, bo naprawdę gadasz... Nie lubię niczego robić byle jak, lubię po armektańsku, czyli ciebie pierwszego poproszę, żebyś poświadczył nasze listy małżeńskie. A teraz daj mi spać.

Raladan naprawdę już zgłupiał.

– Coś ty jej takiego powiedział?

– „Tak”. A wcześniej, że jest najładniejszą dziewczyną na Bezmiarach.

– „Tak”?... Co znaczy: „tak”?

– To znaczy, że mi się oświadczyła, a ja powiedziałem „tak” i ożenię się z twoją córką, wasza księżęca wysokość. Jest piękna jak żadna kobieta na świecie, odważna i wcale nie taka głupia, tylko rozpaprana i leniwa. Myśleć potrafi prawidłowo, tyle tylko że wolno jej idzie. A ja mam czterdzieści dwa lata, zakopaną beczkę pełną złotych krążków, jestem... yyy... najślawniejszy na Bezmiarach i brakuje mi tylko żony, z którą będę mógł sklecić eskadrę. Zwykła baba od garów i dzieciaków w ogóle się nie nadaje.

– A Ridareta się nadaje?

– Ładnie tańczy i złamała miecz dowódcy moich przybocznych.

– Ładnie tańczy?

– I lubi jak śpiewam. A, i jeszcze ma takie...

– Wiem, co ma; opuść te łapy. Jak długo ty ją znasz?

– Jakieś osiem lat, a od czterech dni bardzo dobrze. Co ty tak gadasz, jakbym chciał się utopić? Chcę się ożenić, a ty zrozumiałeś, że popełnić samobójstwo? Jeśli wylezie z niej jędra, która gotuje, pierze, siedzi w domu i ceruje gacie, to po próbnym roku nie przedłużę małżeństwa. Armektańskie prawo nie jest takie złe, czasem warto je brać pod uwagę.

Praworządny Kitar – to było coś nowego. Raladan zastanowił się, czy w ogóle zna jakiegoś żeglarza spod czarnego żagla, który byłby zgodnie z prawem obabiony. Nikt nie przychodził mu na myśl.

Chociaż... on sam – był.

– Tylko puszczałstwo jej ukróć – rzekł Kitar.

– Ty oszalałeś, Kitarze, a ja nie będę dalej słuchał tych bzdur. Ty i Rida?...

– Uff! – powiedział Kitar. – Czyli już sobie idziesz?

– Idę.

– No to idź, braciszku. Idź, idź.

Raladan wrzucił ramionami i wyniósł się z „Kołysanki”. Nie minęło wiele czasu, jak stał przed czerwoną na policzkach córką.

– Ale kłamca – rzekła z niedowierzaniem. – A ozór ma długi jak baba. I ta załgana świnia powiedziała ci, że się jej oświadczyłam?...

– Nie oświadczyłam mu się?

– No, nawet jeżeli jestem głupia, to chyba nie aż tak!

Raladan odetchnął.

– Czyli nic ci nie powiedział, nawet „tak”?

Przez chwilę patrzyła nań, milcząc.

– Mm? – zapytała. – No nie... „tak” to powiedział. Ale inaczej powiedział.

W Dartanie modne były kiedyś zabawy zwane kalamburami. Raladan dostał kalambur.

– Inaczej? Czyli jak?

– No... – powiedziała czerwona już nie jak róża, ale wiśnia – leżał i patrzył...

– Leżał?

– Leżał – przyznała. – Ale to było już rano – wytłumaczyła szybko; widocznie poranne leżenie górowało nad leżeniem wieczornym. – Leżał i patrzył, a potem powiedział: „Rido... tak?”.

Raladan też patrzył – być może podobnie, jak Kitar. Chociaż, na pewno nie.

– A ja powiedziałam: „mhm”.

– Powiedziałaś „mhm”?...

– Mhm.

Teraz Raladan milczał przez krótką chwilę.

– Z wami jest coś nie w porządku.

– Chyba tak – przyznała zupełnie tak samo, jak wcześniej kapitan „Kołysanki”, i Raladan ugryzł się w język, bo już już gotów był palnąć: „Pomyłeńcy, jesteście siebie warci!”.

A skądinąd, rzeczywiście coś w tym było.

– Co ty o nim w ogóle wiesz?

Wzruszyła ramionami.

– Wiem o nim, że... że jestem ciągle sama. Że każdy chce mnie na trochę, ale nikt na zawsze. Mogę być żoną. I mieć męża – zakończyła wyzywająco, a oba słowa zabrzmiały w jej ustach niczym jakieś wyjątkowe tytuły. – Nigdy nie myślałam, że mogę. Że ktoś mnie weźmie z tym... wszystkim.

Raladan wciąż udawał Cichego: patrzył, myślał i kiwał głową.

CZĘŚĆ TRZECIA
Wojownicy

14.

Gotah wylądował ze swym poczem po południowej stronie Gór Wąskich, czyli w Niskim Grombelardzie. Chciał ruszyć najpierw na północny zachód, a potem przez Sępią Przełęcz – już prosto na północ.

Biała piękność wyciągnęła zeń wszystko – albo może raczej: wszystko już wiedziała, pozostało tylko tłumaczenie niektórych spraw. Kocica słuchała uważnie, choć z wyraźnym wstrętem, bo nie istniał na świecie taki kot, któremu sprawiałoby przyjemność „gdybanie” na jakikolwiek temat. A w nakreślonym przez dwoje Przyjętych zagrożeniu „gdybaniem” było dla niej wszystko. GDYBY Rubin Córki Błyskawic... to PRAWDOPODOBNIIE Feren... a wówczas ZAPEWNE równowaga Szerni... to zaś MOGŁOBY dla toczącej się wojny Potęg mieć oplakane konsekwencje... Na szczęście Strażnik Praw PRZYPUSZCZALNIE... Dowiedziawszy się, że rewelacje Przyjętych oparte są na matematycznych wyliczeniach – dopuszczających, co prawda, pewien margines błędu – złodziejka królowej zamknęła jaskrawozielone oczy i bardzo długo ich nie otwierała. Dla kota matematyka sprowadzała się do czterech najprostszych działań; cała reszta była ulepioną z urojeń magmą.

„Powtórzę wszystko królowej tak dokładnie, jak tylko zdołam” – powiedziała jednak na koniec, ujawniając w ten sposób kolejną kocią cechę, mianowicie wyrozumiałość dla istnienia różnorodnych odmienności; koty rzadko podzielały ludzki punkt widzenia – i równie rzadko wydziwiałały nad tym faktem. Świat był, jaki był; należało go przyjąć w całości albo skoczyć z mostu do rzeki. Było tylko nie próbować nic naprawiać; aż zdumiewająca tu była zgodność sądów istot, które w ogóle nie czuły Szerni, z poglądami Przyjętych – rozumiejących Szern jak nikt inny na świecie. „Teraz chcę jeszcze wiedzieć, mędrze Szerni, gdzie dokładnie zamierzasz wylądować i jaką drogę do Grombu obierzesz. Czy tę, którą jeździli wszyscy? Pytam, bo być może królowa zechce wysłać kogoś do ciebie z dodatkowymi pytaniami”.

Gotah przedstawił swe zamiary.

Teraz wylądował w Grombelardzie Niskim – a był to kraj przestronny i pogodny, mający więcej wspólnego z Dartanem niż prawdziwym Grombelardem, gdzie niepodzielnie królował wieczny deszcz – i dowiedział się od razu dwóch rzeczy: że królowa rzeczywiście kogoś wysłała oraz że ten ktoś nie ma żadnych pytań.

Mędrzec Szerni Gotah, podstępnie wyrwany kiedyś ze swojej pracowni historyka, obejrzał kawałek świata, o którym pośród kronik i roczników zapomniał – a obejrzawszy, nigdy już do pracowni nie wrócił. Historia, którą zgłębiał, była martwa. Zapisał setki stronic, a każde słowo na nich było przekłamaniami. Wróciwszy do świata, ujrzał w Ciężkich Górach prawdziwą potyczkę i zrozumiał, że w jego opisach przełomowych bitew nie ma słowa prawdy – może tylko liczba poległych się zgadzała. Opatrywał raną dziewczynę – i osłupiał na widok jej ciała, bo

wyzbywszy się już niemal wszystkich ludzkich potrzeb, zapomniał, jak wygląda kobieta, a jeszcze bardziej zapomniał, że widok nagiego kobiecego ciała jest dla mężczyzny... co najmniej nieobojętny. Pisał rozprawę dotyczącą hipotetycznego świata, w którym istoty żywe nie miały świadomości istnienia siły sprawczej i zdane były tylko na domysły (nazwał takie domysły „religiami” od starogrombelardzkiego *rhel’eghon* czyli „pocieszanie konającego”), po czym odkrył, że nie filozofem, a najwyżej głupcem i pyszałkiem jest ktoś, kto pisze rozprawę, choć nigdy w ciemnym zaułku nie walczył na pięści z opryszkciem. Pewnie można było bez tego zostać wielkim matematykiem, ale nie historykiem-filozofem, snującym rozważania o świecie i kształtujących go istotach. Pierdoły. Wypisywał zawieszzone w próżni pierdoły, nie mające znaczenia dla nikogo, co najwyżej dla drugiego takiego popaprańca, jak on sam. Gdy zebrało się dwudziestu takich przyków, to tworzyli dziedzinę nauki i wymyślali dla niej różne zastosowania, chociaż było właściwie tylko jedno: otóż owa dziedzina nauki dawała zajęcie dziadkom mającym robaki w głowie, tak jak inni mieli je w tyłku. Otworzywszy oczy, Gotah wreszcie zrozumiał, dlaczego najznamienitszy z Przyjętych, Wielki Dorlan, bardziej był łązęgą niżli dziejopisem. Zrozumiawszy Dorlana, Gotah uciekł od opracowań i traktatów, z niezłomnym postanowieniem, że wróci dopiero wówczas, gdy dowie się czegoś o czymkolwiek. Los był dla niego łaskaw: w niezmiernie krótkim czasie ujrzał *lah’agar*-Podróżnik rozpad całej prowincji imperium, potem wielką wojnę, w wyniku której oderwana została następna prowincja, największa i najbogatsza. Sypiał w obozach wojskowych; stał u boku dziewczyny, która z nędzy sprzedała się kiedyś w niewolę, najpierw była zwykłą praczką, potem bajecznie bogatą dziedziczką największego majątku Szereru, a wreszcie królową mocarstwa – i zobaczył, co może kierować istotą zmieniającą porządek świata. A na koniec poznał jeszcze jedną niewolnicę, w której coś chyba obudził, bo Szerń wkrótce uznała ją za żywy symbol swych treści, on sam zaś – za połowę siebie. Przynajmniej jeden traktat gotów już był napisać: mianowicie bardzo dokładnie wiedział, ile wart jest świat, cała jego historia i przyszłość, wszyscy jego mieszkańcy razem wzięci, o Pasmach Szerni nie wspominając. Otóż warte były dokładnie tyle, ile jeden włos z głowy Kesy.

Uzbrojony w tę wiedzę Przyjęty bardzo, ale to bardzo spokorniał. Wyszło mu, że dopóki istoty rozumne podlegają tak potężnym uczuciom, pytania o naturę spraw niekonkretnych, a za nimi filozofie próbujące opisać i uporządkować świat, będą miały wartość starczego marudzenia w rodzaju, że „kiedyś to młodzież była inna”. Już nie chciało mu się pisać o „religiach” ani innych wydumanych problemach. Zstąpił był do świata prawdziwego.

Takie właśnie myśli – co prawda, w wielkim skrócie – przemknęły mu przez głowę, gdy na miejscu lądowania, w cieniu malutkiego zagajnika, ujrzał zwarty szyk trzydziestu żołnierzy. Ludzie ci mieli narzucone na kolczugi granatowo-zielone tuniki, na których wyhaftowano czerwoną koronę wieńczącą dębowe liście. Były to barwy i herb Domu K.B.I. Gotah miał wrażenie, że cofnął się w czasie o kilka lat i trafił na wielką polanę w największej kniei Szereru,

gdzie domu strzegli tak właśnie wyglądający ludzie. Oto oddawali mu honory najlepsi żołnierze Dartanu, przyboczna gwardia królewska, pałacowa straż monarchini. To nie byli wojacy na pokaz. Potrafili bić się pieszo lub konno, jako średniozbrojna jazda, ciężka lub strzelcza piechota. Kiedyś było ich tylko stu, ale odkąd ich pani dodała do książęcego tytułu tytuł królewski, znacznie pomnożono ich liczbę. Mówiono, że każdy z nich mógł stanąć za pięciu, i raczej nie było w tym przesady.

Lecz największa niespodzianka czekała nań kilkanaście kroków dalej, w cieniu brzoź, oparta o jeden z białych pni.

– Wasza godność – powiedziała niespodzianka, przymykając na chwilę oczy, by ukryć błysk szelmowskiej radości.

Przyjęty przeraził się i rozpromienił zarazem.

– Hayno!...

Podbiegła i najzwyczajniej w świecie rzuciła mu się na szyję.

Było dla Gotaha zagadką, w jaki sposób ta serdeczna i wrażliwa dziewczyna, użalająca się nad losem poranionych w bitwie koni, karmiąca zimą ptaki, nie znosząca łowienia ryb na haczyk („bo to je musi boleć...”), spiesząca każdemu z pomocą, wiecznie rozgadana i wesoła, mogła być jednocześnie bezlitosną machiną do zabijania.

Czarne Perły udało się wyhodować w jednym z armektańskich domów niewolniczych; potem tajemnicę chowu odkupiły jeszcze dwa czy trzy inne. Zawsze istniał popyt (szczególnie w Dartanie) na niewolne przyboczne strażniczki – głównie dla fasonu. Popyt ten łatwo zaspokajano. Znacznie, znacznie droższe, ale równie łatwo dostępne były Perły. Ale jednego z drugim nijak połączyć nie umiano. Każda Perła potrafiła posłużyć się bronią na tyle, by w razie konieczności stanąć w obronie właściciela – a z każdą strażniczką dało się zamienić parę słów; musiały być niezbyt głupie i co najmniej niebrzydkie. Lecz wyhodowanie naprawdę sprawnej gwardzistki, godnej zarazem certyfikatu Perły, przerastało możliwości niewolniczych przedsiębiorstw. Nauka czterech głównych języków Szereru, historii, matematyki, praw zwyczajowych i pisanych, czytanie poezji i sag armektańskich, do tego jeszcze muzyka i taniec – to w ogóle nie chciało się łączyć z bieganiem po lesie, pływaniem, wymachiwaniem włócznią, sztyletami i mieczem, strzelaniem z łuku, hartowaniem do znoszenia najwymyślniejszych niewygód i bólu, brutalnymi bójkami na pięści – bo strażniczka najwyższej próby musiała znać także sztukę walki gołymi rękami. Próby pożenienia ognia z wodą owocowały wyszkolonymi do boju pięknościami, które w razie niebezpieczeństwa obezwładniał strach przed blizną na twarzy, albo szorstkimi wojowniczkami, których wykształcenie i ogłada łuszczyły się niczym cienka warstwa pozłoty. Od samego początku – czyli od poczęcia – rzecz była niezmiernie trudna. Niemowlę z zadatkami na Perłę pochodziło ze specjalnej pary rozplodowej, ale oczekiwano tylko kobiety rozumnej i nieprzeciętnie urodziwej, poza tym mogła być filigranowa albo

bujnokształtna; wysoka i szczupła bądź nieduża, ale za to o miłej dla oka, obfitej w kobiece krągłości sylwetce... Nabywcy mieli bardzo różne gusty. Tymczasem niewolnice do walki musiały po prostu być silne. Bardzo urodziwe, ale co najmniej średniego wzrostu i wagi, o solidnych udach i bynajmniej nie wiotkich ramionach, krótko mówiąc: o budowie – na kobiecy sposób – atletycznej.

I komuś się wreszcie udało.

Nigdy nie były tak solidnie wykształcone i dobrze ułożone, jak prawdziwe Perły. Kosztowały też trochę mniej, bo jednak przede wszystkim były wojowniczkami – a w spokojnych czasach „wiecznego pokoju” w granicach Wiecznego Cesarstwa rynek okazał się płytki i popyt szybko zmałał. Przyznawano im jednak certyfikaty niewolnic najwyższej próby. Nazywano Czarnymi Perłami i opowiadano najwymyślniejsze historie o tym, skąd się brały. W każdej miała płynąć jedna ósma krwi stepowej pantery... Albo płodzono je pod niebem Aleru. Albo jeszcze ich matki pojono specjalnym wywarem o tajemniczym składzie... Gotah podejrzewał, że najbliższe prawdy mogło być to ostatnie. Oczywiście to nie dobór pary rozplodowej był decydujący, ani to, co piła bądź jadła brzemienna niewolnica. Wymyślono wreszcie (pewnie pomógł przypadek) odpowiednie metody chowu – i tyle. Ale jednak coś tym dziewczynom – albo ich matkom – robiono. Czarne Perły były bezpłodne, wszystkie bez wyjątku. Nigdy nie słyszano, by któraś z nich zaszła w ciążę, co – pomimo licznych środków ostrożności, przedsięwziętych dlatego, że ciąża psuła sylwetkę i mogła pozostawić na klejnocie trwałe skazy – zdarzało się czasem w przypadku zwykłych Perel.

Gotah dowiedział się tego od Kesy. Wcześniej nie miał zielonego pojęcia o sekretach niewolniczego rynku.

Uwieszona na jego szyi dziewczyna była Czarną Perłą królowej – być może najdroższą i najlepszą, jaką kiedykolwiek zdołano wyhodować. Uzyskała certyfikat o wiele szybciej niż jakakolwiek inna Czarna Perła. Najbogatszy człowiek Szereru kupił ją kiedyś za niebotyczną sumę, z myślą o bezpieczeństwie dziedziczki swych rodowych monogramów, której przeznaczeniem – wierzył w to głęboko – było zostać królową mocarstwa.

Hayna.

A może lepiej jednak Delara, ostatnia z Cór Szerni. Dowódczyni wojsk Rollayny, najstarszej z Trzech Sióstr, półlegendarnej królowej zjednoczonego pod jednym berłem Dartanu. Córka Błyskawic – według dartańskiej legendy stanęła na ziemi Szereru, gdy szalała niezwykle silna burza. Ofiara czerwonej mocy Rubinu o imieniu Riolata, który zniszczył jej życie, uczynił zdrajczynią i zaprowadził na plac strasznej kaźni, skąd zniesiono kalekie, obłąkane zwierzę. Mające żyć dalej jako przestroga i dowód sprawiedliwości królowej, która nie cofnęła się przed ukaraniem siostry, lecz zarazem umiała się zdobyć na okazanie łaski.

Według jednej z wersji legendy to nieszczęsne kalekie zwierzę znalazło w sobie jeszcze dość

siły, by pokonać przeklęty Rubin i oddać życie w obronie królewskiej siostry.

Jedna z bram dartańskiej stolicy nosiła imię Delary – przywróconej do łaski i chwały.

Hayna była odbiciem Trzeciej Siostry. Jej niedoskonałym i niepełnym wcieleniem. Może tylko dalekim echem?... Gotah bardzo, bardzo chciał w to wierzyć. Ale z Twierdzeń Tamenatha wynikało zupełnie co innego.

* * *

Noc była pogodna i ciepła. W cieniu zagajnika, przy ogniskach, żołnierze przerzucali się żartami. Gotah wiedział co nieco o uczuciach mieszkających w sercach takich ludzi, dlatego przy pierwszej sposobności bardzo głośno wyraził wdzięczność królowej, która mu przysłała najświetniejsze wojsko – i równie ostentacyjnie podniósł zalety swych najemników, ludzi zuchwałych i bitnych, gotowych udać się z nim na kraj świata. Opłaceni przez niego wojownicy nie mogli poczuć się zbędni, zepchnięci w cień; Przyjęty potrafił dobrać słowa i nie obrażając nikogo – wprost przeciwnie – upewnił swoich wojaków, że to oni są jego przybocznym wojskiem, a królewska gwardia ma ich tylko wesprzeć, nie zastąpić.

Zyskał uznanie w oczach Hayny, która równie dobrze – jeśli nie lepiej – wiedziała, co czasem musi zrobić bądź powiedzieć dowódca. Teraz, przy osobnym ogniu, Przyjęty czytał list, doręczony przez pierwszą gwardzistkę królowej:

Jego Godność Gotah-lah'agar

Powiernik Królowej

w podróży

Mędrcze Szerni!

Czas mija szybko, ale wciąż pamiętam każde słowo skierowane przez Ciebie do dziewczyny, która w środku największego lasu Szereru pytała o swoją tożsamość. Mówiłeś o Szerni, o marzeniach pokoleń rycerzy i o przeznaczeniu.

Ufam Ci.

Keness.Baven.Iss.Ezena

królowa Dartanu

księżna Zachodnich Wybrzeży

pani Dobrego Znak

Jej królewska wysokość miała bardzo niewyszukane, proste i czytelne pismo – litery wyglądały trochę tak, jakby nakreśliła je ręka dziecka. Dziwnie to wzruszyło Przyjętego – ta

dziewczyna uczyła się czytać od armecktańskiego wędrownego bakałarza, który na kilka miesięcy zawitał do jej wioski; sztukę pisania poznała jeszcze później, zresztą nie wiadomo gdzie, być może dopiero w Dobrym Znaku. Króciutki list, napisany jej własną ręką, zawierał jednak o wiele więcej treści, niż kryły słowa. Przypomniano Gotahowi, że jest *vanasaney*, powiernikiem królowej – był to tytuł honorowy noszony przez wielu, niemniej zaszczytny i obligujący. Bardzo szczególną wymowę miał podpis. Mędrzec Szerni został wyróżniony w sposób najzupełniej wyjątkowy: pełnymi imionami rodu posługiwano się niemal wyłącznie w najbardziej prywatnej i poufnej korespondencji. Mało tego: używanie pełnych imion zamiast monogramów zastrzeżone było właściwie tylko dla członków rodziny... Potężna dartańska *vana*, kładąc taki podpis postawiła się – świadomie przecież – w pozycji pewnej podległości wobec mądrego człowieka, któremu dużo zawdzięczała. Bardzo mocno podkreśliła łączącą ich zażyłość; było trochę tak, jakby podpisała się „Ezenka” albo „Eza”.

– Co powiedziała Jej królewska wysokość, posyłając cię w drogę?

– Nic. Rozkazała mi wybrać najlepszych żołnierzy z gwardii i oddać się z nimi pod twoje rozkazy, wasza godność. Wiem, że idziesz do Grombelardu. Armecktanki... mmm... cesarzowa zgadza się, a nawet żąda, by dartańscy żołnierze pilnowali porządku w tej prowincji Wiecznego Cesarstwa.

„Armecktanki”. A więc tak na dworze Ezeny mówiło się o Najgodniejszej Cesarzowej... Armecktanki zgadzała się, a nawet żądała. Oczywiście. Formalnie zwasalizowany Dartan miał obowiązek wystawienia kontyngentu wojsk na żądanie Kirłanu. Wywiązywał się z tej powinności... nieskwapliwie.

Ale Gotah myślał przede wszystkim o tym, że pewna mądra kobieta w dartańskiej stolicy, słuchająca raportu śnieżnobiałej służki, zapanowała nad wszystkimi uczuciami, a mogły być wśród nich gniew, oburzenie, urażona duma... O dotyczących jej sprawach zdecydowano bez niej. Ale nikomu nie zdradziła tajemnicy. Anessa i Hayna o niczym nie wiedziały. Mało tego; królowa przebaczyła i bez reszty zaufała Przyjętemu – tak, jak napisała w liście.

– Pokłóciłyśmy się – dodała Hayna. – Moje miejsce jest pod drzwiami jej sypialni.

Gotah uśmiechnął się, bo z Czarną Perłą królowej w takich sprawach nie było żartów. „Pokłóciłyśmy się”... Wierzył.

A jednak klótnia zdała się na nic i Gotah domyślał się przynajmniej jednej z przyczyn. Wrażliwa i wierna Hayna rozplakałaby się chyba – a może i zrobiła sobie coś złego – na wieść, że królewska przyjaciółka jej... nie ufa. Korzystając z wygodnej okazji, oddaliła od swej osoby odbicie zdrajczyny Delary...

Siedząc przy wesoło trzaskającym ogniu, Gotah z zadumą spoglądał na sięgające ramion kasztanowe włosy Perły, które przy tym świetle wydawały się czerwone. Mocnym fuknięciem odrzuciła spadającą na oczy grzywkę i uśmiechnęła się. Przyjętemu naraz wydało się

niemożliwe, by w tle tej pięknej nocy i tych ognisk, przy których podśpiewywali żołnierze, istniały Rubiny mogące zburzyć świat; toczyły się zmagania gigantycznych potęg; wzbierały pomruki nadchodzącej wojny światowej, w której wezmą udział wszystkie kraje i ludy Szereru... Chciałby tak siedzieć i rozmawiać o niczym z miłą i śliczną Hayną, powspominać dawne dzieje, potem wrócić do domu i spierać się z żoną o to, jakie znaczenie dla Wiecznego Cesarstwa miał edykt o osadnictwie na prawie północnym.

Grombelardzko-dartańskie pogranicze od pewnego czasu nie było miejscem spokojnym, więc zarówno Gotah, jak i Hayna wystawili wokół biwaku strażę. Nigdy się nie dowiedzieli, co spotkało tych wartowników.

Doborowych gwardzistów królowej niemal wymordowano, zanim zdążyli chwycić za broń. Gotah słyszał, że piraci z Wysp podpalali wrogie żaglowce, ciskając na pokłady naczynia z płonąca oliwą – teraz mógł sprawdzić, jak działają takie zapalające bomby. Tuż przy nim upadł i odbił się od ziemi mały gliniany garnuszek, który nie trafił w ogień – ale kilka innych trafiło, a musiały zawierać proch. Z hukiem wyleciały w powietrze trzy czy cztery ogniska żołnierskie, zaraz potem na suchej trawie wylądowały liczne worki, z których rozlała się i rozbryznęła tłusta ciecz. Skraj zagajnika od razu stanął w płomieniach; wrzeszcząc, tarzali się i biegali ogarnięci nimi ludzie. Ze świstem jęły nadlatywać strzały, kłusując ziemię, ludzkie ciała, bagaże i ekwipunek żołnierzy – a pod ten deszcz pocisków, wypuszczanych z bezbrzeżną pogardą dla życia własnych towarzyszy, biegiem wpadła przeogromna sfera pomyleńców, pragnących chyba tylko ponadziewać się na miecze obrońców. Gotah widział kiedyś podobny atak – w Ciężkich Górach, gdy wataha rozbójników, na złamanie karku pędząc w dół stromizny, wpadła na żołnierzy. I błysnęła mu w głowie krótka myśl, że żołnierze – prawdziwi żołnierze – nigdy nie sprostają zgrai zwierząt, którym nie chodzi o żołąd, chwalebna służbę ani jakąś ideę. Dla większości żołnierzy, niechby doborowych, wojna była pracą, której chętnie – jak wszyscy inni ludzie – uniknęliby, byle tylko wypłacano im pobory; żołąd można przecież pobierać, siedząc w garnizonie, a po służbie popijając grzane piwo w karczmie. Lecz dla zwierząt z pirackich żaglowców rzezie jawiły się niemal sensem życia, koniecznością, bez której nie było zdobyczy, a zarazem przyjemnością i nagrodą za tygodnie ciężkiej pracy przy żaglach. Smakowała ta nagroda ponizeniem i hańbą wrogów, cudzym bólem i krwią. Żgające mieczami półzwierzęta miały oto szansę dowieść swej wartości – i wyższości, co na żadnym innym polu udać się nie mogło.

Dygotła ziemia, po której pędził tabun obdartych, czasem półnagich, wywijających wszelką możliwą bronią napastników. Z rykiem kilka setek piratów przewaliło się przez obóz, przewracając gwardzistów i Gotahowych najemników, wpadając wraz z nimi w resztki ognisk, tratując się, chwytając przeciwników w pole, czasem najdosłowniej nabijając się na ich miecze. Wódz, który podczas regularnej bitwy w polu umiałby nakłonić podkomendnych, by uderzyli

z podobną furją, bez wątpienia mógłby pobić czterokrotnie silniejszego wroga. Gotah na własne oczy ujrzał draba, który skupiony w sobie niczym kula, wystawiwszy do przodu grot włóczni, nie zwalniając pędu, przebił nią żołnierza – ale i harującego się z nim towarzysza, bo w ogóle nie przyszło mu na myśl, że warto liczyć się z życiem kamrata. Upadł pirat, trafiony w kark strzałą wypuszczoną gdzieś spoza kręgu światła. Ale przecież w tej bezładnej rzezi kryła się mądra taktyka: rozbójnicy nie umieli walczyć w szyku, ramię przy ramieniu, osłaniając się wzajemnie i wspierając; chaos był ich sprzymierzeńcem.

Przyjęty oglądał to wszystko z pozycji leżącego na trawie półtrupa; bardzo chciał się poruszyć, ale nie mógł. Cokolwiek mu zrobiono – nic nie poczuł, albo raczej nie potrafił nazwać tego, co poczuł. Ból?... Lecz krótki jak mgnienie, zbyt krótki, by go ocenić. Gotah raczej odgadywał, niż wiedział, że w ustach ma pełno krwi, a brak czucia w ciele i niemożność poruszenia nogami jest, być może, skutkiem złamania kręgosłupa. Pełził ku niemu płomień, chciwie chwytający każdy zer, liżący już skraj tłustej plamy obok niestratowanego jakimś cudem ogniska. Gotah widział garść gwardzistów, którzy zabijali napastników z wielką sumiennością i spokojem, chciałoby się rzec: akuratnością. Ci ludzie blokowali cios i wysuwali ostrze w kontrataku – dwa ruchy, po których na ziemię zawsze osuwał się trup. Dojrzał jeszcze w świetle licznych ogni obraz niewiarygodny, mianowicie pijaną ostatnim tańcem, schłapaną krwią dziewczynę, która chyba powinna być już martwa – a nie była. Pokaleczone ramiona wciąż trzymały lekką włócznię o długim tnącym grocie, lecz oręża prawie nie było widać, bo rozmazany w nieustannym ruchu malował ostrzem srebrzyste wachlarze w powietrzu. Na otwartej i równej przestrzeni była to broń straszna, pozwalająca trzymać wrogów na dystans. Wojowniczkę z włócznią próbowało dostać co najmniej kilku – bo może i dziesięciu – rozmaicie uzbrojonych napastników, ale zawsze zdążyła zejść z linii ciosu, odbierając skaleczenia zamiast ran; otarcia zamiast łamiących kości uderzeń. Nadbiegali następni. Przetaczała się po ziemi, by natychmiast znów stanąć na nogach, wygiąć ciało w niemożliwy sposób, przepuszczając nad tułowiem lub z boku ostrze miecza i pchnąć albo ciąć ostrzem włóczni – a wówczas przeciwnik chwycił się za tryskającą krwią tętnicę na szyi bądź wypuszczał broń i przykłękał, zaciskając dłońmi ranę w tułowiu. Znów wymierzyła błyskawiczne pchnięcie – i Gotah zobaczył, że trafiony w brzuch napastnik jest kobietą.

Hayna szarpnęła włócznię, a tamta zawyla jak zwierzę, upuściła trzymany w ręku oręż i w tym samym momencie chwyciwszy broń Perły, szarpnęła w drugą stronę, nawlekając się na ostrze rozpędzonym ciałem. Hayna zastygła na chwilę – i to była ta krótka jak mgnienie oka chwila, której miało jej zaraz zabraknąć... Nadziana niczym robak na patyk przeciwniczka, wciąż skowycząc, wykonała gwałtowny półobrót, łamiąc drzewce. Przyjęty widział okrwawione, sterczące z jej pleców ostrze, gdy rzuciła się na gwardzistkę królowej, która z niesłychaną szybkością zesza jej z drogi, smagnęła przez łeb odłamkiem włóczni, po czym przechwyciła rękę

atakującej i zwichnęła bądź złamała ją w łokciu. Ale trwało to wszystko jedną chwilę za długo: otoczona przez wrogów Czarna Perła podcięła komuś nogi, wbiła ułomek włóczni prosto w gębę wojowniczo ryczącego dryblasza, ale za plecami miała jeszcze draba z mieczem i nożem, który to nóż z miejsca wszedł w jej plecy. Przebita włócznią kobieta klęczała na ziemi trzymając się za bezwładną rękę. Z rozciętego ucha ciekła jej krew. Wrzeszczała jak opętana, i to chyba na skutek tego krzyku opuszczono ostrza, już wzniesione przeciwko rannej gwardzistce królowej. Wyprężona i wygięta w łuk, nadziana na nóż Hayna, z odrzuconą do tyłu głową i okiem zalanym krwią wypływającą z rozciętego łuku brwiowego, stała na słabnących nogach, z szyją zgniataną przedramieniem mężczyzny, który miał ją na ostrzu. Klęcząca przed nią pokrwawiona kobieta chwiejnie dźwignęła się na nogi, krzycząc z bólu, wzięła zamach i po babsku trzasnęła Czarną Perłę w pysk, ale siła tego ciosu na pewno nie była babska – Gotah niemal widział, jak pęka skóra na kości policzkowej; uderzenie zważyło Haynę z nóg.

– Doo... stuu... suuk!! – zawyła zwyciężczyni, krótkimi szarpnięciami wrywając pograżone w ciele drzewce. – Aaa... haaaa!!...

Wyrwała. Zatoczyła się i upadła.

Znowu drżała ziemia – to pędzili łucznicy i kusznicy, mający nadzieję, że coś jeszcze dla nich zostało; Gotah czuł to drżenie pod zimnym od murawy policzkiem. Odzyskał część władzy w ciele, ale jednocześnie obudził się ból – tak dotkliwy i przejmujący, że Przyjęty zdążył tylko uświadomić sobie, co, i kogo przed chwilą zobaczył: tarczę Szerni łamaną przez topór Wyklętych Pasm; Delarę po raz drugi w dziejach wydaną na pastwę czerwonego Geerkoto. Jeśli modele Yolmena były cokolwiek warte – to właśnie gdzieś tam, na górze, wyszczerbiony został Feren. Nadwątlony niczym wielka tama, trzymająca na barkach skłębione masy wody.

Gotah dostał przypadkowego kopniaka od biegnącego pirata, drugi przebiegł mu po plecach. Ból był taki, jakby całe ciało miażdżył młyński kamień.

Przyjęty wyrzucił z ust krew, spazmatycznie zacisnął pięści i zapadł się w nieświadomość.

15.

Nie mogąc obejrzeć własnych pleców, Gotah mógł się tylko domyślać, że na karku ma siniak wielkości męskiej dłoni – było to dzieło Nellsa, który chętnie używał okutej żelazem maczugi, bo gruchotała gnaty, czyniąc wrogów niezdolnymi do walki, ale długo jeszcze mogącymi cierpieć. Gotah, choć silny i raczej zyłasty, był tylko człowiekiem, nie żubrem; cios odebrał mu władzę w ciele i – prawdopodobnie – uratował życie. Gdyby nie wyglądał jak zabity, następny biegnący pirat zdzieliłby go już nie pałą, a toporem bądź mieczem.

Z trudem powstrzymując się od jęków i pokaszując krwią, Przyjęty oglądał wstrętne pobojuwisko, z którego nikt najwyraźniej nie zamierzał uprzątnąć trupów. W świetle pięknego świtu widać było osmalone drzewa, a niżej wielkie place wypalanej trawy, stykające się z plamami zakrzepłej krwi. Wszędzie trupy, a w powietrzu smród – Gotah widział już kilka pobojuwisk, więc zmieszany fetor krwi, uryny, kału i treści rozszarpanych jelit nie był dla niego niespodzianką. Korzystając z dziennego światła, zwycięzcy mogli wreszcie poobdzierać poległych, co czynili jak najsumienniejsi; uwijały się przy tej pracy dobre dwie setki ludzi. Przydawało się wszystko, nawet dziurawe, pokrwawione szmaty, które już trudno było nazwać odzieniem; na trawie porzucano nagie zwłoki. W zatoce, obok zdobytego żaglowca, na którym Gotah przyплыł ze swym pocztem, zakotwiczyły dwa inne, a trzeci, dużo większy, trochę dalej. Zza cypla wysuwał się czwarty. Jakieś łodzie pływały w tę i nazad, przywożąc na brzeg różne rzeczy – głównie chyba prowiant i napitki – zabierając zaś rannych.

Kilkunastu półżywych jeńców, pirackim obyczajem powieszonych za nogi, konało na drzewach. Była między nimi Czarna Perła.

Nad morzem słońce uniosło już całą tarczę nad horyzont, gdy do Gotaha przyszła – albo raczej przywlokła się z trudem – widziana w nocy kobieta. Nie miał wątpliwości, kim jest. Jednooka księżniczka Riolata Ridareta, pół kobieta, pół Rubin. Ta, której szukał i którą znalazł.

Ujętą w łubki i obwiązaną rękę zawieszoną miała na zielonej chustce, opasującej szyję. Podarta koszula i szarpie pod nią były przesiąknięte krwią; z wiedzy Gotaha o budowie ludzkiego ciała wynikało, że piratka ma przebitą wątrobę, od strony pleców zaś – nerkę. Wyglądała potwornie, bo nie przyszło jej dotąd na myśl, że warto się umyć po walce. Włosy z lewej strony nie tyle były włosami, co wielkim strupem zakrzepłej krwi; brudna twarz została co najwyżej wytarta jakąś szmatą, być może rękawem koszuli. Co najmniej dziwacznie wyglądały na tle tego kosztowne naszyjniki i wisiorki, na palcach zaś pierścienie... W nocy chyba tego nie miała. Teraz nie uznała za stosowne umyć się z brudu i krwi, ale za to powsuwała na palce i zawiesiła na szyi ozdóbki...

– Nie wiedziałam jak sprawdzić... a sprawdziło się samo... – rzekła urywanie, raczej osuwając się na ziemię, niżli na niej siadając. – Goi się wolniej niż kiedyś... tak wolno, jak chyba

u każdego. Ale goi się wszystko... i zagoi zupełnie, tak jak usta. Nells mówi, że suka przebiła mi wątrobę... i powinnam już nie żyć. A on wie, co mówi.

Zmęczona, zwiesiła głowę.

– Czterystu ludzi na siedemdziesięciu – powiedziała po chwili. – Strasznie dużo to kosztowało. Ale jakoś mi się zdawało... że będzie was tu więcej. Odezwij się do mnie, mędrze Szerni. Wiesz, kim jestem... a ja o tobie też wiem. Poznałam cię. Tamenath dużo mówił o Szalonym Gotahu.

Dźwignęła głowę i popatrzyła na jeńca. Coś było nie tak z opaską na oku, może się rozluźniła, bo właścicielka sięgnęła zdrową ręką i ściągnęła ją. Gotah ujrzał straszliwie oszpeconą twarz – nie tylko brakowało oka i dużej części powieki, ale jeszcze wokół oczodołu widniały paskudne, bardzo źle przed laty wygojone blizny. Tej rany nikt nie opatrzył; mięso pozostało się krzywo, byle jak. A potężny Rubin widocznie nie chciał uznać tego za ranę, bo zjawił się dużo później, gdy już raną nie była. Jeśli Kesa miała rację, to siedząca przy nim nieszczęsnica sto razy próbowała zmusić czerwoną moc, by oddała jej oko, albo chociaż wygładziła potworne ślady wokół pustej jamy. Tymczasem, choć błyskawicznie odrastały włosy, powiększyły się piersi, niemal na zawołanie szczupłała kibić – stara rana wydawała się należeć do innego ciała i świata.

To się łatwo mówiło: jednooka księżniczka. Ale Gotah właśnie dodał do swej wiedzy o świecie kolejny mały kawałek. Myślał o tym, co poczuła szesnastoletnia dziewczyna, porwana przez piratów z wioski, gdy wreszcie mogła spojrzeć w zwierciadło... Chyba wiedział – i przeraził się.

Ridareta zdała sobie sprawę, że jedną ręką nie zwinie opaski od nowa, a tym bardziej nie zawiąże na głowie.

– Hej! – krzyknęła przez ramię i skuliła się, przeszyta bólem. Ostrożnie zaczerpnęła tchu.

Przybiegł jakiś pokurcz bez zębów.

– Kapisana? – wyseplenił.

– Zawiąż mi.

Marynarz, przygniatając język dziąslami (bo przecież nie przygryzając...), z ogromną starannością spełnił polecenie. Gotah dostrzegł zieloną szmatę na nadgarstku pokurcza i zdał sobie sprawę, że to chyba coś oznacza. Wielu nosiło takie szmaty.

– Odezwiesz się do mnie czy nie, wasza godność?

– Ale co miałbym mówić, wasza wysokość? – zapytał z jakimś trudem. – Oboje wszystko wiemy. Nic nie ma do powiedzenia.

– Chłopcy mi opowiadali, że jeden z was przyszedł okryty kamienną skórą... Raladan mówił: „Uważaj, to są jednak Przyjęci!”. Co z wami? Naprawdę nic nie umiecie?

– Ja nie umiem i nie chcę umieć.

Pokiwała głową.

– A chciałam być taka odważna – powiedziała z goryczą, i to chyba nieudawaną. – Pomyślałam: niech się dzieje, co chce. Jak mi urwie łeb, no to urwie i przynajmniej wszystko się skończy. Jeszcze przed chwilą tak myślałam, a moi oficerowie mówili: „Nie idź do niego, kapitana! To jest jednak Przyjęty”. Napatrzyl się, jak podpalam żagle na okrętach, i myślą, że Przyjęty potrafi to samo, a może nawet więcej. Powiedziałam im... – Chyba znowu ją zabolalo, bo zagryzła usta i podjęła dopiero po długiej chwili: – Powiedziałam: „Nic mi nie zrobi”. Skąd miałam wiedzieć, że nie kłamię?...

Patrzyła wyczekująco.

– Pokaż, co potrafisz. Zrób mi coś, mędrze Szerni, albo cię skopię jak psa. I po tym kopaniu niczego już nie będzie.

– Ty mnie skopiesz, Ridareto? Czy Riolata?

Wyczekujące spojrzenie przemieniło się w spojrzenie szydercze.

– Riolata... Jakby miała głowę, tobym mogła jej na nią nasrać – skwitowała i było coś bardzo paskudnego w zderzeniu świętego garyjskiego, jakim się posługiwała, z rynsztokowym słówkiem. – Nie, Gotahu-Przyjęty... Gdyby każdy z brzydką częścią siebie miał tylko takie problemy, jakie Ridaretka ma z Riolatką... Bardzo niewiele muszę dla niej robić, a to co muszę, to są rzeczy... – Przestała się uśmiechać i na chwilę popadła w zamyślenie. – Dla ciebie może dziwaczne, ale złe? Bo co jest złego w tym, że na własnym pokładzie każę się stłuc batem do krwi?

– Mówisz mi, księżniczko, że Rubin nie ma nad tobą żadnej władzy?

– Rzeczywiście prawie żadnej, wasza godność. To COŚ bardzo wiele proponuje, ale mało potrafi wymusić. Przypomina pokusę, a pokusy ma każdy. I panuje się nad nimi albo nie. To nie moje słowa – wyjaśniła. – Powtarzam coś, co powiedziała pewna bardzo mądra kobieta, piękna blondynka, która wam pomaga. Opowiadałam jej o sobie, o Riolacie, a ona wszystko rozumiała i potrafiła nazwać. Najbardziej zapamiętałam to o tych pokusach.

– Potrafisz te pokusy przezwyciężyć?

– Jeśli chcę. Ale nie zawsze chcę.

– Wasza wysokość... – teraz zadrwił Gotah. – To przypomina słowa pijaka, który twierdzi, że przestałby pić, gdyby tylko chciał. Ale nie chce.

Zamyśliła się.

– Mój ojciec nie mógł oddać mi pod rozkazy agarskiej floty, bo Agary mnie nienawidzą – powiedziała po pewnym czasie – Ale dał mi złoto. Za bardzo duże pieniądze kupiłam sobie pomoc kilku pirackich kapitanów, którzy chcą mieć w Aheli macierzystą przystań i niewiele więcej ich obchodzi. Czekaliśmy tu okrągły tydzień. Wynałam wśród swoich żeglarzy byłych nocnych złodziei, kilku kłusowników... Warto, byś obejrzał ten lasek, mędrze Szerni. Są tam

nawet nory w ziemi, przykryte klapami, na których rośnie trawa. Milę dalej, w dużym lesie, rozbiliśmy obóz. Miałam... można to nazwać snem, czasem mam takie sny... Widziałam ten zagajnik tutaj, dymy wioski i wasz biwak o zachodzie słońca. Wiedziałam, że tu będziecie. Mówię to wszystko, bo chcę ci pokazać, wasza godność, ile trudu mnie kosztowało złapanie jednego Przyjętego. Co to byli za żołnierze, ci granatowo-zieloni? – zapytała ni z tego, ni z owego. – Jeden z moich mówi, że to wojsko królowej Dartanu?

– Mieli misję do spełnienia w Grombelardzie... Przez jakiś czas mieliśmy maszerować razem – skłamał Gotah, pytając się w duchu, czy nie zdradzi go głośne bicie serca.

Ale Ridi niczego nie zauważyła.

– Bardzo dzielni – skwitowała obojętnie, i to była największa obelga, jaką mogli usłyszeć żołnierze nie bez racji mający się za elitę wojowników Szereru. Dowódczyni morskich zbirów, którzy urządzili zasadzkę i zgnięli przeciwnika samą liczbą, miała dla nich aż dwa słowa: „bardzo dzielni”. – Dowodziła nimi ta kobieta, tak? Wydaje mi się... Chyba skądś ją znam.

Uderzenia serca Gotaha już nie tylko było słychać, ale jeszcze widać: w ich rytm drżała mu szata na piersi. Na szczęście agarska księżniczka zamyśliła się tak głęboko, że niczego nie widziała ani nie słyszała.

– Nie wiem co z tobą zrobić, babo w męskiej skórze – powiedziała na koniec. – Zabiję cię; tylko jak?... Chyba pošlę do Talanty twoją głowę. Nie, nie pošlę. Dotrzymam słowa: skopię cię, tak jak zapowiedziałam. Nienawidzę tej twojej Szerni. Podaj mi jeden powód, dla którego się nią zajmujecie.

Wstała – ale o kopaniu nie mogło być mowy. Zgięta w pół, trzymała się za ranę w brzuchu.

– Nells! – krzyknęła, skrzywiona, ocierając dłonią łzę z policzka. – Skop to zwierzę za mnie – poleciała, gdy nadbiegł barczysty drągal. – Nie bój się... nic ci nie zrobi. To tylko Przyjęty, nie mężczyzna, jak ty.

Splunęła Gotahowi na policzek i poszła.

– Na śmierć, ale tak, żeby nie zdechł za szybko! – wrzasnęła jeszcze przez ramię.

Wkrótce znowu siedziała na ziemi.

Odległe krzyki, a potem już tylko stękanie kopanego po zebrach Gotaha nie były aż tak głośne, by musiała wrzeszczeć do powieszanej za nogi kobiety; bardziej już przeszkadzały nawoływania i rechoty włóczących się wszędzie żeglarzy. Siedząc na podwiniętych nogach, miała twarz zdychającej śliczności mniej więcej na wysokości własnej twarzy.

– Znam cię skądś – powiedziała, oddychając bardzo ostrożnie, tak by nie obudzić przyczajonego w ranie bólu. – Przypomnij mi skąd... a może na tym skorzystasz.

W zakrwawionej i nabrzmiałej twarzy na chwilę otwarło się oko – tylko jedno, bo otwarcie drugiego uniemożliwiała wielka opuchlizna, kryjąca brew i powiekę. Jednak ranna wojowniczką nie chciała, albo nie mogła, mówić. Ridi ujęła pełną garść zwisających kasztanowych włosów

i rozhuściła powieszony ciał. Bezwładne dłonie muskały kępę trawy. Z nosa wypłynęła strużka krwi, jakby tylko czekała na okazję.

– No? Zaraz przyjdą moi synkowie i nożami wydłubią ci zęby, otworzą brzuch... I na pewno będą wkładać miecz tam, gdzie się chowa miecze: do pochwy. Ja takie coś wytrzymam – ty nie... A potem puszcza do ciebie okrętowe dziewczyny. I dopiero one wymyślą coś naprawdę wyjątkowego, chłopaki już o tym wiedzą... I zawsze zostawiają resztki dziewczynom, bo wtedy jest na co popatrzeć. Nie boisz się? Boisz, tylko jeszcze o tym nie wiesz... Ale się dowiesz. Zaraz.

Ridareta zmęczyła się i miała ochotę popłakać sobie z bólu. Znienawidzony Rubin kiedyś przynajmniej do czegoś się przydawał – teraz już tylko był. Chyba zapewniał nieśmiertelność, a może tylko niezwykłą żywotność, wytrzymałość – i nie wiadomo, czy coś więcej. Ridi najbardziej bała się tego, że zacznie odczuwać upływ czasu. Że się zestarzeje. Nieśmiertelna, a może tylko długowieczna starucha.

Wprawione w wahadłowy ruch ciało poruszało się coraz wolniej i wolniej. Ridareta pochyliła się nagle. Nie myśląc o tym, co robi, zdrową ręką ujęła jedną z bezwładnych dłoni, która chyba odruchowo zacisnęła się na jej palcach.

– Nie umieraj, Delaro – powiedziała. – Nie dam ci umrzeć, bo znowu mamy coś do zrobienia.

16.

Krzycząc z przerażenia, Kesa usiadła na łóżku. Wirowały obrazy; w uszach brzmiały bojowe wrzaski, jęki rannych przemieszane ze strzępami rozmów. Kesa widziała wykrzywioną bólem twarz męża, którego wielki zbir kopał w bok – beznamiętnie, jakby wykonywał zleczone zadanie: ani mu to sprawiało przyjemność, ani napawało obrzydzeniem...

Praca.

W tle tego pojawiała się twarz Hayny. Kesa z najwyższym trudem rozpoznała tak dobrze jej znane rysy. Nigdy nie przyjaźniły się z Hayną, ale szczerze lubiły. Spędziły w jednym domu wiele lat. Teraz... czy to mogła być ta wiecznie uśmiechnięta dziewczyna z gładko ułożonymi wokół głowy kasztanowymi włosami?...

I zamajaczyła jeszcze jedna twarz – rozmazana, niewyraźna. Taką mogła ją widzieć umierająca Perła, patrząca przez zlepione krwią rzęsy. Była to twarz przekreślona opaską kryjącą lewe oko.

„Gdzie są twoje siostry, Delaro? Gdzie jest Rollayna? Służysz królowej, tak?... Czy to, co o niej mówią, jest prawdą? Że w jej osobie wróciła królowa Rollayna?”

Głosy odpłynęły, obrazy rozpuściły się w mroku. Była tylko ciemna sypialnia.

Kesa odrzuciła okrycie i wstała. Krążyła po pokoju; nieomal biegła od ściany do ściany. Oddychała ciężko, unosiła dłonie do twarzy, do skroni, i zaraz je opuszczała. Próbowwała wrócić myślą do katowanego męża, ale nie zdołała pochwycić obrazu... Umysł nie radził sobie ze strumieniem... istną rzeką wiedzy, którą weń włączano. Bo choć obrazy i dźwięki zniknęły, to Przyjęta z każdą chwilą wiedziała więcej i rozumiała więcej. Bolało... Głowa chciała pęknąć od tego. Nowe i straszne, nieprzyjemne uczucie. Wstrętne. Kesa miała wrażenie, jakby karmiono ją siłą, wpychając strawę od razu... już nawet nie do gardła. Do żołądka. Uczucie sytości graniczące z bólem.

Chciała krzyczeć na wspomnienie obrazu katowanego męża, który nie wracał, chociaż poń sięgała. Chciała wyć i skowyczeć z rozpacz.

Zamiast tego głucho zawodziła z bólu.

Stała przy ścianie, oburącz trzymając się za głowę. Oparła czoło o ukryty pod kosztownym obiciem mur. Oddychała z coraz większym wysiłkiem. Nie poznawała tego, co ma w głowie, nie wiedziała, czym ją napchano i napycha się nadal. Jakby przez luk do okrętowej ładowni wsypano mnóstwo... czegoś. Nie wiadomo czego, jakichś rzeczy.

Rozplakała się i zaciśniętymi pięściami uderzyła w ścianę. Gotowa była oszaleć... tak, tak właśnie... Traciła rozum. Z przerażającą świadomością tego, co się dzieje, krok po kroku wkraczała w mrok obłądki. Traciła rozum – z nadmiaru wiedzy o wszystkim. Była... Kim była? Kesą, Przyjętą przez Pasma. Gdzie była? Gdzie, no gdzie?!...

Uczepiła się tych dwóch myśli niczym skraju przepaści. Próbowwała nie zapomnieć...
wiedzieć... Zachować świadomość tego, kim jest i gdzie się znajduje.

I pamiętać, że ktoś kopał człowieka.

Wlewająca się do głowy rzeka gęstego błota została zatamowana.

Nagle.

Kesa uklękła pod ścianą. Ulga była natychmiastowa, bo ból, choć obecny, już nie narastał. Powoli znikał. Nabyte wiadomości układały się na swoich miejscach, nieruchomiały, już mogła ich dotknąć, obejrzeć. Rozpoznać. Kaskada przemieszanych towarów zastygła na dnie ładowni. Wciąż nie było wiadomo, co tam właściwie wrzucono, ale teraz wystarczyło mieć trochę cierpliwości i czasu. To, co leżało na wierzchu, dało się rozpoznać od pierwszego rzutu oka; inne rzeczy wystarczyło wydobyć, czasem tylko odsłonić mały fragment...

Czarna przepaść pod nogami zniknęła. Kesa już nie musiała kurczowo trzymać się krawędzi. Czeluść zasypano.

Ból ustępował, odchodził coraz dalej, aż zostało po nim tylko wspomnienie.

Przyjęta siedziała z ramieniem opartym o ścianę i oddychała głęboko, równo, miarowo.

Tylko cierpliwość i czas.

Ale nie miała czasu. Ani chwili.

Rozpłakała się. Ale płakać też nie mogła. Rozmazała łzy na policzkach i głęboko oddychała. Wdech... wydech. Wdech...

Zakryła twarz dłońmi, przywołując wspomnienie komnaty... Szczegół po szczególe, wszystkie, które zapamiętała. Stół... jedne drzwi, drugie... ściany i to, co na ścianach...

* * *

Raladan obudził się i usiadł. Trzęsąca jego ramieniem, zmieszana, a nawet przestraszona niewolnica omal nie podpaliła mu włosów; w ostatniej chwili cofnęła rękę z lichtarzem, w którym była osadzona świeca.

– Wasza wysokość... – powiedziała.

Już to jedno świadczyło o wzburzeniu. Posłuszne stanowczemu rozkazowi perełki zwracały się do niego „panie”. Jego wysokością był wtedy, kiedy musiał. Nie potrafił przekonująco wytłumaczyć, dlaczego tytuł napawał go taką niechęcią – ale niewolnicom, na szczęście, wyjaśnienia były zbędne.

– Co się stało? – zapytał.

Potrafił oprzytomnieć w mgnieniu oka.

– Ktoś... przyszedł – powiedziała niepewnie dziewczyna.

Ktokolwiek doń przyszedł w środku nocy, musiał mieć sprawę. Prawdziwą sprawę, więc Raladan ku zdumieniu służki nie zapytał o nic. A raczej owszem, zapytał, ale było to pytanie

rzeczowe i brzmiało:

– Dobrze; gdzie jest ten „ktoś”?

Podąła mu odzienie.

– Nie tutaj. W gmachu i... To jest kobieta, panie.

W milczeniu wciągnął spódnicę i kaftan, wzuł buty.

„Gmachem” nazywano dawny budynek Trybunału. Rzadko tam bywał. Już częściej w trzeciej rezydencji, czyli w „domu”, bo tam były dzieci i próbował mieć dla nich chociaż jeden wieczór na trzy dni. Właściwie mieszkał w twierdzy.

Ale dawny gmach Trybunału Imperialnego był blisko. Dłuższy spacer czekał go po schodach i do bramy niż później po uśpionych ulicach Aheli.

Do komnaty, w której czekał gość, przyniesiono już światło – ale mało. Ujrawszy przybyłą, która oderwała spojrzenie od zawieszanej na ścianie ogromnej szczęki rekina i zwróciła się ku niemu, Raladan obejrzał się na niewolnicę:

– Dlaczego tu tak ciemno? Przynieś...

– Nie, wasza wysokość. To na moją prośbę – pospiesznie powiedziała kobieta, którą kiedyś poznał jako wysłanniczkę cesarskiego przedstawiciela. – I nie zbliżaj się zanadto, księżę, proszę. Ja... straciłam poczucie rzeczywistości. Zjawiłam się tutaj... w bardzo nieodpowiednim stroju.

Zmieszanie pięknej blondynki wydawało się zrozumiałe; światła było mało, ale dość, by zauważyć, że dostojna pani o królewskich oczach ma na sobie sukienny płaszcz, w którym Raladan rozpoznał swoje własne okrycie... a poza tym niewiele więcej. Pod spodem majaczyło coś w rodzaju jedwabnej koszuli, ale była to najwyżej kusa szatka nocna, noszona chyba tylko w Dartanie. Gość potwierdził spostrzeżenie, mówiąc:

– Niewolnica waszej wysokości zlitowała się nade mną i przyniosła tę pelerynę... Przebacz mi, księżę. Tej nocy... ja... nie wiem, co robię, i w ogóle nie jestem sobą. Ale zaraz mnie zrozumiesz i usprawiedliwisz. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Raladan wyjął lichterz z rąk niewolnicy.

– Wyjdź – powiedział.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, zdmuchnął świecę. Pozostała tylko ta na stole.

– Słucham, wasza godność – rzekł, odstawiając lichterz.

– Poznałeś mnie, panie, jako posłankę garyjskiego Księcia Przedstawiciela Cesarzowej. Byłam nią, ale przede wszystkim, księżę, jestem Przyjętą. Moi towarzysze, o czym na pewno już wiesz, próbowali zgładzić twoją córkę, a ja... postanowiłam poszukać innego sposobu. Dlatego tu wtedy przyplłynęłam.

– Ridareta powiedziała mi o tobie, pani. Wiem, że się znacie. Ale nie zdradziła mi, że jesteś Przyjętą.

– Nie wiedziała o tym i chyba nadal nie wie.

Kesa urwała. Cisnęło jej się na usta sto pytań i tyleż samo wyjaśnień, tłumaczeń, usprawiedliwień... W ogóle nie miała czasu, a musiała pozyskać kogoś, kto dał się jej poznać jako człowiek bezlitośnie prostoliniwny, zdecydowany, twardy. Chłodny i nieustępliwy.

– Wasza wysokość – powiedziała z nieskrywaną desperacją i rozpaczą – twoja córka wyruszyła przeciw swoim prześladowcom... czy tak? Wiem, że tak. I odniosła sukces. Mogę tylko prosić, więc proszę: czy popłynęła na swoim żaglowcu? Muszę wiedzieć; o nic więcej nie pytam. Czy „Zgniły Trup” jest tam, gdzie księżniczka?

Raladan widział w życiu naprawdę niejedno i bardzo rzadko się dziwił. Teraz jednak patrzył na kobietę, która ciemną nocą pojawiła się znikąd, prawie nago, w środku jego domu... Mówiła, że jest Przyjętą (rzecz niezwykła, ale chyba możliwa, a w zaistniałej sytuacji wręcz tłumacząca niejedno) i pytała o... jakąś błahostkę. Chociaż ta błahostka musiała być nią tylko z pozoru.

– Nie, pani. Nie powiem ani słowa, jeśli nie dasz mi powodu, bym przemówił. Nie kiwnę głową, nie skrzywię ust, nawet nie mrugnę okiem.

– Oto mój powód – powiedziała i zobaczył w migotliwym świetle świecy dwie płynące po jej twarzy łzy. – Minionego wieczoru księżniczka pokonała poczet Przyjętego. Rano ten Przyjęty umrze... Kilkakrotnie widziałam i dobrze pamiętam pokład „Zgniłego Trupa”, więc być może będę mogła się tam dostać. Jeśli nie odpowiesz na moje pytanie, książę, to i tak się tam zjawię, bo... bo już nic innego do zrobienia nie mam. Pomóż mi, a ja pomogę tobie.

– W czym mi pomożesz, wasza godność?

– Zakończę tę bzdurną wojnę, choćbym miała... choćbym musiała użyć siły wobec swoich towarzyszy. Wytłumaczę i wyjaśnię wszystko; odpowiem na każde pytanie twoje albo twojej córki. Zaopiekuję się nią. Zachodziła obawa, że księżniczka zniszczy równowagę Szerni, a Szernń toczy właśnie wojnę... Od tego może rozpaść się nasz świat. I niech się rozpada, książę. W ogóle mi na nim nie zależy.

– A na czym ci, pani, zależy?

– Na życiu jednego człowieka.

– Tego Przyjętego – dopowiedział. – Czy to jest, pani, twój przyjaciel? Ktoś bliski?

Tym razem rozplakała się naprawdę. Oparła zaciśnięte pięści na stole takim ruchem, jakby go uderzała za jakieś przewinienia.

– Nie! – zawołała. – To jest mój mąż, mój świat, moje życie... to jestem ja sama, rozumiesz?! Widziałam kawałek zatoki, ale tam stał tylko jeden mały okręt, a na brzegu były jakieś łódki!... Gdzie jest „Zgniły Trup”?! Milę stamtąd? Dziesięć mil, sto?!...

Raladan patrzył na roztrzęsioną kobietę i próbował zebrać układankę do kupy. Nie tyle nawet złożyć, co tylko zgromadzić wszystkie potrzebne części. Miał mało czasu; jego niezwykle gość był bliski hysterii. Oznaczało to nieobliczalność.

– Czego oczekujesz ode mnie?

– Jednej odpowiedzi!

– Chcesz się dostać na pokład „Trupa”?

– Jeśli będę wiedziała, gdzie jest! Powiedz mi! Inaczej... ja i tak spróbuję.

– Ratując męża, zabijesz mi dziecko – powiedział. – Jedyne prawdziwe, jakie mam. Pozostałe... tylko splodziłem.

– Zabiję, tak – odparła z nagłą stanowczością, prostując się i ocierając łzy z policzków. Głęboko zaczerpnęła powietrza. – Może sobie poradzę bez pomocy, a jeśli tak, to zaraz będę na „Zgniłym Trupie” i jeżeli przypadkiem jest w pobliżu twojej córki... Zawrzyj ze mną układ, Raladanie. Pomóż mi, a nikomu nie stanie się nic złego. Ridareta mówiła ci o mnie? Co mówiła? Że jestem jej wrogiem?

Raladan umiał bezzwłocznie podejmować decyzje, ale ta, którą miał podjąć, była bodaj jedną z najtrudniejszych w jego życiu. Nie wiedział prawie nic. Miał rzucić kośćmi, stawiając na szalę wszystko, co było dlań ważne.

Mógł nie rzucać. Ale gra bez niego toczyłaby się dalej. Nie mógł wycofać stawki.

– Do świtu jest jeszcze sporo czasu – powiedział. – Szybko możesz się tam dostać? Na pokład „Zgniłego Trupa”?

– W mgnieniu oka lub wcale. Ale muszę wiedzieć, gdzie jest. Nie zgadywać. Wiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo muszę odnieść go do jakiegoś miejsca pod Pasmami. Inaczej... Mogę się zgubić... utknąć gdzieś... na długo, albo na zawsze. Nie umiem ci tego wytłumaczyć. Domysł, przypuszczenie... to nie zmusza Pasm do dania mi odpowiedzi... do pokazania drogi. Wiedza – tak. Ale zaryzykuję, jeśli będę musiała.

– Nie musisz. Usiądź – rozkazał. – Ridareta ma cztery żaglowce i mniej więcej czterystu ludzi. „Zgniły Trup”... nie wiem. Popłynęła na nim, ale to duży holk i raczej nie wejdzie do zatoki, o której mówisz, bo jest zbyt głęboko zanurzony.

– Ale jest tam, gdzie twoja córka? – upewniła się z ulgą.

– No... mniej więcej. Nie dalej pewnie, jak o kilka mil.

– To wystarczy.

– Wystarczy do zaokrętowania Przyjętej, ale nie do uwolnienia jeńca – rzekł sucho. – Twój mąż jest na okręcie?

– Nie...

– Powiedziałem, że „Trup” raczej nie wpłynie do zatoki.

– Znasz tę zatokę?

– Znam wszystkie zatoki Szereru, więc mnie o to nie wpytuj, szkoda czasu – uciał. – Rida mi mówiła dokąd płynie; to jest północny kraniec Morza Dartańskiego. Takich wąskich zatok nie leżących u ujścia żadnej rzeki jest tam zaledwie kilka, wszystkie bardzo płytkie. Do żadnej bym

nie zawinął, chyba że na krótko, przy najwyższym stanie wody. Morze Dartańskie jest morzem otwartym i pływy oceaniczne są tam mocno odczuwalne. Z tego wynika, że możesz wylądować na pokładzie okrętu kotwiczącego nawet pół mili od brzegu. Zamk... zamilcz na chwilę, wasza godność. – Uniósł rękę. – A gdy już uwolnisz swego męża, to jak chcesz się stamtąd wydostać? Potrafisz zabrać kogoś ze sobą?

– Nie wiem.

– To się dowiedz.

– Ale jak?...

Była już spokojna; w każdym razie o niebo spokojniejsza niż przed chwilą. Rzeczowość rozmówcy działała kojąco i Kesa nagle zdała sobie sprawę, że chce być dowodzona; że z całej siły pragnie zaufać temu silnemu, stanowczemu mężczyźnie, który jest piratem, rabusiem, mordercą... a ponadto dobrym człowiekiem.

Jeśli „dobrym” jest ktoś zdolny do współczucia.

– Chodź – powiedział.

I poszła.

Tylko do drugiego pokoju.

– Zjawiałaś się, jak rozumiem, w tamtej sali, znanej ci z poprzedniego pobytu tutaj? No to... Odległość chyba nie ma znaczenia, wasza godność. Albo umiesz sprawiać cuda, albo nie.

Niemal się przeraziła, takie to było proste. Natłok zdarzeń, lęk, niepewność... Postradała nie tylko rozsądek, ale i umiejętność myślenia.

– Zabierz mnie tam, Przyjęta – powiedział. – Dotknąć cię?

– Chyba... Nie wiem. Tak.

Zbliżył się i ujął jej rękę.

– Zabierz mnie.

I zabrała.

Zaskoczona i oszołomiona, stała przy długim stole, a gospodarz już dokąś szedł.

– Każę przynieść ci wygodny strój podróżny – rzekł przez ramię. – Może być trochę za luźny i przykrótki, Rida jest niższa od ciebie, ale za to... Jakąś broń?

– Nn... nie. Nie!

– A ja wezmę.

Przystanął w progu.

– Wrócimy we troje, ale jeśli to będzie niemożliwe, to wróćcie tylko wy, we dwoje. Ja mogę zostać; nie jestem ranny i nic mi tam nie grozi. Czekał tu na mnie, wasza godność.

17.

Było to uczucie szczególne, przywodzące na myśl przekraczanie punktu między jawą a snem. Równie nieuchwytnie. A odległość w samej rzeczy nie miała znaczenia: podróż z komnaty do komnaty trwała tyle samo, co wyprawa przez pół Szereru.

W świetle latarni przychepionej do kolumny masztu widać było otwartą gębę i wybałuszone oczy majtka z pokładowej wachty.

– Nie śpij, synu, kiedy trzymasz wachtę – rzekł spokojnie Raladan, lekko popychając Przyjętą w stronę kasztelu rufowego. – Kapitana na łodzi?

Oniemiał marynarz zdołał tylko pokiwać głową.

– Kto dowodzi okrętem? Sayl czy Cichy?

– Sayl.

Raladan popatrzył w stronę brzegu, gdzie migotały światła licznych ognisk, po czym bez słowa podążył za Przyjętą, dotarł do drzwi kajuty i otworzył je. Drugi oficer drzemał na koi – boso, ale w odzieniu. Raladan obudził go i został uraczony takim samym spojrzeniem, jakie miał dla niego wachtowy.

– Już nie śpisz, naprawdę jestem tutaj – zapewnił. – Mam sprawę, więc was dogoniłem, cała tajemnica – oznajmił obojętnie. – A wachtowi ci się pospali, wlep im po parę kijów, bo nawet nie widzieli, jak abordażuję wasze cudo. No? Oprzytomniałeś? Daj mi łódź i odstaw na brzeg.

Sayl na tyle dobrze znał Raladana, by wiedzieć, że z jego rozkazem się nie dyskutuje. Ale, wyrwany z błogiej drzemki i zaskoczony przybyciem nieproszonego gościa, mocno się pogubił.

– Już po bitwie? – raczej stwierdził niż zapytał Raladan.

– Nawet nie widziałem – odparł z roztargnieniem oficer, szukając drugiego buta i dokładając starań, by nie gapić się na towarzyszkę Raladana, którą, byłby przysięgł, już gdzieś widział. – Coś pukało za cyplem, jakby strzeliło kilka dział, ale nie wiem, co to mogło być.

– Ja też nie wiem.

– Kapitana przysłała rozkaz, żebyśmy do niej płynęli, bo wcześniej chowaliśmy się za cyplem. Dopiero co zakotwicyłem. – Sayl stęknął, z wysiłkiem wzuwając but. – Żeby podejść bliżej, trzeba by sondować... yyp! Może za dnia... jeśli w ogóle warto.

– Daj mi łódź i tyle.

– Ale... nie mam.

– Nie masz łodzi?

– No, nie. Obie poszły na brzeg i nie wiem, kiedy wrócą. Może rano, a może w południe. Kiedy kapitana je odeśle. Z rannymi, albo po coś.

Raladan popatrzył na przerażoną Kesę i bez słowa wyszedł na pokład. Dartańczyk podążył za nim.

- Muszę być o świcie na brzegu.
- No to chyba wplaw. Nic nie poradzę, nie wiedziałem... A twoja łódź, panie?
- Odesłałem – uciął Raladan. – Przy płynąłem i odesłałem.

Sayl podrapał się w szczękę, bo wszystko to było co najmniej dziwne i tajemnicze. Rozejrzał się, szukając na migoczącym od księżycy morzu żaglowca Raladana. Jednak agarski książę nie dał mu czasu na myślenie.

- Przynies mi kubek gorzałki – powiedział.

Sayl uśmiechnął się.

- Znow mamy parę beczek – powiedział zagadkowo i wrócił do kajuty.

Raladan odwrócił się ku stojącej za nim Kesie.

- Potrafisz fruwać, wasza godność?

– Nie – powiedziała cicho.

– Na pewno nie?...

– Mówię: nie.

– Więc poczekaś tu na mnie.

– Nie.

– Umiesz pływać?

– Umiem.

– To ponad pół mili.

– Przełynę.

– A ile to potrwa?

– Nie będziesz na mnie czekał.

– Ani cię ratował?

– Wasza wysokość – rzekła chłodno. – Skoro mówię...

Urwała, bo jego wysokość ściągnął już buty, odpiął pas z mieczem i właśnie zwlekał przez głowę kaftan. Niewysokiego wzrostu, był jednak bardzo mocno zbudowany. Energicznie poruszył ramionami, zrobił kilka wymachów w przód i w tył.

Wrócił Sayl, niosąc nie kubek, a kubał. Drewniane naczynie miało grube, pięknie wyczelowane w drewnie ucho. Raladan ujął to ucho, przytknął usta do krawędzi kubka i pił.

– Hu!... Wystarczy... ekhe!.. Teraz daj mi portki żeglarskie i jakąś koszulę twojej kapitanie. Lekką, cienką, najlepiej jedwabną.

Sayl wrócił bez słowa pod kasztel.

– Pij, wasza godność. Wiosna była piękna, ale mamy dopiero wczesne lato i woda jest jeszcze zimna.

– Nie przełknę tego.

– No to nie.

Z ramionami opartymi o nadburcie Raladan czekał na Sayla. Gdy oficer wrócił, odebrał odeń przyniesione rzeczy, zwinął koszulę i przywiązał sobie do głowy, używając nogawek hajdawerów. Wyglądało to co najmniej cudacznie.

– Zabierz wachtę z pokładu i sam też się wynoś.

Sayl pogapił się chwilę, zerknął na kobietę i zrozumiał. Ale Przyjęta nie.

Raladan ściągnął spódnicę.

– Chcesz pływać czy się utopić? – zagadnął. – To jest ponad pół mili wody. Nie dla siebie mam te szmaty na łbie.

Pokład opustoszał. Raladan przelazł przez burtę, zwisał na rękach i osunął się w łagodne fale. Czekał – ale nawet niezbyt długo. I uśmiechnął się z uznaniem, bo nie wiedział, że Perły uczone są pływania. Może zresztą nauczyła się sama?... Wskoczyła do wody jak syrena i zobaczył, że naprawdę umie pływać.

Podobała mu się ta kobieta. Nie dlatego że miała jasne włosy.

Była dzielna.

A jednak trochę się przeliczyła...

O świcie wypelzli na brzeg. Było jasne, że Przyjęta donikąd nie pójdzie. Gotowa była zemdleć z braku tchu. Nie wiedział, że jest z nią aż tak źle, bo spróbowałby pomóc. Ale w wodzie nic nie dała poznać po sobie; płynęła równo, a syk fal i plusk uderzanej ramionami wody zagłuszyły jej ciężki oddech.

Okupiła to skrajnym wyczerpaniem; była bliska utraty przytomności. Szczupła, niemal chuda, zmarzła bardziej niż on. Wychłodziła się prawie na śmierć.

Bez żadnych ceregieli pomógł jej przyoblec mokre szmaty. Nie protestowała. Znowu osunęła się na piasek i leżała na plecach, próbując dojść do siebie. Dygotała z zimna i zmęczenia.

– Tam. – Pokazał palcem. – Obróć głowę i popatrz: te drzewa za wydumą... widzisz? Czekaj tam.

– Ale... – Po raz drugi tej nocy rozplakała się. – Mu-szę...

– Nie, wojowniczo, teraz to już ja muszę. Ty zrobiłaś wszystko, co było do zrobienia: dostarczyłaś właściwego człowieka w miejsce dla nikogo nieosiągalne w takim czasie. Leż, a potem idź do tamtych drzew. Przyjdę tam z twoim mężem.

– Przyjdziesz... z nim?...

– Przyjdę. Ale bądź tam, bo inaczej wszystko możesz popsuć. Myśl o tym. W niczym nie pomożesz, a wszystko zepsujesz, cały czas o tym myśl – powtórzył z naciskiem, bo trochę już znał kobiety. – Żadne z nas nie zabije czterech setek ludzi. Zabijesz?

Nie czekając już na nic, podniósł się i pobiegł po piasku.

Potrzebował odzienia. Nagi człowiek wydaje się słaby i niewiarygodny. Nawet jeśli jest władcą pirackiego księstwa... to najpierw ktoś musi go poznać.

Na brzeg dotarł ze swą towarzyszką kilkaset kroków od miejsca, do którego przybijały łodzie. Wszędzie było pełno uzbrojonych mężczyzn, noszących jakieś bagaże, hałasujących, cieszących się z czegoś bądź szukających zwady. Szarość poranka ustępowała miejsca pełnemu blaskowi słonecznego dnia. Nie było gdzie się schować. Truchtający skrajem plaży nagus wzbudził wesołość w gronie majtków opartych o burtę wyciągniętej na brzeg łodzi; obok drugą spychano właśnie na wodę. Nagus podbiegł i bez słowa wyrznął w pysk najwyższego z rozbawionych żeglarzy. Śmiechy umilkły.

– O, bratku...

– Gdzie jest Ridi? Zaraz urwę ci głupi łeb – rzekł Raladan. – Któryś z was mnie zna?

– A kto ty niby jesteś?

– Znajdź i przyprowadź mi Fokę, a się dowiesz. Albo swojego... – Urwał, bo dojrzał czterech majtków składających na brzegu rannego; mieli zamotane, dwaj na rękach, a dwaj na szyjach, ciemnozielone chustki. – Hej, wy tam!

Jeden obejrzał się, zarechotał i pokazał golasa kamratom. Ale golasa, za którym groźnie postępowała grupka od szalupy, zbliżył się i chłopcom Ślepej Ridi przestało być do śmiechu. Załoga „Zgniłego Trupa” bardzo dobrze знаła Raladana – choć co prawda nie od strony malutkiego, skurczonego w zimnej wodzie wróbelka.

– Daj mi jakieś szmaty i wytłumacz tym durniom, kto jestem – powiedział krótko, wskazując za siebie. – Gdzie macie kapitanę?

– Yyy... nie wiem – odrzekł marynarz, pospiesznie ściągając kapotę, podczas gdy jeden z jego towarzyszy już klarował sprawę nadchodzącym obwiesiom; wystarczyła krótka chwila, a widać było tylko ich plecy. – Kapitana? Była chyba z innymi kapita... o, tam! Tam ich widać. Albo może przy jeńcach.

– Gdzie są jeńcy?

– Wiszą, o!... Na brzegu lasku.

Raladan już wciągał portki pozyskane od drugiego żeglarza; butów żaden nie miał, niestety.

– Wszyscy wiszą?

– No, poza tym jednym... Tam leży, tam gdzie tak pusto. Bo gada się, że to jest...

– Wiem, co się gada. Szukajcie mi kapitanę. Ale biegiem. I wszystkich dowódców żaglowców. Będę przy tym jeńcu, tym o którym się gada.

Nie mówiąc nic więcej, Raladan pognał na skraj zagajnika, bo widział, że dzieje się coś złego. Zapomniał, jak nazywa się dowódca gwardzystów Ridarety, więc wrzasnął nań tylko, ale wielu wokół wrzeszczało, kłóciło się i przekrzykiwało... Wielkie chłopisko tratowało coś, co, zwinięte w kłębek, prawie nie przypominało człowieka. Raladan wpadł na Nellsa i odepchnął go, po czym natychmiast schylił się nad człowiekiem z poranioną twarzą, broczącym krwią z nosa i ust. Bardziej zaskoczony i zdumiony, niż rozgniewany Nells omal jednak nie przyłożył

intruzowi – ale poznał go i osłupiał.

– Zabiłeś go? – zapytał Raladan.

– Nie! – Były katowski pomocnik aż zachłysnął się z oburzenia, bo podano w wątpliwość jego umiejętności. – Rid... kapitana kazała go skopać. No, tom skopał. Gównu, taka robota. Ale teraz to on jeszcze nie zdechnie, bo mówiła, że to ma potrwać.

Jednak jeniec wyglądał tak kiepsko, że Raladan nie wyzbył się obaw.

– Co mi tu gadasz, przecież on ledwie oddycha... Jakbyś dalej go kopał, to co?...

– Aaa, to tak – uczciwie przyznał Nells. – Bo i miałem go skopać na śmierć. Ale powolutku! – znowu się uniósł honorem. – A jak powolutku, to chyba nie na czterech kopach! Kapitana by mi za to...

– Rozwiąż go i zawołaj kogoś, kto zna się na opatrunkach.

– Ale Ridka...

– Żadnego „ale Ridka”, Nells. – Raladan poniewczasie przypomniał sobie imię komendanta Gardy. – Patrz na mnie. Żadnego „ale Ridka”.

Nells popatrzył.

Tu nie było żadnego „ale Ridka”.

Raladan mógł naprawdę niejedno i nikt nie musiał płynąć aż do Aheli, żeby się o tym przekonać. „Zgniły Trup” miał tam już nigdy nie zawiąnąć... ale za to Raladan mógł zawiąnąć wszędzie. A zawiąnął właśnie tutaj.

– Tak, panie.

– I waruj przy nim. Jeśli ptak mu nasra na głowę, to masz wytrzeć.

Czas naglił; Raladan nie dałby miedziaka za rozsądek półzywej kobiety, która już na pewno nie była półzywa, odzyskała siły, a z siłami lęk, obawę i poczucie karygodnej bezczynności, poruszyć zaś umiała niebo i ziemię. Mogła czekać pod drzewkami na wydmach – albo nie.

Zdziwiłby się, gdyby czekała.

Spiesznie zdążył na spotkanie grupki ludzi, którzy z drugiej strony zmierzali ku niemu w poprzek wypalonego, skrwawionego, zasłanego nagimi trupami placu boju. Dowódcy trzech okrętów i Cichy. Wszyscy bardzo dobrze go znali.

– Na razie żadnych pytań, nie mam czasu – powiedział, stając z nimi w niewielkim kręgu. – Gdzie jest Ridi?

Mevev nie wiedział.

– Zaraz ją znajdą – obiecał na wszelki wypadek.

– Dobrze. Kupuję waszych jeńców, bo mi do czegoś potrzebni. Dwadzieścia sztuk złota za każdego. Podzielcie tak, jak wam się podoba. Z tym, że złoto odbierzecie w Aheli.

Zaskoczeni kapitanowie wymienili spojrzenia i rozpromienili się. Raladan był słowny, a kilkanaście odciętych od gałęzi półtrupów miało wartość skrwawionych szmat, z których

jeszcze ich nie obdarto. Broń, a nawet i buty, dawno już znalazły nowych właścicieli.

– Ale tam jest ich komendantka – sprytnie zauważył jeden z dowódców, szybko idąc po rozum do głowy.

– Za nią pięćdziesiąt – powiedział bez namysłu Raladan, nie mając pojęcia, o kogo w ogóle chodzi, ale było mu to całkiem obojętne, podobnie jak cała śmieszna suma najwyżej dwustu sztuk złota. – Targ ubity?

– Pewnie. A ten... no, ten tam?

– To już nie wasz jeniec, tylko Pięknej Ridi. Tak, Cichy?

– Od niego z daleka – potwierdził pierwszy oficer.

Skinąwszy głową dowódcom żaglowców, Raladan zabrał ze sobą Cichego.

– Każ podcinać tych tam.

– Bardzo się z nimi cackać?

– Jak tam chcesz. Słuchaj mnie: masz mi znaleźć swoją kapitanę, bo ciągle nie wiem, gdzie jest. W krzaki poszła? Co wy tu macie za burdel, to już nawet nie chcę... Daj mi czterech chłopaków, ale mądrych i takich na schwał. Najlepiej z Gardy. Niech znajdą jakiś pled albo płaszcz. Muszę zabrać stąd Przyjętego.

Cichy przystanął.

– O, co to, to nie... Kapitana...

– Słuchaj mnie. Muszę go stąd zabrać i tyle.

Cichy patrzył w ziemię. Kiwał głową.

– Nie ma mowy – powiedział. – Jak usłyszę to od Ridi. Wtedy tak.

– Jej się boisz bardziej czy mnie?

– Jej – powiedział oficer. – Bo to moja kapitana.

Sprawa wyglądała coraz gorzej.

– W takim razie odeślij go na „Trupa”. Tyle możesz zrobić; tak czy nie? Tutaj zostać nie może.

– Czemu nie?

– Bo jest więcej Przyjętych, nie tylko on – powiedział znacząco i z naciskiem Raladan, a na szczęście umiał łączyć przekonująco. – Wiem coś, ale nie powiem ci, co. Powiem Ridi. A tobie radzę tylko: odeślij go na „Trupa”. Bo może się okazać, że tu go nie upilnujesz.

Mevev patrzył pytająco. Zmarszczył brwi i pogapił się na morze.

– Skąd się tutaj wziąłeś?

– Goniłem was na „Delarze”. Bo mam powód. Myślisz, że dla żartów gnałem tu jak głupi? Albo dla tych zdechłaków, których wykupiłem dla pozoru?

Po utracie ukochanej „Seili”, karaweli która zostawała w tyle tylko za „Kołysanką”, Raladan kazał zbudować dla siebie żaglowiec na wzór tamtego i choć nie był równie udany, nazwał go

imieniem najmłodszej z Trzech Sióstr – co wydawało się właściwe, skoro poprzedniczka nosiła imię średniej.

– Gdzie kotwiczysz?

– Za cyplem. Odeślesz go na „Trupa” czy nie?

Mevev zastanawiał się. Milczał i kiwał głową.

Przyjęta czekała – i Raladan zobaczył, że ta kobieta przeżywa istne męki. Już sto razy musiała sobie powiedzieć, że trzeba biec, iść dalej – i sto razy odrzekła: „nie, bo kazał mi czekać”.

Czekanie... Co mogło być gorsze od czekania? Zdał sobie sprawę z tego, jak bezbrzeżnie mu zaufała, i choć nie był skłonny do wzruszeń, ścisnęło mu się gardło. Przebyła oceany, spiesząc na ratunek najważniejszemu człowiekowi – i stanęła kilkaset kroków od celu, bez reszty zawierając obcemu mężczyźnie, z którym rozmawiała ledwie trzy razy w życiu. A przecież ten mężczyzna był ojcem dziewczyny, którą za jej wiedzą próbowano zabić... Dojrzawszy go, pobiegła naprzeciw... i dostrzegł, jak zwolniła kroku, widząc, że idzie sam. Że nie idzie nikt przy nim ani za nim. Trupio biała, bosa, w pogniecionych żeglarskich hajdawerach i nie pasującej do nich jedwabnej koszuli, z jednym warkoczem ciasno zwiniętym z boku głowy, drugim zaś – z którego wypadła szpila – byle jak zwisającym na pierś, nie przypominała wyniosłej piękności, która z ramienia garyjskiego księcia omawiała warunki pozyskania floty kaperskiej. Warta krocie jako Perła, po odarciu z kosztowności i strojów, nieuczesana i nieumalowana, w istocie była trochę za chudą, trzydziestokilkuletnią kobietą o pięknych brwiach i regularnych rysach twarzy... Tylko tyle.

A może jednak: aż?...

Raladan poczynił swoje spostrzeżenie ze smutkiem, który nie wiadomo skąd się wziął.

Nie zapytała o nic. Gryząc usta, zebrała spojrzeniem o nadzieję... o cokolwiek, byle to nie było krótkie i kończące wszystko: „Nie zdążyłem”.

Potężna kobieta, której zgadzały się służyć toczące wojnę Pasma Szerni.

– Żyje i wyzdrowieje, co najwyżej obędzie się bez zęba albo dwóch. Kazałem go odesłać na „Zgniłego Trupa”, bo nic więcej nie dało się zrobić. Też tam popłyniemy, chodź. Tak, już zaraz... teraz. Szalupa czeka.

Po raz trzeci zobaczył, jak dzielna Przyjęta płacze – ale teraz to było w pełnym świetle dnia. Osunęła się nagle na kolana i nim zdążył zrobić cokolwiek, pocałowała go w rękę.

– Chodź... syreno – rzekł, kryjąc pod szorstkim żartem wzruszenie i zakłopotanie. – Ty już nie masz zmartwienia, ale za to ja mam. Nikt nie umie znaleźć Ridarety. Gdzieś zniknęła i wygląda na to, że zabrała ze sobą komendantkę dartańskich żołnierzy. Nie mam pojęcia, co to znaczy.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO